

**Janet Dailey**

**Złudzenia**

*(Illusions)*

## Prolog

Ten sukinsyn Lucas Wayne jeszcze za to zapłaci, obiecywała sobie nie po raz pierwszy Rina Cole z ledwo skrywaną wściekłością. Czule pogładziła macicę perłową na rękojeści pistoletu kaliber trzydzieści osiem, starannie ukrytego w torebce. Uśmiechnęła się z satysfakcją, wyobrażając sobie minę Lucasa, gdy zobaczy wycelowaną w siebie broń.

Czy rozpozna pistolet, który sam jej podarował? Miała nadzieję, że tak. Luke dał jej niewiele – a teraz zwróci mu jeden z jego prezentów w specyficzny sposób: nie sam pistolet, tylko kule z jego lufy.

Nadal uśmiechała się złośliwie, gdy luksusowa limuzyna wiozła ją wzdłuż Madison Avenue na Upper East Side, najmodniejszą część Manhattanu. Wszędzie panował spokój, nie było żadnego ruchu, ale to nic dziwnego o tej godzinie, w środku nocy. Latarnie rozjaśniały ciemność w równych odstępach, ulice były właściwie puste, jeśli nie liczyć śmieciarki i niewielu taksówek.

Limuzyna zwolniła, zanim skręciła w Siedemdziesiątą Szóstą Ulicę. Rina pochyliła się do przodu. Znajomy widok hotelu Carlyle, gdzie Lucas Wayne się zatrzymywał, ilekroć gościł w Nowym Jorku, sprawił, że poczuła jednocześnie gniew i podniecenie.

Nie był sam. Towarzyszyła mu blondynka, całkowite beztalencie, która cudem dostała małą rolę w jego nowym filmie. Czy naprawdę myślał, że Rina się o tym nie dowie, że nikt jej nie zawiadomi?

Nie pozwoli się traktować jak byle kto. Jest przecież Riną Cole. Zanim Lucas nagrał pierwszą piosenkę, ona dostała tyle platynowych płyt, że nie mieściły się na ścianie. I tylko jej zawdzięcza karierę filmową! To ona dała mu szansę! Drań jest jej dłużnikiem.

Limuzyna zatrzymała się. Portier w liberii podbiegł szybko, z ukłonem otworzył drzwiczki. Wystarczyło jedno spojrzenie, by ją rozpoznał.

– Witamy w hotelu Carlyle, panno Cole.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa. Ignorując go całkowicie, skierowała się do wejścia. Kurczowo zaciskała dłonie na torebce, w której spoczywał pistolet. W nocnej ciszy jej obcasy głośno stukały po asfalcie.

Szybkim krokiem przemierzyła mroczne foyer i wsiadła do windy. Nikt jej nie zatrzymywał. Była Riną Cole.

Słumiony jęk syren zakłócił ciszę pogrążonej w ciemności sypialni. Kilka minut wcześniej zagłuszyłyby go jęki rozkoszy. Teraz jedynie wtórował przeciągłemu westchnieniu, gdy blondynka u boku Lucasa Wayne'a przeciągnęła się leniwie. Odwróciła się w jego stronę, podparła na łokciu, przesunęła dłonią po klatce piersiowej.

– Luke, kochanie, jesteś niewiarygodny – zamruczała. – Czuję się jak szmaciana laleczka.

Wiesz, jak doprowadzić dziewczynę do szaleństwa.

– Było nieźle, prawda? – Uśmiechem starał się zamaskować znudzenie, jakie w nim budziły takie rozmowy.

Lubił seks gorący, wilgotny i dziki. Dwa na trzy to jednak niezły wynik, zwłaszcza że blondynka starała się zagrać ostatni element z godnym podziwu zaangażowaniem, choć na Oscara nie zasłużyła.

– Ty potworze, jak możesz tak mówić? – Za karę wymierzyła mu pieszczotliwego klapsa. – Było lepiej niż nieźle, i doskonale o tym wiesz.

Zachichotał, przyciągnął ją bliżej.

– Rzeczywiście, nie było tak źle jak na próbę.

– Próbę? – powtórzyła przeciągle. – Co za świetny pomysł.

– Prawda? – Z uśmiechem przesunął dłonie w górę, aż objął duże, ciężkie piersi. W jej ciele wszystko było drobne, miniaturowe z wyjątkiem biustu. Podejrzał, że to implanty, było jednak zbyt ciemno, by stwierdzić, czy ma blizny pooperacyjne.

Ciemność w sypialni rozjaśniała jedynie jasna smuga wpadająca przez uchylone drzwi z salonu. W przytłumionym świetle piersi dziewczyny lśniły blado, przykuwały uwagę.

– Czy na pewno jesteś w stanie to zrobić? – zapytała kpiąco i otarła się o niego uwodzicielsko.

– Wierc się tak dalej, a zaraz przystąpimy do kolejnego ujęcia.

– Może tym razem – odnalazła jego sztywniejący członek – będziemy kręcić od góry.

– Doskonały pomysł – mruknął.

W następnej chwili przymknięte dotąd drzwi stanęły otworem. Pokój zalało ostre światło. Lucas gwałtownie zepchnął z siebie blondynkę i uniósł się na łokciu, wpatrzony w postać w progu.

– Kto do cholery... – zaczął, ale wystarczył jeden rzut oka na rozwianą blond czuprynę i długie nogi w skórzanej mini, by wiedział, z kim ma do czynienia, zanim jeszcze usłyszał słynny ochrypły głos.

– Ty sukinsynu! Kochałam cię, a ty mnie wykorzystałeś! – Światło odbiło się w metalu. Zobaczył broń w jej dłoniach. Celowała w niego! – Nigdy więcej, Luke. Nigdy.

Zaraz strzeli. Strach napęlił jego żyły adrenaliną. Nie zastanawiając się, wyrwał poduszkę spod głowy i cisnął z całej siły. Pistolet wypalił z głośnym hukiem. Blondynka zaczęła wrzeszczeć. Lucas rzucił się na Rinę Cole.

Zanim zdążyła ponownie wycelować, wykręcił jej nadgarstki i wytrącił broń z ręki. Kopnął pistolet w jak najdalszy kąt pokoju. Rina nie poniechała ataku, wpiła się w niego długimi paznokciami, obrzucała obelgami.

Starał się ją poskromić.

– Zadzwoń po pomoc, do jasnej cholery! – krzyknął do ciągle wrzeszczącej blondynki.

Szlochając cicho, ściągnęła z łóżka prześcieradło. Usiłowała osłonić nim nagość. Drżącymi dłońmi podniosła słuchawkę.

– Halo? Centrala? Proszę nam pomóc! Ona chciała nas zabić!

## **Rozdział pierwszy**

Dzwonek telefonu wyrwał Delaney Wescott z głębokiego snu. Przewróciła się na bok, szczerzej otulając się kołdrą. Po dłuższej chwili uniosła głowę, obrzuciła nieprzytomnym spojrzeniem sypialnię sześciopokojowego domu, ukrytego w jednym z wielu kanionów gór Santa Monica, nad Malibu.

Lekki wietrzyk kołysał białymi firankami w oknie. Przez szyby wpadało światło księżyca w pełni, oświetlało skłębioną pościel – Delaney jak zwykle niespokojnie kręciła się we śnie.

Telefon nie przestawał dzwonić. W nocy brzmiał wyjątkowo głośno, drażnił nerwy jak szok elektryczny. Kiedy wyciągała rękę po słuchawkę, potężny wilczur, który spał obok niej w małżeńskim łóżu, warknął ostrzegawczo.

– Zamknij się, Ollie. Wcale cię nie przy dusiłam – burknęła. Przewróciła na swoją połowę łóżka ze słuchawką w dłoni. Odgarnęła długie, potargane włosy z ucha. – Halo?

– Delaney? Tu Arthur.

– Arthur. – Od razu rozpoznała charakterystyczny baryton dawnego kolegi z pracy, Arthura Goldena. Podobnie jak ona, kilka lat temu odszedł z kancelarii prawniczej Jennings, Wade & Miński i założył własną firmę. Rzuciła okiem na budzik na stoliku nocnym. – Jest trzecia nad ranem, wiesz o tym?

– W Nowym Jorku jest szósta. Zapewniam cię, nie jest to moja ulubiona pora dnia, lecz nieszczęścia rzadko przychodzą w odpowiedniej chwili. Delaney, mamy tu piekło na ziemi. Potrzebuję cię w Nowym Jorku jak najszybciej.

Było powszechnie wiadomo, że Arthur Golden bywa równie dramatyczny jak aktorzy, których interesy reprezentował. Dla niego skarpetki nie do pary mogły się okazać życiową tragedią. Jednak jakaś nutka w jego głosie, ledwo słyszalny niepokój kazały Delaney potraktować go poważnie.

– Co się stało?

– Pytasz, co się stało? Zaraz ci powiem: ta wariatka usiłowała zabić mojego najlepszego klienta.

Z tego co wiedziała, Arthur reprezentował tylko jedną osobę ze świata rozrywki, która zasługiwała na miano gwiazdy – Lucasa Wayne'a. Przed zaledwie pięciu laty Lucas zdobył szturmem listy przebojów piosenką „Darlin’, Do Me”. W błyskawicznym tempie otrzymał dwie

platynowe płyty. Dwa lata później przystojny, ciemnowłosy piosenkarz zadebiutował na ekranie kinowym z doskonałym zresztą skutkiem, co się nader rzadko zdarza. Partnerował starzejącej się gwiazdzie muzyki pop, Rinie Cole, z którą podobno miał romans. Jego drugi film pobił w minione święta Bożego Narodzenia wszelkie rekordy popularności, rozwiewając jakiegokolwiek wątpliwości co do jego talentu. Delaney jak przez mgłę przypomniała sobie, co niedawno czytała: Lucas Wayne kręci w Nowym Jorku następny film.

– Czy się nie mylę, zakładając, że masz na myśli Lucasa Wayne’ a? – zapytała.

– Nie, nie mylisz się.

– Więc co się dokładnie stało? – Nagle oprzytomniała. Usiadła na łóżku, odruchowo otulając się prześcieradłem. Sypiała nago. Nie, żeby była sybarytką. Ten zwyczaj miał o wiele bardziej prozaiczne przyczyny: kładła się do łóżka, żeby spać, a nie walczyć z koszulą nocną czy wypływać się z piżamy, która krępowała ruchy. – Kto chciał go zabić? Gdzie? Kiedy?

– Rina Cole. – Wypowiedział nazwisko powoli, wyraźnie; jego głos ociekał jadem. – Dzisiejszej nocy wdarła się do apartamentu Lucasa w hotelu Carlyle. Zastała go w łóżku z aktoreczką, Victorią czy Tory jakąś tam. – Zamilkł na chwilę. – Boże drogi, Delaney, ilekroć pomyślę, co by było, gdyby Lucas nie zauważył broni, zanim zaczęła strzelać... – urwał. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie było niedowierzanie. – Cisnął w nią poduszką, Delaney. Poduszką!

– Czy ktoś jest ranny?

– Na szczęście nie. Lucas ma kilka zadrapań na ramieniu, pamiątkę po Rinie, kiedy usiłował zabrać jej broń, ale to wszystko.

– Wezwano policję?

– Tak, zrobiła to straż hotelowa. Nie mieli wyboru. Rinie kompletnie odbiło. Wrzeszczała, gryzła, drapała, kiedy ją zabierali. Zamiast na komisariat, moim zdaniem, powinni byli zawieźć ją do Bellevue, do szpitala dla świrów. Jest oskarżona o naruszanie spokoju, napad z bronią w rękę, dwie próby zabójstwa i stawianie oporu funkcjonariuszom. Oboje wiemy, że wystarczy jeden telefon i wyjdzie za kaucją. Nie ma szans, żeby została pod kluczem.

Delaney bez słów przyznała mu rację.

– A Lucas? Gdzie on jest teraz?

– U mnie, na Park Avenue. On i ta aktoreczką. Uznałem, że tu będą bezpieczniejsi niż w Carlyle.

– Słusznie. – Pocierała skronie, czując narastające napięcie. – A czy masz u siebie jakąś ochronę?

– Dwóch strażników przy recepcji. Po północy do windy można się dostać jedynie za pomocą klucza. Przed moimi drzwiami postawili teraz policjanta, ale wiesz, jak to jest. Nie będą go tu wiecznie trzymać.

– Wiem. – Skinęła głową. – Właśnie dlatego nie jestem bezrobotna.  
– I właśnie dlatego do ciebie dzwonię – wpadł jej w słowo. – Przyjeżdżaj jak najszybciej.  
– Wsiadam w następny samolot. – Już sporządzała listę spraw, które musi załatwić przed wyjazdem na lotnisko. Starła się przy tym nie myśleć o zarwanej nocy.

– Liczę na ciebie.

– Tymczasem wystąpił z wnioskiem przeciwko Rinie Cole o zakaz zbliżania się. – Dawało to co prawda marną ochronę, lecz stanowiło podstawę prawną, dzięki której będą mogli trzymać ją z dala od Lucasa. Arthur zaakceptował plan, pożegnał się i skończył rozmowę.

Zapaliła boczną lampkę. Nie odkładała słuchawki. Szybko wystukała numer, znała go na pamięć. Po siódmym dzwonku usłyszała zaspany męski głos:

– O co chodzi?

Uśmiechnęła się.

– Do roboty, kolego. Wielkie Jabłko na nas czeka.

W słuchawce zapanowała cisza.

– To ty, Delaney? – zapytano w końcu obrażonym tonem, po czym rozległ się rozpaczliwy jęk. – Czy zdajesz sobie sprawę, że jest dwadzieścia po trzeciej?

– Riley, przepraszam, że cię budzę w środku nocy, ale...

– Taak, słyszę, jak bardzo ci przykro. – Riley Owens ziewnął potężnie. – Więc co jest takiego w Wielkim Jabłku, oprócz masy robaków, ma się rozumieć?

Streściła mu rozmowę z Arthurem.

– Rina Cole? – Po senności Riley'a nie został nawet ślad. – Chyba nie chcesz nas władować w jakieś gwiazdorskie rozgrywki dla reklamy, co?

Przyszło jej to również na myśl, ale szybko uznała to za pozbawione sensu.

– Arthur był zdenerwowany. A on jest prawnikiem, Riley, a nie aktorem. Ona naprawdę miała złe zamiary.

– Wszyscy prawnicy to aktorzy. – Upierał się dla zasady, ale zaczął traktować jej słowa poważnie.

– Jeśli dobrze pamiętam, jest jakiś samolot do Nowego Jorku koło piątej czy szóstej. Zadzwoń na lotnisko, dowiedz się szczegółów, zarezerwuj nam miejsca..

– Pierwszą klasę?

– Chyba w twoich marzeniach, Riley – odcięła się kpiąco.

– Zawsze warto spróbować.

– Daj znać, o której lecimy. I postaraj się dowiedzieć jak najwięcej o Rinie Cole.

– Nie ma sprawy. Wiem o niej wszystko. Ba, nawet mam jej płyty.

– Naprawdę? – Nie mogła w to uwierzyć. Nigdy nie przypuszczała, aby upodobania muzyczne Riley'a oscylowały wokół Riny Cole. Wyobrażała go sobie słuchającego jazzu, czegoś

łagodnego, spokojnego, z gitarowymi solówkami.

– Naprawdę. Należę do jej najwierniejszych fanów.

– Coś takiego. Nie wiedziałam, że ją lubisz.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz, Delaney – odparł. – Na przykład tego, że nie lubię Nowego Jorku w lipcu. A ty?

– Nie powiesz mi chyba, że lubisz stare piosenki?

– Freda Astaire’a.

Pokręciła głowę.

– Do zobaczenia na lotnisku.

– Na razie. – Riley zachichotał.

Odkładając słuchawkę, spojrzała na okrągły księżyc w oknie. Z westchnieniem poklepała wielkiego podpalanego wilczura.

– Kiedy jest pełnia, zawsze im odbija, co, Ollie?

Psisko uniosło jedną powiekę, spojrzało na nią uważnie i spało dalej. Jak zwykle, Ollie grał twardego, milczącego typa.

Delaney odrzuciła kołdrę, spuściła nogi na podłogę i podniosła z łóżka swoje pięć stóp i dziewięć cali. Skierowała się prosto do łazienki.

Odkręciła kran nad umywalką, wydusiła na szczoteczkę miętową pastę. Zanim umyła zęby, zerknęła w lustro. Zadumała się nad swoim odbiciem. Kwadratowa twarz, otoczona burzą ciężkich wijących się włosów koloru gorzkiej czekolady. Równie ciemne oczy, podobnie rzęsy i brwi. W wieku trzydziestu czterech lat była kobietą bardzo atrakcyjną, lecz sprawiała wrażenie osoby nie tyle pięknej, ile silnej i pewnej siebie.

Nieoczekiwanie powróciło wspomnienie dawno usłyszanych słów: „Idę o zakład, że w większości mężczyzn budzi pani strach i szacunek”.

Przez moment poczuła stare cierpienie, nieznośny ból z powodu utraconej miłości i doznanego zawodu.

Z wysiłkiem zepchnęła ponure wspomnienia na dno świadomości i energicznie zabrała się do szorowania zębów. Potem przysła kolej na szybki prysznic. Wytarła się ręcznikiem, narzuciła krótki szlafrok frotte i wróciła do sypialni.

Od razu podeszła do szafy, z której wyjęła przygotowaną wcześniej torbę podręczną. Zawierała kosmetyki, peniuar i kilka zmian ubrań.

Niecierpliwie przesunęła na bok biały strój do karate, żeby się dostać do podręcznej apteczki. Było w niej wszystko, co może się przydać w drodze i nie tylko: a więc plastry, środki przeciwbólowe, aspiryna, środek przeciw zatruciom, bandaż oraz łupki, podgłówek i wkład do pojemnika tlenowego z regulatorem i maską.

Słyszając znajomy stuk torby o podłogę, owczarek sennie podniósł łeb, powoli wstał, zlął

z łóżka, przeciągnął się leniwie. Przycupnął na krawędzi dywanika i obserwował, jak się jego pani pakuje.

– Wiesz, co będzie dalej, prawda, Ollie? – mruknęła odwrócona tyłem do niego.

Ubrania wisiały na wieszakach w gotowych zestawach, łącznie z dodatkami. Jej życiem od dawna rządziły systematyczność i porządek, zwłaszcza porządek.

Wspięła się na palce i ściągnęła z najwyższej półki walizkę z szarego tweedu. Z dna szafy wyjęła pokrowiec na ubrania z tego samego materiału i cisnęła na łóżko.

Nie zastanawiając się, wybrała z szafy kilka pasujących do siebie kompletów ubrań, dorzuciła parę butów na płaskim obcasie, ułożyła wszystko w pokrowcu i pociągnęła suwak. W ostatniej chwili dorzuciła płaszcz przeciwdeszczowy. Do torby podręcznej zapakowała jeszcze dwie zmiany bielizny. Następnie podeszła do komódki przy łóżku i otworzyła drugą szufladę.

Tam, starannie ukryty w skórzanej kaburze, spoczywał jej pistolet, kaliber trzydzieści osiem specjal, z trzycalowym bębenkiem i specjalnym celownikiem.

Wyjęła go z szuflady, wyciągnęła z kabury i rozładowała. Starannie omijała pamięcią jeden jedyny raz, kiedy była zmuszona strzelać. Wolała nie widzieć wyrazu twarzy śmiertelnie ranionego mężczyzny. Minęło siedem miesięcy, a nadal nie mogła o tym zapomnieć.

Od tamtej pory była sto razy bardziej czujna. Przysięgła sobie, że nigdy więcej nie dopuści do sytuacji, która zmuszałaby do użycia broni.

Umieściła naboje w pudełku i wszystko: kaburę, pistolet i amunicję położyła na samym wierzchu w torbie podręcznej.

Pół godziny po telefonie Rileya wypuściła psa do ogrodu i wstawiła torby do bagażnika.

W Los Angeles jesteś tym, czym jeździsz. Delaney zasiadła za kierownicą srebrnego mercedesa, którego kupiła sobie sześć lat temu, na otarcie łez. W oddali jaśniały światła Malibu Beach, a jeszcze dalej lśniła luna nad Miastem Aniołów.

Okrągły księżyc na niebie kojarzył się z gigantyczną żarówką. Jechała w stronę Pacific Coast Highway. Stamtąd na lotnisko było już blisko.

Czterdzieści minut przed planowanym odlotem weszła do terminalu lotniska LAX. Uważnie przeczesała wzrokiem podróżnych w kolejce do odprawy. Rileya Owensa nie było wśród nich.

Po chwili go zobaczyła – stał pod ścianą. Napotkawszy jej spojrzenie, podniósł zniszczoną skórzaną torbę i podeszedł bliżej.

W szarym garniturze i wzorzystym krawacie wyglądał jak przeciętny biznesmen w podróży, tyle że był przystojniejszy. Miał wyrazistą, pociągłą twarz, ogorzałą od słońca. Bruzdy na policzkach jedynie dodawały mu uroku. Gęste kasztanowe włosy bezładnie opadały na błękitne oczy, które w jednej chwili błyszczały radośnie, a w następnej stawały się lodowato zimne. Tylko ta ostatnia cecha pozwalała go sobie wyobrażać w poprzedniej pracy. Przez dziesięć lat pracował



w Secret Service, zanim go to całkiem znudziło.

Jak to kiedyś powiedział, miał dość monotonnego życia w oczekiwaniu na chwilę napięcia. Był człowiekiem, którego warto mieć u boku w razie niebezpieczeństwa. Pozował jednak na lenia i dowcipnisa, starannie ukrywając wrodzoną inteligencję i siłę.

Obserwując, jak do niej podchodzi, Delaney uświadomiła sobie, czym naprawdę dla niej był: klientem, mentorem, starszym bratem, najlepszym przyjacielem. Ale nie kochankiem. Nagle zastanowiła się, dlaczego tak sennie stało.

Zatrzymał się tuż przed nią. Prawie dorównywała mu wzrostem.

– Nie odebrałem biletów – oznajmił. – Domyślam się, że tyje masz.

– Mam – odpowiedziała, jednocześnie dając mu do zrozumienia, że zabrała ze sobą broń.

– W takim razie stajemy w kolejce, żeby odprawić bagaże i zadeklarować broń palną. – Zerknął na tłumek ludzi przy stanowisku.

– Dobra. – Delaney poszła przodem.

Po piętnastu minutach i załatwieniu wszelkich formalności Riley szedł do bramki.

– Chcesz rzucić okiem na informacje na temat Riny Cole? – Postawił teczkę na ziemi.

– Nie, zajmiemy się tym podczas lotu. – Położyła pokrowiec z ubraniami na sąsiednim fotelu. – Popilnuj tego, dobrze? – powiedziawszy to odeszła w stronę automatu telefonicznego.

Po drugim dzwonku w słuchawce zabrzmiało serdeczne:

– Dzień dobry.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie ojca po drugiej stronie linii. Wysoki, szczupły starszy pan. Miał siedemdziesiąt siedem lat, siwe jak gołąb włosy, tylko brwi farbował na czarno. Odziedziczyła po nim wzrost i rysy, jednak u ojca były one o wiele surowsze. Choć wyglądał bardzo groźnie, nie znała człowieka o łagodniejszym sercu.

– Cześć, tato.

– Delaney! – ucieszył się wyraźnie. – Jesteś na nogach tak wcześnie?

– Ty też.

– Jadę do studia. Dostałem rolę. Malutką, zaledwie sześć linijek tekstu. Gram narkotykowego bossa w ociekającym krwią filmie sensacyjnym, takim, jakie się ciągle pichci w dzisiejszych czasach. Zawsze grałem role facetów, których ludzie uwielbiają.

Gordon Wescott nie żałował ani jednego dnia z pięćdziesięciu lat, w których grał wyłącznie czarne charaktery. Największym jego osiągnięciem była opera mydlana, na której planie spędził dziewięć lat, póki nie uśmiercono kreowanej przez niego postaci. Stało się to jednak już po tym, jak Delaney skończyła prawo.

– Załatwiłem nawet małą rolę dla Eddi.

Miał na myśli Edwinę Taylor-Brown, pięćdziesięciodwuletnią aktorkę, której, żeby użyć jego

określenia, dotrzymywał towarzystwa.

– To świetnie, tato.

– No pewnie. Tym sposobem Eddi ma załatwione ubezpieczenie związkowe na następne półtora roku. Nam, starym aktorom, niełatwo o pracę. I cholernie trudno znaleźć ubezpieczenie, na które byłoby nas stać.

– Wiem. – Urwała, bo przez megafony wezwano pasażerów jej lotu do wejścia do samolotu.

– Co to było, Delaney? Gdzie jesteś?

– Na lotnisku, zaraz lecę do Nowego Jorku. Chciałam cię prosić, żebyś się zajął domem, dopóki nie wrócę.

– Z przyjemnością, pod warunkiem, że ten pies nie będzie spał ze mną w jednym łóżku.

– Dlaczego? – przekomarzała się. – Przecież Ollie nie chrapie.

– Ollie! – zachnął się z niesmakiem. – Co to za imię? Owczarek niemiecki powinien się nazywać King albo Baron, mieć jakieś godne, majestatyczne imię.

– Ollie bardzo do niego pasuje.

– Po co wybierasz się do Nowego Jorku? – zapytał, po czym zgadł, nie czekając na odpowiedź. – Zadzwonili po ciebie w związku z tą sprawą z Lucasem Wayne'em.

– Tak. Skąd wiesz?

– Słyszałem o tym w radiu przy goleniu. A więc będziesz ochraniała Lucasa Wayne'a. Wiesz, tysiące kobiet oddałyby wszystko, żeby być na twoim miejscu. – Zachichotał. – Eddi mówi, że jest bardzo seksowny.

– Tato, to klient. Nie pozwolę sobie na jakiegokolwiek osobiste zaangażowanie. Już kiedyś popełniłam ten błąd i patrz, co mi z tego przyszło. – Mimowolnie zacisnęła dłoń na słuchawce. Jego bezmyślna uwaga przywołała stare wspomnienia.

– Przepraszam, Delaney. Nie chciałem...

– Wiem, że nie chciałeś.

Westchnął głośno do słuchawki.

– Strzeliłem niezłą gafę, co? A chciałem tylko wcielić się w rolę zatroskanego ojca. Pragnę, abyś w końcu spotkała mężczyznę swojego życia.

– Wiem. – Starła się odpowiadać lekko, beztrusko. – Niestety, na razie spotykałam wrednych, głupich i żonatych.

– Taak. – W jego głosie był jakiś smutek. – Szkoda tego żonatego. Lubiłem go.

Delaney celowo zmieniła temat:

– Słuchaj tato, jeszcze jedno: jeśli zaprosisz koleżków na partyjkę pokera, nie pozwól im gasić papierosów w doniczkach. Moje afrykańskie fiołki jeszcze nie odżyły po ostatnim razie.

– W całym domu poustawiam popielniczki, obiecuję.

Przez głośniki ponownie wezwano pasażerów do Nowego Jorku.

– Na mnie już czas, tato. Muszę iść. Pamiętaj, jeśli zapomnisz albo zgubisz klucze, zapasowy komplet jest w budzie Olliego.

– Dobrze, dobrze. Bezpiecznego lotu.

– Dzięki. Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też, skarbie.

Po skończonej rozmowie jeszcze przez chwilę gładziła słuchawkę. Potem energicznym krokiem wróciła do poczekalni.

Na jej widok Riley poderwał się z miejsca. Żaden szczegół nie uszedł jego uwagi: ani wrażenie chłodu i opanowania, jakie sprawiała na pierwszy rzut oka, ani miękkie, kuszące wygięcie jej pełnych ust, które zwodziło jego myśli na zupełnie inne tory. Miała silnie zarysowane kości policzkowe, które przypominały mu pewną irlandzką dziewczynę.

Jak zawsze poczuł przyływ pożądania na jej widok. Znał Delaney od siedmiu lat, od sześciu był w niej zakochany. Problem w tym, że nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Wybrał sobie najgorszy możliwy moment na zakochanie się w niej. Akurat wtedy gdy zdał sobie sprawę ze swoich uczuć, Delaney straciła głowę dla innego.

Tamten związek zakończył się gwałtownie. Miała złamane serce i odniosła wiele ran. Od tamtej pory Riley czekał, aż się zablizną.

Cierpliwość zawsze leżała w jego naturze, lecz Delaney stale wystawiała ją na próbę.

Nie okazał jednak nic po sobie, kiedy do niego podeszła.

– Co u ojca? – zapytał.

– W porządku. – Podniosła swoją torbę. – Gotów do drogi?

W odpowiedzi wyjął z kieszeni bilet i kartę pokładową.

– Nowy Jorku, szykuj się.

## Rozdział drugi

Delaney przemierzała pokład samolotu szybkim krokiem, aż doszła do ich miejsc. – Możesz usiąść przy oknie, Riley. – Przepuściła go przodem, położyła torebkę na siedzeniu, wsadziła torbę podrózną do schowka na bagaże. Po chwili namysłu zdjęła żakiet od kostiumu w prążki i również położyła go na górze.

– Niezły kostium – zauważył Riley.

Z ukosa posłała mu zdumione spojrzenie.

– Komplement z twoich ust? To rzadkie wydarzenie.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Wiem. Czasami zadziwiam sam siebie.

– Z całą pewnością. – Wyjęła z torebki opasły notes.

– Ale nadal uważam, że masz niezły kostium.

– Biorąc pod uwagę długi lot, wydawał się najrozsądniejszym strojem na podróż – wyjaśniła automatycznie. Dostrzegła, że przejściem między fotelami idzie w ich stronę stewardesa.

– Przepraszam bardzo, czy na pokładzie jest aparat telefoniczny, z którego będę mogła skorzystać po starcie?

– Tak, proszę pani.

– Dziękuję bardzo.

Riley ściągnął brwi.

– Do kogo znowu chcesz dzwonić?

– Do Glendy. Ale nie martw się, wytrzymam do dziewiątej, dopóki nie przyjdzie do biura. Muszę jej dać znać, gdzie się zatrzymam poza tym trzeba odwołać wszystkie zaplanowane spotkania. – Delaney błyskawicznie rejestrowała kolejne sprawy, które przychodziły jej do głowy. – Zadzwoń też do Franka. Będzie musiał zająć się obscenicznymi telefonami do Margo Connors.

– Jego żona chyba cię polubi – mruknął złośliwie Riley.

– Już mnie lubi – odcięła się.

– A nie mówiłem?

– Naprawdę. Ciągłe przynosi specjalnie dla mnie czekoladowe ciasteczka domowej roboty.

– Robi to tylko po to, żeby cię utuczyć. Zresztą, wcale się jej nie dziwię – dodał po chwili z przebiegłą miną. – Trochę mięsa na tych kościach wcale by nie zaszkodziło.

Delaney oderwała się od notatek. Podniosła głowę.

– Powinam była podziękować ci grzecznie za komplement i trzymać buzię na kłódkę, prawda?

– Owszem. – Nie przestawał się złośliwie uśmiechać.

– Nie pojmuję, dlaczego zawsze daję się wciągnąć w te przekomarzania z tobą – stwierdziła zdziwiona. Głośno zatrzasnęła notes. – Może rzucimy okiem na twoje informacje o Rinie Cole?

Nadal uśmiechnięty, otworzył aktówkę i wręczył Delaney cienką tekturową teczkę. Otworzyła ją z ciekawości. Na samym wierzchu leżało duże błyszczące zdjęcie.

– Coś takiego! – Wpatrywała się w nie z niedowierzaniem. – Jakim cudem to zdobyłeś? – Dopiero kiedy przysunęła fotografię do oczu, zauważyła ledwo widoczny napis w lewym dolnym rogu. Zmrużyła oczy, żeby go odczytać: „Dla Rileya”. Spojrzała na niego z ukosa. – To twoje?

– Kilka lat temu poszedłem na jej koncert. Dała mi autograf. – Ponieważ Delaney nadal wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, przypomniał jej: – Przecież ci mówiłem, że jestem jej fanem.

– Tak, ale mimo wszystko nie mogę sobie ciebie wyobrazić, jak prosisz o autograf. – Ponownie zajęła się zdjęciem. Tym razem odcyfrowała cały napis wykonany srebrnym atramentem: „Dla Rileya, *Calusy*, Rina Cole”. – Zerknęła na niego z ukosa. – Mam nadzieję, że jej poradziłeś, żeby nie używała słów „całusy”, „uściski” i podobnych do nich?

Była to jedna z pierwszych rzeczy, które mówili swoim klientom ze świata rozrywki. Chcieli w ten sposób wykluczyć możliwość, że jakiś niezrównoważony psychicznie wielbiciel weźmie te słowa dosłownie.

– Jakby ci to powiedzieć... Nie.

– Riley! – Nie mieściło się jej to w głowie.

– Właściwie dlaczego miałbym to robić? Chciałem, żeby tak podpisała dla mnie zdjęcie.

– To nieistotne. Ona...

– Za to powiedziałem jej menedżerowi – nie dał jej dokończyć. Kiedy się nie uśmiechnęła, trącił ją łokciem. – Głowa do góry, Delaney. Jesteś za poważna.

– Cóż, jedno z nas musi – mruknęła. Ponownie pochyliła się nad dokumentami.

W porządku, jak chcesz. – Wzruszył ramionami i pokrótce opowiedział jej o Rinie Cole. – Nie wiadomo dokładnie, ile ma lat. Jedne źródła podają trzydzieści osiem, inne czterdzieści trzy. Osobiście stawiam na czterdzieści trzy. Bez względu na to jednak, ile ma naprawdę lat, nadal pozostała cholernie atrakcyjną, pociągającą kobietą.

Delaney zwróciła uwagę na to, że Riley nie użył słowa „piękna”. Bo też twarzy na fotografii daleko było do piękności: za długi nos, szarozielone oczy zbyt blisko osadzone, szerokie i pełne usta, niemal wulgarne w swojej zmysłowości. Gęste błyszczące włosy powiewały jak na wietrze. Nietrudno było nazwać Rinę Cole pięknością. Była po prostu ucieleśnieniem seksu, który emanował z niej otwarcie, bez osłonek.

Wrażenie było piorunujące. Delaney poczuła, że się zarumieniła, a przecież tylko patrzyła na zdjęcie. Przypomniała sobie, jak kiedyś oglądała telewizyjny występ piosenkarki. Pamiętała jej rozkołysany krok na scenie, strój, który był rzeczą raczej umowną, jako że właściwie prawie go

nie było, wyzywającą pozę: biodra wysunięte do przodu, ramiona ściągnięte w tył, uda rozchylone w jednoznacznie erotycznym geście. Po jej twarzy spływał pot, ale to tylko potęgowało wrażenie, że jest kobietą gorącej krwi. A w oczach jej był wszystkowiedzący błysk, który zdawał się mówić „wszystko jest możliwe”. Na ustach miała kpiący uśmieszek; ilekroć przesuwiała po pełnych wargach językiem wydawało się, że kryje się w nim pytanie: na co czekasz? Zróbmy to natychmiast.

Rina Cole nie przypominała żadnej innej kobiety ze świata rozrywki, czy to jej współczesnej, czy z dawnych lat. Nie miała kuszących kształtów i zawołowanej sugestywności Mae West, żartobliwej szorstkości Cher, chłodu niegrzecznej dziewczynki jak Madonna ani złośliwej agresji jak Tina Turner. Nie miała w sobie żadnej z tych cech. Była ucieleśnieniem seksu w jego najczystszej formie.

Nie wyczuwało się w niej jednak zła. Delaney zmarszczyła czoło. Spodziewała się, że odniesie takie wrażenie. Seks to jednak część naturalnego porządku świata, a Natura jest amoralna. W jej świecie nie ma dobra ani zła; liczy się przetrwanie, a seks jest podstawą przetrwania gatunku.

– Nieźle zakonserwowana, co? – zauważył Riley.

Delaney odparła bez namysłu:

– Seks jest wieczny.

Nie zdążył skomentować, bo stewardesa poleciła zapiąć pasy. Delaney zerknęła w okno. Samolot powoli nabierał szybkości na pasie startowym. Odłożyła folder na bok, by zapiąć pas. Po chwili ponownie zajęła się dokumentacją. Zdjęcie wsunęła pod spód.

– Co wiesz o jej pochodzeniu? O dzieciństwie? – Nie miała ochoty słuchać stewardesy, która tłumaczyła, jak w razie niebezpieczeństwa opuścić samolot, używać maski tlenowej i nadmuchać kamizelkę ratunkową.

– Biedota. Biedota z St. Louis. Jeśli nigdy nie byłeś w ubogich dzielnicach tego miasta, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, o czym mówię.

– Chyba nie – mruknęła pod nosem.

Rzadko wspomina dzieciństwo i młodość, ale wiem, że przyszła na świat jako Irene Jackson. Była nieślubnym dzieckiem kobiety żyjącej z pomocy społecznej. Matka sprowadzała do domu coraz to nowych kochanków... – uniósł głos, żeby przekrzyczeć warkot silnika. – Prawdopodobnie źle ją traktowano. Może była bita, może wykorzystywali ją seksualnie, nie wiem. W każdym razie, uciekła z domu mając piętnaście lat. Związała się z muzykiem rockowym nazwiskiem Jason Cole.

– Wyszła za niego, prawda? – Delaney poprawiła się na fotelu.

Riley skinął głową.

– W tydzień po podpisaniu pierwszego kontraktu płytowego, została panią Cole. Siedem

miesiący później po raz pierwszy jej piosenka znalazła się na pierwszym miejscu listy przebojów.

– Z tych dokumentów wynika, że czterokrotnie wychodziła za mąż.

– Tak jest. Wszyscy jej eksmałżonkowie są w taki czy inny sposób związani z przemysłem rozrywkowym.

– Nie ma dzieci? – spojrzała na niego, żeby się upewnić.

– Nie. Czy to jej wybór, nie wiadomo. Ilekroć ją o to pytano, odpowiadała, że jej dzieckiem jest kariera, w co jestem skłonny uwierzyć.

– Jeśli jest podobna do innych gwiazd estrady, potrzebuje uznania widowni. – Bardzo często potrzeba uznania okazywała się silniejsza niż instynkt rodzicielski, pomyślała Denaley.

– Potrzebuje? Ona tym żyje – poprawił Riley.

– Przez pewien czas była gwiazdą pierwszej wielkości – zauważyła Delaney.

– Prawie dziesięć lat. Potem stała się dodatkiem do występów w Las Vegas, śpiewała swoje stare przeboje dla emerytów z Omaha i Nebraski. I wtedy zainteresował się nią pewien producent z Broadwayu. Musical „Grzesznicy i Święci” od dnia premiery był nagradzany owacjami na stojąco. Rok później w Hollywood nakręciła filmową wersję. I z podupadłej gwiazdy rocka stała się wschodzącą gwiazdą kina. Potem zagrała w wielu obrazach, większość z nich, niestety, nie zasługuje na to, by o nich pamiętać.

– Zwłaszcza o tym, do którego sama napisała scenariusz, sama go reżyserowała i produkowała. Zaraz, jak to się nazywało? „Gorące rytmy”? Jak długo trwała produkcja, trzy lata? I przekroczyła budżet o, Bóg wie, ile milionów dolarów?

Riley pośpieszył na pomoc ulubionej aktorce.

– Chciała mieć nad wszystkim kontrolę i zajęła się zbyt wieloma sprawami naraz. Moim zdaniem, właśnie wtedy zaczęła za często sięgać po różne tabletki.

– Narkomanka? – Ze zmarszczonymi brwiami Delaney ponownie przejrzała materiał. – Nie ma tu ani słowa na ten temat.

– Naprawdę? – Pochylił się, zerknął jej przez ramię. Denaley poczuła zapach jego wody po goleniu, upojnej mieszanki przypraw i piżma.

– Powinno być. Mniej więcej pięć lat temu żyła na środkach to pobudzających, to uspokajających i dosłownie tarzała się w kokainie. Sama zgłosiła się do kliniki Betty Ford i przeszła odwyk. Rzeczywiście, wtedy nie było o tym zbyt głośno, ale...

– Jak myślisz, znowu zaczęła brać? – Delaney zastanawiała się głośno.

– Chodzi ci o tę sprawę z Lucasem Wayne’em, tak? – uściślił, po czym odpowiedział: – Sam nie wiem. To rzeczywiście brzmi jak scenariusz kiepskiego romansu: kochała go, a on ją skrzywdził. Zbrodnia z namiętności.

– W tym wypadku, cudzej namiętności. – Delaney pomyślała o aktorce, która była w łóżku z Lucasem Wayne’em. W każdym razie, to się wydaje zbyt proste. W tych dokumentach nie ma

nic, co sugerowałoby, że w przeszłości...

– ...używała przemocy. – Riley wpadł jej w słowo.

– Tak.

– Niejeden paparazzo z rozwalonym aparatem fotograficznym nie zgodziłby się z tobą, podobnie jak agent, który przez tydzień chodził z podbitym okiem, i jeden z byłych mężów, który popełnił błąd chcąc się przyznać przed sądem, że podnosił rękę na żonę i wylądował w szpitalu z nożyczkami w ramieniu.

– W aktach nie ma najmniejszej wzmianki o tym wszystkim – zaprotestowała, zła, że pominął tak istotne fakty.

– Nie miałem czasu, żeby wszystko spisać. Trochę się spieszyłem – przypomniał jej delikatnie.

– W porządku, ale takie informacje powinny się znaleźć w tej teczce w pierwszej kolejności. A co by było, gdybyś w drodze na lotnisko miał wypadek?

– Gdybym miał wypadek, nie wiedziałabyś niczego. Leciłabyś w ciemno. Ale... masz rację. Te informacje powinny być się tu znaleźć na pierwszym miejscu. – Przyznał i posłał jej ironiczny uśmiešek. – Wygląda na to, że uczeń wreszcie przerósł mistrza.

Jej gniew znikł bez śladu, zastąpiła go dziwna nieśmiałość.

– Może to dlatego, że... – zawahała się. – Uczeń miał prawdziwego mistrza za nauczyciela.

Riley przyłożył dłoń do ucha i nachylił się bliżej:

– Głośniej, jeśli można.

– Powiedziałam, że miałam dobrego nauczyciela. Tylko niech ci to nie uderzy do głowy – upomniała. Znowu czuła się doskonale w jego towarzystwie.

– Właśnie mi się wydawało, że coś takiego powiedziałaś. – Uśmiechnął się. – Więc... co jeszcze chcesz wiedzieć o Rinie Cole?

– A co jeszcze powinnam o niej wiedzieć? – odcięła się.

– Tylko oczywisty fakt: Lucas Wayne zmierza na szczyt, Rina schodzi w dół. Należy jej raczej współczuć niż się obawiać.

Skinęła głową.

– W desperacji i w czynach, do których ta desperacja doprowadza ludzi, jest coś żalnego, nie sądzisz?

– Taak. – Zawahał się. – Będę z tobą szczerzy, Delaney. Moim zdaniem, lecimy do Nowego Jorku pilnować stajni, z której wyprowadzono wszystkie konie.

– Masz rację, chociaż, dopóki nie znajdziemy się na miejscu, nie będziemy w stanie dokładnie ocenić sytuacji. A skoro rozmawiamy szczerze, nie wolno nam pominąć kilku faktów: po pierwsze, w tej chwili Lucas Wayne jest najpopularniejszym aktorem w Stanach, po drugie, zamach na jego życie skupi na nim jeszcze większą uwagę mediów; po trzecie, firma, która zadba



o jego bezpieczeństwo, nieważne czy to konieczne, czy nie, również znajdzie się w świetle reflektorów. Takiej reklamy Wescott & Associates nie kupi za żadne pieniądze.

– Firma miała wystarczająco dużo darmowej reklamy, kiedy trafiliśmy na pierwsze strony gazet siedem miesięcy temu, po strzelaninie.

Wiedziała, że Riley bacznie obserwuje jej reakcję, więc starannie unikała jego wzroku.

– Nie takiej reklamy chcę dla firmy.

– Nikt nie chce – zgodził się. – Jak sobie z tym radzisz?

– Dużo lepiej. – Udało jej się przywołać uśmiech na usta. – Bardzo mi pomógł terapeuta, którego poleciłeś. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nigdy o tym nie myślę, ale... – nie dokończyła.

Riley potwierdził ruchem głowy.

– Bardzo dużo o tym myślałem. I doszedłem do wniosku, że w żaden sposób nie mogliśmy przewidzieć takiego rozwoju wypadków. Byliśmy przygotowani najlepiej, jak można było.

– Wiem.

– Jedyne błęd, który popełniłaś, polegał na tym, że zareagowałaś zbyt wolno. Facet zdążył oddać dwa strzały, zanim nacisnęłaś spust. – Doskonale pamiętał strach i uczucie bezradności, kiedy zdał sobie sprawę, że nie może strzelać, bo spanikowani przechodnie blokują mu drogę. Po drugim strzale był pewien, że Delaney jest ranna. Tamta noc do dziś powracała w koszmarnych snach.

– Musiałam się upewnić, że mam wolną linię strzału – Delaney broniła się. – Strzał zbyt szybki jest równie niebezpieczny jak zbyt wolny.

– To prawda.

– W każdym razie, z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że szanse podobnego wypadku są minimalne. W Europie czy na Bliskim Wschodzie byłoby inaczej, ale, na szczęście, jesteśmy w Stanach.

– Nie polegaj za bardzo na rachunku prawdopodobieństwa – ostrzegł. – Jeśli ponownie znajdziesz się w takiej sytuacji, nie wolno ci się wahać.

– Wiem.

Przy fotelu Delaney zatrzymała się stewardesa z wózkiem ze śniadaniem.

– Czego się państwo napiją? – Podała obojgu kartonik z sokiem pomarańczowym i tackę z dwoma zgniecionymi rogalikami.

– Proszę kawę. – Delaney opuściła swój stolik. – Czarną.

– A dla mnie ze śmietanką i cukrem – dodał Riley.

Stewardesa podała im dwa styropianowe kubeczki i plastikową łyżeczkę dla Rileya, opakowanie śmietanki w proszku i dwie torebki cukru.

– Pomyśl tylko – upił łyk kawy. – W pierwszej klasie piliśmy kawę z prawdziwych

filiżanek i jedli...

– ...coś równie sztucznego w smaku.

– No dobrze, ale za to ile mielibyśmy miejsca na nogi! – zakończył tęsknie.

Tu zabrakło jej kontrargumentów, zwłaszcza że mężczyzna przed nią wybrał właśnie ten moment, żeby odchylić swój fotel do tyłu, przy czym walnął ją w kolana i o mały włos nie rozlał kawy. Z trudem puściła mimo uszu chichot Riley'a. Otworzyła notes, żeby zapisać dalsze instrukcje dla Glendy.

Riley obserwował ją ukradkiem. Jego uwagę przykuł mars na czole i groźnie zaciśnięte usta. Podczas ich pierwszego spotkania Delaney wydała mu się kobietą, która bez oporów nadziewa robaka na haczyk, a wieczorem godzinami przesiaduje w pachnącej kąpieli z pianą.

Ku wielkiemu żalowi, do dziś nie udało mu się stwierdzić, co z tych wyobrażeń jest prawdziwe, za to dowiedział się, że pije whisky bez mrugnięcia i używa niebezpiecznie kobiecych perfum.

Przez pierwsze lata ich współpracy, gdy łączyła ich nie zobowiązująca przyjaźń, emanowała energią i radością życia, której jej zazdrościł. Kilka razy dostała od losu prztyczka w nos, zawodowo i prywatnie, ale uporała się z wszystkim i nadal z optymizmem patrzyła w przyszłość. Sześć lat temu wszystko zmieniło się z dnia na dzień, kiedy zakończył się jej romans.

Już przedtem była ambitna, lecz nie w takim stopniu, bez całkowitego oddania pracy. Udało jej się oszukać innych i wmówić im, że zawsze taka była, ale nie jego. Znał ją, zbyt długo razem pracowali. Gorączkowa potrzeba sukcesu nie wynikała z wygórowanej ambicji czy rozbuchanego ego, jak twierdziła. Jej źródła były o wiele bardziej skomplikowane, wiązały się z koniecznością udowodnienia czegoś. A może miały zastąpić utraconą miłość.

Większość ludzi tego nie dostrzegała. Widzieli tylko spokój, który chronił ją jak tarcza. Delaney chowała się za nią, ukrywała uczucia, żeby jej nie zawiodły po raz drugi.

Obserwował jej twarz, nagłe miny, pojawiające się i znikające grymasy. Pracuje za ciężko, cały czas pracuje za ciężko.

– Odpocznij trochę, Delaney. Nie najlepiej wyglądasz.

– Coś takiego. – Nie podniosła głowy znad papierów. – Nie sądzisz chyba, że to z powodu wstania o trzeciej nad ranem, prawda?

– Nie o to mi chodzi. Jesteś wyczerpana. Za dużo pracujesz. Przydałyby ci się wakacje.

– Przecież byłam na urlopie. – Sięgnęła po sok pomarańczowy. – Pojechałam na dwa tygodnie do Puerto Vallarta, nie pamiętasz?

– Delaney, to było prawie trzy lata temu.

– Naprawdę?

– Owszem. Więc skoro wszystko planujesz tak starannie, pomyśl o kilku tygodniach wolnego dla siebie.

– Dobrze, zastanowię się nad tym. – Nawet mówiąc to zastanawiała się, co jeszcze ma przekazać sekretarce.

Riley nie odezwał się więcej.

Upłynęło dużo czasu, zanim zdała sobie sprawę z jego milczenia. Stewardesa zdążyła zabrać plastikowe opakowania po śniadaniu, na ekranie zaczęto wyświetlać film, gdy w końcu podniosła głowę znad notesu. Riley wyciągnął się na fotelu-jeśli przy jego wzroście i samolotowej ciasnocie w ogóle mogła być mowa o wyciągnięciu. Choć miał zamknięte oczy, wiedziała, że nie śpi.

Na jego ustach błąkał się mały uśmieszek.

– Co robisz? Marzysz o Rinie Cole?

– Nie. – Nie poruszył się. Twarz innej kobiety miał przed oczami, ale skłamał: – Wyobrażam sobie, że siedzę na pokładzie mojego jachtu, słońce grzeje w twarz, bryza od oceanu rozwiewa włosy, w ekspresie parzy się dobra kawa, a ja popijam świeży sok pomarańczowy. To jest życie dla mnie.

– Miałeś to wszystko, pamiętasz? I sam z tego zrezygnowałeś.

– Czasami, Delaney, tylko czasami, marzenia są lepsze od rzeczywistości.

Żadna odpowiedź nie przyszła jej do głowy. Zamiast tego odpięła pas i wstała.

– Zobaczmy, czy Glenda już dotarła do biura. – Niechący kopnęła go w nogę.

– Uważaj, kołyszysz pokładem.

– Przepraszam. – Z uśmiechem ruszyła do telefonu.

### Rozdział trzeci

Taksówkarz zjechał z lewego pasa i zatrzymał się na Park Avenue naprzeciwko domu, którego adres podała Delaney. Jakiś klakson roztrąbił się w proteście. Taksówkarz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Odwrócił się do nich, żeby przyjąć należność.

– Poproszę rachunek. – Delaney zapłaciła za przejazd, nie spuszczać z oczu Riley, który zdążył wysiąść z samochodu.

Kierowca, emigrant ze Środkowego Wschodu, schował banknoty i wręczył kwitek z taksometru. Delaney wepchnęła go do torebki. Po chwili wysiadła prosto do gorącego kotła, jakim w lipcu stawał się Manhattan. Ogromne przestrzenie asfaltu pochłaniały energię słoneczną, piekły w niej miasto. Już po chwili poczuła krople potu nad górną wargą.

Wzięła swoją torbę od Riley.

– Przypomnij mi, żebym ci podziękowała za genialny pomysł z klimatyzowaną taksówką.

– Nie omieszkam. – Przerzucił jej przez ramię pokrowiec z ubraniami.

Zmierzała do wysokiego budynku koloru kawy z mlekiem, odruchowo przeczesując wzrokiem tłumy pieszych na chodnikach. Dla każdego, kto miał cokolwiek wspólnego z ochroną, Nowy Jork był piekłem ciasnych uliczek, zakorkowanych skrzyżowań, chodników pełnych ludzi. A ponadto miasto było jednym wielkim wiecznym placem budowy. Nad takim otoczeniem nie sposób w jakikolwiek sposób zapanować. Wołała nie myśleć o kłopotach, z którymi im się przyjdzie zmierzyć. Ramię w ramię z Rileyem weszli do przestronnego holu.

– Nie ma dziennikarzy – zauważył. Rzeczywiście, przed budynkiem nie dostrzegli ani jednego reportera czy fotografa.

Błogosławieństwo losu, ale obawiam się, że nie potrwa długo. – Delaney skinęła głową barczystemu odźwiernemu. W holu bez wahania podeszła do strażnika przy recepcji. – Moje nazwisko Delaney Wescott. A to mój partner, Riley Owens.

– Carl Bettinger. – Siwowłosy strażnik pochylił się lekko. Delaney dała mu jakieś pięćdziesiąt lat. Wydawał się niegłupim, rozsądnym facetem w niezłej kondycji. – Pan Golden już państwa oczekuje. Mieszka na dwudziestym piętrze. Windy są po prawej stronie.

– Dziękujemy.

Ledwie nacisnęli guzik, a drzwi najbliższej windy otworzyły się z cichym szumem. Delaney weszła do środka, stanęła bliżej tylnej ściany, twarzą do drzwi, robiąc miejsce Rileyowi. Kiedy wybrał dwudzieste piętro, ruszyli w górę.

Delaney obserwowała rosnące numery pięter na wskaźniku. Na dwudziestym winda zatrzymała się, drzwi rozsunęły niemal bezszelestnie. Delaney zacisnęła dłonie na rączce torebki i wysiadła.

Zanim zadzwoniła do drzwi Arthura, odruchowo rozejrzała się po szerokim korytarzu,

zapamiętała, jaką trasę należy wybrać w razie pożaru, ile innych mieszkań mieści się na tym piętrze. Po chwili w drzwiach stanął Arthur, w garniturze od Armaniego z granatowego jedwabiu, z telefonem komórkowym przy uchu.

Widziała go zaledwie kilka razy, odkąd oboje odeszli z kancelarii prawniczej, w której się poznali. Arthur niewiele się zmienił. Zawsze nienagannie ubrany, ze starannie przyciętymi włosami, opalony – nie za bardzo, tyle tylko żeby jego regularne arystokratyczne rysy nabrały owej złotej kalifornijskiej karnacji. Po ubogim chłopaku z Kansas, którym kiedyś był, nie został najmniejszy ślad. Wręcz przeciwnie, wyglądał na człowieka wyrafinowanego i odnoszącego sukcesy. Arthur długo pracował nad tym wizerunkiem, lecz pasował on do niego idealnie.

Mruknął coś do telefonu i gestem zaprosił Delaney do środka. Dał znak, by poszli za nim. Znaleźli się w dalszej części mieszkania. Riley szedł o krok za Delaney.

Salon był urządzonej nowocześnie i modnie. Ze ścianami w odcieniu ecru ciekawie kontrastowała rdzawa kanapa i fotele. W oknach, zamiast zasłon, widniały żaluzje. Panorama Manhattanu zapierała dech w piersiach. Zdawało się, że ma w sobie coś z muzyki Gershwina.

Arthur skierował się do dobrze wyposażonego barku, zakrył dłonią mikrofon i uśmiechnął się do Delaney:

– Zaraz się wami zajmę – obiecał, i ponownie skupił się na rozmowie. Delaney rzuciła torbę na ziemię, a pokrowiec z ubraniami ostrożnie położyła na fotelu. Riley poszedł w jej ślady.

– To chyba bardzo ważny telefon – skomentował półgłosem.

– Z Arthurem nigdy nic nie wiadomo – odparła w ten sam sposób. – W firmie, w której razem pracowaliśmy, mówiło się, że słuchając Arthura nie sposób zgadnąć, czy negocjuje kontrakt stulecia czy rezerwuje stolik w restauracji. Już-już zaczynałeś wierzyć, że jednak restauracja, a on tryumfalnie obwieszczał szczegóły niewiarygodnej umowy, którą właśnie wynegocjował.

– Pozory mylą.

– Zwłaszcza w jego wypadku. Za całą tą otoczką bogactwa, za ciuchami od najlepszych projektantów kryje się wyjątkowo inteligentny facet.

Riley przyjrzał mu się z ukosa.

– Przebiegły?

Uśmiechnęła się lekko.

– Powiedzmy inaczej: nie jest człowiekiem, któremu etyka w czymkolwiek przeszkadza.

– W dzisiejszych czasach niewielu osobom przeszkadza – mruknął.

– Uważaj, twój cynizm wychodzi na jaw – zażartowała.

– A twój nie? – odciął się.

Nie zdążyła niczego wymyślić w odpowiedzi, bo Arthur skończył rozmawiać, odłożył telefon i zwrócił się do nich.

– Od razu przejdźmy do rzeczy, Delaney – zaczął. – Co musimy zrobić, żeby uchronić Lucasa Wayne’a przed tą wariatką?

Zanim zdążyła zapytać, czy wydano już nakaz zabraniający Rinie Cole przebywać w pobliżu Lucasa, do pokoju wpadła drobna blondynka w błękitnej jedwabnej koszuli nocnej.

– Słyszałam dzwonek do drzwi. Czy mój kierowca... – urwała na widok Riley’a i Delaney. Wyćwiczonym ruchem podniosła dłoń do gardła w geście zażenowania. – Przeszkodziłam wam. Bardzo przepraszam, Arthurze.

Jak zawsze przy kobietach, które miały nie więcej niż pięć stóp i dwa cale, Delaney poczuła się jak niezdarny wielkolud. Domyślała się, że za anielską buzią nieustannie pracuje chłodny, wyrachowany umysł. Nawet w takiej chwili blondynka zmierzyła Delaney i Riley’a zaciekawionym spojrzeniem. Starła się wyczuć, czy są ważni.

– Widzi pan... – posłała Rileyowi przepraszający uśmiech – już całą wieczność czekam na mój samochód. Dlatego, kiedy usłyszałam dzwonek, myślałam, że to mój kierowca...

– Zrozumiała pomyłka – przyznał Riley.

– To eksperci od ochrony osobistej. Ściągnąłem ich z drugiego końca kraju – wyjaśnił Arthur.

– Powinna była się domyślić. Arthur was oczekiwał – stwierdziła blondynka. Wyciągnęła do Riley’a szczupłą dłoń. – Tory Evans.

– Riley Owens.

– Delaney Wescott. – Delaney rozprostowała ramiona. Postanowiła, że w żadnym wypadku się nie pochyli. – Tej nocy była pani z panem Wayne’em, czy tak?

– Tak. – Wyznaniu towarzyszyło skromne przymknięcie oczu i rumieniec na policzkach. W tej chwili Delaney uznała, że sukces Tory Evans jest pewny jak dwa razy dwa: każdy, kto potrafi rumienić się na zawołanie, zrobi karierę. – To było okropne. Nigdy w życiu nie bałam się...

Dzwonek telefonu przerwał jej aktorski popis. Arthur podniósł słuchawkę.

– Tak? – Po chwili poinformował aktorkę: – Pani samochód czeka na dole, panno Evans.

– Dzięki Bogu! – Zaraz jednak opanowała entuzjazm i z niepokojem zerknęła na Riley’a. – Mogę stąd iść, prawda? Policjanci mówili, że nic mi nie grozi, że Rina nie chciała mnie zabić.

Riley uśmiechnął się dodając jej otuchy.

– Oczywiście. Nic pani nie grozi.

– Dziękuję. – Musnęła dłonią jego ramię. – Zostałabym, gdybym mogła w jakikolwiek sposób pomóc Lucasowi, ale obawiam się, że to by jedynie pogorszyło sytuację. – Przeniosła wzrok na Arthura. – Pożegnaj Lucasa ode mnie. Drzwi do jego pokoju były zamknięte, a nie chciałam go budzić. I poproś, żeby do mnie zadzwonił, dobrze?

Arthur uśmiechnął się tylko, co przyjęła za odpowiedź twierdzącą. Kiedy zamknęły się za nią

drzwi, skrzywił się cynicznie.

– W nocy zrobiłaby wszystko, byle tylko jej nazwisko nie znalazło się w gazetach, bo nie chciała stracić opinii niewinnego dziewczątka – wyjaśnił. – Rano zobaczyła, ile uwagi media temu poświęcają. Teraz jest wściekła, że jato omija. Od świtu urządzała sobie telekonferencje ze swoim agentem, o ile oczywiście akurat nie siedziała z nosem przy telewizorze. Ma nadzieję stać się nową Lolitą i dostać milion dolarów za rozkładówkę w „Playboyu”. I sprytny agent mógłby to jej załatwić. „Aktorka, która doprowadziła rywalkę do zbrodni”. To działa. Oczywiście, do tego musiałaby sobie zrobić bardziej seksowną fryzurę i skończyć z tą cukierkową manierą.

– Nie przypuszczam, żebyś jej o tym powiedział – zapytała kpiąco Delaney.

– Za darmo? – Arthur uniósł brwi w komicznym oburzeniu.

– Tak myślałam. Przejdźmy do rzeczy. Czy wydano zakaz zbliżania się?

– Tak, ale nie wiem, czy już jest ważny.

– Ciekawi mnie – Riley zabrał głos po raz pierwszy – czy wystąpiła z powództwem do sądu o napastowanie jej przez Wayne’a? Może nawet sugeruje przemoc fizyczną?

– Sid Bloom, adwokat, do którego zadzwoniłem, wspominał o takiej możliwości. Na razie tego nie zrobiła. Osobiście nie sądzę, żeby się do tego posunęła. Jeśli przedstawi się jako ofiara, kobieta oszukana, zdobędzie więcej publicznej sympatii. Sam zaproponowałbym taką taktykę, a Rina ma przy sobie niegłupich ludzi. Gdyby było inaczej, jej kariera skończyłaby się dawno temu.

– Prawnicze gierki i zabieganie o opinię publiczną niewiele mnie obchodzą – przerwała mu Delaney. – Interesuje mnie jego bezpieczeństwo.

– Delaney, potrzebuję twojej rady. Specjaliści Lucasa od public relations wpadną tu dzisiaj. Razem zastanowimy się, jak zareagować na kolejny krok Riny. Ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, to sprowokowanie następnego ataku. A jednocześnie nie mogę siedzieć beczynnym i pozwalać, by obrzucała go obelgami.

– Na twoim miejscu nie przejmowałabym się tym tak bardzo – uspokoiła go. – Fakt, Rina może zdobyć sympatię jako kobieta skrzywdzona, ale to nie zaszkodzi twojemu klientowi. Gdyby nawet tak się stało, to raczej zwiększyłoby jego atrakcyjność. Męska niewierność to cecha stara jak świat. A dla kobiety nic ani nikt nie stanowi większego wyzwania lub pokusy niż Casanovą, który złamał tysiące serc. To wada genetyczna nas, kobiet.

– Rzeczywiście. – Z namysłem kiwał głową. – To mi się podoba.

– Cieszę się. – Delaney pochyliła się nad torbą.

W tym momencie w drzwiach do jadalni pojawił się Lucas Wayne ze szklanką soku pomarańczowego w dłoni. Delaney rozpoznała go od razu. Cóż w tym zresztą dziwnego, skoro od trzech lat jego twarz patrzyła na Hollywood i połowę Ameryki z setek tysięcy plakatów?

Bez wątplenia była to przystojna twarz, o ostrych, regularnych rysach, nieco zbyt ostrych, by

można było nazwać ją idealną. Pewna zachwycona dziennikarka napisała kiedyś, że Lucas Wayne ma namiętne oczy Marlona Brando, uśmiech Clinta Eastwooda i włosy Roberta Redforda, choć o wiele dłuższe i ciemniejsze. Delaney nigdy temu nie przeczyła, a teraz, widząc go na własne oczy, przyznała dziennikarce rację. Na jej osąd nie wpłynął nawet jednodniowy zarost i rozczochrane włosy.

Miał na sobie jedynie jedwabne spodnie od pizamy. Zsunęły się nisko, odsłoniły pępek pośrodku niewiarygodnie płaskiego brzucha. Był pięknie umięśniony.

– Przepraszam, Arthurze, nie wiedziałem, że masz gości.

Odwrócił się, ale Arthur nie pozwolił mu odejść:

Chodź tu, Lucas. Chciałbym, żebyś kogoś poznał. Oto Delaney Wescott. Odwrócił się na pięcie. Przez chwilę mierzył wzrokiem Delaney, po czym skoncentrował się na Rileyu. Nawet ten moment wystarczył, by odczuła działanie jego czaru, charyzmy, uroku, nieważne, jak to określić. Musi zapamiętać, że ma na niego uważać, zwłaszcza że była świadoma własnych potrzeb i pragnień, których nie zaspokajała od długiego czasu.

Kiedy szedł przez pokój, zauważyła coś jeszcze: był wysoki. Nie należał do niskich mężczyzn, z których Hollywood robi gigantów; naprawdę miał ponad sześć stóp wzrostu. Dla odmiany ona będzie miała oczy na poziomie czyichś ust, a nie odwrotnie.

Wyciągnął rękę do Riley'a.

– Miło mi, Delaney, chociaż wolałbym, żebyśmy się poznali w innych okolicznościach.

Riley uśmiechnął się pod nosem.

– Ja jestem Delaney Wescott – poprawiła, bynajmniej nie zdziwiona jego pomyłką. Nie po raz pierwszy potencjalni klienci oczekiwali, że Delaney Wescott będzie mężczyzną.

Gwałtownie odwrócił głowę w jej stronę. Na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania.

– Pani?

– Tak. – Była całkowicie spokojna. Wskazała na Riley'a. – Miał pan zamiar przywitać się z moim współnikiem, Rileyem Owensem.

Nawet jeśli Lucas Wayne ją usłyszał, nie dał po sobie tego poznać. Nadal wpatrywał się w nią z głupią miną. A potem, nieoczekiwanie, odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło.

Zesztywniała. Spotkała się z różnymi reakcjami, kiedy klienci dowiadywali się, że jest kobietą: od gniewu wywołanego podejrzeniem oszustwa, poprzez zwątpienie w jej umiejętności, aż po obelgi i rezygnację z jej usług. Nigdy jednak jej nie wyśmiano. Poczula, że ogarnia ją lodowata wściekłość. Z trudem ją opanowała.

Ciągle uśmiechnięty Lucas Wayne spojrział w inną stronę:

– Arthurze, jesteś naprawdę bezcenny! Kiedy powiedziałeś, że ściągasz mi ochronę z Kalifornii, spodziewałem się pary umięśnionych półgłówków. Nie kobiety! Kim ona jest? Czy



to najnowszy symbol sukcesu? – Ponownie zmierzył ją wzrokiem.

Delaney zacisnęła pięści za plecami. Stała prosto, co podkreślało szerokość jej ramion. Rezolutnie uniosła brodę.

– Proszę mi wybaczyć, panie Wayne, ale, niestety, nie widzę w tym nic śmiesznego, w przeciwieństwie do pana, jak się wydaje. – Powiedziała to lodowato zimnym tonem, a zaakcentowała obojętnym uśmiechem.

– Pewnie dlatego, że nie jest pani mężczyzną – stwierdził i podniósł szklanę do ust.

– Nadal nie rozumiem, panie Wayne.

Lucas Wayne podziwiał jej opanowanie; nie zniknęło mimo gniewu, jaki w niej wyczuwał.

– To proste, pani Wescott. Widzi pani, nie byłem specjalnie zadowolony z pomysłu, że na każdym kroku ma mi towarzyszyć para osiłków. Wszystko przez męskie ego, jak sędzę. Wolę wierzyć, że sam sobie dam radę i nie potrzebuję góry mięśni, żeby mnie chronić. – Uśmiechnął się szerzej, przesuwając wzrokiem po jej kobiecych kształtach. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ochroniarz może wyglądać jak pani.

– Życie jest pełne niespodzianek, prawda? – W jej głosie pojawiła się nutka humoru.

– Owszem – zgodził się. – A propos: czy pani jest dobra w tym, co robi?

– Jest najlepsza, Lucas. – Arthur Golden oderwał się od barku i podszedł do nich. – W innym wypadku nie ściągałbym jej.

– Arthur mówi prawdę – dodała Delaney. Starła się, żeby jej słowa zabrzmiały pewnie, ale bez zarozumiałości. – Moja firma jest bardzo dobra, panie Wayne.

– Naprawdę? – nie ukrywał sceptycyzmu. Miał wyjść, ale nagle coś sobie przypomniał. Jego oczy zwięziły się gwałtownie. – Chwileczkę. – Zwrócił się do Arthura. – Czy to nie jest ta firma, o której w zeszłym roku było głośno w prasie po tym, jak uratowali życie dyrektorowi wielkiego koncernu?

– Owszem. – Arthur miał minę najedzonego kota.

Lucas Wayne popatrzył na Delaney z nowym zaciekawieniem.

– Pani zastrzeliła faceta, który go prześladował.

– Był to pożałowania godny wypadek. – Wcale nie była z tego dumna. – Moja firma stara się do minimum zredukować ryzyko niebezpieczeństwa. Robimy wszystko, by nie doprowadzać do sytuacji, w których tylko my dzielimy klienta od niebezpieczeństwa. Czyli, innymi słowy, staramy się zapobiec problemom, zanim w ogóle powstaną.

– Oczywiście nie może pan tego wiedzieć, panie Wayne. – Riley odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Na jego ustach błąkał się mały uśmieszek. – Ale jedną z życiowych maksym Delaney jest: najlepszym sposobem uniknięcia kłopotów jest przewidzieć ich nadejście.

– Brzmi bardzo mądrze – przyznał Lucas. – Ale nie zawsze się udaje, co?

Tylko Riley zauważył, że Delaney zaczyna tracić panowanie nad sobą.

– Może ujmę to w ten sposób, panie Wayne: wszyscy moi klienci, zarówno byli, jak i obecni, są cali i zdrowi... bez jednego zadrapania, pozwolę sobie dodać. – Znacząco spojrzała na czerwony ślad, jaki paznokcie Riny zostawiły na jego ramieniu.

Lucas roześmiał się cicho.

– Punkt dla pani, pani Wescott.

– Delaney – poprawiła. Udawała, że nie zauważa, jak rozpoczyna z nią flirt. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym dać sobie spokój z oficjalnymi uprzejmościami. Może się zdarzyć, że wołanie „Panie Wayne!” okaże się za długie.

– Delaney – powtórzył, jakby sprawdzał, jak to brzmi w jego ustach. Błysk ciemnych oczu był jej zdaniem za ciepły, za intymny. Szybkim krokiem podeszła do krzesła, na którym zostawiła torebkę.

– Skoro o formalnościach mowa – otworzyła ją – to kontrakt, który musi pan podpisać. Są tu nasze stawki, rodzaje i wysokość wydatków, z jakimi musi się pan liczyć, i sposób tygodniowego uiszczania rachunków.

Przebiegł wzrokiem cały dokument, pożyczył pióro od Arthura, podpisał i wręczył jej z powrotem. Delaney schowała go do torebki i wyjęła z niej długopis i notes. Usiadła na kanapie, odsunawszy uprzednio jedwabną poduszkę.

– A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zadać ci kilka pytań. Musimy ułożyć szczegółowy plan, jak zorganizować i skoordynować nasze działania, ale przede wszystkim potrzebujemy informacje od ciebie.

Idąc za jej przykładem, pozostali znaleźli sobie miejsca do siedzenia. Riley przycupnął na oparciu fotela. Arthur podciągnął nogawki spodni i usadowił się na kanapie, natomiast Lucas Wayne wybrał fotel na prawo od kanapy.

– Zacznijmy od tego filmu, który kręcisz – Delaney pochyliła się nad notesem. – Ile dni zdjęciowych jeszcze ci zostało?

– Prawdopodobnie cztery.

– W studiu czy w plenerze?

– I tu, i tu.

Zdjęcia w plenerze oznaczały miejsca ogólnie dostępne, a to z kolei mogło spowodować kłopoty. Delaney była tego w pełni świadoma.

– Riley, dzisiaj skontaktujesz się z producentem i rzucisz okiem na plener. A skoro już się tym zajmiesz, inspekcja studia nie zaszkodzi.

– W porządku. – Zapisał to w swoim kalendarzyku. – Poza tym skoordynuję nasze działania z ochroną filmu.

– Świetnie. – Dodała ten punkt do listy jego zadań. Spojrzała na Lucasa. – Musimy jak najszybciej dostać plan zdjęć z tych czterech dni i scenopis.

– Załatwię to – zaoferował się Arthur.

– Im szybciej, tym lepiej. A jak wygląda reszta tygodnia? Jakies wywiady, przyjęcia, spotkania, kolacje... cokolwiek, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Byłem umówiony na kolację w tym tygodniu z producentem i jego żoną, ale za nic nie przypominę sobie, kiedy to miało być.

– Zapomnij o tym – uspokoił go Arthur. – Można to odwołać. Zajmę się tym.

Delaney postawiła przy tym punkcie znak zapytania i przeszła dalej.

– Jak długo zostaniesz w Nowym Jorku po ukończeniu zdjęć?

– Nie dłużej niż to konieczne – odparł Lucas. – Przy odrobinie szczęścia uciekam stąd w sobotę.

– Polecisz do Los Angeles samolotem rejsowym?

– Nie do Los Angeles.

Podniosła głowę znad notatek.

– A dokąd?

– Do Aspen.

– Aspen, Kolorado? – Wystarczyła sama nazwa miejscowości, by powróciły wspomnienia i ból. Delaney nigdy nie była w Aspen, ale... on tam mieszkał. I, jeśli się nie myliła, mieszka nadal. Poczula na sobie spojrzenie Rileya. Starannie omijała jego wzrok.

– Tak, Aspen, Kolorado – potwierdził Lucas. – Mam tam dom. Po ukończeniu filmu będę wolny przez miesiąc. Pomyślałem sobie, że pojedę do Aspen i odpocznę od tego wszystkiego. – Popatrzył na nią ciekawie. – A co? Jakiś problem?

– Nie. – Riley wybawił ją z kłopotu. Spojrzała na niego z wdzięcznością, ale spuściła wzrok, zdumiona szorstkością jego głosu. – To po prostu oznacza, że Delaney będzie musiała wyjechać kilka dni wcześniej, żeby wszystko przygotować, zanim ty się tam zjawisz.

– Kto wie? – Delaney rozpaczliwie chwyciła się jedynej deski ratunku. – Może pod koniec tygodnia już nie będzie potrzeby, żebyśmy ci towarzyszyli do Aspen, a przynajmniej nie oboje.

– Jak to, nie będzie potrzeby? – Arthur zmarszczył brwi.

Odpowiedziała bez chwili namysłu:

– Cóż, z analizy obecnej sytuacji wynika, że nasze zadanie polega na chronieniu pana Wayne'a przed zbyt nachalnymi dziennikarzami i oburzonymi fanami Riny Cole.

– A sama Rina? – obruszył się prawnik. – Przecież chciała go zabić, zapomniałaś już?

– Skądże. Ale wątpię, by stanowiła bezpośrednie zagrożenie. Gdyby zaatakowała ponownie, media nie zostawiłyby na niej suchej nitki.

– Może tak wygląda sytuacja dzisiaj, jutro, pojutrze, ale co będzie za tydzień? Za miesiąc? – Arthur nie ustępował. – Ta kobieta obarcza Lucasa winą za wszelkie niepowodzenia w swojej karierze w ciągu ostatnich dwóch lat. Twierdzi, że chce ją zniszczyć. Mówię ci, odbiło jej. Ma na

tym punkcie obsesję. Myślisz, że tylko zwykłym przeciętnym ludziom z ulicy może odbić? Myślisz, że nie zwariowała tylko dlatego, że nazywa się Rina Cole?

– Oczywiście, że nie...

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, że nie jedziesz do Aspen! Nie po to ściągnąłem cię tu aż z Los Angeles, żebyś zaczęła robotę i zostawiła ją w połowie. Ja...

Wspomniałam o tym jedynie jako o ewentualności do rozważenia przez was obu – Delaney wpadła mu w słowo. Lucas Wayne był najbardziej znanym człowiekiem, który będzie korzystał z jej usług. Taki klient oznaczał murowany sukces w mieście, gdzie sukces był wszystkim. Zbyt długo, zbyt ciężko pracowała, by przepuścić koło nosa taką okazję, nawet jeśli to oznaczało wyjazd do Aspen. – Jeśli uważasz, że powinniśmy tam pojechać, zrobimy to. Jednak to ty musisz podjąć tę decyzję, nie ja.

– Już to zrobiłem – odparł Arthur. – Jedziesz.

– W porządku. – Z ociąganiem zapisała, żeby przypomnieć Glendzie o załatwieniu im pozwolenia na broń w stanie Kolorado.

– Skoro mowa o Rinie – Riley zmienił temat. – Czy wiemy, gdzie teraz jest? W drodze z lotniska słyszeliśmy w radiu, że ją zwolniono za kaucją.

– Z tego co wiem, zatrzymała się u przyjaciółki, gdzieś przy Piątej Alei, naprzeciwko Central Park.

– Może opłacałoby się dyskretnie ją obserwować – zasugerował Riley.

Delaney z aprobatą skinęła głową.

– Właśnie chciałam to powiedzieć.

– Znam jednego fotografa – ożywił się Arthur. – Na pewno już czatuje pod jej budynkiem. Za odpowiednią cenę będzie nas informował o jej poczynaniach.

– Więc zapłaćmy mu. – Kątem oka zobaczyła rozbawiony uśmiech Lucasa Wayne'a. – Coś nie tak?

Wzruszył ramionami, aż na gołej piersi zarysowały się mięśnie.

– Zadajesz sobie dużo pracy mimo że, jak twierdzisz, nie ma zagrożenia.

– W takich okolicznościach nie istnieje nic takiego jak zbyt ostrożność – odparła.

– Zwłaszcza jeśli ma się do czynienia z Riną Cole – uzupełnił Arthur. – Powinni ją zamknąć, razem z tą wariatką, która pisze do ciebie te listy.

– Jaka wariatka? – Delaney gwałtownie podniosła głowę. – Jakie listy?

– Lucas ma taką fankę. Pisze do niego listy miłosne, posyła prezenty. To się ciągnie od ponad roku. Ona...

Delaney nie dała Arthurowi dokończyć.

– Co za prezenty? – Pytanie było do Lucasa.

– Różne – odparł beztrąsko. – Kiedyś przysłała pukiel swoich włosów. Innym razem

wisiorek w kształcie połówki serca. Wiesz, taki, którego pół nosi chłopak, a pół dziewczyna. – Pokręcił głową. – Były jeszcze inne, ale nie pamiętam. Moja sekretarka zajmuje się korespondencją od fanów i wszelkimi prezentami. Nawet mi nie pokazuje lwiej części tego wszystkiego. Nie mam na to czasu.

– A te listy? Zachowałeś je?

– Dostaję setki, może nawet tysiące listów tygodniowo. Jest fizycznie niemożliwe, bym je zachowywał, od niej czy od kogokolwiek innego.

Znowu wtrącił się Arthur:

– Załóżę się, że jeśli Christy przejrzy kosz na śmieci z kilku ostatnich dni, znajdzie coś od niej. Przecież pisze dwa, trzy razy w tygodniu. – Delaney i Rileyowi wyjaśnił: – Jest w nim zakochana i pisze tak, jakby mieli burzliwy romans.

Delaney bardzo się to nie podobało.

– Zadzwoń do tej sekretarki. Niech nam prześle faksem wszystkie listy, które jej się uda odnaleźć. Chciałabym jak najszybciej rzucić na nie okiem.

– W porządku. – Lucas skinął głową.

– Czy teraz rozumiesz, Delaney, dlaczego mi zależało na twojej obecności? – zapytał Arthur.

– Rinie Cole odbija, chce go zabić. Nie wiadomo, czy nie zamierza spróbować jeszcze raz. Atu jeszcze fanka pisze do niego listy miłosne, w takim stylu jak ten facet, który zabił aktorkę z „My Sister Sam”. W ciągu ostatnich lat doszło do zbyt wielu nieszczęść... Facet wdarł się do studia, zażądał spotkania z Michaeliem Landonem, a potem zastrzelił dwóch strażników, kiedy go nie wpuścili... Nożowy atak na Theresę Saldanę. A morderca z siekierą, który przez trzy lata prześladował Cher i Olivię Newton-John, zanim go w końcu zamknęli? Czy może zapomniałaś o wariatce, która twierdziła, że jest żoną Davida Lettermana i włamała się do jego domu w Connecticut? A Hinckley? Strzelał do Reagana, żeby zaimponować Jodie Foster... a zabójca Lennona? Fatalne zauroczenie, dobre sobie.

– Nie musisz od razu wymieniać wszystkich, Arthur. – Lucas wstał z fotela, nagle niespokojny, nerwowy, niecierpliwy. – Zgadza się, dziewczyna jest chora. Trzeba ją powstrzymać. Ale jak? Nie wiemy, kim jest ani gdzie mieszka.

Riley nadstawił ucha.

– Listy są anonimowe?

– Praktycznie tak. Podpisuje się tylko „Laura”. Bez nazwiska, bez adresu, nawet bez inicjałów.

– A stempel pocztowy? – zainteresowała się Delaney.

Lucas spojrzał na nią zaskoczony.

– Na jednym była pieczętka z Los Angeles, ale nie dałbym sobie uciąć głowy, że na wszystkich.

– W takim razie niech twoja sekretarka przefaksuje nam również wszystkie koperty, których nie wyrzuciła.

– Dobrze.

– Christy zna mój numer faksu – zapewnił Arthur. – Więc dzisiaj po południu dostaniecie kopie.

– Świetnie. – Delaney zapisała to pod imieniem Arthura. – A teraz wróćmy do obecnej sytuacji. Zakładam, że producenci organizują twój dojazd na plan. Czy korzystają z jakiejś konkretnej agencji?

– Tak, Imperial Limousine.

– Zazwyczaj masz tego samego kierowcę?

Lucas skinął i nerwowo splótł palce.

– Nazywa się Bennie. Nazwiska nie pamiętam.

– Dowiem się od producenta – zaoferował się Riley.

– W porządku. – W jej notesie przybyła kolejna uwaga koło jego imienia. Zanim spojrzała na Lucasa, głęboko zaczerpnęła tchu. – Teraz najtrudniejsza część. Musisz nam powiedzieć jak najwięcej o Rinie Cole, o twoim z nią związku...

– Czas na spowiedź, tak? – rzucił szorstko. Nie podobała mu się ta myśl.

Zdają sobie sprawę, że to pytanie narusza twoją prywatność, jednak jest dla nas bardzo ważne, byśmy się jak najwięcej dowiedzieli o Rinie Cole. To nam pomoże przewidzieć co, gdzie, kiedy, a może nawet w jaki sposób może znowu zaatakować. Nasza wiedza na jej temat ogranicza się do doniesień prasowych, które głównie koncentrowały się na jej karierze. Wiemy, że posuwała się już do rękoczynów. Poza tym nie mamy pojęcia o niej jako o osobie, nie wiemy nawet, czy naprawdę miałaś z nią romans, jak to insynuowały gazety. To wszystko pomoże nam określić, czy i w jakim stopniu stanowi zagrożenie.

– Stanowi, a jakże. W nocy przekonałem się o tym na własnej skórze. – Ponownie opadł na fotel. Ciemne oczy patrzyły twardo. – Podobno spowiedź to ulga dla duszy. Może i tak. W każdym razie, wszystko zaczęło się od tego, że wykorzystałem Rinę na samym początku. Nie jest to powód do dumy, ale w show-biznesie i tak wszyscy wykorzystują się nawzajem w ten czy inny sposób. I tak wpadł mi w ręce scenariusz filmu, w którym w końcu oboje zagraлиśmy. Jeszcze nie skończyłem czytać, a już wiedziałem, że rolę Sama Connorsa napisano jakby specjalnie dla mnie. To była moja szansa na wyjście poza świat rocka. Rina zastrzegła w swoim kontrakcie prawo do podejmowania decyzji przy obsadzaniu ról. Wymyśliła sobie, że u jej boku zagra hollywoodzki gwiazdor. Więc doprowadziłem do niby przypadkowego spotkania na przyjęciu. Wmówiłem jej, że rola w filmie w ogóle mnie nie interesuje, mam za bardzo napięty kalendarz, za dużo koncertów. I umówiłem się z nią. Mówiąc krótko, doprowadziłem do tego, że namawiała mnie, bym zagrał tę rolę.

Przerwał i odwrócił wzrok, jakby chciał zebrać myśli.

– Jeśli chodzi o nasz związek, fluidy płynęły między nami i na ekranie, i poza nim. Sypialiśmy ze sobą, nigdy temu nie przeczyłem. Zresztą, dlaczego miałbym to robić? Na planie filmowym romanse rodzą się i umierają bez przerwy. Po skończeniu zdjęć spotykaliśmy się, ale niezbyt często. Zdecydowanie nie tak często, jak Rina sugerowała dziennikarzom, kiedy podczas promocji filmu razem występowaliśmy w talk-show. Nie obchodziło mnie, czy mnie wykorzystuje, ja przecież też ją wykorzystywałem. Zresztą, fluidy działały nadal, była taką seksowną, szaloną damą...

– Nie takiego słowa bym tu użył – bąknął pod nosem Arthur.

Riley zignorował jego komentarz, natomiast zapytał:

– Jaka ona jest? Chodzi mi o charakter, osobowość.

– Zmienna – padła odpowiedź. – Potrafiła wybuchnąć bez powodu. Kiedyś wkurzyła się na fryzjerkę na planie, zaczęła ją wyzywać i bić lokówką tylko dlatego, że nie podobało jej się, jak wyglądają jej włosy. I ciągle wrzeszczała na reżysera. Wtedy myślałem, że jest perfekcjonistką. Ale w rzeczywistości ma manię prześladowczą. Wierzy, że ktoś chce ją zniszczyć. Domyślam się, że to się nasiliło po tym, jak jej ostatni film nie okazał się sukcesem.

– To delikatnie powiedziane – Arthur pospieszył ze szczegółami. – Zyski były tak małe, że zdjęli go z ekranów po zaledwie trzech tygodniach. W Hollywood omijają ją Rinę z daleka jak zarazę. Ona obarcza Lucasa winą za wszystko. Dzwoni do niego albo przychodzi prawie co drugi dzień. Dobija się do drzwi, wrzeszczy, że on robi wszystko, by ją zniszczyć... jeżeli akurat nie błaga, by się zgodził na realizację następnej części ich wspólnego filmu. Po sukcesie jego ostatniego filmu nie wytrzymała i zaczęły się pogroźki.

– Pogroźki. Groziła ci? – Delaney słuchała uważnie. Sprawa zmierzała w zupełnie innym kierunku. Teoria Riley'a o działaniu pod wpływem impulsu legnie w gruzach lada moment.

– Mniej więcej od kwietnia – wyjaśnił Lucas. – Nie traktowałem ich poważnie. Nawet nie mówiłem o nich Arthurowi. Myślałem, że prędzej czy później jej się to znudzi. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest chora... aż do ostatniej nocy.

– Czy wiadomo, w jaki sposób dostała się do apartamentu? – Pytanie było skierowane do Arthura.

– Namówiła pokojówkę, żeby ją wpuściła. Powiedziała, że dopiero co przyleciała z Europy, co było prawdą. Miała tam koncerty. Wytłumaczyła, że chce sprawić Luke'owi niespodziankę. Biedna kobieta, myślała, że pomaga Amorowi.

– Spałeś? – Riley ponownie zabrał głos.

– Na szczęście nie. Usłyszałem, jak wchodzi... jak ktoś wchodzi. W salonie paliła się lampa. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyłem, że to Rina, a nie włamywacz. Dostrzegłem pistolet w jej dłoni. Arthur opowiedział wam, co było dalej, więc nie muszę tego powtarzać.

– Nie musisz – zgodziła się Delaney.

– Wiecie, na czym polega ironia losu? – skrzywił się z niesmakiem. – Ten pistolet dostała ode mnie. Kaliber trzydzieści osiem z kolbą wykładaną macicą perłową. Robiony na zamówienie. Wygrawerowane jest nawet na nim jej imię. A ona chciała mnie z niego zabić.

– Czy jest w posiadaniu innej broni?

– Nie. Przynajmniej nie była, kiedy jej dawałem tę – uściślił po chwili. Delaney zdawała sobie sprawę, że jeśli Rina Cole zechce mieć inny pistolet, zdobędzie go bez trudu.

– A to mieszkanie? Czy była tu?

– Nie. Arthur dawał mi klucze, kiedy przyjeżdżałem do Nowego Jorku. Może kiedyś podałem jej numer telefonu.

– Zawiadom prawnika, Arthurze – zasugerowała. – Jeśli zaczniesz dzwonić z pogroźkami, nagramy ją. Nie wiem, jak to jest w Nowym Jorku? Czy taśma magnetofonowa stanowi dopuszczalny dowód w sądzie?

– Zapytam – obiecał.

– W porządku. – Przeniosła wzrok na Rileyę. – Jeśli nie masz żadnych pytań, dowiedziliśmy się wszystkiego, czego potrzebujemy w tej chwili.

– Zgadza się. – Podniósł się z oparcia.

Zamknęła notes, schowała długopis.

– Arthurze, czy mógłbyś pokazać nam mieszkanie? Jeśli masz jakiś zbędny pokój, zaanektujemy go na biuro. Wolałabym pracować tutaj, na miejscu.

– Najwygodniej wam będzie w bibliotece. – Arthur wstał i odruchowo zapiał marynarkę, żeby dobrze leżała. – Jedno z was może spać tutaj, kanapa się rozkłada. Drugie ma pokój gościnny, bo ta mała Evans już się wyniosła.

Delaney zerknęła na zegarek. Minęło już tyle czasu, a przed nimi masa roboty.

– Szybko pokaż nam mieszkanie, a potem zamknijemy się w bibliotece. Mamy bardzo dużo do zrobienia.



## Rozdział czwarty

Delaney siedziała przy biurku z różanego drzewa. Za jej plecami przez okno zaglądał mrok. Leniwie podparła się łokciem. Nie zwracała uwagi na cienie, jakie rzuciły lampy: ta na jej biurku i ta stojąca, pod którą siedział zagłębiony w fotelu Riley.

Z jego palców zwisał na wpół wypalony papieros. Na oparciu kanapy leżała rzucona niedbale marynarka. Podwinął rękawy koszuli, rozpiął guziki pod szyją, rozluźnił krawat, który przekrzywił się zawadiacko. Obok krzesła leżała otwarta aktówka, w bezpośrednim sąsiedztwie pudełka po pizzy, którą przywieziono trzy godziny wcześniej. Usadował się wygodnie, oparłszy stopy na podnóżku obitym lśniąca skórą. Na małym stoliczku poniewierały się serwetki i okruszki po pizzy.

Mocno zaciągnął się papierosem, powoli wypuścił dym z płuc.

– Możesz przeczytać jeszcze raz?

– Tak. – Delaney pochyliła się nad kartką papieru:

Mój najdroższy, najukochańszy Lucasiu, Cierpię każdego dnia, kiedy Cię nie widzę. Czas, który spędziłem razem, znaczył dla mnie tak wiele, że teraz cierpię, nie widząc blasku Twoich oczu, nie słysząc Twego śmiechu, nie czując Twojej miłości.

Wiem jednak, że muszę być silna, że niedługo nasza rozłąka dobiegnie końca.

Najdroższy, wiem, że tęsknisz za mną równie silnie jak ja za Tobą. Widzę Twoją samotność. Lecz każdy mijający dzień przybliży chwilę, gdy połączymy się na wieki i żadne z nas już nigdy nie będzie samotne.

Na zawsze Twoja Laura Skończyła. Riley odezwał się po dłuższej chwili:

– Ma na jego punkcie obsesję, to jasne. Na dodatek wierzy, że łączył ich romans. A ten fragment o „połączeniu się na wieki” to moim zdaniem dzwonek alarmowy. Ona może stanowić poważne zagrożenie.

– Zgadza się.

– Więc czym się martwisz? Oczywiście abstrahując od tego, że mamy do czynienia z anonimową wariatką?

Delaney wpatrywała się w list ze zmarszczonym czołem.

– Sama nie wiem. Dziwi mnie, że napisano go na maszynie. Która kobieta pisałaby list miłosny na maszynie? To takie oficjalne. Coś mi się tu nie podoba.

– Może ta Laura nie jest taka głupia i wie, że grafolog mógłby ją zidentyfikować po charakterze pisma. – Riley zduśił papierosa w popielniczce pełnej niedopałków. – A może... – poderwał się z fotela, podszedł do biurka. – Może po prostu ma paskudny charakter pisma. Mógłbym nawet pójść o zakład sądząc po podpisie.

– Kto wie. – Rzeczywiście, imię było prawie nieczytelne. – Pytanie tylko, czy sama zdaje

sobie z tego sprawę?

– Niewykluczone, zwłaszcza jeśli przez wiele lat jej to wmawiano.

– Rzeczywiście.

Riley widział, że nadal nie przekonał Delaney do końca. Zmęczonym gestem przetarła oczy. Odczytał to właściwie, jako oznakę znużenia.

– Późno już – stwierdził. – Czas do łóżka.

– Kładź się. – Od razu ściągnęła łopatki, wyprostowała plecy. – Ja jeszcze raz przejrzę te listy i przeanalizuję nasze plany co do jutrzejszych zdjęć w Central Park.

– Wiesz, co to oznacza, prawda?

– Co?

– Że ja idę do sypialni, a tobie zostaje kanapa.

– Wystarczy. – Uśmiechnęła się z trudem, ale był to wymuszony grymas.

– Jeśli masz nadzieję, że jako dżentelmen będę się z tobą sprzeczał, jesteś w błędzie.

Roześmiała się i odłożyła list na bok, czyli zrobiła dokładnie to, na co liczył. Odwróciła się, żeby lepiej go widzieć.

– A ty jesteś głupi, jeśli się łudzisz, że uda ci się mnie namówić na pójście do łóżka.

– Właściwie dlaczego? Przecież jesteś równie zmęczona jak ja – przekonywał.

Potrząsnęła głową i ponownie wzięła list.

– Ale i tak nie mogłabym zasnąć. Leżałabym i myślała.

– O czym? – Był przekonany, że zna odpowiedź na to pytanie, ale nie wierzył, by Delaney na nie odpowiedziała.

I nie mylił się.

– O tym wszystkim. – Zatoczyła łuk ręką, ogarnęła tym gestem dokumenty, mapy i listy na biurku. – O najdrobniejszych szczegółach. Szukałabym dziury w całym, czegoś, co uszło naszej uwagi.

– To zadanie niczym się nie różni od tuzina innych spraw, którymi się zajmowaliśmy. To standardowe postępowanie. Na pewno nic, dla czego warto byłoby tracić noc. – Zawahał się na moment, zanim zaatakował: – Jesteś pewna, że nie czekasz z niecierpliwością na wyjazd do Aspen?

– Oczywiście że nie.

Nie dało się niczego wyczytać z jej twarzy. W ogóle nie zareagowała na jego zaczepkę, co samo w sobie było bardzo wymowne.

– Kłamczucha – stwierdził miękko, czym ściągnął na siebie jej gniewne spojrzenie. – W Aspen mieszka twój były narzeczoną, a nie jest to takie znowu duże miasto. Obawiasz się, że możesz się na niego natknąć na ulicy. Przyznaj się, Delaney.

– Sam nie wiesz, co za bzdury pleciesz – odpowiedziała gładko. – To było dawno temu. To

już przeszłość.

– Wasz związek tak, ale nigdy się z tym do końca nie pogodziłaś. Spotkanie może się okazać najlepszym rozwiązaniem. Może w końcu się z niego wyleczysz.

– Doprawdy, Riley, nie mam pojęcia, skąd takie dziwactwa przychodzą ci do głowy. – Zerknęła na niego z chłodnym rozbawieniem.

Już zaczynał wątpić, lecz zobaczył cierpienie w jej oczach. Niewielu by to dostrzegło, ale też niewielu znało ją równie dobrze jak on.

– Można to określić w rozmaity sposób, ale z pewnością nie jest to bzdura, Riley. – Zastanawiał się poważnie, czy nie spróbować przebić maski jej obojętności, obawiał się jednak, że jeśli mu sienie uda, ujawni zbyt wiele ze swoich uczuć.

– Słuchaj, Riley, jesteś moim przyjacielem od...

– I tu jest pies pogrzebany – mruknął, świadom, że zawsze widziała w nim tylko przyjaciela. Wiedział również, że teraz nie czas na zmianę tej sytuacji, kiedy w jej życiu pojawi się widmo z przeszłości.

– Pies pogrzebany? – powtórzyła, nic nie rozumiejąc.

Nie umiał tego wytłumaczyć, więc wstał z fotela, zarzucił marynarkę na ramię i podszedł do drzwi.

– Dobranoc, ‘Laney – rzucił na odchodne. – Życzyłbym ci słodkich snów, ale wiem, czyją twarz będziesz miała przed oczami.

Gorycz w jego głosie sprawiła, że zaniemówiła ze zdziwienia. Co go ugryzło? Już otwierała usta, żeby go zawołać i zażądać wyjaśnień, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie miała ochoty na dyskusje o przeszłości. W tej chwili nie czuła się na siłach do konfrontacji.

Zamiast tego wyciągnęła mapę terenu, gdzie jutro będą kręcić film, i rozłożyła na biurku. Studiowała ją uważnie, co jakiś czas sporządzając krótką notatkę. Wkrótce linie zaczęły zlewać się w jedno. Przetarła oczy, chcąc odpędzić zmęczenie.

Usłyszała odgłos kroków w holu. Podniosła głowę, podświadomie spodziewając się Riley’a.

Tymczasem w drzwiach stanął Lucas Wayne. Tym razem był całkowicie ubrany: miał na sobie letnie spodnie z kantem i sweter z szerokim poziomym pasem koloru czekolady.

Oparł się o framugę, podświadomie przyjmując pozę jak do fotografii.

– Jesteś nocnym markiem, jak widzę – skomentował powoli. – Już jedenasta.

– Ale w Los Angeles dopiero ósma. – Wyprostowała się na krześle. – Ty zresztą też jeszcze nie śpisz. Nie mogłeś zasnąć?

– Nie, powtarzałem rolę. A ty? Jaką masz wymówkę?

– Riley i ja studiowaliśmy listy od tej Laury. I po dziesięć razy sprawdzaliśmy, czy na jutro wszystko jest dopięte na ostatni guzik. – Z głośnym westchnieniem opuściła wzrok na mapę. – Wierz mi, sto razy przeklinałam reżysera, że do sceny konfrontacji z czarnym charakterem

wybrał akurat Central Park. – Podparła się na łokciu, wpatrzona w mapę, którą zdobył dla niej Arthur. – To koszmar pod względem bezpieczeństwa.

Zwłaszcza że nowojorskie mieszkanie Riny Cole wychodziło właśnie na ten kraniec Central Park, ale ten drobny szczegół postanowiła zachować dla siebie.

– Mogło być gorzej. – Wszedł do pokoju. Miał ręce w kieszeniach.

– Doprawdy? – Z powątpiewaniem uniosła brwi.

– Pewnie. To mogła być scena pościgu przez park.

– Punkt dla ciebie.

Zbliżył się do biurka, do jej krzesła. Oparł dłoń na blacie i pochylił się nad mapą.

– Jaki jest wasz plan?

– Będziecie kręcić tutaj – zaznaczyła punkt ołówkiem. – To nie jest najgorsze. Policja oddzieli teren kordonem. Problemem będzie dostarczyć cię na plan i z powrotem tutaj, jak również wszelkie przerwy w zdjęciach, kiedy idziesz do przyczepy. Będziemy musieli się uporać z tłumem fanów i dziennikarzy... i, być może, z garstką świrów, którzy uznają, że trzeba cię ukarać za grzeszny tryb życia.

– Brzmi zachęcająco, Delaney. – Nutka rozbawienia w jego głosie uświadczyła, że nie bierze jej poważnie.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się do niego przelotnie i wróciła do mapy.

– Makijaż zrobią ci tutaj, przed wyjściem, a nie jak zwykle, na planie. Zawieziemy cię tam wynajętym samochodem, limuzyna będzie tylko dla zmyłki. Na planie ochrona będzie tu, tu, i tu.

– Zaznaczała kolejne punkty. – W miarę możliwości chciałabym, żebyś nie wychodził poza tę strefę i nie biegał co chwila do przyczepy, chyba że byłaby dłuższa przerwa w zdjęciach. – Odchyliła się do tyłu. Machinalnie bawiła się ołówkiem. – Co ty na to?

Niedbale przysiadł na biurku.

– To bardzo przemyślany, szczegółowy plan. Delaney, jesteś cholernie dobra w tym, co robisz.

– Przecież mówiłam. – Po tym, jak razem z Lucasem przeanalizowała każdy szczegół, była dużo spokojniejsza. Nie dostrzegła żadnych niedociągnięć, żadnych luk, przez które mogłoby się wdrzeć niebezpieczeństwo.

– A w studiu?

– Będzie o wiele łatwiej. Poza tym w studiu będzie ograniczona liczba osób. Producent zgodził się na to bez oporów. Pewnie ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę pod koniec filmu, są jakieś opóźnienia.

– To za mało powiedziane – stwierdził Lucas. W tym momencie zauważył listy na biurku. – Co sądzisz o Laurze?

– Że to bardzo oddana fanka. Przy takich ludziach zawsze rozdzwania się w mojej głowie

dzwonek alarmowy.

– Dlaczego? – Pochylił się nad listem. – Owszem, za każdym razem, kiedy je czytam, mam dreszcze, ale to, co pisze, wydaje się bardzo niewinne. Smutne, żałosne, tak, ale niewinne. Gdzie widzisz zagrożenie?

– W tym fragmencie, gdzie zapowiada, że będziecie razem na zawsze. Szczerze mówiąc, byłabym spokojniejsza, gdyby napisała, że cię zamorduje w najbliższy czwartek. Nie brałabym tego poważnie. Najniebezpieczniejsi psychopaci zazwyczaj sugerują wspólne przeznaczenie, zjednoczenie, połączenie na wieki wieków.

– Przerażasz mnie – bąknął.

– Taki był mój cel – uśmiechnęła się lekko.

– Co dalej?

– Z listami? Poinformujemy władze, przekazemy im te oryginały, które jeszcze mamy, i zadbamy o to, żeby jak najszybciej dostawali wszelkie dalsze.

– I to wszystko?

– Nie. Na pewno będą z tobą rozmawiali na temat wszystkich kobiet o tym imieniu, które znałeś...

– O, to trochę potrwa... – uśmiechnął się znacząco, a potem udał, że się poważnie zastanawia.

– Zobaczmy... W szkole średniej pewna Laura z zespołu dopingującego szkolną drużynę zarzucała mi, że zrobiłem jej dziecko. Znałem także pewną instruktorkę aerobiku, Laurie... szczególnym upodobaniem darzyła ćwiczenia na podłodze – dodał. – I jeszcze żona człowieka z listy najbogatszych Amerykanów. Miała obsesję na punkcie opasek na oczy i kostek lodu. Bóg jeden wie, ile chętnych fanek na moich koncertach miało na imię...

Delaney nie dała mu dokończyć.

– Lista twoich podbojów jest zapewne niewiarygodnej długości. Poczekaj z wyliczaniem ich wszystkich do rozmowy z policją.

– Dlaczego? – uśmiechnął się uśmiechem znanym z tysięcy plakatów. – Nie chcesz sama znaleźć tej właściwej Laury?

– Chyba powinnam ci co nieco wytłumaczyć, żebyś właściwie zrozumiał, na czym polega nasza rola – odparła. – Wescott and Associates to nie agencja detektywistyczna. Nie zbieramy dowodów, nie prowadzimy śledztwa. To domena policji. Oczywiście ściśle z nimi współpracujemy i przekazujemy wszelkie informacje, które nam wpadną w ręce. Naprawdę jednak naszym jedynym celem jest chronić ciebie. Na tym, i tylko na tym polega nasze zadanie. Jeśli się dowiemy, kim jest Laura i gdzie przebywa, będziemy obserwować jej poczynania, ale tylko jako środek profilaktyczny.

– Jesteś bardzo zapracowana, prawda? – Przyglądał się jej z uwagą.

– Bardzo. – Skinęła głową.

– To niedobrze. – Oddalił się od biurka. Podszedł do okna. – Masz stąd wspaniały widok na miasto.

– Byłam tak zajęta, że nawet nie zauważyłam. – Nagle zaciekawiona, wstała z krzesła. Skorzystała z okazji, by się przeciągnąć i rozluźnić zastałe mięśnie. Zrobiła kilka kroków i oto patrzyła w dół, na rzekę świateł, na betonowe wieżowce z nieregularną mozaiką oświetlonych okien, na migoczące zielenią, czerwienią i żółcią neony.

– Ta oświetlona korona to budynek Chryslera. – Przysunął się bliżej, żeby jej go pokazać. – A tamten sznurek brylantów to most Queensboro.

– Piękny. – Czując zapach jego wody po goleniu i gorączkowo usiłowała go zidentyfikować. „Giorgio for men”, zdecydowała po chwili namysłu.

– Czy mogę ci zadać pytanie osobiste?

– Zależy, jak bardzo osobiste.

– Jakim cudem trafiłaś do branży ochroniarskiej? Byłaś policjantką, czy co?

– Dokładnie rzecz biorąc, Wescott and Associates to firma zajmująca się ochroną osobistą, a nie ochroniarska. To oznacza, że możemy, ale nie musimy pracować jako goryle. – Było to typowe nieporozumienie i Delaney przywykła do wyjaśniania tych nieścisłości.

– Mój błąd. – Lucas skłonił się w żartobliwym geście przeprosin.

– Nie tylko twój.

– Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Czy nie jest trochę za późno na sprawdzanie moich kwalifikacji? – zapytała, lekko rozbawiona.

– Zatrudniłem cię. Mogę cię również wywalić, bez względu na kontrakt.

– Fakt.

– Więc? Twoje kwalifikacje?

Śmieszły ją jego dociekliwość i upór.

– Kiedy byłam w college’u, zwerbowało mnie FBI. Wtedy chyba zawód agenta wydawał mi się romantyczny i niebezpieczny. Jeszcze zanim ukończyłam Akademię FBI w Quantico, ogarnęły mnie wątpliwości. Po dwóch miesiącach pracy wiedziałam, że to nie dla mnie. Więc wróciłam do college’u i zostałam prawnikiem.

– Prawnikiem? – Jego brwi niemal dotknęły włosów. – Teraz dopiero zaintrygowało mnie naprawdę, jak trafiłaś do tej pracy.

– Przez przypadek.

– Jak to?

– Kancelaria adwokacka, w której wówczas pracowałam, miała zamożnego klienta, który dostawał listy z pogrózkami – zaczęła. Po chwili wyjaśniła: – To było prawie siedem lat temu. Pewnego dnia zbierałam się do domu akurat wtedy, gdy i on wychodził. – Wpatrzona w nocną

ciemność, przypominała sobie, jak się wówczas spieszyła, żeby w domu popracować nad pozwem. Nie pamiętała szczegółów sprawy, którą wtedy prowadziła, za to pamiętała Sanforda Greena, jednego z najważniejszych klientów, stojącego w eleganckiej recepcji. Był tam, wysoki, o ciemnych włosach przyprószonych siwizną, szczupły i wysportowany mimo pięćdziesięciu kilku lat. Z lekko pochyloną głową słuchał jednego z partnerów.

Nagle podniósł głowę i ją zauważył. Opuszczone kąciki ust uniosły się w uśmiechu, w niebieskich oczach zaśnił humor.

– Proszę, proszę, panna Wescott. Gdzie się pani ukrywała? Od wielu tygodni pani nie widziałem.

– Tak, minęło sporo czasu, prawda?. – Z najwyższym wysiłkiem zwolniła kroku i podała mu rękę. – Jak się pan miewa, panie Green?

– Doskonale, doskonale. – Ale nie brzmiało to przekonywająco. Dopiero teraz dostrzegła niezdrowy, blady odcień jego skóry i głębokie zmarszczki na twarzy, których tam wcześniej nie było. Ostatnim czasy kancelaria aż huczała od plotek na temat Sanforda Greena. Podobno ktoś zdemolował jego elegancki gabinet i zamordował ukochanego czarnego psa. Poza tym tego ciągle grożono mu śmiercią.

Delaney rzuciła ukradkowe, ale zaciekawione spojrzenie na ochroniarza, który towarzyszył Greenowi na każdym kroku. Sportowa marynarka i koszula niewiele pomogły. I tak wyglądał na tego, kim był: eksgliniarzem o umięśnionej klatce piersiowej, kwadratowej szczęce i wiecznie ponurej twarzy, czym zasłużył sobie na przezwisko Dick Trący.

– Niech się pani przyzna, panno Wescott – dopytywał się żartobliwie Green. – Czy obecny tu Adams zaproponował już pani partnerstwo w kancelarii?

Mało brakowało, a Robert Adams skrzywiłby się boleśnie słysząc to pytanie, jednak udało mu się uśmiechnąć pod nosem. Tymczasem Delaney nagle na nowo ogarnęły wszelkie negatywne uczucia, które budziła w niej ta praca. Nie wiedziała, czy winą za nie obarczać przytłaczającą atmosferę kancelarii, brak wyzwania w wybranej przez nią dziedzinie prawa, monotonię wniosków, pozwów i przesłuchań, czy może klaustrofobiczne zamknięcie w czterech ścianach.

Roześmiała się, udając, że pytanie Sanforda Greena to świetny kawał.

– Jeszcze nie, panie Green, jeszcze nie.

Robert Adams niezauważalnie odetchnął z ulgą, słysząc jej odpowiedź, ale natychmiast spochmurniał, gdy głos zabrał Green:

– Lepiej nie zasypiaj gruszek w popiele, Adams. Będzie z niej doskonały prawnik, zwłaszcza sprawdza się na sali sądowej. Pamiętasz, jak szybko zauważyła nieścisłości w materiale dowodowym w sprawie Thorgooda?

Był to proces z powództwa cywilnego. Pełniła wówczas funkcję asystentki starszego stażem

prawnika.

Posłuszna zasadom polityki firmy, choć przyszło jej to z trudem, odezwała się pierwsza, wybawiając Adamsa z kłopotu. Nie musiał dzięki temu bronić innego partnera.

– Jest pan bardzo uprzejmy, panie Green. Z wielką chęcią wysłuchałabym jeszcze wielu komplementów, ale... – Znacząco spojrzała na zegarek. – Bardzo się spieszę. Życzę miłego dnia. Do widzenia.

Podeszła do recepcjonistki.

– Jeannie, pędzę do sądu. Przy odrobinie szczęścia wrócę za godzinę. Jeśli zadzwoni Riley Owens, powiedz, że mam już wszystkie jego dokumenty. Może oficjalnie organizować wyprawy wędkarskie. Niech wyznaczy datę spotkania.

– Do zobaczenia, panno Wescott! – Sanford Green pomachał jej jeszcze raz. Zmierzał do dębowych drzwi, które prowadziły bezpośrednio na ulicę. Przed nim, jak zawsze, siedł ochroniarz.

Delaney uniosła dłoń. Kiedy odwracała się z powrotem do recepcjonistki, kątem oka dostrzegła przez wielkie okna ogrodnika. Zastanowiła się przez chwilę, co ma tu do roboty, skoro wczoraj skończył przycinać drzewa i strzyc żywopłot. Spojrzała jeszcze raz i doszła do wniosku, że nie jest to ten sam ogrodnik, który zwykle pracuje; co więcej, to wcale nie jest ogrodnik. W takim razie dlaczego czai się za krzakiem oleandra? I dlaczego wpatruje się w drzwi do kancelarii z twarzą wykrzywioną nienawiścią?

W ułamku oka ogarnęło ją przekonanie, że to nie kancelaria prawnicza jest obiektem jego nienawiści. I niemal w tej samej chwili mężczyzna znikł z jej pola widzenia. Oddalał się w stronę bocznej ścieżki, która przecinała chodnik niecałe dwadzieścia jardów dalej.

Pewna, że oto widziała człowieka, który grozi Sanfordowi Greenowi, rzuciła się do drzwi, żeby go ostrzec. Bała się tylko, że nie zdąży.

– Proszę wezwać policję, natychmiast! – krzyknęła do zbaraniałego Roberta Adamsa. Nie chciała marnować bezcennych chwil na długie wyjaśnienia.

Wybiegła na dwór akurat w odpowiedniej chwili, by zobaczyć, jak ochroniarz podchodzi do niskiego, krępego mężczyzny, który się zbliżał z przeciwka z ręką wyciągniętą w żebrałym geście. Zawahała się, ale szła dalej. Ochroniarz wziął żebraka za ramię, żeby dać mu do zrozumienia, że ma odejść. On jednak wyrwał mu się z niespodziewaną siłą. W następnym ułamku sekundy wymierzył ochroniarzowi potężny cios w tył głowy i muskularny mężczyzna bezwładnie runął na ziemię.

Po szaleńczym sprincie znalazła się u boku Sanforda Greena. Krępy mężczyzna tymczasem odwrócił się na pięcie i wymierzył w Greena z pistoletu.

– Naprawdę myślałeś, że ten goryl mnie powstrzyma, Green? – zapytał drwiąco.

Świadoma, że nie czas teraz na myślenie, tylko na działanie, Delaney zrobiła jeden szybki



krok do przodu, tak że napastnik znalazł się w jej zasięgu. Wyrzuciła nogę w wielokrotnie ćwiczonej ciosie i dłoń z pistoletem podskoczyła do góry.

Niegroźny wystrzał rozniósł się echem.

– Uciekaj! – wrzasnęła do Sanforda Greena. Wykorzystała przewagę, złapała napastnika za ramię i błyskawicznie powaliła na ziemię. Siłą uderzenia wytrąciła mu pistolet z dłoni. Z metalicznym odgłosem upadł na chodnik.

Sanford Green nie posłuchał jej. Nie ruszył się z miejsca. Był błydy jak ściana. Nie chcąc ryzykować, Delaney pociągnęła go za sobą do budynku.

– Więc ocaliłaś mu życie – podsumował Lucas Wayne.

Delaney machinalnie skinęła głową.

– Z miejsca zwolnił tamtego ochroniarza i nalegał, żebym się zgodziła dla niego pracować.

– I zrobiłaś to.

– Nie mogłam odmówić: zaproponował mi dwukrotność mojej pensji w kancelarii i roczne pobory z góry. Na szczęście parę miesięcy przedtem poznałam Rileyę. Wcześniej pracował jako agent, więc zwróciłam się do niego o radę. – Zamilkła. Przypomniała sobie, jak nerwowo wykrcęcała jego numer tamtego dnia.

Słyszając jego głos po drugiej stronie, mocniej zacisnęła dłoń na słuchawce. – Cześć, Riley. Tu Delaney Wescott.

– Delaney! Co słyhać u uroczej pani mecenas?

– Masz odpowiedzieć szczerze? Albo straciła rozum, albo o kilka lat przed czasem przechodzi kryzys wieku średniego – wyznała, po czym opowiedziała mu o całym zajściu z Sanfordem Greenem i propozycji, którą jej złożył. – I ja ją przyjąłem, Riley. A teraz muszę przejść błyskawiczny kurs ochrony osobistej. Czy mogłabym cię zatrudnić? Może nawet namówić na ostry trening?

Milczał bardzo długo, zanim się w końcu odezwał:

– Masz rację, Delaney. Jedno z nas koniecznie powinno porozmawiać z psychiatrą i obawiam się, że tą osobą jestem ja.

– Więc się zgadzasz. – Odetchnęła z ulgą.

– Zgadzam się.

– Dziękuję.

– Nie mnie dziękuj, tylko dwóm małżeństwom z Iowa, które dziś rano zabrałem na ryby. Wszyscy mieli chorobę morską. Przez ostatnie trzy godziny staram się pozbyć smrodu z pokładu. Uwierz mi, nie to sobie wyobrazałem, nazywając łódź „Życie Rileyę”.

Uśmiechnęła się, słyszając w jego głosie coś więcej niż tylko rozczarowanie.

– Więc w ten sposób zaczęłaś z Rileyem – Lucas zmienił pozycję, oparł się ramieniem o szybę, spoglądając na nią.

– Mniej więcej.

– A co z facetem, który prześladował Greena? Dowiedziałaś się, dlaczego chciał go zabić?

– Uważał, że go oszukano przy sprzedaży nieruchomości.

– I co się z nim stało?

– Trzy miesiące później aresztowano go pod zarzutem morderstwa matki.

Skrzywił się z niesmakiem.

– Przyjemniaczek.

– Po prostu do rany przyłóż – zgodziła się z przekąsem. – W każdym razie, bezpośrednio po tym założyłam Wescott and Associates.

Ulicą, o wiele pięter niżej mknął ambulans z przeraźliwym wyciem syreny.

– Jako kobieta zapewne często napotykałaś opór.

Nie tak często, jakby się zdawało. – Błądziła wzrokiem po geometrycznym krajobrazie za oknem. – Kiedy tak o tym myślę, doszłam do wniosku, że może napotykałam mniejszy opór niż kilku mężczyzn razem wziętych, którym duma nie pozwoliłaby się chować za kobiecą spódnicą.

– Czy to dlatego nosisz spodnie? Bo jeśli tak, nie musisz tego robić ze względu na mnie... chyba że masz brzydkie nogi – dodał żartobliwie.

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Noszę spodnie ze względu na nieograniczoną swobodę ruchów. Czasami jest to niezbędne.

– Lekko przekrzywiła głowę. – Jeszcze jakieś pytania?

Zmęczenie wygładzało jej rysy, kładło się ołowiem na powiekach. Światło lampy lśniło ciepło w jej włosach, zdawało się kusić jego dłonie.

– Jesteś zmęczona.

– Dziwne, zważywszy że jestem na nogach od trzeciej nad ranem, prawda? – zażartowała.

Poczuła na sobie jego ciekawe spojrzenie.

– Miałaś długi dzień.

– Ty też. – Nie zmieniła tonu głosu, nadal był doskonale obojętny.

– Właściwie nie. Rano przespałem kilka godzin.

– Szczęściarz z ciebie.

– A ty pracowałaś non stop, odkąd przyjechaliście. Piękna kobieta nie powinna tak ciężko pracować. – Dotknął jej policzka, delikatnie obrysował palcem jego zarys.

Lucas Wayne nie był pierwszym klientem, który ją podrywał. Tylko raz pozwoliła sobie przekroczyć linię dzielącą życie prywatne od zawodowego. Aż za dobrze pamiętała tamten ból. Właśnie przez to wspomnienie ogarnął ją gniew, który opanowała z najwyższym trudem, zanim

odepchnęła jego rękę i odsunęła na bezpieczną odległość.

– Przepraszam – stwierdziła. – Może nie przedstawiłam tego dostatecznie jasno: jestem tu, by dbać o twoje bezpieczeństwo, a nie o twoje potrzeby.

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

– Zaraz mi powiesz, że masz zasadę niełączenia życia prywatnego i zawodowego.

– Mam.

– Zasady są to, żeby je łamać, nie wiesz?

– Nie moje zasady.

Roześmiał się cicho.

– Intrygujesz mnie.

Wcale w to nie wątpiła, choć podejrzewała, że powody tego nie są tak oczywiste, jak mu się wydaje. Nie kwestionowała jednak, że zna się na rzeczy; wiedział, jak traktować kobietę, jak z nią rozmawiać, jak sprawić, by poczuła się kimś wyjątkowym. Nie mogła ocenić, czy robił to instynktownie, czy była to przećwiczona metoda. W każdym razie była skuteczna. Może nawet dałaby się na to nabrać, gdyby nie wiedziała, że zaledwie parę godzin wcześniej był w łóżku z tą aktoreczką, Tory Evans.

– Wyjašnjmy sobie coś. Stawką w tej grze jest bezpieczeństwo: twoje i moje. – Po jego minie zorientowała się jednak, że nadal nie rozumie, więc tłumaczyła dalej: – Moja praca to chronić ciebie. A to oznacza, że mam cię obserwować.

Nie mogę na ciebie patrzeć ani z tobą gawędzić. Krótko mówiąc, nie mogę poświęcać ci uwagi. Muszę się skupić na ludziach wokół ciebie: kto podchodzi, odchodzi, kto jest, a kogo nie ma w pobliżu. I wiesz co? Wcale ci się to nie spodoba, bo nie jesteś przyzwyczajony do tego, by kobiety cię ignorowały. Aleja muszę: na tym właśnie polega moja praca. Więc nie traktuj tego jako wyzwania. Nie flirtuj ze mną ani mnie nie rozpraszaj, ani publicznie ani prywatnie. Jasne?

– Jasne. – Znał wiele kobiet, ale ta wysoka, zwinna brunetka nie przypominała żadnej z nich. Czyjej się to podoba, czy nie, jest dla niego wyzwaniem, i to bardzo interesującym. – Jedno pytanie.

– Słucham?

– Czy mógłbym cię rozproszyć?

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

– Niestety, nie jestem Superwoman. Czy to zaspokaja twoje męskie ego?

– Chwilowo tak.

– To dobrze. – Odeszła od okna. – Nie obraż się, ale jest już późno, a samochód przyjedzie po ciebie o szóstej rano.

– Zrozumiałem aluzję. – Zanim wyszedł, zatrzymał się w progu. – Delaney, jeśli nawet wcześniej mnie nie intrygowałaś, to teraz to się zmieniło.

– Dobranoc – powiedziała tylko.

– Dobranoc, Delaney.

## Rozdział piąty

Słusznie przewidując, że rano przed studiem filmowym będą się kłębić tłumy dziennikarzy, Delaney zdecydowała, że Lucas wejdzie bocznym wejściem. Wewnątrz budynku Riley zaprowadził aktora do garderoby, a ona ustalała ostatnie szczegóły z szefem ochrony.

Ku jej uldze Riley od samego ranka znowu był sobą: kompetentnym, dowcipnym przyjacielem. Po jego tajemniczych uwagach czynionych poprzedniego wieczora nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Riley jednak zachowywał się jak gdyby nigdy nic i Delaney postanowiła pójść w jego ślady.

Lucas siedział przed dużym lustrem, gdy do nich dołączyła. Riley znalazł sobie stołek przy drzwiach. Palił i starał się nie zrzucić kubka z kawą, który postawił sobie na kolanie.

Wizażystka, rudzielec z trwałą na głowie i grubą warstwą cieni na powiekach, kręciła się koło Lucasa z pędzlem do pudru w jednej i tubką podkładu w drugiej dłoni.

Riley podniósł kubek i wskazał na telewizor stojący pod przeciwną ścianą.

– Popatrz tylko. Arthur nie pomylił się co do niej.

Nadawano poranne wiadomości. I oto w studiu, obok prezentera, siedział nie kto inny, jak blond gwiazdka Tory Evans. Delaney podeszła do Riley'a, żeby lepiej widzieć ekran.

– Co do tej pory powiedziała?

– Niewiele. Opis strzelaniny z jej perspektywy. Głównie własne odczucia.

Na ekranie sprawiała wrażenie bardzo szczerej.

– Prawnik Luke'a tam był. Zabrał nas do siebie. Tam rozmawiałam z policjantami i opowiedziałam im o wszystkim.

– Świetnie, mała. – Riley zaciągnął się dymem. – Teraz wszyscy wiedzą, gdzie on jest, z prasą na czele.

Delaney tymczasem zastanawiała się, czy Laura też ogląda ten program. Ostatnimi czasy tyle osób uzależniało się od telewizji, łączywie chwytano każdy strzęp informacji o obiekcie ich uwielbienia.

– Prawnikiem i managerem Lucasa Wayne'a jest Arthur Golden, prawda? – zapytał prezenter.

– Tak.

– Czy właśnie u niego zatrzymał się Lucas Wayne?

Tory Evans bojaźliwie zerknęła do kamery.

– Był tam, ale nie wiem, czy jest nadal.

– Tak, rozumiem. A film, w którym oboje występujecie...

– „Krzyk wśród nocy” – gorliwie podpowiedziała tytuł.

– Czy już skończyliście zdjęcia?

– Prawie. Jak ci zapewne wiadomo, kręcimy tutaj, na Manhattanie. Została jeszcze jedna duża scena ze mną i z Lukiem. Będziemy ją kręcić jutro, w Central Park.

– Cholera. – Riley cisnął do kosza na śmieci swój kubek wraz z zawartością. – Powinniśmy byli ją zakneblować, zanim wyszła na zewnątrz – mruknął pod nosem.

– Święta racja – zgodziła się. Riley zajął swoje miejsce przy drzwiach. Ledwie tam stanął, gdy do garderoby wpadł goniec w podartych dżinsach i koszulce bez rękawów.

– Telefon do pana Wayne’a. Na drugiej linii.

– Kto? – Delaney kontrolowała sytuację. – Jakaś Susan. – Zmarszczył brwi. – Na nazwisko ma Jack, czy coś takiego.

– St. Jacques? – podsunął Lucas.

– Może i tak. Czy mam przekazać, że pan oddzwoni?

– Nie, odbiorę. – Uśmiechnął się przeproszająco do wizażystki i wstał, żeby podejść do telefonu. – Susan, co u ciebie? – Mówił ciepło i przyjaźnie, ale miał poważną minę. – U mnie wszystko w porządku... Prawdopodobnie wyjeżdżam stąd w sobotę. Jeśli o mnie chodzi, im szybciej, tym lepiej...Zadzwoń za dzień-dwa, kiedy wszystko będzie ustalone... Tak, kolacja to dobry pomysł... Nie martw się, dam sobie radę... Muszę lecieć, Monica czeka, żeby mnie ucharakteryzować. Później zadzwonię.

Plastikowa narzutka szeleściła, kiedy wracał na fotel.

– Susan prowadzi w Aspen galerię – wyjaśnił lekceważąco. – Przypomnij mi, żebym ci dał jej telefon i adres. Kiedy mnie nie ma w mieście, zagląda czasem do mojego domu. Pokaże ci dom i ogród.

Przez chwilę Delaney zrobiło się zimno. Do tej pory skutecznie odsuwała od siebie myśl o wyjeździe do Aspen. Zbeształa się myślach. W Aspen nie ma nic ani nikogo, kto mógłby ją skrzywdzić. To się skończyło dawno temu. Ma zadanie do wykonania.

Odpowiedziała Lucasowi coś bez znaczenia i oddaliła się pod pozorem telefonu do Arthura, żeby powiadomić go o wywiadzie z Tory Evans na wypadek, gdyby go przeoczył.

Niecałe dwie godziny później siedziała cicho w garderobie. Riley stał na zewnątrz, za zamkniętymi drzwiami. W przeciwnym krańcu pomieszczenia Lucas nerwowo chodził tam i z powrotem, zatrzymując się jedynie po to, by upić łyk kawy z kubka ze swoim imieniem. Na małym stolczku leżał otwarty scenariusz, lecz nie zajrzał doń ani razu. Delaney nie wiedziała, czy drażni go beczyność, czy też może w ten sposób wchodzi w rolę, stymuluje przyływ adrenaliny. Na wszelki wypadek siedziała cicho.

Po długim dniu na planie Lucas wrócił do mieszkania Arthura Goldeny bez żadnych przygód. Riley upewnił się, że drzwi są starannie zamknięte, zanim odwrócił się do Delaney:

– Jeden dzień zdjęciowy już za nami. Został jeszcze jeden.

– Za to o wiele gorszy – uzupełniła ponuro.

## Rozdział szósty

Ranek przyniósł smog i cienką warstwę chmur, które przygasiły blask słońca spowiły Manhattan bladym światłem. Światłem, o jakie filmowcy błagają niebiosa, gdy kręcą w plenerze. Światłem, które oznacza mniej przerw na dostosowanie układu sceny do ciągle zmiennej pozycji słońca i przy łucie szczęścia gwarantuje szybsze, sprawniejsze ukończenie zdjęć.

Delaney stała przy wysokim oknie w salonie i obserwowała sunącą ulicą rzekę samochodów. Poranny szczyt już minął i auta poruszały się równomiernie; powoli, ospale, zderzak przy zderzaku, lecz jechały naprzód, zatrzymując się jedynie na czerwonym świetle. Chodniki, jak zwykle, były zatłoczone spieszącymi gdzieś ludźmi. Nie zwracali uwagi na narastający upał, zamknięci w sobie, skoncentrowani na sobie tylko wiadomym celu, jak większość mieszkańców Nowego Jorku.

Dwadzieścia pięter wyżej warkot samochodów, piski klaksonów, dalekie wycie syren, wszelkie odgłosy miasta zdawały się czymś odległym, ledwo słyszalnym, były raczej wspomnieniem niż prawdziwym doznaniem.

– Co cię trapi?

Odwróciła się od okna. Nie zdziwiło jej to pytanie z ust Riley'a. Wiedziała, że stał tuż obok i jak pozostali czekał na telefon, że w Central Park wszystko gotowe i mogą przywieźć Lucasa.

– Nic. Po prostu jeszcze raz sprawdzałam w myślach, czy nie zostawiliśmy jakiejś luki – odparła.

Była zdenerwowana i rozdrażniona, lecz nie miało to nic wspólnego z dzisiejszym dniem. Z następnym i innymi dniami tak, lecz nie dzisiejszym.

Zadzwonił telefon. Riley odebrał. Słuchał, nie spuszczać jej przy tym z oka.

– W porządku – skinął głową. – Jedziemy. – Odłożył słuchawkę, lecz nie odszedł od telefonu. – Za dwadzieścia minut chcę go mieć na planie. Zadzwonię na dół i zapytam, czy limuzyna podstawiona.

– I czy przy Plaża czeka samochód, do którego się przesiądziemy?

Riley tylko skinął głową. Po niecałej minucie zakończył rozmowę.

– Idę na dół. Czekam przy windzie. – Podeszedł do drzwi. Mówił coś półgłosem do swojej krótkofalówki.

Delaney podniosła torebkę ze stolika, sprawdziła, czy broń jest w środku, i przerzuciła skórzany pasek przez ramię. Ze względu na letni upał miała na sobie białe spodnie i czerwoną koszulkę, a włosy zaplotła we francuski warkocz, żeby nie grzały jej w kark. Podeszła do Lucasa Wayne'a, któremu nałożono już charakterystyczną. – Idziemy?

– Idziemy – powtórzył i potrząsnął głową ze zdumieniem. – Delaney, jesteś jedną z bardzo nielicznych znanych mi kobiet, która nie poprawia makijażu przed wyjściem.



– Na to był czas, zanim zadzwonił telefon.

– To by ich nie powstrzymało.

– Nie miałyby szans na pracę u mnie.

Wyszli. Mężczyzna przy drzwiach nacisnął guzik windy, gdy ich zobaczył.

– U Riley'a wszystko w porządku.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie.

– Powiedz mu, że zjeżdżamy dwójką. – Delaney wepchnęła Lucasa do kabiny. Ochroniarz powtórzył jej wiadomość i wsiadł z nimi. Zerknęła na Lucasa kątem oka. – Wiesz, co masz robić.

Potwierdził ruchem głowy. W kącikach ust czaił się uśmiech, który zdradzał lekkie znudzenie i rozbawienie.

– Wasz człowiek idzie przodem, ja za nim, ty i Riley po bokach, i jeszcze jeden ochroniarz za mną.

– A gdy już będziemy na zewnątrz, nie zatrzymujesz się, żeby rozdawać autografy, pozować do zdjęć, choćbyś zobaczył pod nogami banknot tysiąc dolarowy.

– Tak jest! – zsalutował żartobliwie. – A co z prasą? Znowu będziemy musieli przebijać się przez tłum dziennikarzy?

Delaney pytająco spojrzała na swojego człowieka.

– Gary, wiesz coś na ten temat?

– Do niedawna były trzy, cztery osoby.

– Czyli albo czekają w parku, albo to już nieciekawny temat – podsumowała lekko.

Zacisnął usta w wąską linię.

– Chciałbym, żeby tak było.

Winda zatrzymała się gwałtownie, aż żołądki podeszły im do gardła. Riley czekał przy samych drzwiach. Odszukał na moment wzrok Delaney, po czym stanął bokiem, zasłaniając ich przed tłumem. Chwilowo szedł przodem, prowadząc całą grupę do szklanych drzwi.

Od razu zobaczyła limuzynę. Drobny, szczupły Bennie, kierowca o nie dającym się wymówić greckim nazwisku Papagiannopoulos czekał przy otwartych tylnych drzwiach. Zawadiacko przesunął szoferską czapkę na tył głowy. Delaney przeniosła wzrok na ludzi przed budynkiem. Mężczyzna w marynarce zszedł z chodnika, żeby złapać taksówkę. Zaklął siarczyście i gniewnie walnął pięścią w karoserię, kiedy taksówkarz z fantazją zjechał na bok, o mały włos go przy tym nie potracając. Pospiesznym krokiem minęła go kobieta o nastroszonych niebieskich włosach, w sznurowanych sandałach po kolana, z wielką torbą przerzuconą przez ramię. Wszystko jak zwykle.

Jasnowłosy MacDonald czekał na zewnątrz. Widząc, że nadchodzą, otworzył jedno skrzydło drzwi. Delaney wyszła prosto w upał. Słupek ręki z pewnością przekroczył trzydzieści stopni C, a jest jeszcze wcześniej. Powietrze nawet nie drgnęło. Automatycznie zajęła miejsce u boku

Lucasa, po jego prawej stronie. Lewą ręką popychała go stanowczo w stronę limuzyny. Cały czas przeczesywała wzrokiem tłum.

Fotograf, który dotychczas beczynn timer podpierał ścianę, ożywił się błyskawicznie. Delaney rzuciła na niego okiem i w tym momencie dostrzegła kobietę w okularach przeciwsłonecznych, która wychodziła z sąsiedniego sklepu.

W jej głowie rozdzwonił się alarm.

– Riley, kobieta w okularach po mojej prawej stronie – powiedziała półgłosem. Nie czekając na jego reakcję, pchnęła Lucasa do limuzyny. – Do wozu! Już!

Gdy obaj, Riley i MacDonald oddalili się, żeby sprawdzić kobietę w bezkształtnej sukience, Lucas zwolnił kroku. Zanim zdążył się zatrzymać i obejrzeć za siebie, złapała go za kark i pchnęła do czekającej limuzyny.

– Powiedziałam: Idziemy!

Jednocześnie osłaniała go własnym ciałem.

Zerknęła przez ramię. Byli już przy kobiecie. Potem zajęła się doprowadzeniem Lucasa do samochodu. Puszczala mimo uszu rozpaczliwe krzyki Riny Cole:

– Lucas! Lucas, proszę, chciałabym tylko porozmawiać. Przepraszam. Nie chciałam! Nie miałam zamiaru cię skrzywdzić. Musisz mi uwierzyć! Kocham cię!

Aparaty fotograficzne strzelały jak pistolety. Tylne drzwi limuzyny były tuż-tuż. Delaney wepchnęła Lucasa, sama wskoczyła za nim i poleciła Benniemu:

– Zamykaj drzwi i zmykamy stąd.

– Puśćcie mnie! – dobiegły ją gniewne protesty Riny Cole. – Lucas, nie zostawiaj mnie tu! Ty sukinsynu, wracaj! – piekliła się. – Jak śmiesz tak mnie traktować! Lucas! Nie wolno ci! Słyszysz? Nie wolno!

Drzwi się zamknęły. Krzyki Riny zostały na zewnątrz, tu słychać było jedynie monotony szum klimatyzacji. Po kilku sekundach Bennie siedział za kierownicą. Odwrócił się do pasażerów i pytająco spojrział na Delaney.

– Gaz do dechy, Bennie! – poleciła.

– Tak jest, psze pani! – Z dłońią na klaksonie i piskiem opon wyprowadził czarną limuzynę na jezdnię; wymusił przejazd tam, gdzie nie miał do tego prawa.

– A co z Rileyem i resztą? – zaprotestował Lucas.

– Dogonią nas, albo przy Plaża, albo w parku. – Usiadła wygodniej na aksamitnym siedzeniu i puściła kolbę pistoletu. Nawet nie pamiętała, kiedy wsunęła dłoń do torebki i kurczowo zacisnęła ją na broni. Opadła na oparcie. Jej oddech powoli się uspokajał, poziom adrenaliny opadał, puls zwalniał.

– Juhuuuu! – Bennie radośnie klepał kierownicę i jak dziecko podskakiwał na fotelu kierowcy. „Gaz do dechy, Bennie”, powiada. Zupełnie jak na filmie, prawda, panie Wayne? –

Zadarł głowę, żeby widzieć ich w lusterku. – Przez całe życie czekałem, aż ktoś mi to powie. Taka praca mi się podoba, daję słowo.

– Już nam nic nie grozi – powiedziała Delaney, niepewna, czy istotnie znajdowali się w niebezpieczeństwie. – Może pan zwolnić, Bennie.

– Skąd wiedziałaś, Delaney? – Lucas Wayne przechylił głowę na bok. – Skąd wiedziałaś, że to Rina? Ja też ją widziałem, i nie rozpoznałem. Przecież zaledwie rzuciłaś na nią okiem, a mimo to ją rozpoznałaś. Jakim cudem?

– Z powodu chustki i okularów przeciwsłonecznych – odparła. Widząc jego zdziwienie, wytłumaczyła dokładniej: – W sytuacjach, gdy wokół jest dużo ludzi: na ulicach miasta, w salach wykładowych, na dużych przyjęciach, trzeba mieć szósty zmysł, wypatrywać, co nie pasuje do reszty. Czasami jest to jedyny sygnał ostrzegawczy. Gruby płaszcz w ciepły dzień, posepna twarz wśród roześmianych, albo... okulary przeciwsłoneczne i chustka na głowie w pochmurny, bezwietrzny dzień. Kiedy to zauważyłam, zadałam sobie pytanie: dlaczego stara się ukryć twarz?

– Mogło się okazać, że ma podbite oko i nie zdążyła się uczesać – zauważył. – I co wtedy?

– Wtedy wycierałabym twarz ze zgniętego pomidora, a Riley przeproszałby uniżenie – przyznała z lekkim uśmiechem.

– Ale miałaś rację – stwierdził do siebie raczej niż do niej. – Prawdopodobnie uratowałaś mi życie.

– Nie sądzę – pokręciła głowę. – Z tego, co mówiła, i z tego, co ty o niej opowiadałeś, wnioskuję, że teraz jest w fazie skruchy. Nie mnie jednak oceniać takie rzeczy. Moim zadaniem jest cię chronić Może. – Zmrużył oczy. – Ale nadal nie mieści mi się w głowie, że tak szybko zareagowałaś.

Świadoma, że jego niedowierzanie wynika z faktu, że zrobiła to kobieta, poczuła irytację i odpowiedziała mu zbyt ostro:

– W takich sytuacjach nie ma czasu na myślenie, tylko na działanie. Z czasem to odruch.

– Odruch? Zaprogramowana reakcja na dane okoliczności? – mruknął z błyskiem zainteresowania w oku. – Intrygujesz mnie, Delaney. Intrygujesz mnie jak diabli.

Limuzyna zatrzymała się przed hotelem Plaża, gdzie czekał wynajęty samochód. Przesiedli się szybko. Już mieli odjeżdżać, kiedy drogę zajechała im taksówka. Wskoczyli z niej Riley i MacDonald. Podbiegli do samochodu.

– Co z Rina? – zapytała Delaney, ledwie ruszyli.

Riley i MacDonald spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym Riley odpowiedział:

– Powiedzmy, że kiedy odjeżdżaliśmy, nie była grzeczną dziewczynką.

– Żartujesz? – MacDonald głośno wypuścił powietrze z płuc. – Pułk piechoty morskiej mógłby brać u niej lekcje przeklinania.

– Gdzie jest?

Riley się uśmiechnął.

– Z policjantami. Zaproponowali jej przejazd albo do domu, albo na posterunek.

Lucas zachichotał.

– Nie mogła przepuścić takiej okazji.

Pozostała część dnia upłynęła spokojnie, bez żadnych incydentów. Wieczorem Delaney przebrała się w bawełnianą sukienkę w kropki i razem z Rileyem krok po kroku analizowali plany najbliższych dni. Kiedy skończyli, wyprostowała się gwałtownie i szybkim, nerwowym ruchem odsunęła ciemne włosy z czoła.

– Dobra – ucieła, czując z przykrością, że nadchodzi ból głowy. – Czy uważacie, że dacie sobie beze mnie radę? – Riley posłał jej tak ponure spojrzenie, że skrzywiła się ze skruchą. – Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Masz w tym więcej doświadczenia niż ja, Riley. Przepraszam.

– Miałaś ciężki dzień – zbył jej słowa wzruszeniem ramion.

– To prawda – skinęła głową. Wsunęła palce we włosy, żeby rozmasować pulsujące punkty na skroniach. Zobaczyła, jak wyciąga papierosa z paczki i wsuwa do ust. – Poczęstuj mnie.

Zdziwiony, uniósł brwi.

– Przecież rzuciłaś.

– Wracam do nałogu.

– Brak jaj? – zażartował.

– Brak silnej woli. – Wyjęła papierosa i nachyliła się do płomyka zapalniczki. Wyprostowała się, zaciągnęła głęboko, i natychmiast z powrotem wypuściła dym.

– Czym się tak denerwujesz, Delaney?

– Chyba tą sprawą z Riną Cole. – Skłamała, ale zarazem udało jej się ubrać w słowa niejasne myśli, które chodziły jej po głowie. – Z jednej strony jestem przekonana, że zajście w hotelu to był jednorazowy incydent, i nie wierzę, że dalej ścigałaby Lucasa Wayne'a, żywiąc złe zamiary. Zwariowana fanka? Owszem. Ale Rina Cole? Nie.

– Czy to, że jest Riną Cole, znaczy, że nie może jej odbić? – sprzeciwił się Riley.

– Nie, nie znaczy. – Nerwowo bawiła się papierosem. – Ale coraz trudniej mi przychodzi traktowanie całej tej sprawy poważnie i nie mogę sobie z tym dać rady.

Czy może raczej bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że nie miała ochoty tego zadania poważnie, bo nie chciała, żeby trwało dłużej niż absolutnie konieczne.

– To twoja praca, Delaney. Zatrudniono cię w określonym celu. Nieważne, czy twoim zdaniem to ma sens czy nie.

– Wiem. – Z westchnieniem zacytowała własną żelazną zasadę: „Nie my mamy oceniać, czy niebezpieczeństwo jest rzeczywiste, czy wymaginowane; to zadanie policji”. Zazwyczaj jednak nie muszę sobie tego co chwila powtarzać, a teraz tak.

– A może niepokoi cię goguś Lucas, a nie Rina Cole.

– Goguś – powtórzyła ze złośliwym uśmiechem. – To określenie zdradza twój zaawansowany wiek, Riley.

Puścił mimo uszu jej zaczepkę.

– Przystawiał się do ciebie, prawda?

– Odnoszę wrażenie, że przystawia się do każdej kobiety, która pojawia się w jego życiu. To dla niego równie naturalne jak oddychanie.

– Może i tak, ale większości kobiet bardzo by się to spodobało.

– Nie jestem taka jak większość kobiet – stwierdziła. – Zresztą nie mam najmniejszego zamiaru wiązać się z klientem.

– Po raz drugi, chciałaś powiedzieć – uściślił, jakby zapomniała o pierwszym.

– Znowu do tego wracamy? – Zirytowana zaciągnęła się papierosem.

– Do czego? Do Aspen?

– Riley, zacięła ci się płyta czy co?

– Przynajmniej nie unikam tematu, w przeciwieństwie do ciebie.

– Niczego nie unikam. – Ze złością zdusiła na wpół wypalonego papierosa w popielniczce.

Riley skrzywił się boleśnie.

– Czy ty masz pojęcie, ile teraz kosztują papierosy? Trzeba było powiedzieć, że chcesz tylko kilka razy pociągnąć. Mogłaś wziąć ode mnie.

– Przepraszam. – Teraz kiedy nie miała już papierosa, żeby się czymś zająć, nerwowość powróciła. – Skoro nie musimy niczego razem ustalać, chciałabym się spakować.

– Czyli, innymi słowy, nie chcesz więcej rozmawiać na ten temat.

– Riley... – zaczęła niecierpliwie.

Uniósł dłoń na znak zgody.

– Nie obawiaj się, pojąłem aluzję. – Podeszedł do drzwi. – Nie zapomnij, że moja siostra wpadnie do biura i zostawi dla mnie trochę ciuchów.

– Zabiorę je ze sobą – obiecała.

– Dziękuję. – Z tym słowem znikł w korytarzu.

Pochyliła się nad pokrowcem na ubrania. Sprawdziła, czy wieszaki są właściwie umocowane, zasunęła zamek błyskawiczny. Do zapakowania do torby podręcznej zostało jedynie krótkie kimono. Składała je starannie, gdy do pokoju wszedł Lucas Wayne.

– Dowiedziałem się od Riley, że wyjeżdżasz. – Objął wzrokiem jej bagaże.

– Tak. Złapię najbliższy samolot do Los Angeles, wpadnę do biura, żeby załatwić najpilniejsze sprawy, i lecę do Aspen, przygotować wszystko na twój przyjazd. – Sprawdziła, czy brzegi kimona są idealnie równe, i złożyła je w czworo. – Riley da sobie radę.

– Nie wątpię. – Niedbale oparł się o biurko. Poprzednia ostrość znikła bez śladu, znowu był

beztroski i swobodny. – Ale przyzwyczałem się do ochroniarza z zaokrąglonymi kształtami.

– Powiem Rileyowi, żeby założył ochraniacze. – Ułożyła kimono na samym wierzchu.

Czuła, jak śledzi wzrokiem jej najmniejszy ruch.

– Niestety, to nie to samo.

– Rileyowi na pewno kamień spadnie z serca. – W kąciach jej ust pojawił się uśmiech.

Wstał z biurka, żeby podejść do niej.

– Będzie mi ciebie brakowało, Delaney.

– Przecież zobaczymy się w sobotę.

– To za długo – stwierdził, lekko unosząc ciemne brwi. – A ty? Będziesz za mną tęskniła?

Nie ukrywała rozbawienia.

– Gwarantuję, że będę o tobie myślała przez lwią część czasu.

– Owszem, ale mam przykre przeczucie, że nie o takie myślenie mi chodzi.

– Pewnie nie.

Już miała się odwrócić, kiedy delikatnie uniósł jej podbródek.

– Więc muszę coś na to poradzić.

Pochylił głowę, żeby musnąć jej usta pocałunkiem, który do niczego nie zmuszał, lecz wszystko obiecywał. A Delaney rozumiała, czując słaby płomień w żołądku, że Lucas Wayne wie bardzo dużo o kobietach – w tym także i to, jak się z nimi kochać.

Od drzwi dobiegło dyskretne chrząknięcie.

Lucas oderwał się od niej, w czym mu wydatnie pomogły jej silne dłonie. Ze złością łypnął na postać przy drzwiach. Delaney nie zwracała sobie tym głowy. Miała niemiłe wrażenie, że już wie, kto puka.

– Przepraszam, jeśli wam przeszkodziłem. – Riley był denerwująco zadowolony z siebie. – Ale przypomniałem sobie, że mam u siebie te dokumenty. Delaney powinna je zabrać ze sobą.

– Nie ma sprawy. I tak już skończyliśmy, prawda? – Pytanie było skierowane do Lucasa, przez chwilę zupełnie zignorowała Rileyę. Unikała jego wzroku.

Lucas z trudem wziął się w garść. Zrozumiał, o co jej chodzi.

– Na razie – uściślił z błyskiem w oku. – Do zobaczenia w sobotę. Lucas wychodził z pokoju, a Riley podchodził coraz bliżej, nie spuszczać z niej badawczego spojrzenia. Nie mogła tego wytrzymać. Zaczerwieniła się i odwróciła, częściowo ze złości, częściowo ze wstydu.

– Ani słowa, Riley – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– O czym? – zapytał z miną niewiniątka. – Czyżby chodziło o twoją nienaruszalną zasadę niemieszania pracy i życia prywatnego?

Nie była w stanie patrzeć w jego drwiące oczy. Wyrwała mu dokumenty z ręki.

– Tanie tak, jak myślisz.

– Skoro tak mówisz. – Niedbale przycupnął na oparciu kanapy. Splótłszy ręce na piersiach

obserwował, jak nerwowo upycha papiery do torby podróżnej. – Mówi się, że nic tak skutecznie nie goi złamanych serc jak nowa miłość.

– W moim życiu nie ma miejsca na żadną miłość, ani nową, ani starą. – Zatrzasnęła zamek z niepotrzebną energią.

– Naprawdę? – Jego zainteresowanie było szczere. – Więc w przyszłości nie chcesz wyjść za mąż? Nie chcesz się ustatkować, założyć rodziny?

Delaney odwróciła pytanie.

– A ty?

– Oczywiście.

– Naprawdę? – Zdumiona, odwróciła się gwałtownie, przekonana, że żartuje.

– Co cię tak dziwi? – Zaciekawiony przechylił głowę na bok. W kącikach ust czał się ironiczny uśmiešek. – Że poznałem kobietę, z którą chciałbym się ożenić, czy to, że ona mogłaby za mnie wyjść?

– Nie... Po prostu... Nigdy nie mówiłeś, że się z kimś spotykasz. – Sama przed sobą przyznała, że coś takiego nawet jej nie przyszło do głowy.

– Jest wiele rzeczy, o których ci nigdy nie mówiłem, ‘Laney. – Wstał, patrząc jej prosto w oczy. Znaleźli się tak blisko siebie, jak nieskończenie wiele razy w przeszłości. Tylko że tym razem było inaczej. Nie potrafiła dokładnie określić, co to jest. Było to coś niejasnego i niepokojącego. – Bardzo wiele – podkreślił, zanim odszedł. – Życzę ci spokojnego lotu. Do zobaczenia w Aspen.

– Tak – mruknęła, zmieszana, nie wiadomo dlaczego.

Gdzieś w głębi mieszkania zegar wybił godzinę, przypomniał jej, że musi zdążyć na samolot. Zamyślona, podniosła bagaże i ruszyła do wyjścia.

## Rozdział siódmy

Przez koronkowe firanki w hotelu wpadało jasne światło poranka. Za ledwie o kilka ulic dalej wznosiła się góra Aspen, przez miejscowych nazywana Ajax. Jej wierzchołek niął wśród chmur. Wzdłuż zboczy wiły się trasy narciarskie, w lecie zielone od trawy. U stóp góry leżało miasteczko Aspen, powstałe pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku jako osada górnicza. Ci, którzy zrobili fortunę na wydobywaniu tu srebra, przekształcili osiedle w eleganckie wiktoriańskie miasteczko. Ślady tamtych lat do dziś były widoczne: przypominały je szerokie, wysadzone drzewami aleje, stylowe budynki w charakterze epoki, malutkie domki jak z piernika i wykwintne rezydencje.

Po długim okresie zastoju dzisiejsze Aspen ponownie przyciągało pięknych, moźnych i znanych, przyjeźdźali do małej doliny ukrytej wśród Gór Skalistych. Mniej więcej na tym kończyła się wiedza Delaney o Aspen.

Gwałtownie odwróciła się od okna. Ogarnęła wzrokiem wiktoriańskie umeblowanie pokoju. Tapeta w kwiatki przywoźiła na myśl miniony wiek. Narzuta z falbaną przykrywała pościel na staroświeckim mosiężnym łozu. Po jego bokach stały nocne stoliki o marmurowych blatach. Nocleg w hotelu Jerome był pomysłem ojca.

Przypomniała sobie jego reakcję, kiedy poprzedniego ranka wróciła do swego domku w kanionie, żeby się spakować. Ledwie usłyszał, dokąd Delaney się wybiera, na jego twarzy pojawił się niepokój.

– Ale przecież właśnie tam...

Przerwała mu, zanim powiedział coś więcej. – Wiem. – Podeszła do szafy, wyjęła kolejną porcję ubrań i zaniósła na łozko.

Ojciec ominął psa, który ułożył mu się pod nogami.

– A co, jeśli na niego wpadniesz...

– No, co? – odcięła się z udawaną obojętnością. – Jakoś to przeżyję. Tak samo jak przeżyłam wtedy. – Celowo zmieniła temat. – Wiedziałeś, że Riley ma dziewczynę?

– Riley? Chyba żartujesz!

– Tak samo zareagowałam, kiedy mi powiedział. – Nie przerywała pakowania. – Nawet wspominał o małżeństwie.

– Znasz ją?

– Nawet nie wiem, kto to jest.

– Właściwie mnie to nie dziwi – stwierdził po chwili. – Riley ma twarz pokerzysty. Nigdy nie można po nim niczego poznać.

– Święta prawda. – Delaney skinęła głową. – A przy okazji, postaraj się pamiętać



o podlewaniu kwiatków podczas mojej nieobecności. Tylko ich nie utop!

– Poproszę Eddi, żeby się tym zajęła. Może dzięki temu przeżyją – stwierdził, po czym zapytał. – Gdzie się zatrzymasz?

– Nie wiem jeszcze. Poproszę Glendę, żeby mi zarezerwowała jakiś hotel.

– Mówiłem ci chyba, że w młodości zdarzało mi się wpadać do Aspen, dawno, jeszcze w latach pięćdziesiątych – zaczął z rozmarzeniem, a po chwili dodał pośpiesznie: – Oczywiście zanim poznałem twoją matkę. To były czasy, Delaney.

Z westchnieniem zapatrzył się w dal. Delikatny uśmiech wygładzał jego ostre rysy, aż stał się niemal przystojny. Kiedy ponownie się odezwał, wspominał przeszłość, co ostatnio zdarzało mu się coraz częściej.

– W tamtych latach do Aspen przyjeżdżały największe gwiazdy: Coop, Norma Shearer, Lana Turner... była wówczas żoną Lexa Barkera... i Duke Wayne. Miał mocną głowę i twarde pięści. W pewnym starym hotelu był bar, który wszyscy namiętnie odwiedzali. To był imponujący stary budynek. Zbudowano go w czasach kopalni srebra. Był podniszczony i zaniedbany, ale spodobałby ci się, Delaney. Spędziłem tam wspaniałe chwile. Hotel Jerome, tak się nazywał – oznajmił pstrykając palcami. – Hotel Jerome. Powinnaś tam się zatrzymać.

– Poproszę Glendę, żeby się zorientowała, co się da zrobić – obiecała.

Delaney wiedziała, jak bardzo ojciec się ucieszy, kiedy mu powie, że hotel Jerome nie tylko stoi nadal, ale że przeszedł również gruntowny remont. Wieczorem zajrzy na drinka do baru, który tak ciepło wspominał. Do tego czasu jednak miała długą listę spraw do załatwienia przed jutrzejszym przyjazdem Lucasa Wayne'a.

Wyjęła z torby swój notes i kartkowała go pośpiesznie, dopóki nie znalazła nazwiska i numeru telefonu przyjaciółki Lucasa, Susan St. Jacques.

– Galeria St. Jacques. Dzień dobry – powitał ją radosny głos w słuchawce.

– Dzień dobry – odparła automatycznie. – Proszę z Susan St. Jacques.

– Czy mogę zapytać z kim mówię? – Głos dziewczyny nie tracił radosnego brzmienia.

– Delaney Wescott. – Potarła bolące czoło. Za wcześnie na migrenę.

– Chwileczkę.

Nie minęło nawet tyle czasu, a w słuchawce usłyszała inny głos – nie tak radosny, ale równie ciepły i serdeczny.

– Pani Wescott. Lucas mówił, że się pani ze mną skontaktuje. Kiedy przyjedzie pani do Aspen?

– Już tu jestem.

– Naprawdę? Ale z tego, co mówił Lucas, wywnioskowałam, że zjawi się pani późnym popołudniem.

– Przyleciałam wczoraj w nocy. – I nieprzytomna padłam na łóżko, dodała w myśli. – Kiedy może mi pani pokazać dom?

– To niestety nie jest takie proste. Za kilka minut mam umówione spotkanie. Prawdopodobnie będę zajęta aż do południa. Gdzie się pani zatrzymała?

– W hotelu Jerome.

– Cudowny, prawda? Na pewno będzie pani zachwycona – zapewniła, po czym wróciła do poprzedniego wątku rozmowy: – Umówmy się wstępnie na dwunastą trzydzieści, w lobby. Jeśli się okaże, że nie zdążę, zadzwonię.

– Dobrze. Ja również mam kilka spraw do załatwienia, ale wrócę na wpół do pierwszej. Gdyby mnie nie było, proszę zostawić wiadomość.

– W porządku. A więc, do zobaczenia. – Susan St. Jacques odłożyła słuchawkę. Delaney rzuciła okiem na swoją listę. Następna ważna sprawa to wizyta na tutejszym posterunku policji. Schowała do torebki notes, dokumenty swojej firmy, dossier najbliższych współpracowników i wyszła z pokoju.

Portier wyjaśnił jej, jak znaleźć komisariat. Po opuszczeniu hotelu skręciła w lewo. Czekając na zielone światło, błędziła wzrokiem po poszarpanych ostrych szczytach, otaczających dolinę. Na zboczach gór widniały luksusowe wille.

W końcu skupiła uwagę na Main Street i jej budynkach z fałszywymi fasadami. Pochodziły z innej epoki. Mimo różnorodnej architektury i niewielkiego obszaru, jakie zajmowało, Aspen nie było ani przytulne, ani malownicze. To wszystko było zbyt banalne jak na tak elegancką stację narciarską.

Światła się zmieniły. Rowerzysta minął ją z wielką szybkością. Delaney zeszła z chodnika. Od posterunku policji dzieliły ją dwie przecznice.

Wizyta była tyleż służbowa, co grzecznościowa. Przedstawiła dokumenty swojej firmy, wyjaśniła, w jakim celu przyjechała do Aspen, podkreśliła, że jedynym zadaniem jej pracowników jest ochrona ich klienta. Specyficzne potrzeby, a czasami również specyficzne problemy dygnitarzy, gwiazd i polityków stanowiły chleb powszedni policjantów z Aspen. Tak, jak się tego spodziewała, wyszła z budynku godzinę później, uzyskawszy obietnicę pełnej współpracy.

Zatrzymała się na chwilę i nagle zobaczyła nadchodzącego z przeciwnej strony mężczyznę. Szedł pewnym, swobodnym krokiem. Miał na sobie wypłowiałe levisy i także kurtkę dzinsową. Jego twarz osłaniało rondo sfatygowanego stetsona. Na jego widok doznała wstrząsu. Sprawilo jej to przyjemność, a jednocześnie silny ból. Odwróć siei odejdz! Natychmiast!

Zanim zdążyła posłuchać wewnętrznego, nakazu, dobiegł ją jego głos, niski i ciepły.

– Delaney.

Właściwa chwila na ucieczkę minęła bezpowrotnie. Teraz duma nie pozwoliła jej odejść.

Odruchowo uniosła podbródek.

– Jared. – Spokojny ton własnego głosu dodał jej pewności siebie.

Podszedł o krok bliżej, zatrzymał się, zdjął kapelusz i przeczesał wypłowiałe od słońca włosy gestem raczej odruchowym niż wskazującym na zakłopotanie. Delaney wpatrywała się w jego kapelusz. Zawsze odnosił się do niej ze staroświecką kurtuazją. Z trudem podniosła wzrok na jego twarz, pooraną bruzdami i ostrą jak góry. Wiedziała, że śmiech zmienia ją nie do poznania.

– Minęło sporo czasu. – Szaroniebieskie oczy przyglądały się jej uważnie.

– Chyba tak. – Udawała, że nie wie dokładnie, ile to lat, miesięcy i dni.

Spojrzał na budynek komisariatu i ponownie na nią.

– Widziałem, jak stamtąd wychodziłaś. Kłopoty?

– Nie – pokręciła głową. – Praca.

– Właśnie tam idę. – W kącikach ust czał się gorzki uśmiech. – Jak co miesiąc. Nie chcę, żeby zapomnieli o mojej siostrze.

– Więc Kelly się nie odnalazła? Nie odezwała?

– Nie. – Jak zawsze był oszczędny w słowach.

– Przykro mi, Jared. – Tylko tyle mogła powiedzieć, ale w głębi duszy wcale się nie dziwiła, że Jared McCallister nie przestał szukać młodszej siostry.

Nie zapomniała, jak bardzo był zdesperowany, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wescott and Associates nadal było w powijakach. Nie narzekała co prawda na brak klientów, ale telefon nie dzwonił bez przerwy, delikatnie mówiąc.

Zajmowali niewielkie biuro w budynku ze stiukami, który udawał styl hiszpański, z marnym zresztą skutkiem, dwie przecznice od La Cienega. Oszczędzała wówczas na umeblowaniu, ograniczając je do niezbędnego minimum: biurka, fotele, regały. Puste miejsca zapełniała roślinami doniczkowymi, które przywoziła z domu. Jej ojciec żartował, że biuro jest urządzone w stylu nowoczesnej szklarni. Klientom jednak odpowiadała surowa, a jednocześnie pogodna atmosfera.

Tamtego dnia, drugiego października, ponad sześć lat temu, siedziała za swoim chromowanym biurkiem i szykowała kontrakt dla klienta, gdy zadzwonił telefon. W pierwszej chwili zignorowała go, czekając, aż Glenda podniesie słuchawkę.

Telefon zadzwonił po raz drugi, trzeci... Delaney niecierpliwie zerknęła na drzwi dzielące ją od recepcji. Chyba nigdy nie przestanie jej irytować spokój Glendy. Przedwcześnie posiwała sekretarka z niewzruszonym opanowaniem potrafi złożyć list, wsunąć do koperty i zakleić, gdy nad uchem dzwoni telefon. Delaney nie mogła tego znieść. Odbierała natychmiast.

Zadzwonił po raz czwarty, zanim przypomniała sobie, że minutę wcześniej Glenda oznajmiła, że idzie po wodę na kawę.

Podniosła słuchawkę po piątym dzwonku.

– Wescott and Associates. – Przytrzymując słuchawkę ramieniem, przeglądała dokumenty na biurku.

Odpowiedział jej męski głos, pewny, opanowany, z leciutkim zachodnim akcentem.

– Proszę z Delaney Wescottem.

– To ja.

– Jest pani kobietą? – Był bardziej rozbawiony niż zdumiony.

Uśmiechnęła się blado.

– Na szczęście tak.

– Dobra odpowiedź. – Po jego głosie domyśliła się, że się uśmiechał. – Co do mnie to nie obchodzi mnie, czy ma pani dwie głowy i ogon, panno Wescott, pod warunkiem, że mi pani pomoże. – Powiedział to spokojnie i rzeczowo, nie starał się obrócić w żart faktu, że ma kłopoty.

– Mam nadzieję, że mi się to uda. – Odsunęła papiery na bok i zacisnęła dłoń na słuchawce, mówiąc równie poważna jak on.

– Ja także mam taką nadzieję. Jeśli ma pani czas, przyjadę natychmiast.

– Niestety nie mam. O jedenastej trzydzieści mam spotkanie. Potem, o drugiej, muszę być w Long Beach. W zależności od natężenia ruchu na ulicach, prawdopodobnie nie wrócę do biura przed piątą. Może moglibyśmy się spotkać gdzieś po drodze, panie... – urwała, bo ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, jak jej rozmówca się nazywa. – Jeszcze się pan nie przedstawił.

– Jared. Jared McCallister. Przyleciałem z Kolorado trzy dni temu. Los Angeles to dla mnie obce terytorium. Zatrzymałem się w hotelu Los Robles. Niedaleko lotniska. Zna go pani?

– Tak.

– Czy to gdzieś w pobliżu Long Beach? Może mogłaby pani tu wpaść.

– W porządku. Powiedzmy, między wpół do czwartej a czwartą?

– Będę w pokoju. Sześćset dwanaście. Proszę zadzwonić, kiedy pani przyjedzie.

– Dobrze, panie McCallister.

Dzień minął jednak inaczej, niż zaplanowała. W restauracji, gdzie jadła lunch, obsługa była koszmarnie wolna. Żeby zdążyć do Long Beach na czternastą, złamała wszelkie możliwe przepisy drogowe. Przybyła na miejsce z pięciominutowym spóźnieniem i przez następny kwadrans czekała, aż potencjalny klient przestanie rozmawiać przez telefon. Potem zadawał jej tyle pytań, że prezentacja zajęła dużo więcej czasu, niż zaplanowała. Kiedy od niego wychodziła, miała półgodzinne spóźnienie. Na dodatek padał deszcz – podstępny, gęsty kapuśniaczek. Wycieraczki rozmazywały gęste smugi na szybie, jezdnie były zdradziecko śliskie, korki ciągnęły się milami.

Weszła do hotelu za dziesięć piątą. Zadzwoniła do jego pokoju. Po piątym dzwonku

wiedziała, że go tam nie ma. Jednak dopiero po kolejnych dwunastu ponownie odezwała się recepcjonistka. – Przykro mi, ale pana McCallistera nie ma w pokoju.

– Domyśliłam się już dawno – mruknęła pod nosem, a do słuchawki powiedziała: – Tu Delaney Wescott. Czy zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

Po chwili usłyszała:

– Tak, powiedział, że będzie w barze. Czy panią połączyć?

Delaney widziała strzałkę do baru nad głową.

– Nie, dziękuję.

W barze panowała atmosfera klubu dla dżentelmenów, taki też był wystrój wnętrza. Ściany pokrywała ciemna boazeria. Na podłodze tłumiła kroki gruba wykładzina koloru starego wina, a ciężkie krzesła obito ciemnozieloną skórą. Nieliczne lampy dawały skąpe światło, w efekcie raczej pograżając pomieszczenie w półmroku niż je rozjaśniając.

Zatrzymała się i uważnie rozejrzała. Poza pianistą, pochylonym nad wielkim fortepianem, było tam nie więcej niż dwanaście osób, sami mężczyźni. Niektórzy mieli na sobie trzyczęściowe garnitury, inni byli ubrani bardziej swobodnie. Jedni siedzieli samotnie, inni w większych grupkach – czy połączyła ich przypadkowa rozmowa, czy też świadomy wybór, nie wiedziała. Nie widziała jednak nikogo, kto, jej zdaniem, wyglądał na Jareda McCallistera. I nikt nie obrzucił jej spojrzeniem innym niż wzrok mężczyzny szukającego kobiety.

Z gniewnym westchnieniem podeszła do baru. Barman o podkrążonych oczach znudzonym gestem rzucił na ladę podkładkę pod szklanke.

– Co dla pani?

– Miałam się tu spotkać z niejakim Jaredem McCallisterem. Wie pan może który to?

Z powrotem zgarnął serwetkę i wskazał głową jakiś punkt za jej plecami.

– To ten kowboj przy pianinie – powiedział i leciutko się uśmiechnął.

Delaney odwróciła się zdumiona i z zaciekawieniem spojrzała na mężczyznę przy fortepianie. W jego pobliżu nie było lampy, a on nie zadał sobie trudu zapalenia światła na instrumencie. Na górze stała pełna do połowy szklanka piwa, na ławeczce koło niego – kowbojski kapelusz. Siedział do niej tyłem, pochylony nad klawiaturą. W mdłym świetle niewiele mogła o nim powiedzieć, oprócz tego, że miał szerokie ramiona i wąskie biodra jeźdźca.

Muzykę, którą grał, tak naprawdę usłyszała dopiero idąc w jego stronę. Lekka, skoczna melodia wypełniła bar.

Delaney poczuła podziw zmieszany z zazdrością – ona nigdy nie nauczyła się zagrać poprawnie nawet najprostszej melodii. Po chwili stanęła przy instrumencie, na tyle blisko, by dostrzec karmelowy odcień włosów mężczyzny i jego ostre, nieregularne rysy... i silne palce, z taką lekkością mknące po klawiaturze. Przez ułamek sekundy odwzajemnił jej spojrzenie, zanim ponownie nachylił się nad klawiaturą. Zagrał refren do końca.

Wstał. Nie wiadomo dlaczego sprawiło jej przyjemność stwierdzenie, że jest od niej wyższy. Obrzucił ją szybkim spojrzeniem – nie taksującym, jak inni mężczyźni, lecz badawczym. Jego uwagi nie uszedł żaden szczegół, poczynając od biało-granatowego kostiumu do jasnej spinki, która przytrzymała ciemne włosy na karku.

– Pani jest zapewne panią Wescott.

Krótko skinęła głową.

– Przepraszam za spóźnienie, panie McCallister.

– Jared wystarczy, panno Wescott.

– W takim razie Delaney również – odparła.

– Wiesz co? – Przyglądał się jej uważnie. – Idę o zakład, że onieśmielasz większość mężczyzn.

Ale nie jego, dodała w myśli.

– Nigdy ich o to nie pytałam. A zresztą nawet gdybym to zrobiła, wątpliwe, czy uzyskałabym szczerą odpowiedź.

– O, tak. – Sięgnął do kubka na pianinie i wyjął z niego garść banknotów dolarowych. – Napiwki – wyjaśnił i wepchnął je do kieszeni dżinsów.

– Całkiem nieźle.

– Starczy na kilka drinków. – Podniósł kapelusz, wskazał pobliski stolik. – Usiądziemy?

Zanim się zorientowała, prowadził ją do stolika, delikatnie trzymając za łokieć. Delaney zauważyła skórzaną kurtkę niedbale przerzuconą przez oparcie jednego z krzeseł. Domyślała się, że należy do niego. Jared odsunął dla niej ciężkie obite skórą krzesło tak swobodnie i naturalnie, jakby robił to przez całe życie. A mimo to nie odniosła wrażenia, że chce jej zaimponować.

Usiadłszy naprzeciwko, położył kapelusz na tym samym siedzeniu, co kurtkę.

– Czego się pani napije?

– Może piwa?

– Beczkowe czy...

– Beczkowe.

Odwrócił się i skinął na barmana, podnosząc dwa palce.

– Dwa razy, Barney.

Delaney czekała, aż ich obsłuży i odejdzie, zanim zapytała:

– Jaki masz problem, Jared?

– Prosta sprawa. – Oparł łokieć na stole. – Chciałbym, żebyś odnalazła moją siostrę.

– Przykro mi, ale chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Wescott and Associates to nie agencja detektywistyczna – wytłumaczyła poważnie. – Nie poszukujemy zaginionych, nie śledzimy niewiernych żon. Nie interesuje nas praca śledcza. Specjalizujemy się w ochronie osobistej.

Odwrócił głowę, machinalnie zaciskając pięści.

– Powiedziano mi, że pani mi pomoże.

– Przykro mi... – zaczęła, ale zdała sobie sprawę z bezsensu tych słów. – Słuchaj, nie wiem, co się stało z twoją siostrą, ale są przecież schroniska, przytułki...

– Byłem tam. – Podniósł głowę; w jego oczach czał się chłód i gniew, skierowany nie przeciw Delaney, ale raczej spowodowany własną bezsilnością. – Pytałem wszędzie. Trzy tygodnie temu nawet zatrudniłem prywatnego detektywa, żeby jej szukał. Porozklejał plakaty na słupach i zainkasował trzy tysiące dolarów.

Choć przez cały czas nie zmieniał tonu ani o nutę, każde słowo, krótkie i twarde, zdradzało jego rozczarowanie. Przerwał, żeby napić się piwa otoczył szklankę silnymi palcami. Zamyślony, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w czapę piany. Kiedy przemówił ponownie, miał cichszy, spokojniejszy głos:

– Najgorsze w tym wszystkim, Delaney, jest to, że gdyby Kelly zaginęła w górach, wiedziałbym gdzie, jak jej szukać. A tutaj... Nie mam pojęcia, od czego zacząć. To moja siostra, do cholery, i muszę ją znaleźć.

– Bardzo ją kochasz, prawda? – Jako jedynaczka Delaney często zastanawiała się, co to znaczy mieć rodzeństwo. Patrząc na Jareda, nagle pozazdrościła jego siostrze, która prawdopodobnie nie doceniała, jak wspaniałego ma brata.

– To cała moja rodzina. Odkąd nasi rodzice zginęli w wypadku samochodowym przed dziesięciu laty, zawsze byliśmy tylko we dwojkę. Kelly miała wtedy zaledwie siedem lat... Wystarczająco dużo, by zrozumieć, czym jest śmierć, ale za mało, by się z nią uporać.

– A ty? – Usiłowała zgadnąć, w jakim jest wieku. Bezskutecznie. Wypływałe na słońcu włosy ujmowały mu lat, których z kolei dodawały ogorzała cera i głębokie bruzdy na twarzy.

– Dwadzieścia dwa. Byłem na ostatnim roku studiów w University of Colorado. – Chociaż tego nie powiedział, domyśliła się, że nie dokończył studiów.

– Więc Kelly ma teraz siedemnaście lat.

– Tak. Nie, osiemnaście, dwa tygodnie temu były jej urodziny. – Napił się piwa, odstawił szklankę z powrotem na stół i machinalnie przesunął ją po blacie. – Co roku piekłem dla niej tort. I co roku narzekała na bałagan, który przy tej okazji robiłem w kuchni.

Delaney czuła, że on odczuwa potrzebę porozmawiania z kimś. Zerknęła na swoje piwo, prawie nie ruszone. Sytuacja na autostradzie jeszcze długo nie ulegnie poprawie. Nie mogła niczego zrobić, nie miała odpowiedniego przeszkolenia ani uprawnień, by pomóc mu odnaleźć siostrę, ale może go wysłuchać.

– Wydaje mi się, że Kelly uciekła z domu.

Ponieważ nie zaprzeczył, spytała:

– Co się stało? Pokłóciliście się, czy...?

– Nie. W każdym razie, nie było to nic poważnego. Przez całe lato była nie do zniesienia. Cicha, zamknięta w sobie bardziej niż zazwyczaj. Akurat skończyła szkołę średnią i myślałem... Cholera, myślałem, że to po prostu następna faza dojrzewania – stwierdził ze znużeniem. – Lato to dla nas najgorętszy czas. Mam farmę niedaleko Aspen – wyjaśnił z krótkim, gorzkim śmiechem: jego usta wygięły się cynicznie. A może z pogardą? – Chyba powinienem uściślić, zważywszy że ostatnimi czasy tyle hollywoodzkich gwiazd kupuje w Aspen jedno – i dwuakrowe działki, buduje rezydencje za grube miliony i nazywa to ranchem, choć uprawia się tam jedynie perz. Ja mam prawdziwe rancho – osiemset sześćdziesiąt akrów, zezwolenie na czterysta siedemdziesiąt sztuk bydła. A na tak wielkiej farmie w górach istnieją tylko cztery pory roku: przed żniwami, żniwa, po żniwach i zima.

Delaney opuściła wzrok na jego dłonie zaciśnięte na szklance. Były spracowane i opalone, na silnych palcach widniały odciski... na tych palcach, które z taką lekkością mknęły po klawiaturze, budziły ukryte marzenia. Kowboj, który gra Beethovena. Zaraz jednak wycofała się z tej myśli. Co prawda, Jared posiadał wszelkie rekwizyty kowboja: koszulę jak z westernów, krawat z rzemyka, kapelusz stetson, kowbojskie buty. Jednak, im więcej mówił, tym bardziej była skłonna uwierzyć, że równie swobodnie zachowałby się na zebraniu rady nadzorczej. Nagle zapragnęła zadawać mu pytania osobiste: kiedy nauczył się grać na pianinie? Co studiował? Kogo najchętniej czyta? Jak wygląda jego dom? Zamiast tego zapytała tylko:

– Czy Kelly zaginęła podczas żniw?

– Tak. – Wtórowało temu słowu krótkie skinienie głową. – Tamtego dnia padało. Musieliśmy przerwać na kilka dni, żeby siano wyschło, zanim je zwieziemy. Pojechałem do Cheyenne, żeby obejrzeć bydło na sprzedaż. Chciałem odmłodzić moją trzodę. Kiedy wróciłem, już jej nie było. Spakowała się i odeszła.

– Nic nikomu nie powiedziała? Nie zostawiła żadnego listu?

– Nic, ani słowa.

– Miała samochód?

– Nie, nie na własność, ale zawsze, kiedy chciała, mogła brać furgonetkę z farmy.

– Nie wzięła jej?

– Nie.

Delaney ściągnęła brwi.

– Więc w jaki sposób wydostała się z rancha?

– Nie wiemy. Może złapała okazję do miasta... Może w przeciwnym kierunku. Albo może ktoś po nią przyjechał na rancho. Taką teorię przyjęła policja.

– Jej chłopak.

– Nie miała stałego chłopaka. Przynajmniej ja o nim nie wiedziałem. – Skrzywił się, wypowiadając ostatnie zdanie, co pozwoliło Delaney domyślać się, że policjanci również



zasugerowali taką możliwość.

– A jej przyjaciele? Czy wspominała im, że myśli o ucieczce z domu?

Przeczący ruch głową.

– Rozmawiałem ze wszystkimi. Za każdym razem słyszałem właściwie to samo: przez całe lato praktycznie nie mieli z nią kontaktu. Nawet Connie Sommers, jej najlepsza przyjaciółka, stwierdziła, że Kelly była wobec niej chłodna i nieprzyjazna. Ilekroć do niej dzwoniła, żeby namówić na wspólny wypad, Kelly nie miała na nic ochoty. – Urwał gwałtownie, mocno zacisnął usta, posyłając jej ostre spojrzenie. – Powiem ci od razu: policja podejrzewa, że brała narkotyki.

Z tego, co wiedziała Delaney, choć jej doświadczenie było nader ograniczone, policja nie twierdziłaby niczego, na co wskazywałyby jakieś poszlaki.

– A brała?

Czuła, że ma ochotę zaprzeczyć. Walczyła w nim chęć obrony siostry i wierność prawdzie.

– Nie wiem – wyznał szczerze. Znowu zacisnął pięść. – Do cholery, znała moje zdanie na temat narkotyków. – Westchnął głośno. – Ale kiedy ma się siedemnaście lat, zdanie brata nie jest najważniejsze, zwłaszcza wobec zachowania możnych i pięknych. Jest tajemnicą poliszynela, że Aspen to miasto, w którym można się dobrze zabawić, w najbardziej współczesnym znaczeniu tego słowa.

– Czy dowiedziałeś się, dlaczego policja uważa, że brała?

– Podobno widziano ją w towarzystwie narkomanów. Może się w to wplątała. Może powinienem był coś zauważyć. – Uniósł dłonie w bezradnym geście. – Podobno zmiany w zachowaniu to dowód na używanie narkotyków. Zmienny humor, rozluźnienie kontaktów ze starymi przyjaciółmi, zamknięcie się sobie – chyba powinienem był zareagować. Ja tymczasem trzymałem język za zębami i czekałem, aż z tego wyrośnie.

– A jeśli naprawdę bierze, Jared? – Od niechcenia poruszyła szklanką.

– Jeśli tak, to wplątała się głębiej, niż myślałem. I tym bardziej muszę ją znaleźć.

– Skąd to przekonanie, że jest w Los Angeles? Mogła pojechać dokądkolwiek.

– Zawsze papłała tylko o Los Angeles. Ocean, palmy, ciepłe zimy, Disneyland. Ona i Connie planowały wybrać się tu razem, po ukończeniu szkoły. Potem nadeszło lato i wszystko się zmieniło. Kelly się zmieniła. – Zamilkł. Wzruszył ramionami. – Zdaję sobie sprawę, że szukając tutaj, poruszam się po omacku, ale nie mam innego punktu zaczepienia.

– Jak ona wygląda? Masz jakieś zdjęcie?

W odpowiedzi sięgnął do kieszeni, skąd wyjął sfatygowany portfel. Pokazał Delaney zdjęcie znajduje się wewnątrz.

– To fotografia z dyplomu.

Przytłumione światło w barze i foliowa przegródka w portfelu zacierały wizerunek.

– Mogę? – Wyciągnęła rękę.

– Pewnie.

Przechyliła portfel w ten sposób, że żarówka znad ich stolika świeciła prosto na zdjęcie. Przedstawiało ono uśmiechniętą dziewczynę o ostrych rysach, długich jasnych włosach i piegach na nosie. Nie piękna, ale i nie brzydka. Była... przeciętna. Taką dziewczynę każdy chciałby mieć za przyjaciółkę: czasami potrafi być poważna, a czasami nie, ale zawsze można na niej polegać. W tym względzie trochę przypomina brata, stwierdziła Delaney.

– Czy Kelly miała jakieś ukryte marzenia? Plany? – Oddała mu portfel.

– O co ci chodzi? – zmarszczył czoło.

– Wiele osób, mówiąc „Los Angeles”, ma na myśli Hollywood. Poza tym, jak sam wcześniej wspomniałeś, do Aspen przyjeżdża wiele gwiazd.

Mars na czole się pogłębił, tym razem z niedowierzaniem.

– Uważasz, że Kelly chce robić karierę?

Roześmiała się lekko.

– Dziewczętom w jej wieku zdarzały się już dziwniejsze marzenia. Grała w szkolnych przedstawieniach? Chodziła na zajęcia teatralne?

Zanim odpowiedział, zastanowił się głęboko.

– Nie. Tylko raz brała udział w kościelnych jasełkach, grała Marię, ale miała wtedy dziewięć lat. I nie przypominam sobie, by mówiła coś o aktorstwie, nawet do przyjaciół. Z tego co wiem, nigdy się nawet nie kochała w żadnym aktorze. Piosenkarze rockowi to co innego.

– Umie śpiewać?

Jared prawie się uśmiechnął, również ustami, nie tylko oczami.

– Mniej więcej tak dobrze jak ja.

Delaney nie mogła opanować ciekawości.

– Czyli...?

– Powiedzmy, że byk na pastwisku ma lepszy głos niż ja.

– Zważywszy jak dobrze grasz, trudno mi w to uwierzyć.

– Ale nigdy się o tym nie przekonasz – stwierdził.

Delaney wiedziała, że to prawda, choć nie w takim sensie, w jakim to powiedział. Spotykają się tylko ten jeden raz. Drugiego spotkania nie będzie. Jared przyjechał do Los Angeles, żeby odszukać siostrę i nic go od tego nie odwiedzie. A to znaczy, że nie ma powodu, żeby się ponownie spotykali. Ze zdumieniem stwierdziła, że tego by pragnęła.

Po chwili usłyszała własny głos:

– Jak długo zostaniesz?

– Trzy tygodnie. Może jeszcze krócej. Nie mogę na dłużej wyjeżdżać z farmy.

– Rozumiem. – Upiła kolejny łyk piwa. Wcześniej lodowate, teraz było po prostu zimne. –

Czy wiesz, ile Kelly miała przy sobie pieniędzy?

– Coś około trzystu dolarów. Pracowała jako kelnerka w miasteczku. Mniej więcej tyle napiwków dostawała tygodniowo.

– Tylko tyle zabrała? Nie miała żadnych innych pieniędzy?

– Ma konto w banku, a na nim tysiąc dolarów. Nie tknęła tego.

– Ciekawe dlaczego?

– Aspen to małe miasteczko – przypomniał. – Wszyscy się tam znają. Prawdopodobnie nie chciała odpowiadać na żadne pytania.

– Ale trzysta dolarów nie starczy na długo. – Nie, jeśli jest na prochach, uściśliła. Chyba że, zgodnie z przypuszczeniami policji, jest z kimś, kto ma więcej pieniędzy. Tyle że on prawdopodobnie również bierze. A narkotyki pochłoną każdą sumę w zadziwiającym tempie. – Czy zabrała coś wartościowego? Coś, co mogłaby sprzedać?

– Nie. Spakowała ubrania i rzeczy osobiste, takie jak stary pluszowy miś i pamiętnik.

– Biżuteria?

– Ma sygnet klasowy, tanie błyskotki... Na szesnaste urodziny kupiłem jej dwa złote łańcuszki.

– To wszystko? – Nie zastanawiając się, Delaney wyjęła notes z torby i zaczęła pisać: – Kelly nosiła mało biżuterii.

– A zegarek?

– Bulova, białe złoto.

– Coś jeszcze?

– Nie... Tak. Medalion mamy – przypomniał sobie. – Dałem go Kelly po tym, jak... Uznałem, że powinna mieć coś, co należało do mamy.

– Jaki medalion? Mały? Duży? W kształcie serca? Były w nim jakieś fotografie?

– Złoty, okrągły, mniej więcej taki jak jednodolarówka. Na wieczku był kwiatowy wzór. Wewnątrz dwa zdjęcia rodziców. – Przerwał. Przechylił głowę na bok. – Dlaczego pytasz?

– Niewykluczone, że Kelly sprzedała jedną lub kilka z tych rzeczy, żeby mieć za co żyć. Niestety, łańcuszków i zegarka nie sposób wytropić. Natomiast sygnet i medalion są bardziej charakterystyczne.

– Nie sprzedałaby ich. Na pewno nie pozbyłaby się medalionu – sprzeciwił się.

– Pewnie nie. – Delaney jednak wiedziała, jak małą wartość przywiązują narkomani do pamiątek. W najlepszym wypadku obiecują sobie, że kiedyś je odkupią. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wyślę kopie tej listy do wszystkich lombardów w Los Angeles. Wątpię, czy to przyniesie jakieś rezultaty, ale warto spróbować.

Jared przyglądał się jej z uwagą.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że nie możesz mi pomóc.

– Sama nie wiem, czy to przyniesie jakieś rezultaty. To ruch w ciemno. Jak sam

powiedziałaś, pewnie ich nie zastawi. Ale... – uniosła szklanę – przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby się zrewanżować za piwo.

– To niepotrzebne, wystarczyło chętnie ucho. Umiesz słuchać, Delaney – stwierdził.

– Z nieznanymi rozmawia się łatwiej.

– Chyba tak.

Sączyła swoje piwo. Nagle cisza przy stole wydała się jej krępująca.

– A może zdobędę dla ciebie adresy najlepszych agencji detektywistycznych specjalizujących się w odszukiwaniu zaginionych? Firm, które zrobią coś więcej niż tylko rozwieszanie plakatów?

– To by było bardzo pomocne – przyznał.

– Jared... – zawahała się, ale brnęła dalej, wiedząc, że to nieuniknione. – Istnieje ryzyko, że twoja siostra nie chce, by ją odnaleziono. Zrobi wszystko, żeby do tego nie doszło.

– Przyszło mi to do głowy – mruknął. – Ale to niczego nie zmienia.

– Tak myślałam. – Z uśmiechem pchnęła szklanę na środek stołu i sięgnęła po torebkę. – Na mnie już czas. – Jared płynnym ruchem odsunął jej ciężkie krzesło. – Zadzwoń, kiedy tylko się czegoś dowiem – obiecała podając mu rękę. Jego dłoń była ciepła, silna, twarda. – Powodzenia w poszukiwaniach, Jared.

– Będzie mi potrzebne. – Puścił jej dłoń.

Wychodziła z baru lekkim krokiem. Miała pretekst, żeby się z nim ponownie zobaczyć; sama go wymyśliła. To głupie? Może tak. Nie przekona się jednak, jeżeli nie dowie się czegoś więcej.

## Rozdział ósmy

Glenda Peters łypnęła okiem na Delaney znad oprawek okularów babuni. Złoty łańcuszek przy zausznikach przesunął się do przodu.

– Mam wysłać tę listę do wszystkich lombardów w Los Angeles? Zdajesz sobie sprawę, ile ich jest?

– Dokładna liczba nie ma znaczenia. Ważne, żeby dotarła do wszystkich. Chciałabym, żebyś je wysłała dzisiaj po południu. – Odwróciła się na pięcie. Już szła do swojego gabinetu.

– A ja bym chciała udać się w rejs dookoła świata, trwający co najmniej trzy miesiące – burknęła pod nosem Glenda i sięgnęła po książkę telefoniczną Okręgu Los Angeles. Opasłe tomisko upadło na biurko z głośnym łomotem. – I wiesz co? Nasze szanse są mniej więcej podobne.

Delaney zatrzymała się w progu.

– Więc zawołaj Zeldę. Pomoże ci adresować koperty.

– Jeżeli będzie również składać, zaklejać i przyklejać znaczki – dokończyła Glenda z kwaśną miną.

– I może jeszcze odbierać telefony? – zakpiła Delaney.

Glenda posłała jej lodowate spojrzenie.

– Myślałam, że ty się tym zajmiesz.

– Chwileczkę. – Delaney przestąpiła z nogi na nogę. – Kto tu jest szefem?

– Ja, oczywiście. – W szarych oczach zalśniły wesole iskierki. – Myślałam, że wiesz, że sekretarka jest szefem każdego biura. Z łaski pozwoliłam ci zatrzymać tytuł.

– I podpisywać czeki?

– Niestety, to również. – Glenda uśmiechnęła się szeroko.

– Niestety, co? – mruknęła z przekąsem Delaney i rozbawiona weszła do gabinetu.

Najpierw schowała torebkę do dolnej szuflady. Następnie uważnie przejrzała wiadomości, które dla niej zostawiono podczas jej nieobecności. Oddzwoniła do kilku osób, wysłała kilka faksów, po czym podniosła słuchawkę i wybrała numer swojej dawnej kancelarii.

Rozpoznała recepcjonistkę po głosie.

– Cześć, Betty. Tu Delaney Wescott.

– Delaney! Jak się masz? My, normalni, bardzo za tobą tęsknimy.

– Wcale się wam nie dziwię. Jest Andy?

– Przed chwilą miał zajęty telefon. Zaraz sprawdzę. O, w porządku. Łączę.

Po chwili w słuchawce rozległ się roztargniony męski głos:

– Grissom, słucham.

– Cześć, Andy. Tu Delaney Wescott.

– Delaney! Jak tam ochrona osobista? Nadal bardziej osobista niż ochrona?

– Śmieszne, Andy, bardzo śmieszne.

– Osobiście możesz się mną zająć w każdej chwili – zamruczał, celowo zniżając głos do sugestywnego szeptu.

– Jak zwykle, Andy, twój dowcip ustępuje jedynie twojej rozpuście.

– Jesteś okrutną kobietą, okrutną.

– Już mi to mówiłeś. Czy możemy sobie darować te wstępne zabiegi i przejść do rzeczy?

– Darować wstępne zabiegi i przejść do rzeczy. Jezu, Delaney, masz cholernie seksowny sposób mówienia.

– Andy – zagroziła żartobliwie. – To telefon służbowy. Potrzebne mi namiary na dobrą agencję detektywistyczną, najlepiej taką, która może się poszczycić sukcesami w odnajdywaniu zaginionych. Wiem, że firma korzystała z usług takich instytucji.

– Tak, głównie w sprawach rozwodowych i kryminalnych. Mam oddzwonić czy poczekaś?

– Poczekaam.

Nie minęło pięć minut, a podał jej dane trzech agencji. Delaney zapisała je, podziękowała, wykręciła się od zaproszenia na kolację, doskonale świadoma, że sama stanowiłaby danie główne, i skończyła rozmowę najszybciej, jak się dało. Następnie zadzwoniła do trzech znajomych prawników w trzech różnych kancelariach i poprosiła o podobne informacje. Po porównaniu czterech list znalazła trzy agencje, które pojawiały się co najmniej dwukrotnie. Przepisała ich adresy starannie, żeby przekazać je Jaredowi.

Właśnie miała do niego zadzwonić, gdy do pokoju wkroczył Riley. Miał na sobie szare płócienne spodnie, tenisówki i kolorową koszulę. Delaney obrzuciła go zdziwionym wzrokiem.

– Zdawało mi się, że dzisiaj rano miałeś wypłynąć z klientami.

– Małżeństwo z Ohio. Wywieszono dziś czerwoną flagę. Na morzu tylko raz wyjrzeli za burtę i natychmiast spanikowali. Postanowiłem wpaść tu i zobaczyć, co się święci. A przy okazji – ruchem głowy wskazał sąsiedni pokój – o co jej chodzi? Glenda tylko na mnie łypnęła i machnęła ręką, że jesteś wolna.

Delaney w kilku słowach streściła mu swoje spotkanie z Jaredem McCallisterem. Zakończyła słowami:

– Właśnie miałam do niego zadzwonić i podać mu dane tych trzech agencji, kiedy wszedłeś.

– Dobry pomysł z tymi lombardami. – Riley przycupnął na rogu biurka. Zapalił papierosa.

– Nie powinnam była mu w ogóle niczego proponować. To właściwie nie nasza działka...

– Potraktuj to jako dobry uczynek na ten tydzień – podsunął.

– Chyba można to tak nazwać. – W każdym razie brzmiało to lepiej niż przyznanie się, że zaangażowała się w poszukiwania z bardziej osobistego powodu; chciała jeszcze raz zobaczyć Jareda.

– Nie podał ci numeru ubezpieczenia tej małej?

– Nie, a co?

– Jeśli sienie mylisz i ona potrzebuje pieniędzy, może poszła do pracy. Może nawet posłużyła się własną legitymacją ubezpieczeniową. Mam znajomego w Sacramento, który wrzuci jej dane do komputera. Zobaczymy, może pojawią się w jakimś raporcie pracodawcy. Na razie jest na to za wcześnie, ale warto spróbować.

– To dopiero dobry pomysł! Zadzwoń do niego. – Delaney już trzymała słuchawkę w garści. Ale Jareda nie było w hotelu.

Zadzwoiła ponownie przed przerwana lunch i jeszcze raz, po powrocie, za każdym razem z takim samym rezultatem. Po południu ciągle nie było od niego znaku życia. Kiedy nadal nie odbierał o wpół do piątej, zostawiła recepcjonistce swój numer telefonu. Wsunęła listę agencji do torebki i wyszła z gabinetu. Glenda siedziała przy biurku, metodycznie przyklejając znaczki.

Delaney rozejrzała się zdziwiona.

– Gdzie Zeldy?

– Poszła do domu. Skaleczyła się w język, zaklejając kopertę. Mówiłam, żeby zwilżyła je poduszczką z klejem, ale mnie nie posłuchała. – Sądząc po tonie Glendy, w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie dodać: „Dobrze jej tak”.

– Dużo ci jeszcze zostało?

Glenda zmierzyła wzrokiem bałagan na swoim biurku.

– Około dwudziestu. – Podniosła oczy na Delaney. – Nie wierzyłam, że to możliwe, ale naprawdę pójdą dzisiejszą pocztą. Czyli, może się doczekam mojego trzymiesięcznego rejsu.

– Mam nadzieję, że nie w najbliższej przyszłości. Wescott and Associates nie przewidują trzymiesięcznych urlopów dla sekretarek.

– Na razie.

– Do jutra. – Delaney wyszła z biura. Nie wiadomo skąd czerpała przekonanie, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym Glenda wyruszy w upragniony rejs dookoła świata.

Na małym parkingu otworzyła drzwiczki swego bładoniebieskiego forda, po raz kolejny obiecując sobie, że kiedy tylko firma stanie pewnie na nogach, zafunduje sobie nowy samochód. Jechała w stronę autostrady Santa Monica, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Udała się do hotelu Jareda.

Rzuciła kluczyki parkingowemu. Kątem oka zauważyła wysokiego mężczyznę w stetsonie, dżinsach i kraciastej koszuli. Nadchodził z przeciwka, powolnym krokiem. Nisko opuścił głowę, tak że nie widziała jego twarzy, kciuki zaczeplił o przednie kieszenie dżinsów. Była jednak pewna, że to Jared. Ruszyła w jego stronę.

Obojętnie minął ukwiecony klomb. Zmierzał do hotelu. Dzielili ich zaledwie pięć stóp, gdy w końcu podniósł wzrok i zauważył ją.

- Witaj, Delaney.
- Jared. Przez cały dzień usiłowałam się z tobą skontaktować.
- Nie było mnie.
- Domyśliłam się – stwierdziła z uśmiechem. – Jadłeś już kolację?
- Nie.

– To dobrze. Znam uroczą knajpkę z pysznymi owocami morza i stekami, ze wspaniałym widokiem na ocean.

Parkingowy otworzył jej drzwiczki i wręczył klucze. Wsiadła, poczekała, aż Jared zatrzaśnie drzwi po swojej stronie, i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Było jeszcze wcześniej, więc w restauracji nie mieli kłopotów ze znalezieniem stolika. Wybrali miejsce przy panoramicznym oknie, z widokiem na ocean. Jared odsunął Delaney krzesło, zanim powiesił kapelusz na oparciu swojego, i usiadł sam.

– Niezły widok. – Nieznacznym ruchem głowy wskazał zwodniczo spokojne masy wody za oknem. Zachodzące słońce barwiło je na złoto.

Delaney nie zaprzeczyła.

– Często tu wpadam. Widok oceanu ma w sobie coś kojącego.

– Myślisz, że może ukoić serce bestii? – zapytał, a Delaney wiedziała, że ma na myśli siebie samego.

– Chyba dzikiej bestii.

– Może.

Podszedł do nich kelner.

– Dobry wieczór. Czego się państwo napiją?

– Whisky z wodą sodową – zdecydowała Delaney.

– Dla mnie to samo – mruknął Jared.

Kiedy kelner się oddalił, otworzyła torebkę, wyjęła z niej niewielki arkusik i wręczyła Jaredowi.

– Tu masz dane trzech agencji detektywistycznych, które mi polecono. Miejmy nadzieję, że któraś z nich pomoże ci odnaleźć Kelly. Proponuję jednak, żebyś porozmawiał z przedstawicielami wszystkich trzech, zanim się zdecydujesz.

– Zrobię to. Jutro. – Wsunął karteczkę do kieszonki na piersi.

– Jeśli znasz numer ubezpieczenia Kelly, podaj mi – poprosiła, pokrótce wyjaśniając plan Riley. – Oczywiście, może się okazać, że to na nic – zakończyła. – Ale warto spróbować.

– Oczywiście – zgodził się chętnie i podał jej potrzebne dane.

Delaney odłożyła notes, bo kelner wrócił z ich drinkami. Uniosła szklanekę.

– Za Kelly.



– Amen. – Stuknęli się szklankami i upili po łyku mieszanki.

– Jak na kogoś, kto nie zajmuje się tego typu sprawami, radzisz sobie całkiem nieźle. Wymyśliłaś rzeczy, które do tej pory nikomu nie przyszły do głowy. Wreszcie mam poczucie, że ktoś zadaje sobie trud, żeby ją odnaleźć.

– Cieszę się.

– Więc jaka jest właściwie specjalizacja twojej firmy? Mówiłaś coś o ochronie osobistej? – Po jego twarzy przemknął smutek. – Muszę ci się przyznać, że kiedy powiedziałaś, że mi nie pomożesz, puściłem mimo uszu to, co potem mówiłaś.

– Wescott and Associates specjalizuje się w ochronie osobistej.

Zmarszczył czoło.

– Innymi słowy, jesteś gorylem.

– To duże uproszczenie tego, co robimy, ale, mówiąc skrótowo, oddaje sens naszej pracy. Nie ograniczamy się jednak do prezentowania okazałych muskułów. – Na jej twarzy zagościł cień uśmiechu. – Nasza strategia przypomina grę w szachy. Jesteśmy pionkami. Naszym zadaniem jest chronić króla czy królową, eliminując jakiegokolwiek zagrożenie. A to znaczy, że musimy nieustannie starać się przechytrzyć naszych przeciwników i przewidywać ich ruchy, nie tylko je blokować.

– Kogo chroniłaś? – zapytał. – I przed kim?

Delaney uniosła brwi, słysząc tak ogólne pytanie.

– Zastanówmy się... nasi klienci wykonywali najróżniejsze zawody. Mieliśmy dwóch lekarzy, którzy pracowali w klinice dokonującej aborcji. Otrzymywali listy z pogrózkami od fanatycznej grupy obrońców życia poczętego. Była prawniczka, która wygrała dla swego klienta sprawę o gwałt. Śledził ją i straszył jakiś mężczyzna, jak się potem okazało, krewny ofiary. Pewien niezadowolony robotnik, którego zwolniono z pracy, zaatakował swego pracodawcę. Mieliśmy kilka znanych osób, biznesmenów, zwłaszcza z międzynarodowych firm... – Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. – Mówiąc krótko, chronimy wszystkich przed wszystkimi: bogatych przed grupami radykałów, którzy wybierają swój cel jedynie po to, aby wywołać w ten sposób jak największe zainteresowanie mediów. Innych przed tymi, którzy chcą zadośćuczynienia za zło, czy to prawdziwe czy wymaginowane. Osoby sławne przed fanami, agresywnymi, nie zrównoważonymi. Nie widać końca zapotrzebowania na nasze usługi.

– To chyba znak naszych czasów – skomentował. – A twoi rodzice? Obój e żyją?

Delaney opuściła wzrok, powoli pokręciła głową.

– Mama umarła przed trzema laty. Złośliwy guz mózgu. – Upiła łyk szkockiej, obejmując szklankę z całej siły. – Nie chorowała ani razu. Była w szpitalu tylko wtedy, gdy miałam się urodzić. Przed kilkoma laty pojawiły się bóle głowy. Zamiast zniknąć, przybierały na sile. W końcu wybrała się do lekarza... Było za późno, żeby operować. Straciliśmy ją niecałe trzy

miesiące później. – Przytknęła usta do zimnej, wilgotnej szklanki. – Ilekroć o tym myślę, dziękuję losowi, że zdążyłam jej powiedzieć, jak bardzo ją kochałam.

– A twój ojciec?

– Nadal silny jak dąb. – Na myśl o nim nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Nie było mu łatwo, kiedy mama umarła. Polegał na niej właściwie we wszystkim. Ale dał sobie radę. Teraz ma nawet przyjaciółkę.

– Czym się zajmuje?

– Jest aktorem. Powiedziałabym, że emerytowanym, ale aktorzy nigdy nie przestają pracować. – Wyczuła jego dystans, mało brakowało, a odsunąłby się od niej także fizycznie. – Mam wrażenie, że nie przepadasz za aktorami.

– Za aktorami. Za piosenkarzami... za gwiazdami. – W zadumie obracał szklankę. – Drażni mnie, że uważają specjalne traktowanie, z jakim się spotykają, za coś oczywistego. Wydaje im się, że dostaną wszystko, czego zapragną tylko dlatego, że są tymi kimimi są. I może... po prostu wolałbym, żeby nie było ich w Aspen. – Z tymi słowami opróżnił szklankę do dna.

Delaney tylko wzruszyła ramionami.

– Mają zalety i wady, jak wszyscy. Po prostu w światłach reflektorów widać je wyraźniej.

– Nie mam nic przeciwko twojemu ojcu, Delaney...

– Nawet mi to nie przyszło do głowy – zapewniła go.

– Może powinienem zapytać, czy to ktoś znany?

– Nie. Tata jest aktorem charakterystycznym, jedną z twarzy, które często widzisz i zawsze zapominasz, i nigdy nie chce się sprawdzić jego nazwiska w obsadzie. Jego życiową rolą było zagranie łajdaka w operze mydlanej, ładnych kilka lat temu. Niestety, po pewnym czasie autorzy scenariusza zamordowali go, ku wielkiej uciechu widzów.

– A ty nie złapałaś bakcyli?

– Broń Boże – odparła zdecydowanie. – Dorastałam widząc, jak ojciec nie rusza się z domu, czekając na telefon. Jeśli aktor nie ma trwałego angażu w serialu, pracuje najwyżej jedną trzecią czasu. Nie wytrzymałabym tego. I nie umiałabym dać sobie rady z tyloma porażkami. W branży castingi nazywa się aukcją bydła, i to bardzo trafne określenie. Spędzają aktorów, po czym pojedynczo przepuszczają przez bramkę. Przechodzą koło faceta, który cały czas mruczy: „Do niczego, do niczego, do niczego”. I koniec, wychodzą z drugiej strony. Nie dziwię się, że aktorzy są tak mało pewni siebie, a ci, którzy odniosą sukces, cały czas domagają się zapewnień, jacy są wspaniali.

Powrócił kelner.

– Czy podać państwu jeszcze coś do picia?

– Ja dziękuję – odparła Delaney.

– Ja też. Może rzucimy okiem na menu? – zaproponował Jared.

Kelner podał im karty dań, kłaniając się uprzejmie, wyrecytował dania dnia i odszedł.

Podczas kolacji rozmowa toczyła się lekko i beztrąsko, wymieniali wspomnienia z dzieciństwa i anegdoty z lat studenckich. Uwagi Delaney nie uszło, że Jared nie chce mówić o teraźniejszości. Zakładała, że jego obecne życie było za bardzo związane z siostrą, a był to temat, którego tego wieczora unikał.

Słońce zaszło już dawno, czerwony blask ustąpił nocy. Ocean był czarną przepastną głębią, okoloną białą koronką fal, które rozbijały się o brzeg. Świeczka na ich stoliku tańczyła płomieniem na twarzy Jareda. Delaney obserwowała go, gdy mówił. Choć nie można by go nazwać przystojnym, to jednak trudno byłoby wyobrazić sobie kobietę, która nie zwróciłaby na niego uwagi.

Zerknął na złoty zegarek na przegubie.

– Dochodzi dziewiąta – stwierdził ze zdziwieniem. – Muszę wracać do hotelu. Może Kelly się odezwała. – Skinął na kelnera i sięgnął po portfel.

– Kolacja to był mój pomysł, więc ja płacę – zaproponowała.

Wyjął kartę kredytową.

– Nie. Nie tak mnie wychowano, Delaney. – Mówił stanowczo, nie dawał jej możliwości dalszej dyskusji. Uległa.

Po dwudziestu minutach zatrzymała się przy jego hotelu. Jared wysiadł ze słowami:

– Dziękuję za towarzystwo i za rozmowę. Potrzebowałem tego, Delaney.

– Ja też.

Kiedy odjeżdżała, pochłonięta była jednak rozmyślaniami o czymś zupełnie innym.

## Rozdział dziewiąty

W piątek, w cztery dni po rozesłaniu listy biżuterii, odezwał się właściciel lombardu mieszczącego się w pobliżu Hollywood i Vine. Podejrzał, że zostawiono u niego poszukiwany medalion. Delaney odłożyła słuchawkę i natychmiast zadzwoniła do Jareda. Z wyjątkiem krótkiej, rzeczowej rozmowy, w której zawiadomił ją o wyborze agencji detektywistycznej, nie kontaktowali się ze sobą.

– Przykro mi, telefon pana McCallistera jest zajęty – powiedziała telefonistka. Delaney zawahała się, nie mając pewności, kiedy linia będzie wolna, postanowiła więc nie czekać na połączenie.

– Tu Delaney Wescott. Za pół godziny czekam na niego przed hotelem. Proszę mu przekazać tę wiadomość jak najszybciej, to bardzo ważne.

– Dobrze, pani Wescott.

Odłożyła słuchawkę, porwała torebkę z półki i wybiegła z biura.

– Glendo, jadę po Jareda i do lombardu. Nie wiem, kiedy wrócę. – Przerzuciła torebkę przez ramię. – Powiedz Rileyowi, że plany, dokładne oznaczenia trasy i szczegółowe dane dotyczące koncertów w przyszłym tygodniu leżą na moim biurku. Jeśli nie wrócę, niech sam je przejrzy i zmieni to, co uzna za stosowne.

Wypadła z biura, nie zwracając uwagi na Glendę, która właśnie otwierała usta, żeby powiedzieć: „Dobrze”.

Po niecałych dwudziestu pięciu minutach skręciła w podjazd przed hotelem i zahamowała przy głównym wejściu. Wystarczył jeden rzut oka, by się przekonać, że Jared nie czeka na nią na zewnątrz, nie było po nim również śladu w barze. Zirytowana myślą, że telefonistka nie przekazała mu wiadomości, wyskoczyła z samochodu, krzyknęła do parkingowego, że zaraz wraca, i wbiegła do hotelu.

Zrobiła zaledwie cztery kroki, kiedy ujrzała Jareda zmierzającego w jej stronę szybkim, pewnym krokiem. Wyglądał jak bogaty farmer: skórzana kurtka, brązowe spodnie o zachodnim kroju, czekoladowy stetson, biała koszula i rzemyk zamiast krawata.

– Co jest? - Uniósł brwi.

Delaney wytłumaczyła mu wszystko w drodze do samochodu. – Dzwonił do mnie właściciel lombardu. Twierdzi, że prawdopodobnie ma u siebie medalion. Pojedziemy tam, może go rozpoznasz.

Zanim weszli do samochodu, złapał ją mocno za ramiona i okręcił dokoła.

– Udało ci się, Delaney. Udało ci się.

Przez chwilę tylko, patrzyła na jego rozpromienioną minę, bo potem pochylił głowę

i pocałował ją w usta. Ten pocałunek sprawił, że poczuła jakby porażenie prądem. Wiedziała, co go spowodowało. A nie miała najmniejszej ochoty na pocałunki z wdzięczności. Uniosła dłonie, żeby go odepchnąć, i wtedy coś się stało. Na jedno uderzenie serca jego wargi znieruchomiały, odsunęły się... i powróciły chciwie, pozbawiając ją tchu.

Nie doszło do niczego więcej. Zacisnął dłonie na jej ramionach. Oderwał się od niej, ukrył twarz pod rondem kapelusza.

– Chodźmy – rzucił. Jego głos był trochę ochryply i bardzo szorstki. Wsiadł do samochodu od strony pasażera.

Odczekała chwilę, aż była pewna, że nie uginają się pod nią kolana. Zwinnie wślizgnęła się za kierownicę. Przez całą drogę z hotelu do lombardu była świadoma narastającego napięcia. Napięcia, które nie miało żadnego związku z tym, czego się dowiedzą u celu. Napięcia, które narodziło się po pocałunku. Nie wmawiała sobie, że rozumie, skąd się pojawiło. Jest i tyle. Starła się oderwać palce, które aż do bólu zaciskała na kierownicy.

Szczęście zdawało się im sprzyjać. Znalazła wolne miejsce do zaparkowania zaledwie przecznice od lombardu. Wyskoczyła z samochodu, zanim Jared przytrzymał jej drzwiczki.

– Tam, widzisz? – Wskazała widoczny z daleka szyld. Nagle uznała, że musi go uprzedzić. – Nie licz na zbyt wiele, Jared. Może się okazać, że to nie jest medalion twojej mamy.

– Wiem. – To pierwsze słowo, jakie wypowiedział, odkąd wyjechali z hotelu.

Dzwoneczki przy drzwiach oznajmiły ich przybycie perlistym dźwiękiem.

W lombardzie unosił się zapach pleśni i cytrynowego środka do czyszczenia mebli. Spod rozmaitych antyków, instrumentów muzycznych, telewizorów, biżuterii nie było widać ścian, lady czy półek.

Zza zestawu perkusyjnego wyłoniła się stara, zgarbiona kobieta z miotełką do kurzu w powykęcanej dłoni. – Czym mogę służyć?

– Chcieliśmy się zobaczyć z panem Hoffmeierem. Rozmawiałam z nim mniej więcej godzinę temu...

– Chodzi o medalion – dokończyła za nią starszka. Gestem dłoni kazała zostać w miejscu, sama zaś pokuśtykała z wysiłkiem na zaplecze. Nosiła niewygodne ortopedyczne obuwie. – Karl, Karl! Przyszli ci ludzie od medalionu! Karl? – nawoływała skrzekliwym głosem.

– Już, już idę.

Usłyszeli niecierpliwą odpowiedź z zaplecza, a wraz z nią odgłos niepewnych kroków. Po chwili do sklepu wkroczył łysiejący mężczyzna. Wyraźnie oszczędzał prawą nogę przy każdym kroku. Na nosie miał okulary w złoconych oprawkach, z umocowaną na stałe jubilerską lupą. Wystarczy tylko przesunąć ją na dół. Obrzucił Delaney i Jareda podejrzliwym spojrzeniem.

– Słucham?

– Nazywam się Delaney Wescott, panie Hoffmeier. Dzwonił pan do mnie w sprawie

medalionu.

– Tak. Jak już pani mówiłem, nie jestem pewien, czy to ten sam, którego szukacie.

– Tak, wspominał pan o tym. Jest ze mną pan McCallister, którego siostra miała ów medalion ze sobą. Czy mógłby pan mu go pokazać, żebyśmy mogli się przekonać, czy to ten, którego szukamy?

– Oczywiście, mam go tutaj. – Kulejąc podszedł do lady. – Po naszej rozmowie wyjąłem go z sejf.

Spod lady wy dobył stare pudełko po cygarach i wyciągnął duży, okrągły złoty medalion na cienkim łańcuszku. Pospiesznie rozpostarł na ladzie wytarty skrawek aksamitu i dopiero na nim ułożył medalion.

Jared podszedł bliżej, musnął wisior opuszkami palców. Był wielkości srebrnej jednodolarówki, na wieczku zdobił go ornament: cztery drobne kwiatki, w środku każdego – czerwony kamień. Z twarzy Jareda nie dało się niczego wyczytać.

– Czy to ten? – zapytała Delaney.

Powoli skinął głową.

– Nie myślałem, że go sprzeda.

– Dziewczyna, która go tu do mnie przyniosła... Nie miała zamiaru go odkupić. Pracuję w tym zawodzie od pięćdziesięciu dwóch lat. Znam się na ludziach, widzę, kiedy z trudem przychodzi im rozstać się z pamiątką, i kiedy myślą tylko, ile dostaną pieniędzy.

– Pamięta pan, jak wyglądała? – Delaney obserwowała, jak Jared podnosi medalion i otwiera wieczko. W okrągłych ramach nie było żadnego zdjęcia.

– Młoda, blondynka... – Jubiler zastanawiał się przez chwilę, zanim bezradnie pokręcił głową. – W ciągu miesiąca przewija się przez ten sklep wielu ludzi. Twarze zlewają się w jedno.

– Jared, pokaż panu zdjęcie Kelly – podsunęła Delaney. – Może to coś da. Posłusznie wyjął portfel i podsunął fotografię siostry. Staruszek pochylił się nad nią uważnie. – Włosy... tak, takie same. Piegi? Nie pamiętam. W dzisiejszych czasach dziewczyny za bardzo się malują. Może to ona, ale nie dałbym sobie za to ręki uciąć. – Zwrócił fotografię.

– Zostawiła jakieś nazwisko, adres?

– Oczywiście. Nie przyjmuję niczego, jeżeli nie dowiem się, kim jest właściciel i gdzie mieszka. Mam takie dane o wszystkim, co widzicie w moim sklepie. – Zerknął na karteczkę z numerem, doczepioną do medalionu, i sztywno poczłapał do kartoteki. Z tryumfalną miną wyciągnął niewielki arkusik i położył na ladzie. – Proszę bardzo. Joha... Nie, Joannę Smith, zamieszkała...

Delaney skrzętnie pisała adres w notesie, a Jared zaglądał jej przez ramię.

– To nie jest pismo Kelly.

– Nie, to moje pismo – mruknął staruszek. Podniósł głowę. – Wiem, przypomniałem już

sobie. Miała zabandażowaną prawą dłoń. Poparzyła się. Dlatego sprzedawała medalion... żeby zapłacić lekarzowi.

– Wiesz, gdzie to jest? – zwrócił się Jared do Delaney.

Skinęła głową.

– Jeśli się nie mylę, to niedaleko Exposition Park. W samochodzie mam mapę, sprawdzę.

– Dobrze. – Jared schował fotografię siostry do portfela. – Panie Hoffmeier, wykupię ten medalion. Ile?

– Zaczekam w samochodzie. – Delaney już była przy drzwiach.

Przez dwie godziny szukali jej adresu. W końcu Delaney dała spokój.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Nie ma takiego adresu. Kelly nie chce, żeby ją odnaleziono.

W jego westchnieniu było rozczarowanie.

– Chyba masz rację. Ale poparzona ręka to niezły trop. Musimy jedynie znaleźć lekarza, który leczył Joannę Smith.

– Pod warunkiem, że nie użyła jakiegoś innego nazwiska. – Delaney nie znosiła psuć komuś humoru, odbierać nadziei, ale nie było innego wyjścia. – Nawet jeśli jakimś cudem trafisz do tego lekarza, musiałbyś zmusić go złamania tajemnicy lekarskiej. Nie wolno mu udzielać żadnych informacji na temat Kelly, nawet gdzie mieszka. – Zerknęła na niego spod oka. – Obawiam się, że to również ślepy zaułek.

Pozostawił jej słowa bez komentarza. Delaney włączyła się w sznur samochodów na jezdni. Cisza się przedłużała. Żałowała, że nie powiedziała czegoś bardziej pocieszającego, ale wyznawała zasadę, że liczą się fakty, i tylko fakty, a to znaczyło, że nie mogła postąpić inaczej. Nie można ich zmienić, więc trzeba stanąć z nimi oko w oko.

– Wysadź mnie tu, przy tym parku.

Jego prośba zbiła ją z tropu.

– Dlaczego? Po co? – Zauważyła zjazd i błyskawicznie zmieniła pas.

Muszę poczuć pod stopami trawę, a nie beton – odparł ponuro. Zaparkowała bez trudu. Wyłączyła silnik, sięgnęła po torebkę. Jared już wysiadł.

– Nie musisz ze mną iść, Delaney. I tak zająłem ci dużo czasu. Złapię taksówkę do hotelu. – Zacisnął dłoń na medalionie. – Dzięki za to i za wszystko, co zrobiłaś, żeby mi pomóc.

– Żałuję, że tylko tyle zrobiłam. – Był odwrócony tyłem, nie wiedziała, czy ją w ogóle usłyszał.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Szybko pomachał jej na pożegnanie i oddalił się w głąb parku. Wetknęła kluczyk do stacyjki, lecz nagle się zawahała. Spojrzała na Jareda po raz ostatni: pochylone ramiona, opuszczona głowa. Wyglądał jak człowiek zagubiony, który nie ma pojęcia,

dokąd iść, co robić. Nie wierzyła, by samotność była tym, czego w tej chwili potrzebował – lub pragnął.

Pod wpływem impulsu wyjęła kluczyk, wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i poszła za nim. Nie musiała ująć daleko, aby go zobaczyć. Stał pod wiekowym dębem z odrzuconą do tyłu głową, jakby szukał czegoś w zasnutym smogiem niebie. Zwolniła kroku. Była zaledwie dziesięć stóp od niego, gdy ledwo dostrzegalne skinienie głową przekonało ją, że zdawał sobie sprawę z jej obecności.

Stała obok. W głębi duszy spodziewała się, że zapyta, co one tu właśnie robi i zaprotestuje przeciwko jej obecności. Z pewnością nie oczekiwała, że znajdzie się w jego silnym uścisku, że przyciągnie ją do siebie. Nie zastanawiając się objęła go w talii.

Jared popatrzył na medalion, który nadal spoczywał w jego zaciśniętej dłoni. W jego oczach błysnęły łzy.

– Ten medalion świadczy o tym, że Kelly znajdzie się w Los Angeles. Przynajmniej o tym. – Podniósł wzrok. – Znajdę ją. Nie wiem jeszcze jak, ale ją znajdę.

– Tak. – Delaney naprawdę w to wierzyła.

Odwróciła się w jego stronę, chcąc przyjacielsko poklepać go po plecach, on jednak z całej siły przyciągnął ją do siebie. W jego ruchach było coś gorączkowego, a zarazem bezradnego. Delaney odwzajemniła uścisk, jakby chciała podzielić się z nim rozpaczą. Nie miała pojęcia, jak długo tak stali, ona z pochyloną lekko głową, żeby nie zawadzało jej rondo kowbojskiego kapelusza.

– Jesteś dla mnie bardzo dobra, Delaney – wyszeptał jej do ucha. – Taka cholernie dla mnie dobra.

W tej chwili nie obchodziło jej, czy nie przypisuje tym słowom większego znaczenia niż on sam. Podniosła głowę w poszukiwaniu jego ust. Natychmiast poczuła wargi, rozgorączkowane i brutalne. Odwzajemniła pocałunek z równym zapalem. Przycisnął ją do siebie; przywarła do niego z całej siły, chcąc być jak najbliżej. Jej bliskości potrzebowali oboje.

Inni całowali ją bardziej wyrafinowanie; w ramionach innych odczuwała większą namiętność, a jednak szorstkość i prostota jego pocałunku budziły w niej uczucia o wiele głębsze... znane od wieków. Uczucia, które sprawiają, że kobieta pragnie mężczyzny z powodów innych niż seks.

Nagle wszędzie zaświeciło słońce. Nurzała się w jego blasku, miała ochotę jednocześnie śmiać się i płakać.

Jared oderwał się od niej, ujął jej twarz w twarde dłonie. Oddychał ciężko, chrapliwie. Omiótł ją badawczym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Delaney. – Głęboko wciągnął powietrze, potrząsnął głową. – Powinniśmy przestać, dopóki jeszcze jesteśmy w stanie.



– Chyba masz rację. – Zgodziła się z jego słowami, zdumiona własną reakcją; mimo oszalałego serca i wewnętrznego bólu, zachowała spokój.

– Wiem o tym. – Pochylił głowę, by ją pocałować z delikatnością, która stanowiła całkowite przeciwieństwo poprzedniej szorstkości.

Cofnął się o krok, wziął ją za rękę. Zaczęli spacerować bez celu, a Delaney nie mogła się nadziwić, ile przyjemności sprawia zwykle trzymanie się za rękę.

– Czy mogłabym zaproponować zmianę otoczenia? – zapytała. – Co byś powiedział na zakątek, z którego widać całe połacie nieba, gdzie domy nie stoją tak klaustrofobicznie blisko siebie, i gdzie można nawet dostać domowy posiłek?

– Zaraz pewnie spróbujesz mi wmówić, że w tym mieście istnieje takie miejsce – sceptycznie uniósł brwi.

– I to niedaleko stąd – zapewniła. – Mieszkam tam. To jeden z kanionów wznoszących się nad Malibu. Mój ojciec przychodzi dziś na kolację. Nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli do nas dołączysz. – Chciała, żeby ojciec go poznał. Chciała, żeby Jared poznał jej ojca. Chciała, żeby zobaczył jej dom... jej życie. – Co ty na to? Nie masz już dosyć restauracyjnej kuchni?

– Mam po dziurki w nosie restauracyjnej kuchni, czterech hotelowych ścian i własnego towarzystwa.

– Czy mam to potraktować jako zgodę? – zażartowała.

– Nie. – Zatrzymał się w pół kroku. – Obawiam się, że tym sposobem sam się przed sobą usprawiedliwiam, dlaczego chcę do ciebie pojechać.

– Nie musisz się usprawiedliwiać, Jared. – Czy to jej głos jest taki delikatny? – Po prostu powiedz, że masz ma to ochotę.

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki od uśmiechu.

– Dobrze, mam ochotę przyjechać do ciebie na kolację i poznać twojego ojca.

– Widzisz, jakie to proste?

Pocałował ją jeszcze raz – głęboko i dokładnie.

– Oto, co jest proste, Delaney. Za proste.

– Cieszę się.

Jego uśmiech był sztuczny i chyba smutny.

– Więc jesteś równie głupia jak ja.

W głębi duszy przyznawała mu rację. Za dwa tygodnie Jared wróci na swoje rancho w górach, do domu, do Kolorado. Jej życie, jej dom, jej rodzina, kariera, były w Kalifornii. Instynkt odradzał wiązanie się z Jaredem. I oto ona, która nigdy nie lekceważyła intuicji, puszczała te podszepty mimo uszu. Po raz pierwszy w życiu żyła chwilą i nie chciała patrzeć w przyszłość.

Jakieś trzy godziny później Jared stanął w progu jej małej, ale przytulnej kuchenki. Zostawił kurtkę i kapelusz na mosiężnym wieszaku w przedpokoju. Niedbale oparty biodrem o kuchenny blat, ze smakiem sączył zimne piwo z puszki. Obserwował, jak zręcznie układa w lodówce warzywa, które kupiła na targu w drodze do domu.

– Lubię kuchnie – oznajmił.

– Po kilku dniach w hotelu nie dziwię ci się wcale. – Odepchnęła rocznego wilczura, który blokował jej dostęp do szafki, i szybko wrzuciła do niej pięcioletnią torbę ziemniaków.

Jared obrysował koniuszkiem palca liść bluszczy, który zwisał z koszyka w oknie.

– Lubisz otaczać się żywymi stworzeniami, prawda?

Delaney wyprostowała się powoli. Uważnie popatrzyła na roślinę, przypomniała sobie o wielu innych stojących w sypialni i saloniku.

– Dziwne. Ani razu nie myślałam o moich roślinkach jako o żywych stworzeniach – zastanawiała się na głos.

– Rozmawiasz z nimi?

– Tylko wtedy, gdy tego potrzebują. – Z uśmiechem schowała siatkę do szuflady. Nalała sobie wina z sokiem do wysokiej szklanki. – Chodźmy na werandę. Jest za ładnie, żeby siedzieć w domu.

Jared bez słowa przepuścił ją w drzwiach, zanim sam wyszedł z kuchni. Delaney poszła przodem, przez salonik do drzwi na taras. Cały domek zachował jeszcze bardzo wiele ze stylu art deco, bardzo modnego w latach trzydziestych, kiedy go wybudowano.

Idąc, była ciekawa, co Jared sądzi o wnętrzu utrzymanym w odcieniach pastelowej zieleni, beżu, spopielalego różu, z dramatycznymi czarnymi akcentami na tle gołębih ścian. Czy w jego oczach pokój był wygodny i przytulny, czy może zbyt wychuchany, zbyt nowoczesny? Sama przed sobą przyznała, że niewiele w nim męskich akcentów. Czy to mu przeszkadza? Czy woli wnętrza bardziej konwencjonalne, z kamieniem i drewnem? To szaleństwo, stwierdziła, uświadomiwszy sobie, jak bardzo ważna dla niej jest jego opinia o domu.

– Widzę, że szachownica czeka na partyjkę. – Wskazał na stolik pod ścianą. Rzeczywiście, stała na nim szachownica.

– Zawsze. – Owczarek wyprzedził ich, jednym susem znalazł się przy drzwiach. Szaleńczo wywijał ogonem.

– Od dawna tu mieszkasz? – Otworzył drzwi. Ledwie pojawiła się szczelina, pies poszerzył ją nosem i wypadł na dwór.

– Z przerwami właściwie przez całe życie. – Wyszła na patio, wyłożone kamiennymi płytami. Pięćsetletni dąb zapewniał miły cień. – Na stałe od trzech lat. Dom należał do mamy. Zapisała mi go w testamencie.

Podeszła do drzewa, przytuliła policzek do szorstkiej, popękanej kory. Wiedziała, że Jared

zaraz do niej dołączy. W oddali złociły się i zieleniły wzgórza, pocięte kanionami. Oddzielały zachodnie doliny od plaży Malibu. Na niebie bezszelestnie szybował sokół. Na horyzoncie błyszczał błękitem ocean. Dzisiaj prawie zlewał się z niebem, wolnym od smogu.

– Mama odziedziczyła go przed laty po samotnym wujku. To było dawno, zanim jeszcze wyszła za mojego ojca. – Delaney obserwowała psa, który sprawdzał, kto i co wtargnęło na jego terytorium, gdy przebywał w zamknięciu. – Tata nie zgadzał się, by sprzedała dom, nawet jeśli przez dłuższy czas nie proponowano mu żadnej roli. W pewnym stopniu kierowała nim duma, ale przede wszystkim chciał, by mama miała poczucie bezpieczeństwa, choć sam nie był w stanie jej tego zapewnić.

– Kochał ją.

– Tak. – To takie proste. Dobrze, że Jared to rozumie. Odwróciła się do niego, oparła plecami o wiekowy pień. Była oczarowana jego spokojem i powagą. – Kiedy byłam mała, przyjeżdżaliśmy tu na weekendy. Tata mówił, że to nasza kryjówka w kanionie.

Nagle owczarek zaczął szczekać. Po chwili usłyszeli warkot silnika.

– To ojciec – wyjaśniła, całkiem niepotrzebnie. Razem wyszli mu na spotkanie.

## Rozdział dziesiąty

Za duży czerwony sweter zsunął się z jednego ramienia, kiedy doprawiała szatę. Delaney poprawiła go machinalnie, po czym odłożyła do zlewu drewniane sztućce i wstawiła gotową sałatę do lodówki. Drzwiczki zamknęły się, gdy popchnęła je biodrem, jednocześnie wyciągając ręce po papierowy ręcznik. Nagle zastygła w bezruchu; uświadomiła sobie, że w salonie panuje cisza jak makiem zasiał.

Co się tam u licha dzieje? Niecałe dwadzieścia minut wcześniej ojciec i Jared w najlepsze gawędzili po przyjacielsku. Wcale jej to nie zdziwiło. Ojciec potrafił z każdym znaleźć wspólny język. Właśnie dlatego tak bardzo zaniepokoiła ją ta cisza.

Na palcach podeszła do drzwi i z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem, gdy poznała jej przyczynę. Jared wygodnie rozparł się na fotelu z bardzo zadowoloną miną; ojciec siedział naprzeciwko, po drugiej stronie szachownicy, pochylony nad planszą, z wyrazem najwyższego skupienia na twarzy. Staruszek uważał się za mistrza. Od razu się domyśliła, że namówił Jareda na partyjkę, gdy ten wspomniał mimochodem, że umie grać.

Jared zobaczył ją i skinął głową. Nadal z ręcznikiem w dłoni weszła do salonu.

– Kto wygrywa?

Podejrzała, że zna odpowiedź; nawet gdyby położył nogi na stół i założył ręce za głowę, Jared nie wyglądałby na bardziej zadowolonego z siebie. Ojciec łypnął na nią z pretensją.

– Gdzieś ty wynalazła tego faceta?

– Wcale go nie szukałam. Sam się wynalazł. – Stała nad nim, żeby się przyjrzeć sytuacji na szachownicy, i pocieszającym gestem oparła mu dłoń na ramieniu. – Mam propozycję, tato.

– Słucham.

– Daruj sobie dalszą walkę i rzuć steki na ruszt. Dostaniesz mata w dwóch ruchach, bez względu na to, co zrobisz.

– Wiem – przyznał z westchnieniem. Na znak poddania się uniósł dłonie i pochylił głowę przed Jaredem. – Poddaję się. – Do Delaney dodał: – Mój błąd polegał na tym, że go nie doceniłem. Zmyliły mnie kowbojskie buty. Nigdy więcej nie dam się na coś takiego nabrać.

– Mam nadzieję. – Uśmiechnęła się.

– Lubię go, chociaż mnie pokonał – zdecydował starszy pan z błyskiem w oku.

– Dziękuję. Traktuję to jako komplement, panie Wescott – odparł Jared.

Ojciec wykrzywił się przesadnie.

– Gordon, proszę. Pan Wescott brzmi bardzo staro, a ja, mimo siwizny, stary nie jestem.

– To syndrom Piotrusia Pana – wytłumaczyła Delaney. – Cierpi na to osiemdziesiąt procent aktorów. Dzięki temu są tacy wiarygodni na ekranie.

– Delaney, nie zdradzaj wszystkich naszych sekretów. – Gordon wstał. Jego uśmiech

przeczył reprimendzie, ona jednak знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że uśmiech jest przeznaczony nie dla niej, lecz dla Jareda. – Gdzie te steki?

– W kuchni.

– Więc prowadź. – Wstał. – Jared, mam nadzieję, że lubisz steki średnio wysmażone, bo tylko takie umiem robić.

– W porządku. – Jared zajął się porządkowaniem szachowych figurek. Uwagi Delaney nie uszedł szampański humor ojca i badawcze spojrzenia, którymi co chwila ją obrzucał. Wiedziała, o czym myśli, poczuła się skrępowana, bo coś takiego nie zdarzyło się jej, odkąd przestała być nastolatką. Cisnęła ręką na kuchenny blat.

Kiedy się pochyliła po szczypcę do mięsa, ojciec szepnął jej do ucha:

– Nie pozwól mu uciec.

– Daj spokój, tato. – Odwróciła się gwałtownie, wepchnęła mu półmisek ze stekami w rękę, mówiąc to, co w kółko powtarzała sobie: – Jest z daleka i...

– Nie wmawiaj mi, że zaprosiłaś go na kolację z litości – oburzył się z udawaną wrogością. – W każdym razie nie z litością na niego patrzysz.

– Jesteś moim ojcem, skąd możesz wiedzieć, w jaki sposób patrzę na mężczyzn? Jego śmiech sprawił jej przyjemność. Ponieważ miał ręce zajęte talerzem z mięsem, po przyjacielsku trącił ją łokciem w bok.

– Bierz się do niego, skarbie – poradził z przesadnym zachodnim akcentem. – Jeśli trzeba, łap go na łąso i znacz rozpalonym żelazem.

Zamachnęła się ścierką.

– Wynocha!

Posłuchał, ciągle chichocząc pod nosem. Delaney tylko pokręciła głową, nie tyle zirytowana, ile zadowolona. Energicznym ruchem odgarnęła niesforne włosy z twarzy. Wyjęła z opakowania bochenek świeżego chleba. Zaraz go pokroi na grube kromki i odgrzeje w opiekaczu. Nagle usłyszała odgłos kroków na patio. Obejrzała się przez ramię. W drzwiach kuchni stanął Jared.

– Mogę w czymś pomóc? Zaczynam się czuć jak piąte koło u wozu.

– Nakrywałeś kiedyś do stołu?

– Mam niejakie doświadczenie.

Uśmiechnęła się, rozbawiona jego kostyczną uwagą. Podała mu trzy talerze.

– No to do dzieła. – Sama pochyliła się nad pieczywem.

Wrócił po szklanki, sztucce i serwetki. Za trzecim razem czekały na niego maselniczka, przyprawy i sosy. Po chwili wsadził głowę przez drzwi:

– Co dalej?

– Za chwileczkę podam ci sałatę. – Wyjęła drewnianą miskę z surówką szpinakową z lodówki, postawiła na blacie, obok mniejszych talerzyków.

Jared obserwował ją spod zmrużonych powiek. Niedbale opierał się o framugę.

– A tak przy okazji, twój ojciec to fajny gość. Pod wieloma względami zupełnie inny, niż się spodziewałem.

Ponieważ znała już jego opinię o sławnych osobistościach, nie musiała pytać, co ma na myśli, więc tylko skinęła głową.

– Wiem. Staruszek potrafi być miły, dobry, serdeczny... jak również nieodpowiedzialny i niepraktyczny.

– Ale ty taka nie jesteś. To znaczy, nieodpowiedzialna i niepraktyczna.

– W rodzinie ktoś musi mieć głowę na karku. – Przy tych słowach wzruszyła ramionami i czerwony bawełniany sweterek zsunął się ponownie z jej ramienia.

Zanim zdążyła go poprawić, jego palce delikatnie muskały jej skórę, podciągając go do góry.

– Niełatwo przez cały czas być tą silną stroną, prawda?

Podniosła na niego wzrok, zdumiona jego przenikliwością, dopóki nie przypomniała sobie, że on jest w podobnej sytuacji: z siostrą.

– Nie, niełatwo. Ale sam o tym wiesz.

– Tak. – Ostrożnie gładził jej policzek wierzchem dłoni, obrysował zarys kości policzkowej, potem musnął dolną wargę. Nie mógł oderwać wzroku od jej ust. Oddychała szybko i płytko, w oczekiwaniu na pocałunek. On tymczasem zacisnął dłoń i odsunął się gwałtownie.

– Pójdę zobaczyć, jak sobie radzi ze stekami.

Delaney odprowadzała go nic nie rozumiejącym wzrokiem. Chciał ją pocałować, była tego pewna, czuła to. A jednak tego nie zrobił; dlaczego?

Podczas kolacji jak zwykle najwięcej mówił ojciec. Poruszył wiele tematów, zanim skupił się na swoim koniku: aktorstwie i młodości w Hollywood. Ponieważ Delaney słyszała o tym setki razy, słuchała nieuważnie... dopóki nie zaczął opowiadać o jej matce: jak się poznali, jak o nią zabiegał, jak się w końcu pobrali. Od jej śmierci mówił o niej bardzo mało i rzadko, a już z pewnością nie w obecności nieznajomych. Nie wierzyła własnym uszom, słysząc, że robi to teraz. Nagle dotarło do niej dlaczego i miała ochotę z całej siły kopnąć go pod stołem za nieudolne zabawy w swatkę.

– To banał, ale prawdziwy – perorował. – Jared, nic tak nie dodaje życiu uroku jak miłość dobrej kobiety.

– Dobrze, ale co to znaczy: dobra kobieta? Tu jest pies pogrzebany – wtrąciła się Delaney.

– To proste – odpowiedział Jared. – Taka, która nie kłamie i jest uczciwa.

– Nie ma takiej kobiety. Wszystkie kłamią. – Z apetytem ugryzła kawałek chleba.

– Może niektóre – ojciec obstawał przy swoim. – Ale...

Żuła szybko, żeby przełknąć i móc się odezwać. Świeże pieczywo niemal rozpląwało się w ustach.

– Wszystkie kobiety – powtórzyła.

– To kwestia ich priorytetów.

– Nie zgadzam się z tym.

– Nie chcesz się z tym zgodzić, a to różnica. – Czuła na sobie zdumione spojrzenie ojca, ale ważniejsze było dla niej wytłumaczenie Jaredowi, o co jej chodzi. Zerknęła na niego kątem oka. W jego oczach widziała wątpliwości i pytania. Zdawała sobie sprawę, że strzeliła gafę, jednak naprawdę wierzyła w to, co mówiła.

– Każda kobieta będzie kłamała, oszukiwała i kradła, byle dostać to, czego pragnie najbardziej. Tylko że nie nazwie rzeczy po imieniu. Powie, że nie miała innego wyboru. W jej oczach kłamstwo nie jest niczym złym, jeżeli zapewnia zdobycie czegoś, o czym marzyła. – Jedno spojrzenie przekonało ją, że żaden z nich za nianie nadaża, więc zaczęła z innego końca. – Kobiety widzą świat z innej perspektywy niż mężczyźni. Jeśli mężczyzna uważa, że coś jest ważne, zawsze będzie tak uważał, bez względu na to, co musiałby w imię tego poświęcić. Kobieta tymczasem bez najmniejszych wyrzutów porzuci to, co dotychczas uważała za najważniejsze, kiedy pojawi się coś nowego, w jej oczach bardziej wartościowego.

– Zmieniłaś temat – spokojnie upomniał Jared. – Zresztą, mężczyzna też nie jest ciągle wierny. Czasami odchodzi.

– Ale nawet wtedy pamięta, co porzucił, i to go gryzie – upierała się. – To część męskiego poczucia honoru, rozdmuchanego zresztą. Mężczyźni zawsze walczą ze sobą. Kobiety: nie. Kiedy coś przestaje być dla kobiety ważne, daje sobie z tym spokój. To przeszłość, a ona nigdy nie patrzy w tył. Mężczyźni: owszem.

Zmarszczka na czole Jareda dowodziła, że nie podoba mu się to, co słyszy, lecz nadal słuchał uważnie. Natomiast ojciec co chwila próbował wtrącać się i nie dopuścić jej do słowa.

– Posłuchaj, tato, zaraz wyjaśnię ci to na przykładzie. W tej chwili moja praca, moja kariera są dla mnie najważniejsze. Ale gdyby w moim życiu pojawił się ktoś lub coś, co w moich oczach byłoby ciekawsze, wszystko uległoby zmianie. Nie znaczy to, że agencja przestałaby być ważna, ale z pewnością zesłaby na dalszy plan, bo coś innego zajęłoby jej miejsce. Natychmiast dostosowałabym całe życie do tej nowej sytuacji. Nie miałabym wyrzutów sumienia, nie żałowałabym niczego. Mężczyzna nie mógłby tak postąpić; ciągle by go gryzło, że nie poświęca już na pracę tyle czasu albo że nie jest ona jego priorytetem jak dawniej.

– Wszystko, co mówisz, jest mało znaczące – Ojciec zbył jej wywód machnięciem ręki. – Za żadne skarby świata nie przekonasz mnie, że twoja matka mogłaby kłamać czy kraść.

– Ależ, tato, ona okłamała ciebie, żeby cię zdobyć! – Delaney się roześmiała. – A może zapomniałeś jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie? Skłamała, mówiąc, że widziała cię w kilku filmach. Byłeś zachwycony, zaprosiłeś ją na kolację, a ona następnego dnia biegła po całym mieście sprawdzając, czy w kinach nie grają przypadkiem jakiegoś filmu z tobą.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób...

– Ona też nie. Jeśli pamiętam, powiedziała: pofantazjowałam troszeczkę, żeby zdobyć twojego ojca. Nigdy tego nie żałowała i zrobiłaby to jeszcze raz, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę.

– To było małe niewinne kłamstewko – sprzeciwił się.

– Małe, niewinne, ale kłamstwo, tato. I właśnie o to mi chodzi. Każda kobieta postąpiłaby jak ona.

– Gordon, musisz przyznać, że w kwestii kobiecej nieuczciwości twoja córka jest bardzo uczciwa. – Choć Jared powiedział to lekkim tonem, uśmiech nie rozjaśnił jego oczu. Były ponure, zdawało się, że z trudem tłumi irytację. Delaney domyśliła się, że cała ta gadanina o kłamstwach i uczciwości przypomniła mu Kelly i to, co robiła, żeby ukryć przed nim swój nałóg.

Zapadła krępująca cisza, atmosfera zrobiła się ciężka i ponura. Delaney nie znalazłszy odpowiednich słów, by przerwać to milczenie, posłała ojcu błagalne spojrzenie. Widząc jej wzrok, odtajał nieco.

– Kiedy następnym razem będę grał z tobą w szachy, nie spuszczę cię z oka, żebyś nie oszukiwała.

Jared podchwycił żart.

– Myślisz, że oszukuje?

– Pięć minut temu zaprzeczyłbym. Teraz... sam nie wiem.

Dokuczali jej obaj, a ona im na to pozwalała. Zanim skończyli jeść, powrócił lekki, beztroski nastrój.

Po raz drugi napelniła filiżankę Jareda. Ojciec przecząco pokręcił głową.

– Dla mnie już nie. Późno już, a chciałem jeszcze wpaść do Country House, do Freda. Country House to dom spokojnej starości dla aktorów – wyjaśnił pod adresem Jareda. – Mieszka tam Fred Sihddge, który pomagał mi stawiać pierwsze kroki w branży filmowej. Ma zaawansowaną miążdżycę. Nie najlepiej mu się wiedzie.

– Przykro mi. – Jared zrobił ruch, jakby chciał się podnieść, widząc, że Gordon wstaje.

– Siedź. – Starszy pan machnął ręką w jego stronę, zanim podszedł do Delaney. – Kolacja była wyśmienita, jak zwykle, skarbie, ale od kiedy pamiętam, gotowałaś lepiej od matki. – Pochylił się, by pocałować ją w policzek, a przy okazji szepnąć do ucha: – Bierz go. – Ognisty rumieniec, który nagle wykwitł na jej twarzy, nie przeszkodził Delaney uśmiechnąć się promiennie do nieuleczalnego romantyka, jakim był Gordon.

– Zachowuj się, tato – wymamrotała.

– Nie prosz o rzeczy niemożliwe. – Pieszczotliwie przejechał palcem po jej nosie, wyciągnął do Jareda rękę na pożegnanie. – Mam nadzieję, że przed twoim wyjazdem poznamy się lepiej.



– Zobaczymy. – Tylko tyle usłyszał w odpowiedzi.

Ta nie zobowiązująca odpowiedź uświadomiła Delaney, że to dla niego typowe; Jared bardzo rzadko zdradzał swoje plany. Spoglądał na nianie kryjąc męskiego zainteresowania, a jednak ani razu nie flirtował, nie zwracał sobie głowy słownymi gierkami. Nawet kiedy ją pocałował, nie patrzył jej przedtem długo w oczy; po prostu ją pocałował, i już. Jego bezpośredniość przemawiała do niej, ale jednocześnie wytrącała z równowagi; nie wiedziała, czego się spodziewać, nie była w stanie przewidzieć jego następnego posunięcia. Nie wiedziała co, gdzie, jak, kiedy. Nie miała nad niczym kontroli, a to było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Jako osoba praktyczna i realistycznie patrząca na świat wcale nie była tym zachwycona.

Drzwi wejściowe zamknęły się za ojcem i została sama z Jaredem. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, poczuła się niepewnie i nieswojo w jego towarzystwie.

– Fred jest dla ojca jak brat. Jest między nimi tylko rok różnicy. – Zaciśnęła obie dłonie na filiżance. Za wszelką cenę musi się odprężyć. – To straszna choroba. Ojciec bardzo przeżywa stale pogarszający się stan Freda.

– Żaden człowiek nie lubi, by mu przypominać o jego śmiertelności.

– Chyba nie. – Napiła się kawy. – Od śmierci mamy proponowałam mu ze sto razy, żeby się do mnie przeprowadził, ale nawet nie chce o tym słyszeć.

W tym momencie mężczyźni, z którymi się kiedyś umawiała, powiedzieliby coś w stylu: Cieszę się, że tego nie zrobił, zasugerowałiby, że cieszy ich perspektywa wieczoru sam na sam z nią. Ale nie Jared.

– Pewnie chce jak najdłużej zachować niezależność.

– Tak. Swoją drogą to zabawne, jak role się odwracają, nie uważasz? Przez wiele lat rodzice opiekują się dzieckiem, a potem przychodzi kolej dzieci, by zadbać o rodziców.

– Jeśli ma się szczęście – dodał.

Przypomniała sobie, że jego rodzice zginęli, zanim do tego doszło. Wyczuła, że nie powiedział tego, chcąc wymusić współczucie, więc nie drażyła tematu dalej.

– To prawda – powiedziała tylko.

Od niechcenia obrysowała palcem złoty szlaczek na krawędzi filiżanki. Jest za zimno, żeby pić kawę na patio, a za ciepło, żeby proponować ogień na kominku. Z westchnieniem żalu dopiła resztkę kawy. Filiżanka Jareda również była pusta.

– Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie zabiorę się do zmywania.

– Pomogę ci. – Nie wiadomo kiedy znalazł się za jej plecami, odsuwał jej krzesło.

– Nie przywykłam do tego – wyznała zbierając naczynia ze stołu.

– Do czego? – Jared wziął szklanki.

– Do tych wszystkich dżentelmeńskich manier... otwierasz mi drzwi, odsuwasz krzesło...

– W dzisiejszych czasach to uchodzi za staroświeckie. Czujesz się urażona? – pytająco uniósł brew.

– Nie. – W rzeczywistości było dużym zaskoczeniem, kiedy sobie uświadomiła, że to jej się podoba. W drodze do kuchni rzuciła przez ramię: – Ale w mojej pracy nie mogę sobie na coś takiego pozwolić.

– Nie rozumiem.

– Obecnie pracują dla mnie sami mężczyźni. A to oznacza, że moja płeć nie może być czynnikiem decydującym. Rzeczą podstawową dla nich, dla nas jest bezpieczeństwo klienta. Oni nie mogą oglądać się za mną. – Zreżnie układała brudne naczynia w zmywarce. – W pewnym sensie to sprzeczne z podstawowym męskim odruchem. Tak więc postawiłam sobie za punkt honoru zawsze robić wszystko sama, otwierać drzwi, nosić bagaż... Jeśli już, to raczej ja im pomogę niż oni mnie. W ten sposób narzucam ton, podkreślam, że sama doskonale dam sobie radę i że nikt nie musi się mną opiekować.

– Innymi słowy, nigdy nie okazujesz słabości.

Umilkła na chwilę, nagle zaciekawiło ją, ile osób dostrzega, jak Jared, że siła może być nie tylko zaletą, lecz także wadą.

– Chyba tak, ale taka jest rola szefa.

– To prawda. – Jego oczy błyszczały ciepło, ze zrozumieniem i czymś jeszcze. Nie miała czasu się zastanowić, co to może być, bo do kuchni wpadł pies i błagalnie otarł się o jej nogi.

– Ollie, jeszcze kilka minut, daj mi skończyć.

– Czego on chce? – zainteresował się Jared.

– Wyjść.

– Zabiorę go – zaoferował się i poklepał się po udzie. – Chodź, Ollie. Idziemy na dwór.

Pies tylko czekał na magiczne słowo „na dwór”. Bez żalu opuścił Delaney i w podskokach pognał do drzwi na patio. Jared ruszył za nim z uśmiechem.

Delaney szybko uprzątnęła ze stołu resztę naczyń. Starannie ustawiła na środku bukiet sztucznych kwiatów z jedwabiu. W kuchni włożyła do zmywarki ostatnią partię talerzy. Po chwili po podłodze zastukały psie pazury.

– Już wróciliście? Doskonale. – Podniosła wzrok na puste drzwi. – Chyba nie zgubiłeś Jareda, co?

Znalazła go w salonie, stał przy drzwiach na dwór, wpatrzony w mrok. W jego oczach malował się smutek i samotność.

– Myślisz o Kelly, prawda? – zaryzykowała.

Spojrzał na nią przez ramię, po chwili odwrócił się całkiem.

– Nie – odparł spokojnie. – Myślałem o tobie... O tym, żeby zabrać cię do łóżka... żeby się

z tobą kochać.

Wstrzymała oddech. Nie spodziewała się takich słów. Była w szoku. Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Śmiech gwarantował lżejszy nastrój, więc zapytała żartobliwie:

– W tej kwestii ja chyba również mam coś do powiedzenia?

Mocno zacisnął szczęki, aż zarysowały się mięśnie.

– Masz wszystko do powiedzenia na ten temat.

Przeraziła ją szorstkość jego głosu.

W następnej chwili przemierzał pokój długimi krokami. Szedł do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – Już nic z tego nie rozumiała.

– O jakąś milę stąd widziałem stację benzynową. – Gwałtownie ściągnął kapelusz z wieszaka i nasadził sobie na głowę. – Wezwę taksówkę i wrócę do hotelu.

W ułamku sekundy dotarło do niej, że on mówi poważnie, że naprawdę chce wędrować milę i wzywać taksówkę ze stacji benzynowej. Jak błyskawica rzuciła się do drzwi, stanęła między nim a framugą. Patrzył na nią, spięty i zły, z oczami płonącymi pożądaniem. Ogarnęło ją przyjemne ciepło.

– Jared – szepnęła miękko. – Zdejmij ten cholerny kapelusz.

Oparł dłonie o drzwi, po obu stronach jej głowy, jakby tylko tym sposobem mógł się powstrzymać przed dotknięciem jej.

– Do cholery, Delaney, zrozum, za dwa tygodnie wracam do Kolorado. Pojadę do domu, do...

– Wiem. – Podeszła bliżej, wsunęła dłonie pod jego kurtkę. Zamknął oczy, starając się nie reagować na jej dotyk. – Delaney, pragnę cię, ale zasługujesz na więcej niż mogę ci dać.

– Pozwól, że sama o tym zadecyduję. – Przesunęła dłoń po twardym wybrzuszeniu w jego spodniach. Zadrżał.

Z gardłowym westchnieniem przycisnął ją do drzwi. Z obawy, że straci równowagę, z całej siły objęła go w pasie. Pocałował ją, mocno, niecierpliwie. Nadal opierał dłonie i przedramiona o drzwi, więził ją.

Odpowiedziała taką samą namiętnością, chciała dać mu wszystko. Przestała zastanawiać się, czy to słuszne, czy nie. Dała sobie spokój z wyliczeniem wszelkich powodów, dla których nie powinna się z nim wiązać. Jest czas na myślenie i czas na działanie, czas ostrożności i czas wolności, czas realizmu i czas miłości. Uwierzyła w to i teraz chciała udowodnić to jemu.

Odsunął się trochę. Jego ciepły oddech muskał jej usta, biodra nie pozwalały jej oderwać się od drzwi. Wplótł dłonie w jej włosy.

– Pragnę cię, ale nie w taki sposób, nie tutaj. Chce cię wziąć w łóżku, chcę bawić się twoimi włosami na białej poduszce, chcę, żeby stanowiły ciemną oprawę dla twojej twarzy.

– Tak.

Ze względu na jej wzrost żaden mężczyzna nie próbował nawet brać jej na ręce. Jared zrobił to bez wysiłku. Kiedy oplatała jego szyję ramionami, uderzyła się o kapelusz. Cisnęła go w drugi koniec pokoju. Ukryła dłonie w jego szorstkich włosach, odnalazła ustami ucho.

Zaniósł ją do sypialni, zamknął drzwi jednym kopnięciem. Wilczur zaskomlał żałośnie, drapał w drzwi. Jared postawił ją na ziemię. Nie puszczał jej z objęć, luźny czerwony sweter opadł z jej ramienia, jego szorstkie dłonie sunęły po nagiej skórze.

Znowu ją pocałował, równie niecierpliwie i gwałtownie. Zdjął sweter, ona mocowała się z jego kurtką. Pomógł jej, zrzucił jednym ruchem. Kiedy pieścił jej skórę, nerwowo szarpała guziki jego koszuli, chcąc poczuć go jak najbliżej siebie.

Po chwili leżeli na łóżku. Ubrania poniewierały się na podłodze.

Kiedy w nią wchodził, usłyszała głuchy jęk. Jego? Jej? Nie wiedziała. Liczył się jedynie ten akt, ten żar. Zaczął się wyścig... bez zwycięzców i bez przegranych.

## Rozdział jedenasty

Ta noc była początkiem najpiękniejszych dziesięciu dni jej życia. Dziesięciu dni porannej kawy i pocałunków, wspólnej jazdy do miasta, pospiesznych lunchów, rozmów telefonicznych, konnych przejażdżek po plaży, zabaw z psem, posiłków w środku nocy i miłości. Dziesięć dni, podczas których Delaney doszła do wniosku, że dopóki nie spotkała Jareda, była emocjonalną dziewczyną. Nie wiedziała, że można kochać tak mocno, tak bardzo dbać o kogoś innego.

Dziesięć dni marzeń, złudzeń, że tak silne uczucie musi przetrwać. Dziesięć dni, zanim jeden telefon wszystko zmienił.

Siedzieli nad szachownicą. Kiedy zadzwonił telefon, czekała, aż Jared zrobi kolejny ruch.

– Ja odbiorę. – Zerwała się z miejsca. Nie chciała, żeby się rozpraszał.

Z kieliszkiem koniaku w dłoni podeszła do aparatu. Podnosząc słuchawkę przed drugim dzwonkiem, odwróciła się, chcąc zobaczyć, na jaki ruch zdecyduje się Jared.

– Wescott.

Chwila ciszy i kobiecy głos:

– Podobno pod tym numerem można zastać Jareda McCallistera.

– Tak – odpowiedziała bez wahania. Najwyraźniej sam podał komuś jej numer. Kiedy podniósł wzrok w niemym pytaniu, zapytała:

– Przepraszam, a kto dzwoni?

– Jego żona.

Wyciągnęła do niego nagle zdrętwiałą rękę.

– Do ciebie. – Położyła słuchawkę na krześle i odeszła, nawet na niego nie patrząc.

Stała przy drzwiach na patio, zamkniętych z powodu wieczornego chłodu. Wpatrywała się w przestrzeń pustym wzrokiem. Coraz mocniej ścisnęła kieliszek z koniakiem. W uszach cały czas miała te okropne, druzgocące słowa: jego żona. Było jej zimno, bardzo zimno i niedobrze.

Słyszała jego głos, ale nie słowa, dopóki nie powiedział „Do widzenia”. Spojrzała na niego. Gdyby nie kieliszek z koniakiem, nie opanowałyby drżenia rąk.

– Przedstawiła się jako twoja żona.

Oskarzenie w jej głosie sprawiło, że ściągnął brwi.

– Tak. – Powiedział to spokojnym, rzeczowym głosem.

Panować. Musi nad sobą panować. Na pewno okaże się, że to pomyłka.

– Jesteś rozwiedziony?

– Nie.

Nie szkodzi. Nie poddawać się.

– Bierzesz to pod uwagę?

– Nie.

Tym jednym słowem zabił jej uczucie. Miłość nie odwzajemniona może przerodzić się w nienawiść i tak się stało, w mgnieniu oka. W mgnieniu oka Delaney zrozumiała, dlaczego tyle osób popełnia zbrodnie w afekcie. Miała ochotę go uderzyć, skrzywdzić, zniszczyć jego życie tak, jak on zniszczył jej.

Zrobił krok w jej stronę.

– Delaney, myślałem, że wiesz. Ja...

– Skąd? – Cisnęła w niego to pytanie niemal fizycznie, alkohol w jej kieliszku przechylił się niebezpiecznie. – Ani słowem nie wspomniałeś o żonie! Nie masz obrączki! – Kierowana narastającą wściekłością, odsunęła się od drzwi, jak najdalej od niego. – Wynoś się, Jared.

– Na Boga, pozwól mi wytłumaczyć...

Aż się zachłysnęła z oburzenia; zrobił z niej idiotkę, a ona na to pozwoliła.

– Wytłumaczyć? Co? – zainteresowała się. – Że żona cię nie rozumie?

– Nie, ja...

Nie dała mu skończyć.

– Nie interesują mnie twoje wyjaśnienia, Jared. Nie obchodzi mnie, czy twoim zdaniem wiedziałam, że jesteś żonaty. Gdyby nawet tak było, to pogorszyłoby tylko sytuację. Uznałeś mnie za kobietę, która się wiąże z żonatym mężczyzną, dla której to sprawa bez znaczenia. Bo niby co za problem? – Wzruszyła ramionami. Jej głos ociekał jadem. – Przecież kobiety w L.A. są szybkie, chętne i zawsze gotowe. Tak uważasz, prawda? I takie masz o mnie zdanie.

– Nigdy tak nie myślałem. – Fakt, że zaprzeczył, tylko podsycił jej gniew.

– Wynoś się, Jared. – Nie wiadomo kiedy znalazła się przy drzwiach. Podawała mu kapelusz.  
– Zabieraj swój kapelusz i wynoś się.

Posłusznie wziął stetsona, zawahał się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Nie widziała się z nim ani nie rozmawiała od tego czasu... aż do dziś, aż do teraz. Stali pod błękitnym bezchmurnym niebem, przed posterunkiem policji w Aspen. Wspomnienia sprzed sześciu lat nagle ożyły, a wraz z nimi uczucia: i miłość, i nienawiść.

Minęło dużo czasu... chyba tak powiedział? Dużo, ale za mało, by ból znikł. Choć z niechęcią, musiała przyznać, że Riley miał rację. Riley... Szkoda, że go tu nie ma. Dodałby jej otuchy.

W bolesnym milczeniu patrzyła, jak Jared nerwowo obraca kapelusz w dłoniach. Napięcie rosło.

Dlaczego ciągle tu stoi i przedłuża męczarnie?

– Do widzenia – rzuciła zdecydowanie, gotowa odejść.

– Nie odchodź, Delaney. – Wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać, ale powstrzymał się przed dotykaniem. – Wstąpmy gdzieś na kawę.

Przecząco pokręciła głową.

– Jestem zajęta. – Po chwili, pod wpływem złośliwego chochlika gdzieś w jej głowie, dorzuciła: – Zresztą twojej żonie to by się chyba nie spodobało.

– Rozwiodłem się.

Pobladła słysząc te słowa. To zabolęło.

– Chyba nie myślisz, że to coś zmienia, prawda?

– Zdaję sobie sprawę, że cię skrzywdziłem.

– Owszem, skrzywdziłeś. Ale to sienie powtórzy. Kobieta, którą znałeś, już nie istnieje.

Tym razem nie próbował jej zatrzymać.

Nie pamiętała drogi powrotnej do hotelu. Gdyby nie widok portiera, wnoszącego bagaże z eleganckiego BMW, minęłaby również hotel.

Jak lunaticzka weszła do holu. Brakowało jej powietrza. Z najwyższym wysiłkiem wzięła się w garść. Zwolniła kroku. Spotkanie z nim nie było łatwe, ale przeżyła to. Tym razem nie skrzywdzi jej, jeżeli sama mu na to nie pozwoli. A nie miała najmniejszego zamiaru tego zrobić.

Nie widziała stylowych mebli ani wielkich palm w glinianych donicach. Z uwagą przejrzała wiadomości, które dla niej zostawiono. Susan St. Jacques się nie odezwała, zatem ich spotkanie jest aktualne. Dzięki wiadomościom mogła zająć się czymś innym, przestać rozmyślać o Jaredzie i w myślach przeżywać na nowo każdą sekundę ich spotkania.

W pokoju zajęła się wyłącznie pracą, tym co należało zrobić.

Punktualnie o wpół do pierwszej zeszła do recepcji, żeby tam czekać na Susan St. Jacques. Pięć minut przeszło w dziesięć, a ona nerwowo przechadzała się po obszernym pomieszczeniu utrzymanym w kolorach ziemi i co chwila zerknęła na wielki zegar. Nerwowo przysiadła na fotelu pokrytym pasiastą tkaniną. Z najwyższym trudem powstrzymywała się od nerwowego bębnienia palcami w stół.

Przed hotelem zatrzymał się błękitny mercedes. Ze swego punktu obserwacyjnego Delaney patrzyła, jak wysiada z niego jasna blondynka, niedbale macha portierowi. Miała na sobie komplet Ralpho Laurena: kwiecista bluzka w delikatnym odcieniu różu, brązowa spódnica i buty do konnej jazdy.

Delaney wstała. Intuicja podpowiadała jej, że to Susan St. Jacques. Po chwili kobieta zauważyła ją i podeszła z wyciągniętą ręką.

– Delaney Wescott, prawda? Susan St. Jacques. – Szczupłe zadbane palce o różowych paznokciach zamknęły się na jej dłoni na ułamek sekundy.

– Dzień dobry. – Delaney automatycznie obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Nic nie uszło jej uwagi: ani twarz w kształcie serca, włosy koloru szampana, które wyglądały jakby potargał je wiatr, ale było to tak przemyślane i zaaranżowane, że zdradzało rękę dobrego fryzjera. Pełne, kształtne usta pokrywała warstwa ciemnoróżowej szminki. Na wystających kościach

policzkowych widniały staranie nałożone warstwy różu. Makijaż uniemożliwiał dokładne określenie jej wieku, ale Delaney oceniała ją na trzydzieści kilka lat. Susan St. Jacques otaksowała ją brązowymi, inteligentnymi oczami.

– Jeśli jest pani gotowa, chodźmy. Mam samochód przed hotelem.

– Jestem gotowa. – Od dziesięciu minut, chciała dodać, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Na zewnątrz odźwierny przytrzymał jej drzwi od strony pasażera. Szybko zapięła pas.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co mi się najbardziej podobna w Aspen w lecie – oznajmiła Susan St. Jacques. – Wspaniała pogoda czy fakt, że wreszcie mogę jeździć tym samochodem. Biedak spędza większą część roku w garażu, a ja jestem skazana na rangę rovera.

– Mercedes i rangę rover... handel sztuką to chyba niezły interes.

– Moja droga – roześmiała się gardłowo – doskonały!

– To dobrze – wymamrotała Delaney. Skręciły w Main Street. – Czy daleko stąd do domu pana Wayne'a?

– Jest mniej więcej w połowie wysokości tej góry, Red Mountain. – Pochyliła głowę, żeby spojrzeć do góry. – Niestety, stąd nic nie widać, tylko zarys dachu. To wspaniała posiadłość, a widok zapiera dech w piersiach.

Delaney nie patrzyła w tamtą stronę. Po chwili poczuła na sobie wzrok towarzyszk.

– Ta sprawa z Riną Cole... – zaczęła Susan o wiele poważniejszym tonem – Czy to groźne? To znaczy... Wiem, że chciała go zabić, ale... chyba nie sądzi pani, że spróbuje ponownie?

– Na to pytanie odpowiedzieć może jedynie Rina Cole. – Delaney zachowała własne wątpliwości dla siebie. – Zadaniem mojej firmy jest dopilnować, by nie miała okazji.

Różowe usta wygięły się w uśmiechu.

– Wydaje mi się, że właśnie usłyszałam standardową odpowiedź na to pytanie.

– Owszem. – Delaney pozwoliła sobie na błady uśmiech.

– Co innego mogłaby pani powiedzieć? Zwłaszcza pracując w takiej branży? Zawsze istnieje możliwość, że w przyszłości pani klientką będzie Rina Cole. – Susan St. Jacques puściła kierownicę jedną ręką, otworzyła torebkę i nagle znieruchomiła. – Czy będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Nie.

Po obu stronach ulicy ciągnął się szpaler drzew, zza których wyglądały stylowe wiktoriańskie domy.

– Nie powiedziałam, że jedziemy do domu Lucasa okrężną drogą. – Wyjęła z torebki złożoną papierośnicę, z niej długiego, cienkiego papierosa, zapaliła i zaciągnęła się głęboko. – Rano wychodziłam z domu w takim pośpiechu, że zapomniałam kodu, który wyłącza system alarmowy w domu Luke'a. Musimy wpaść do mnie. – Skręciła w boczną uliczkę, by po chwili zatrzymać



samochód przed pięknym starym domem. Z niemym pytaniem zerknęła na Delaney. – Zaraz wracam.

– Poczekam w samochodzie.

Susan nie skomentowała. Wysiadła z mercedesa z pękiem pobrzękujących kluczy w dłoni. Delaney obserwowała, jak szybkim krokiem przemierza wypielegnowany trawnik.

Dwupiętrowy dom był perłą architektury wiktoriańskiej. Utrzymanie takiego cudeńka nie jest tanie, ale przecież Susan powiedziała sama, że handel sztuką jest doskonałym interesem. Najwyraźniej miała rację.

Kiedy wróciła za kierownicę, Delaney zauważyła:

– Ma pani piękny dom.

– Prawda? – Z jej głosu przebijała duma właścicielki. – Doprowadzenie do obecnego stanu kosztowało mnie małą fortunę, ale i tak jest dla mnie wart każdego centa, albo i więcej. West End to jedna z modniejszych dzielnic Aspen, a trudno o lepszą od tej lokalizację. Do centrum jest kilka minut na piechotę, a namiot muzyczny jest zaledwie parę przecznic stąd.

– Namiot? Festiwal letni odbywa się na dworze?

– Wiezorami – tak. Wszyscy tam chodzą. Niektórzy naprawdę siedzą pod kopułą, ale większość biwakuje na łące, pod gwiazdami, słucha Bacha i Mendelssohna i podjada kanapki z kawiozem i łososiem. – Z jej tonu można było wywnioskować, że to leżało w dobrym tonie. – Jeśli dobrze zrozumiałam, odległość od namiotu to podstawowy czynnik, którym kieruje się Rina Cole, wybierając dom tu, w Aspen.

Delaney gwałtownie podniosła głowę.

– Rina Cole kupuje dom w Aspen?

– Mój znajomy zajmuje się handlem nieruchomościami. Rina dzwoniła do niego dwa tygodnie temu, z Europy. Ma się rozejrzeć za czymś odpowiednim. Powiedziała, że niedługo przyjedzie... myślałam, że z Lucasem. Potem... sama wiesz, co się stało.

– Rozumiem. – Skręciły w krętą, wąską szosę. Mozolnie pięła się pod górę. – Jak długo zna pani pana Wayne'a? – zainteresowała się Delaney.

– Od pięciu, może od sześciu lat, odkąd po raz pierwszy przyjechał do Aspen. – Zerknęła na Delaney kątem oka. – Wiedziała pani, że tu właśnie debiutował jako aktor?

– Nie – przyznała.

Dostał małą rolę w sztuce, którą tu wystawiano. To była działalność dobroczynna, zbierano fundusze na jakiś szlachetny cel. Wtedy zagrał po raz pierwszy, wcześniej jego doświadczenia aktorskie ograniczały się do kręcenia teledysków. Nagle stało się oczywiste, że ma olbrzymi talent. Wtedy powiedziałam mu, że jest stworzony do wielkiego ekranu. Ale wie pani, jacy są mężczyźni, nie uwierzył mi.

– Teraz pewnie zmienił zdanie. – Odkąd Lucas po raz pierwszy wspomniał o Susan St.

Jacque, Delaney podejrzewała, że kiedyś byli kochankami. Teraz, poznawszy ją, była tego pewna. Zaskakujące jest to, że pozostali przyjaciółmi. Susan St. Jacque nie wygląda na kobietę, która przyjaźni się z dawnym kochankiem.

– Zapewne bardzo wiele pani wie o swoich klientach, Delaney – rzuciła od niechcienia. – O ich słabostkach i dziwactwach, o ich sekrecikach i szkieletach w szafie.

– Do pewnego stopnia, jednak staramy się respektować potrzebę prywatności.

– Mimo wszystko idę o zakład, że brukowce zapłaciłyby majątek aby dowiedzieć się choć części tego, co pani wie.

– Dlaczego? Przecież mogą wymyślić o wiele pikantniejsze kawałki.

Susan odpowiedziała głośnym śmiechem. Z aprobatą zerknęła na Delaney.

– Taktowna i dyskretna. Nic dziwnego, że Lucas panią zatrudnił.

– Całe życie mieszkała pani w Aspen?

– Nie. – Zahamowała i skręciła w wąską drogę, którą gęste zarośla tak zasłaniały, że tylko wprawne oko mogło ją zauważyć. – Jesteśmy na miejscu.

## Rozdział dwunasty

Wąska droga prowadziła do niskiego, rozłożystego domu w nowoczesnym stylu. Na pierwszy rzut oka składał się głównie z nasłonecznionych tarasów i stromych dachów. Na trawniku przed domem pyszniły się wszystkimi kolorami rabaty kwiatowe.

– Jak duża jest posiadłość? – Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Delaney w oczy, był brak ogrodzenia. Teren był tylko otoczony zadbanym, gęstym żywopłotem.

– Mniej więcej trzy i pół akra. – Susan wyłączyła silnik. Zaparkowała u podnóża wijącej się ścieżki wiodącej do drzwi. – Za domem jest osobny garaż na trzy samochody i mały budynek po drugiej stronie. Kiedyś był to domek dla gości. Luke przeznaczył go na mieszkanie dla ogrodnika.

– Wspominał, że ktoś tu mieszka przez cały rok. – Delaney miała to nazwisko w notesie.

Susan skinęła głową.

– Tak, Harry Walker. Jest na emeryturze, ma sporo po sześćdziesiątce. Pilnuje posiadłości Luke'a, między innymi. – Położyła dłoń na klamce.

– Czy ma klucze do domu?

– Nie. – Susan otworzyła energicznie drzwiczki samochodu. – Pracownikom, których się nie ma na oku przez cały czas, można zaufać tylko do pewnego stopnia i Lucas zdaje sobie z tego sprawę.

Delaney pominęła jej słowa milczeniem. Zaczekała na Susan, żeby poprowadziła ją do domu.

Przy ścieżce kwitły różowe i białe petunie. Delaney podniosła wzrok na dom, wzniesiony z kamienia, drewna i szkła. Skoncentrowała się na werandzie, która zdawała się otaczać cały budynek. Musi ustalić, z ilu pokoi jest bezpośrednie na nią wyjście oraz ile jest w ogóle wejść, którymi się można dostać do domu.

Mało brakowało, a pogrążona w myślach minęłaby wążutką dróżkę, prostopadłą do tej, którą szły. Nikła w zaroślach.

– Dokąd ona prowadzi? – zapytała.

Jej przewodniczka zbyła ją machnięciem ręki.

– Do małego kwiatowego ogródka, równoległego do tarasu. Dalej można nią dojść na tył domu i do mieszkania dozorca.

Delaney postanowiła zbadać ją dokładnie później, podobnie zresztą jak resztę posiadłości. Na razie podążając za Susan podeszła do szklanych drzwi osadzonych we framudze obitej miedzią.

W holu wisiał żyrandol z jelenich rogów rzucający światło na stół z białego marmuru, który stał bezpośrednio pod nim. Szeroki korytarz prowadził do dalszej części domu, natomiast po lewej stronie rozciągała się obszerna jadalnia.

Susan wytłumaczyła Delaney, jak obsługiwać skomplikowany system alarmowy, po czym

zabrała ją na wycieczkę po domu.

Po trzydziestu minutach wróciły do holu.

– Jakież pytania? – Susan zatrzymała się na środku pomieszczenia. Splotła dłonie. – O czymś zapomniałam?

– Nie sędzę. – Delaney przekartkowała notatki, które sporządziła podczas zwiedzania domu.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, rozejrzę się na zewnątrz.

– Proszę bardzo. Jeśli będę pani potrzebna, jestem w kuchni. Zobaczę, co trzeba kupić. Obiecałam Luke'owi, że nie umrze z głodu po przyjeździe.

Delaney odprowadziła ją wzrokiem, zanim wyszła na dwór.

Powietrze było ciepłe i rześkie, słońce jasne i gorące, aż miało się ochotę leżeć beczynn timer. Z wysiłkiem stłumiła pokusę i poszła na tył domu, do garażu. Przekonała się, że za granicznym żywopłotem nie ma żadnych domów. Znalazła również mieszkanie dozorczy, jednak po Harrym Walkerze nie było ani śladu.

Zaintrygowana, udała się na poszukiwania, odruchowo przyspieszając kroku. Niemal natychmiast poczuła nieprzyjemne pieczenie w płucach. Zwolniła, przypomniawszy sobie, że znajduje się na wysokości ponad ośmiu tysięcy stóp.

Za zakrętem zobaczyła kucającego mężczyznę. Bardzo ostrożnie wrywał chwasty z klombu. Miał na sobie czerwoną koszulę i nowiutkie džinsy. Delaney nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok podwiniętych mankietów spodni. Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała, by ktoś w ten sposób nosił džinsy.

– Dzień dobry – powiedziała głośno.

Mężczyzna, najwyraźniej przestraszony, niezdarnie wstał. Odwrócił się w jej stronę i Delaney przeżyła szok. Z pewnością nie miał sześćdziesięciu lat. Gęste, ciemne włosy, bez jednego siwego pasma. A jego twarz... małe ciemne oczka były ledwo widoczne w okrągłej buzi. Wyglądał jak duże dziecko.

Kiedy się odezwał, niewyraźny sposób mówienia potwierdzał to wrażenie.

– Nie powinnaś tu być. Idź sobie. – Obserwował ją bacznie. – Luke nie lubi, kiedy obcy włączają mu na podwórko.

– Luke mnie zaprosił. – Dopiero teraz zauważyła, że jest wysoki, ma ponad sześć stóp wzrostu.

– Naprawdę? – zastanawiał się przez chwilę. Nagle jego twarz rozjaśnił uśmiech. – Luke tu jest? Przywiozła go?

– Nie. – Domyśliła się, że „ona” to Susan. – Luke przyjedzie jutro. Jestem Delaney Wescott.

– Wyciągnęła rękę. – A jak ty się nazywasz?

Po chwili wahania wytarł dłoni o spodnie i energicznie potrząsnął jej ręką.

– Toby. Toby Williams.

– Cieszę się, że cię poznałam, Toby Williams. – Przyglądała mu się uważnie, ciekawa dlaczego Susan nic o nim nie mówiła.

Puścił jej dłoń.

– Jesteś przyjaciółką Luke' a?

– Właściwie nie. Pracuję dla niego.

– Ja też. – Z dumą wypchnął pierś do przodu, jakby szykował się do odpierania zarzutów.

– I na pewno bardzo się starasz.

Na ułamek sekundy z jego oczu znikł blask, a kąciki ust opadły smutno.

– Czasami Harry się na mnie wścieka. Mówi, że jestem powolny. Ale Luke mówi, że to nie szkodzi, bo dzięki temu jestem ostrożny.

– Chyba zgodzę się z Lukiem – stwierdziła Delaney. – Widziałam, jak uważnie wrywałeś chwasty.

– Trzeba uważać, żeby nie zrobić krzywdy kwiatkom. Lubię hodować kwiatki. Luke mi pozwala.

– Ja też lubię uprawiać rośliny.

– Nie lubię, kiedy umierają – oznajmił z powagą. – Nie lubię śmierci.

– Nikt jej nie lubi, Toby... – Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo dobiegły jej nawoływania Susan. – Tu jestem! – odrzyknęła.

Po chwili Susan zjawiła się na ścieżce. Uśmiechała się lekko.

– Więc tu się pani... – Na widok Toby'ego poblądła i zastygła w bezruchu. – Skąd się tu wzięłaś?

Delaney zaskoczyła szorstkością jej głosu. Toby spuścił głowę, poruszył się niespokojnie.

– Harry po mnie przyjechał – bąknął. – Mam wakacje. Luke mnie zaprosił.

– Gdzie Harry? – warknęła. – Ma cię pilnować.

Ciężkie wzruszenie ramion.

– Gdzieś tutaj.

– Biegnij po niego, i to już.

– Dobrze, proszę pani. – Opuścił głowę jeszcze niżej i odwrócił się na pięcie.

Delaney serce się ścisnęło, gdy na niego patrzyła.

– Do zobaczenia wkrótce, Toby, dobrze?

Skinął głową raz, jak z obowiązku.

– Do zobaczenia.

Poczekala, aż oddalił się poza zasięg jej głosu, i syknęła do Susan:

– Czy musiała pani być dla niego taka niemila? Przecież nie zrobił nic złego.

– Prawda. To Luke popełnia błąd, przywożąc go tutaj z zakładu – odcięła się. – Powinien go tam zostawić. Tam jest jego miejsce... jego i jemu podobnych. – Wzdrygnęła się. – W jego

obecności dostają gęziej skóry – stwierdziła. Z ukosa spojrzała na Delaney. – Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam tego ani mówić, ani odczuwać, ale nic na to nie poradzę. Gniew Delaney rozwiązał się bez śladu.

– Wie pani, co mu jest? – zapytała tylko.

– To znaczy, co jeszcze, oprócz tego, że ma umysł siedmiolatka? – odparowała Susan. – Nie, nie wiem. I jeśli o mnie chodzi, nie ma to żadnego znaczenia. Taki już jest. Nic się nie da zrobić.

Delaney zrównała z nią kroku.

– Co go łączy z panem Wayne'em?

Susan odpowiedziała trochę zbyt szybko:

– O to będzie pani musiała zapytać Luke'a.

Co było uprzejmą wersją powiedzenia jej, że ma nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Co oczywiście jest prawdą. Mimo to zżerała ją ciekawość. Nigdy by nie wpadła na myśl, że Lucas Wayne, którego poznała w Nowym Jorku, przyjaźni się z upośledzonym chłopcem. Najwyraźniej nie poznała go tak dobrze, jak sądziła. A myślała, że po przygodzie z Jaredem nauczyła się nie oceniać ludzi zbyt pochopnie.

Jared. Dlaczego o nim myśli?

Zmusiła się, żeby skupić się na czymś innym.

– Dlaczego mnie pani szukała?

Wydawało się, że Susan ucieszyła się ze zmiany tematu.

– Skończyłam już w kuchni i byłam ciekawa, ile ma pani jeszcze do zrobienia.

– Właściwie już nic. – Naprawdę? Delaney nie była tego taka pewna. Ostatnio pozwalała, by coraz więcej rzeczy rozpraszało ją podczas pracy.

– W takim razie możemy jechać?

– Jasne. – Delaney machinalnie potarła skroń.

Susan obserwował ją bacznie.

– Boli panią głowa?

– Okropnie – przyznała z westchnieniem. – Nie daje mi spokoju od rana. Połknęłam aspirynę, ale chyba już przestała działać.

– Choroba wysokościowa...

– Słucham?

– Bóle głowy, bezsenność, brak tchu, mdłości, palpacje serca. To objawy dolegliwości nazywanej przez nas chorobą wysokościową. Powoduje ją rozrzedzony tlen i mniejsza wilgotność powietrza tu, u nas – wytłumaczyła Susan. – Pani organizm przyzwyczai się za kilka dni. Tymczasem proszę pić dużo płynów, nie dotykać alkoholu i nie przemęczać się.

– Zapamiętam to sobie. – Delaney pomyślała o planowanej wizycie w barze hotelu Jerome. – Sorry, tatusiu – mruknęła.

– Słucham?

– Nie, nic takiego.

Susan odwiozła Delaney do hotelu Jerome i tam ją zostawiła. Dwadzieścia minut później Delaney oglądała dwupokojowe apartamenty do wynajęcia w towarzystwie agenta handlu nieruchomościami. Kolejną godzinę zajęło załatwienie wynajmu dwóch takich mieszkań.

Po południu wróciła do hotelu. Ma akurat tyle czasu, by przejrzeć wiadomości, wsiąść do samochodu i pojechać na lotnisko po Vance'a Hummela i Johna Wyatta, którzy będą również pracować w Aspen.

Błyskawicznie odwiozła ich do wynajętego mieszkania, przedstawiła plan na następny dzień i wyszła.

Kiedy wróciła do hotelu, ostatnie promienie słońca chowały się za górami. Dawno minęła godzina, o której powinna była wymeldować się z hotelu. W gruncie rzeczy była z tego zadowolona. Nie miała siły pakować się i przenosić do wynajętego mieszkania. Perspektywa długiej kąpieli, dwóch aspiryn i długiego snu przemawiała do niej o wiele bardziej.

Nagle usłyszała dźwięki pianina z baru. Zwinne palce tańczyły po klawiaturze, wyczarowując pogodnego ragtime'a. Obojętnie zajrzała do środka i zastygła w bezruchu. Przy fortepianie siedział Jared. Nie spuszczał z niej oka.

Zacisnęła palce na pasku torebki. To nie fair z jego strony, że tu przyszedł. Nie teraz, kiedy pada z nóg ze zmęczenia i nie jest w stanie logicznie myśleć. Nie chce przez to przechodzić jeszcze raz.

Wstał. Nie miała siły odwrócić się na pięcie i odejść. Szedł w jej stronę. Stwierdziła, że się przebrał: zamiast dzinsów i kurtki miał teraz na sobie brązowe spodnie i sztruksową marynarkę w identycznym odcieniu jak jego buty z jaszczurczej skóry.

– Co tu robisz, Jared? – Głos zdradzał jej niepewność.

– Musiałem się z tobą zobaczyć... porozmawiać.

– Nie mamy o czym. – Nie sposób patrzeć mu w oczy i nie poczuć przyływu starego pożądanego.

– Chyba jednak mamy – Nie dawał za wygraną. – Między nami było coś wyjątkowego, Delaney. Coś specjalnego. Chyba nie myślisz, że możemy to kontynuować, zaczynając od tego samego miejsca, w którym przerwaliśmy. – Była zdesperowana.

– Nie, nie myślę. Uważam, że moglibyśmy zacząć od nowa.

Podniosła na niego wzrok. W kąciach oczu paliły ją łzy.

– Jared, nie rób mi tego.

Powoli pokręcił głową. W tym świetle jego włosy miały głęboki odcień górskiego miodu, rozjaśnionego słońcem.

– Druga szansa. Tylko o to proszę.

– Nie. – Ale jej opór słabł. Wszystkie rozsądne postanowienia traciły znaczenie. Usiłowała zwalić to na zmęczenie, na wysokość, na cokolwiek. W rzeczywistości chciała, żeby ją przekonał, chciała uwierzyć, że odzyskają to, co utracili.

– Przynajmniej mnie wysłuchaj.

Po chwili wahania ze znużeniem skinęła głową.

– Dobrze. Mów.

– Nie tutaj. Za dużo tu ludzi i za dużo ścian. – Trzymał ją za łokieć, prowadził do drzwi. Delaney chciała się sprzeciwić, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Zgodziła się na rozmowę; jakie ma znaczenie, gdzie się odbędzie?

Na zewnątrz skręcił w bok. Zapadł zmrok, spowijał dolinę ciemnym całunem. Majestatyczne góry robiły wrażenie jeszcze wyższych w mlecznym świetle staroświeckich ulicznych lamp. Przy krawężniku stała półciężarówka z napędem na cztery koła. Była pochlapana błotem. Jared szedł w kierunku Delaney. Poglądził ją delikatnie po karku. Jak dawniej kurtuazyjnie przytrzymał drzwiczki.

Zawahała się, na tyle długo, by odnaleźć jego poważne spojrzenie, i wsiadła. Nie miała pojęcia, dokąd ją zabiera, ale nie chciała pytać.

Jared w milczeniu zajął miejsce za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce, zerknął w lusterko, zawrócił – na pewno wbrew przepisom, przemknęło Delaney przez głowę – i nacisnął pedał gazu.

Na przedmieściach minęli tablice informującą, ile mil dzieli ich od Independence Pass, Twin Lakes i Leadville. Po chwili Aspen zostało w tyle. Przez pewien czas wzdłuż szosy migotały światła pojedynczych domostw. Z czasem i one znikły.

Delaney wpatrywała się w strumień światła z reflektorów. Droga wiła się coraz bardziej stroma, wyboista. Delaney nie odrywała oczu od szosy, ani razu nie odwróciła głowy do Jareda, ale i tak widziała go kątem oka.

Nie odezwał się ani słowem. Ciszę zakłócał jedynie szum silnika, chrzęst opon na żwirowanej nawierzchni i powiewy wiatru. Milczenie drażniło jej nerwy i tak nadwerężone zmęczeniem i migreną.

W końcu miała tego dosyć.

– Jak długo to potrwa, zanim dotrzemy do celu, jakkolwiek on ma być?

– Niedługo.

– Pewnie wiesz mnie na farmę.

– Nie. – Cały czas patrzył przed siebie. – Gdybym zawiózł cię na farmę, chciałbym pójść z tobą do łóżka. Chyba oboje zdajemy sobie sprawę, że na to jeszcze za wcześnie.

Delaney była zła, że to powiedział. Była zła, bo przypomniał cudowne chwile, które spędziła w jego ramionach. Wolała pamiętać ból niż rozkosz.



Za ostrym zakrętem zjechał na pobocze. Reflektory usiłowały przedrzeć się przez nocną nicość, po czym zgasły. W kabinie zapanowała cisza.

Jared bez słowa wyskoczył i podszedł do drzwiczek z jej strony. Otworzyły się energicznie. Delaney wysiadła z wahaniem. Jared krótko popatrzył jej w oczy. Oddalił się. Pod jego butami chrzęścił żwir.

Zatrzymał się na krawędzi nieprzeniknionej czerni. Nie patrzył na nią, patrzył w dal. Delaney ruszyła za nim, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Chciała zachować między nimi dystans, choćby symboliczny.

Posłusznie spojrzała w tę samą stronę co on. Księżyc w nowiu rzucał na ziemię blade światło. Ciemnogrnatowe niebo lśniło tysiącem gwiazd, gwiazd, które zdawały się bliskie, na wyciągnięcie ręki. Po chwili jej oczy przywykły do ciemności i zaczęła rozróżniać poszarpane wierzchołki okolicznych gór. W dole, w dolinie, połyskiwał srebrem strumień.

Stopniowo przytłaczająca cisza ustąpiła szeptom wiatru, westchnieniom traw, szelestowi ptasich skrzydeł, nawet cichutkiemu szemraniu strumienia.

Głos Jareda był cichy, delikatny, jakby stanowił część nocy:

– Mówiłaś, że się zmieniałaś. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, jak księżyc i góry.

Z westchnieniem odchylił głowę do tyłu, żeby lepiej widzieć księżyc.

– Przysięgam, byłem pewien, że wiesz o moim małżeństwie. Myślałem, że ci o tym powiedziałem. Potem... później nic na ten temat nie mówiłaś, więc ja też milczałem. Nie było na to miejsca w tym, co nas łączyło.

Odwrócił się do niej. Szukał jej wzroku. Mówił prawdę. Tym razem mu wierzyła. Nie mogła jednak mu tego powiedzieć. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

– Dawałaś mi niebo i piekło, Delaney – ciągnął powoli. – Piekło, bo wiedziałem, że nie mam prawa cię pragnąć, piekło, bo za wszelką cenę chciałem zrozumieć, jak coś tak pięknego może być złe. Kochałem cię i myślę, że ty również mnie kochałaś, chociaż nigdy tego nie powiedziałaś. Nie wiem nawet, czy sam byłem tego świadom, dopóki nie przyszło mi żyć bez ciebie.

W jego ustach brzmiało to tak, jakby tylko on cierpiał. Czy nie dociera do niego, że ona była w gorszej sytuacji? Wiedział, że ma żonę. Ona nie miała o tym pojęcia. Zacisnęła dłoń. Paznokcie boleśnie wpiły się w ciało.

– Pamiętasz, co kiedyś mówiłaś o męskim honorze? Że mężczyzna będzie się skręcał z poczucia winy? – Umilkł, czekając na jej reakcję. Nie drgnęła, nawet nie skinęła głową. – Miałaś rację. Po powrocie do Colorado poczucie winy sprawiło, że zdwojonym wysiłkiem starałem się ratować moje małżeństwo. Na darmo. Rozstałbym się z żoną bez względu na ciebie.

Nie miała ochoty słuchać o jego małżeństwie. Nie miała w ogóle ochoty go słuchać. Boże drogi, po co tu w ogóle przyjechała? Ostrożnie zaczerpnęła tchu. Nie zapomniała o bólu w płucach.

Patrzył jej prosto oczy.

– Kiedy rozwód się uprawomocnił, chciałem cię o tym zawiadomić. Nie wiem już, ile listów do ciebie napisałem... i żadnego nie wysłałem. Kiedyś, kiedy byłem w Los Angeles na spotkaniu z detektywem, który szuka Kelly, nawet zadzwoniłem... ale odłożyłem słuchawkę, zanim się odezwałaś.

Słuchała i robiła wszystko, byle nie myśleć, nie czuć, nie widzieć, że przysuwa się coraz bliżej.

– Nie było dnia ani nocy, żebym o tobie nie myślał. – Nadal mówił niskim głosem, ale teraz pojawiła się w nim ochrypla nuta, delikatna jak pieszczota. Był na tyle blisko, że widziała głód w jego wzroku.

I nie było dnia ani nocy, Delaney, żebym sobie nie wyobrażał twojej reakcji na wiadomość, że się rozwiódłem. Czasami wyobrażałem sobie, że milczysz, ale masz łzy w oczach, łzy szczęścia, i rzucasz mi się na szyję. Czasami byłaś wściekła, bo nie skontaktowałem się z tobą wcześniej, wściekła, że zmarnowaliśmy tyle dni i tyle nocy. Wyobrażałem sobie nawet, że mnie policzkujesz i wyzywasz... Ale zawsze w końcu łądowałaś w moich ramionach. A dzisiaj rano, na ulicy... Nie spodziewałem się takiego chłodu, nie wyobrażałem sobie, że pożegnasz się i tak po prostu odejdziesz. Dlaczego, Delaney? Nie zależało ci na mnie tak bardzo, jak mnie na tobie? A może obawiałaś się, że znowu cię skrzywdzę? Nie była w stanie mu odpowiedzieć, ani prawda, ani kłamstwo nie chciały jej przejść przez gardło. Jego pytania zawisły w powietrzu, napięcie między nimi narastało, dopóki Jared nie przerwał go nagłym wybuchem:

– Do cholery, Delaney, powiedz coś! Uderz mnie, pocałuj, każ iść do diabła, ale nie stój tak!

Zanim zdążyła się zastanowić, zrobiła wszystkie trzy rzeczy. Uniosła zaciśnięte dłonie, chciała uderzyć go w klatkę piersiową, ale zaledwie go dotknęła, jej palce wpiły się w szorstki materiał. Odchyliła głowę do tyłu i syknęła przez zęby:

– Do diabła z tobą, Jared! – I nagle jej ręce oplótły jego kark, a usta szukały jego ust... gniewnie, gorączkowo, rozpaczliwie.

Zmieszana, niepewna, odsunęła się od niego. Słyszała jego urywany oddech.

– Nie wiem, co o tym myśleć, Jared – szepnęła.

Delikatnie pocałował ją w czubek głowy.

– Ja wiem. – Wolnym ruchem przesunął dłonie wzdłuż jej ramion. Patrzył jej prosto w oczy, bo w końcu zebrała się na odwagę i podniosła wzrok. – Chcę się dowiedzieć, pod jakim względem zmieniłaś się i wydorosłaś... a pod jakim jesteś taka sama.

W jego ustach brzmiało to tak prosto, tak bezpiecznie. Zamknęła oczy, nie chcąc ulec pokusie.

– Jared, przyjechałam do Aspen, aby pracować. Będę bardzo zajęta.

– Możesz mną dysponować, kiedy tylko zechcesz. Niewielu jest dana druga szansa. Nie

mogę cię zmusić, żebyś pozwoliła nam spróbować jeszcze raz, ale bardzo cię o to proszę. Co ty na to? Delaney?

– Potrzebuję czasu, Jared. Ostatnim razem rzuciłam się na łeb na szyję. Nie zrobię tego ponownie. Za bardzo się potłukłam przy upadku.

– Wiem.

– Odwieź mnie do hotelu.

Bez słowa ruszył do samochodu.

Do hotelu Jerome dojechali w milczeniu. Tym razem było to na rękę Delaney. Oparła głowę o zagłówek, zamknęła oczy i usiłowała zorientować się w labiryncie uczuć, starych i nowych. Kiedy dojechali do hotelu, osiągnęła dość mierne rezultaty.

Jak prawdziwy dżentelmen, Jared odprowadził ją aż do drzwi jej pokoju.

– Na długo zatrzymałaś się w Jerome? – Wyjął jej klucz z ręki i otworzył drzwi.

– Nie, wyprowadzam się jutro, wynajęłam mieszkanie.

Nacisnął klamkę i zwrócił jej klucz. Nagle poczuła się zakłopotana i znowu nie wiedziała, jak powinna postąpić. Zmarszczki w kąciakach jego oczu pogłębiły się, gdy się uśmiechnął:

– Nie obawiaj się, nie wproszę się do środka. – Musnął jej usta w przelotnym pocałunku.

Podświadomie pragnęła, by pocałował ją zupełnie inaczej, ale przeważała decyzja, aby powiedzieć:

– Dobranoc, Jared.

– Dobranoc – powtórzył, zanim zamknęła drzwi.

Opuściła zasuwę, umieściła łańcuch nas miejscu, niedbale cisnęła torebkę na kanapę. Łóżko było przygotowane do snu, narzuta leżała w nogach. Delaney, zmęczona, odgarnęła włosy z czoła.

Ciszę pokoju zakłócił dzwonek telefonu. Podeszła do aparatu na stoliku.

– Słucham? – rzuciła mało uprzejmie.

– Byłaś na smacowej kolacyjce, przyznaj się. – To Riley.

Przez jedną koszmarną chwilę myślała, że jakimś cudem dowiedział się o jej spotkaniu z Jaredem.

– Kolacyjce? – powtórzyła głupio, grając na zwłokę i szykując się do odpierania pytań, które, jak wiedziała, zaraz padną, a na które jeszcze nie znała odpowiedzi.

– Tak, kolacyjce. Wiesz, taki posiłek, który się jada wieczorem – zażartował.

– Wiem, co to kolacja, ale nie pojmuję, dlaczego o to pytasz.

– Daj spokój, ‘Laney – zakpił. – Kolacja z Wyattem, samozwańczym smakoszem... On i Hummel dolecieli w porządku?

Dopiero teraz dotarło do niej, że Riley nie wie o jej spotkaniu z Jaredem. Z ulgi ugięły się pod nią kolana. Ciężko opadła na kanapę. Jak dobrze, że Riley nie weźmie jej w krzyżowy ogień

pytań dotyczących Jareda. W każdym razie – nie teraz.

- Tak, są tutaj. O dziwo, ich samolot sienie spóźnił. Są w mieszkaniu.
- Więc znalazłaś nam jakiś kąt. Świetnie.
- Jutro podłączą telefon, poza tym wszystko gotowe. A u ciebie? Spokój?
- Spokój i nuda – dodał. – Dzisiaj Lucas nakręcił ostatnią scenę, reżyser pozwolił mu jechać.

Przylatujemy jutro, zgodnie z planem.

– Czekamy na was.

– Dobrze. Słuchaj... – chwileczkę. – Delaney słyszała inne głosy w tle. Po chwili Riley odezwał się znowu: – Ktoś jeszcze chce z tobą porozmawiać.

– Halo, Delaney? – To Lucas Wayne. – Tęskniłaś za mną?

– Powiedzmy, że nie mogłam przestać o tobie myśleć. – Pulsowanie w czaszce narastało. Delaney odruchowo masowała czoło. – Riley mówi, że skończyłeś film.

– Tak. Jutro lecimy do Aspen. Będziesz na mnie czekała na lotnisku?

– Ja i dwóch moich współpracowników. – W tej chwili nie miała ani nastroju, ani ochoty na flirty. Zmieniła temat: – A przy okazji, spotkałam dzisiaj Toby'ego koło twojego domu.

Cisza w słuchawce przedłużała się niebezpiecznie.

– Wiem – powiedział w końcu. – Rozmawiałem z nim wcześniej. Opowiadał o spotkaniu z tobą. Mówił, że byłaś dla niego miła. Dziękuję ci za to.

– To żadna sztuka.

– Niewiele osób jest tego zdania – sprzeciwił się. – Ale cieszę się, że tak uważasz. Toby to wspaniały człowiek. – Nie dał jej czasu na komentarz. – Twój kompan chce jeszcze z tobą rozmawiać. Zobaczymy się jutro. Mam nadzieję, że będziesz na mnie czekała z wyciągniętymi ramionami.

– Będę na ciebie czekała – poprawiła.

Lucas zaśmiał się cicho.

– Nadal nie chcesz mieszać przyjemności i pracy, tak?

– To wynika z doświadczenia, Lucas. Uwierz mi, dzięki temu mogę ocalić ci życie.

Kolejna chwila ciszy, zdecydowanie krótsza niż poprzednia.

– Jeśli powiedziałaś to, żeby sprowadzić mnie na ziemię, udało ci się. Postaram się zachowywać przyzwoicie wobec ciebie. Nic więcej nie mogę obiecać.

W słuchawce ponownie odezwał się Riley:

– Więc jestem twoim kompanem, tak? Od kiedy to? – marudził dobrodusznie.

– Właściwie to mi się podoba: Riley Owens, mój kompan. – Roześmiała się szczerze po raz pierwszy od przyjazdu do Aspen.

– A spróbuj powtórzyć to dalej... nie rękę za siebie.

Parsknęła śmiechem.

– Słowo harcerza.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas. Odkładając słuchawkę, stwierdziła, ku swemu zdumieniu, że czuje się o wiele lepiej. Prawie żałowała, że nie powiedziała Rileyowi o spotkaniu z Jaredem. Z drugiej strony dowie się i tak – i to raczej prędzej niż później.

## Rozdział trzynasty

Telefon z recepcji obudził Delaney, tak jak chciała, punktualnie o wpół do siódmej. Po kilku godzinach głębokiego snu nieprzytomna zwlokła się z łóżka i poczłapała do łazienki. Przez piętnaście minut stała pod kłującym deszczem kropelek. Oprzytomniała tylko częściowo. Wytarłszy się niedbale, owinęła mokre włosy ręcznikiem i wsunęła ramiona w rękawy jedwabnego szlafroka.

Z roztargnieniem pomyślała, że przed kąpielą trzeba było zamówić śniadanie do pokoju. Niemal czuła w pokoju aromat świeżej kawy. Nagle rozległo się pukanie do pokoju. Męski głos zawołał:

– Serwis hotelowy, śniadanie!

Zmarszczyła brwi. Czyżby zamówiła posiłek wczoraj wieczorem, zanim poszła spać? Szczelniej otuliła się szlafrokiem w drodze do drzwi. Przez judasza zobaczyła kelnera w białej marynarce, wózek z jedzeniem i... Jareda.

Przez chwilę mocowała się z zasuwą i łańcuchem, zanim otworzyła drzwi z mieszaniną zdumienia, irytacji i zadowolenia na twarzy.

– Dzień dobry. – Kelner uśmiechnął się grzecznie.

– Zamówiłam to? – zapytała nieufnie.

– Ja sobie pozwoliłem na tę śmiałość – przyznał się Jared bez śladu wyrzutów sumienia.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wygląda: z ręcznikiem na głowie, bez makijażu, bosa. Nie szkodzi, że Jared w przeszłości widywał ją w takim stanie. To było wtedy; teraz wszystko jest inaczej. Nie była gotowa na taką intymność.

Jeśli nie, dlaczego otworzyła drzwi? Jej serce i umysł wysyłały sprzeczne komunikaty, a ciało zdawało się samodzielnie podejmować decyzję, komu być posłusznym.

Co się stało, to się nie odstanie, stwierdziła filozoficznie i odsunęła się od drzwi, żeby wpuścić kelnera z wózkiem... i Jareda.

– Gdzie to ustawić, pani Wescott? – Kelner wyminął ją zręcznie.

– Gdziekolwiek. – Nie odrywała wzroku od Jareda. Nagle ogarnęła ją złość, że wygląda tak świeżo i energicznie, wcale nie jest zaspany i zdążył się kompletnie ubrać. Zdjął kapelusz z głowy, przeczesał włosy dłonią i zrobił krok do przodu.

– Mogę się napić z tobą kawy? – zapytał rozbijając szczerze.

– Oczywiście. – Ciekawe, czy słyszał entuzjazm w jej głosie?

Kelner uklonił się przy drzwiach.

– Życzę państwu smacznego.

Delaney nie zatroszczyła się o zamknięcie drzwi; niech Jared to zrobi. Wózek stał na środku pokoju, kusił białym płóciennym obrusem, srebrnymi sztućcami. Podniosła ciężki porcelanowy

dzbanek z kawą.

– Skąd wiedziałaś, że już nie śpię? – zainteresowała się.

Jared położył kapelusz na kanapie i podszedł bliżej.

– Sprawdziłem w recepcji, na którą zamówiłaś budzenie. Pomyślałem, że nawet jeśli masz dziś bardzo pracowity dzień, nie odmówisz sobie odrobiny przyjemności w postaci filiżanki kawy i czegoś dobrego do jedzenia. Pamiętam, że kiedyś lubiłaś francuskie tosty. – Ruchem głowy wskazał przykryty półmisek. – Mam nadzieję, że to się nie zmieniło.

– Nie. – Zanim usiadła, dostrzegła przy swoim nakryciu szklanekę soku grejpfrutowego. A więc pamiętał także, że woli grejpfruty od pomarańczy.

– Siano suszy się na polu, więc przyszło mi do głowy, że mógłbym ci pomóc przy przeprowadzce. – Rozejrzał się po pokoju, obrzucił spojrzeniem liczne pakunki. Jego uwagę przykuła sfatygowana skórzana waliza pod ścianą. – To twoje? – pytająco uniósł brwi.

– Nie, Riley.

– Mieszka z tobą?

Nerwowo spojrzął na rozścielone łóżko, jakby usiłując ocenić, czy spała w nim jedna czy dwie osoby.

– Chyba nie myślisz, że z nim spałam? – zdumiała się.

– Czy to takie nieprawdopodobne? – Uniósł brwi.

– Tak. – Nie wiedziała, śmiać się czy złościć. – Owszem, bardzo blisko współpracujemy, ale nie aż tak blisko. Jesteśmy przyjaciółmi, i tyle.

– Wiem, że kiedyś tak było. Ale to się mogło zmienić.

– Ale się nie zmieniło – zapewniła go, rozbawiona samym pomysłem.

– Nie był to jego wybór, idę o zakład – rzucił sucho.

– Co masz na myśli? – zmarszczyła czoło.

– Pamiętam, jak na ciebie patrzył – usłyszała. – Nie pracę miał wtedy w głowie.

– Riley? To śmieszne – oznajmiła z cieniem irytacji w głosie.

– Jeśli tak twierdzisz. – Obojętnie wzruszył ramionami. – Musisz jednak przyznać, że widok jego bagaży w twoim pokoju budzi różne skojarzenia.

– Co prawda to nie twoja sprawa, ale ci powiem. Riley dzisiaj przylatuje z Nowego Jorku. Jego siostra podesłała mu przeze mnie trochę ciuchów. – Ze złości naląła na tosta więcej syropu klonowego niż zamierzała.

– Delaney, nie chce się z tobą kłócić. Po prostu stwierdziłem fakt. I jestem trochę zazdrosny, jeśli już musisz wiedzieć.

Ułagodził ją tymi słowami.

– Nie masz powodów być zazdrosnym o Riley'a – tłumaczyła.

Nie? Był z tobą prawie codziennie przez ostatnie sześć lat. Ja nie. Przypomniała sobie, ile

razy wyobrażała sobie Jareda z żoną. Ogarniał ją wtedy gniew i... tak, zazdrość. Nie wiedziała, że się rozwiódł, podobnie jak Jared nie wiedział, czy nie rzuciła się w ramiona Riley'a.

– Zmieńmy temat, dobrze? – Ukroiła kawałek tosta.

– Wiesz już, na jak długo przyjechałaś do Aspen?

– Na miesiąc. Co najmniej, jak sędzę. – Uniosła widelec do ust.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla Lucasa Wayne'a.

Jared gwałtownie podniósł głowę.

– Jest w mieście?

Zaprzeczyła, energicznie żując waniliowy smakołyk.

– Przylatuje dzisiaj, z Rileyem. Musiałam wszystko przygotować na ich przyjazd. – Upiła łyk kawy. – Zapewne słyszałaś, co w zeszłym tygodniu zrobiła Rina Cole.

– Owszem. – Skrzywił się cynicznie. Była to jedyna reakcja, poza tym wydawał się spokojny, aż za spokojny. To wystarczyło, by przypomniawszy sobie, jaką niechęcią darzy ludzi show-biznesu. – Szczerze mówiąc, dziwię się, że nikt nie strzelał do niego wcześniej. Tylko że zawsze myślałem, że będzie to rogiaty mąż, a nie porzucona kochanka.

Kawa była bardzo gorąca. Studziła ją, dmuchając leciutko. Obserwowała go znad krawędzi filiżanki.

– Znasz Lucasa Wayne'a?

– Głównie ze słyszenia. – Bawił się łyżeczką. Wyraźnie unikał jej wzroku. – Pewnie widziałem go w mieście ze dwa, trzy razy.

– Co się o nim mówi?

– Że jest mistrzem dostarczania rozrywek znużonym żonom. Tak przynajmniej słyszałem. – Zawahał się, podniósł na nią wzrok. – A co ty o nim sądzisz?

– Sama nie wiem – przyznała szczerze. Wzruszyła ramionami. – Na szczęście interesuje mnie jego życie, nie jego charakter.

– Bądź ostrożna, Delaney. Nie chcę, żeby cię skrzywdził.

– To mało prawdopodobne – ucięła. Zmieniła temat. – Więc teraz mamy żniwa, prawda?

– Tak. – Opowiadał o farmie, o tym, jaki był miniony rok, o spodziewanych zbiorach, o planach na zimę i eksperymentach z krzyżówkami. Delaney skończyła swojego tosta, dołała obojgu kawy i zapytała o Kelly.

– Miałem dawniej nadzieję, że napisze albo zadzwoni, da znać, że jest cała i zdrowa – powiedział cicho. – Nie odezwała się. Medalion to jedyny ślad. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

– Przykro mi. – Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

– Nadal jej szukam.



- Oczywiście. – Najgorsza jest niewiedza, czy znajdzie ją żywą, czy martwą.
- Co u twojego ojca?
- W porządku. Pilnuje mi domu.
- Nadal mieszkasz nad kanionem?
- Tak.
- Często się zastanawiałem, czy sprzedałaś ten dom, czy nie.
- Nie, w każdym razie jeszcze nie. – Zdecydowanie odstawiła filiżankę na spodeczek. –

Chociaż chętnie posiedziałybym z kawą o wiele dłużej, muszę się ubrać.

Jared błyskawicznie zerwał się z miejsca.

– W takim razie poczekam na dole. – Porwał kapelusz i ruszył do drzwi.

– Jared.

– Tak? – odwrócił się na pięcie.

Zawahała się, zanim powiedziała:

– Dzięki za śniadanie.

– Przyjemność po mojej stronie, Delaney. – Z uśmiechem zamknął za sobą drzwi.

Pół godziny później bagażowy ładował walizki na wózek, a Delaney sprawdzała, czy na pewno zabrała wszystko. Jared, zgodnie z obietnicą, czekał na dole.

– Zapakuję to do bagażnika – zaproponował. – Idź, zapłać rachunek.

Recepcjonistka podała jej rachunek. Formalności zajęły zaledwie kilka minut. Wyszła na dwór, wsiadła do wynajętego samochodu. W tylnym lusterku widziała, że towarzyszy jej czarna półciężarówka.

Zatrzymali się przy budynku, w którym mieściły się wynajęte mieszkania. Jared bez pytania podniósł najcięższą walizkę.

– Szarą tweedową do sypialni – poleciła. Sama podnosiła żaluzje w największym pokoju, żeby wpuścić więcej światła. – Walizki Riley'a zostaw przy drzwiach.

W mgnieniu oka przekształciła jadalnię w gabinet. Po chwili stół nikł pod stosami formularzy, notatników, ołówków, długopisów, kalkulatorów. Zostało jedynie miejsce na telefon. Podniosła wzrok na Jareda. Obserwował ją, nonszalancko oparty o ścianę. Zepchnął kapelusz na tył głowy, skrzyżował nogi.

– Jak sobie wyobrażasz prowadzenie firmy w Los Angeles, skoro przez miesiąc będziesz w Aspen?

– Mając do dyspozycji faks, telefon, Internet i pocztę kurierską, plus zastępcę w Los Angeles, powinnam dać sobie radę. Niestety, wkrótce Wescott and Associates rozrośnie się do tego stopnia, że nie będę mogła dłużej pracować w terenie.

– Lubisz to, prawda?

– Tak. – Spojrzała na niego uważnie, słysząc posępną nutę w jego głosie, ale nic na to nie

wskazywało w jego twarzy. – Nie podoba mi się myśl, że mam całymi dniami siedzieć za biurkiem. Ale kto wie? Może koordynowanie pracy dwóch czy trzech zespołów okaże się równie fascynujące jak praca w terenie.

Z korytarza dochodził odgłos ciężkich, człapiących kroków. Zdaniem Delaney wskazywały na więcej niż jedną osobę. Zerknęła na drzwi, których nie zdążyła zamknąć. Chwile później na progu stanęli Vance Hummel i John Wyatt, obaj w szortach i adidasach. Przepocone koszulki przywierały im do pleców. Szczupły, piegowaty Wyatt pierwszy zauważył otwarte drzwi.

– Cześć, Delaney. Jesteś tu. – Wkroczył do mieszkania, ciężko powłócząc nogami. W ostatniej chwili wyminął bagaże Riley'a. – Jedno pytanie: jak, do cholery, udało ci się wtaszczyć tutaj te paki? – W tej chwili zobaczył Jareda. Zatrzymał się gwałtownie. – Przepraszam, nie wiedziałem, że masz gościa.

Nie miał jednak zamiaru wyjść, podobnie jak Vance Hummel, który wszedł tuż po nim. Obaj przyglądali się Jaredowi z nie skrywaną ciekawością.

– Chodźcie, chłopcy, poznajcie Jareda McCallistera. – Delaney przedstawiła mu swoich pracowników. Obaj, zanim zatrudnili się w jej firmie, pracowali w policji Los Angeles i obaj odeszli z tego samego powodu: mieli dosyć stresu i przekonania, że walczą po stronie, która przegrywa.

Jak zwykle, Wyatt był bardziej gadatliwy:

– Miło cię poznać, Jared. A już cholernie miło, że wtaszczyłeś na górę te paki. Ja nie podniósłbym nawet jednej.

– Nie ma sprawy.

Vance Hummel wyciągnął umięśnioną rękę.

– Jared – mruknął tylko.

John Wyatt rzucił się na kanapę w salonie.

– Boże drogi, ledwo żyję.

– Chyba nie biegaliście, co? Przecież wam mówiłam, że macie się oszczędzać przez najbliższe dni.

– Myśleliśmy, że właśnie to robimy. Do cholery, zrobiliśmy zaledwie milę, a zazwyczaj biegam co najmniej dziesięć.

– Wydawało nam się, że dzięki temu szybciej się zaaklimatyzujemy. – Vance wszedł do pokoju. Ze stoickim spokojem zignorował krzesła.

– On wpadł na ten genialny pomysł. – John z trudem wskazał Vance'a oskarżającym gestem.

– To chyba nie najlepszy sposób – zauważył Jared.

– Teraz mi o tym mówisz? – zachnął się John.

– Kiedy wchodziliśmy, podjechała ciężarówka z firmy telefonicznej – oznajmił Vance. – Pewnie zaraz tu przyjdą.

– Wygląda na to, że będziesz teraz bardzo zajęta – stwierdził Jared. – Czas na mnie.

– Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Zadzwoń do mnie za dzień lub dwa, kiedy będziesz lepiej znała swój rozkład zajęć. Może uda nam się wypaść na lunch albo kolację.

Bez śladu zmieszania podszedł do niej i lekko, ale serdecznie pocałował w usta.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, odezwał się John Wyatt:

– Nie wiedziałem, że tu w Aspen masz chłopaka, Delaney.

– Nie mam – odparła ze sztucznym spokojem. – Jared to mój stary przyjaciel, i tyle.

– Jasne – zgodził się z powątpiewaniem. – Też się całuję na pożegnanie ze starymi przyjaciółmi, ty nie, Vance?

Wiedząc, że jedynym sposobem na zakończenie kpin i docinków jest odpowiedzieć tym samym, Delaney wpadła mu w słowo:

– Nie wiedziałam, że masz starych przyjaciół, John. Myślałam, że lubisz tylko zgrabne dziewczętnastolatki.

– To nie fair – obruszył się.

– Nie, to niepoważne – poprawiła. Wykorzystała chwilową przewagę, by zmienić temat: – Chłopcy, może weźmiecie prysznic, zanim całe mieszkanie będzie śmierdzieć jak siłownia?

John Wyatt zerknął na partnera.

– Chyba nas obrażono.

Delaney uśmiechnęła się złośliwie:

– Co ja poradzę? Mówię tylko prawdę. Taki zapach...

Tego już za wiele! – Wyatt z wysiłkiem wstał z kanapy. – Wychodzę stąd. Uśmiechała się, dopóki nie zamknęli za sobą drzwi. Z trudem odpędziła od siebie ponure myśli i skoncentrowała się na długiej liście spraw, które musi załatwić przed przyjazdem Lucasa Wayne'a.

Ze strażnikiem u boku czekała na otwarcie drzwi samolotu. Riley szedł pierwszy, przed Lucasem. Ciepły blask jego oczu, gdy ją zobaczył, nie uszedł jej uwagi. Odwzajemniła uśmiech. Jak zwykle, w jego obecności odzyskiwała wiarę w siebie.

– Wszystko gra? – zapytał, uważnie rozglądając się po lotnisku.

– Tak.

– Zajmę się bagażem. – Z tymi słowami odsunął się na bok i dał znak Lucasowi.

– Aktor wysiadł z samolotu. Jego dzinsy wyglądały na tak sprane, że najpewniej sztucznie postarzone je w fabryce. Włosy opadały na kołnierzyk sportowej koszuli w różowe paski. Powitał Delaney swoim chłopięcym uśmiechem.

– Jak to? Nie czekasz na mnie z otwartymi ramionami?

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Chyba w twoich marzeniach, Lucas – odcięła się.

– Zapewniam cię, Delaney, że marzenia o tobie były bardzo przyjemne – zapewnił, zniżając głos do ochryplego szeptu, przeznaczonego jedynie dla niej. – Teraz muszę tylko znaleźć sposób, żeby wcielić je w życie.

Puściła jego słowa mimo uszu. Wzięła go pod ramię i ustawiła się z boku, żeby go osłaniać. Strażnik w mundurze zrobił to samo.

– Na zewnątrz czeka samochód. – Prowadziła go szybko; ludzie już rzucali w ich stronę zaciekawione spojrzenia.

Kiedy nie zwróciła uwagi na strzałki kierujące do hali bagażowej, Lucas zatrzymał się.

– Chwileczkę! A moje walizki?

– Riley je odbierze. Przywiezie ze sobą.

– To się nazywa fachowa obsługa – dorównał jej kroku.

– Nie. To się nazywa zabranie cię z lotniska jak najszybciej. – Otworzyła drzwi, wyszła pierwsza, odruchowo otaksowała nieliczne samochody przy krawężniku. Podeszła z Lucasem do wynajętego czerwonego lincolna. John Wyatt czekał za kierownicą. Silnik pracował bez przerwy. Przytrzymała drzwiczki Lucasowi, wsiadła za nim i podziękowała strażnikowi z lotniska. W następnej chwili lincoln włączył się w ruch uliczny.

– Jak zwykle, działa pani szybko i skutecznie, pani Wescott – zauważył z żartobliwą powagą. – Zaczynam wątpić, czy komukolwiek uda się przyłapać panią na chwili nieuwagi.

– Nie jestem niepokonana, Lucas.

– Cóż za pocieszające wyznanie!

Po kilku minutach przejechali most nad Castle Creek i znaleźli się w centrum miasta. Lucas nie odrywał wzroku od okna. Zielone drzewa ocieniały domy w eleganckiej dzielnicy West End.

– Cieszę się, że tu przyjechaliśmy. Świadomość, że na jakiś czas opuściłem akwarium, to wspaniałe uczucie. – Jakby chcąc wyjaśnić ostatnie słowa, dodał: – Tu nie sprzedaje się map, jak dojść do domu gwiazdy. W żadnym przewodniku nie wyczytasz, gdzie spotykają się znane osobistości. Nawet ja mogę tu liczyć na odrobinę prywatności.

– To część uroku Aspen, prawda? – zagadnęła.

– Oprócz majestatu gór w lecie, szampańskich nart w zimie i poczucia ekskluzywności przez cały rok.

Uśmiechnęła się, jak tego oczekiwał, i ponownie skupiła się na mijanych widokach.

Samochód skręcił w Mili Street, ku Red Mountain. Wąska szosa wiała się coraz wyżej. Mieli piękny widok na miasto w dolinie i na góry po jej przeciwnej stronie.

Lincoln wjechał na podjazd, gdy Delaney rozpoznała niebieskiego mercedesa przy dróżce do domu.

– Wygląda na to, że pani St. Jacques chce cię powitać w Aspen.

– Na to wygląda.

Cynizm nie uszedł jej uwagi, ale nie zdążyła się przekonać, czy ma on jakieś odzwierciedlenie w wyrazie jego twarzy, bo otworzył drzwi chcąc wysiąść po swojej stronie. Jego bezmyślność wyprowadziła ją z równowagi. Rzuciła się ślad za nim. Złapała go jednocześnie z Wyattem.

– Masz siedzieć w samochodzie, dopóki jedno z nas nie otworzy ci drzwi, rozumiesz? – upomniała go. – Nie możemy sobie pozwolić na takie zaniedbania.

– Przepraszam, zapomniałem.

– Więc na przyszłość pamiętaj. – Widziała jednak, że całą jego uwagę przykuła nadchodząca kobieta.

Luke. – Susan St. Jacque przytuliła się do niego i odchyliła głowę do tyłu, wymuszając w ten sposób powitalny pocałunek. Cofnęła się, żeby na niego spojrzeć, nie zdejmując rąk z jego ramion. – Tak się cieszę, że cię widzę, Luke. I, na szczęście, całego i zdrowego.

– Cieszę się z tego równie mocno jak ty.

Delaney nie znosiła chwil takich jak ta, kiedy nie mogła nie podsłuchiwać. Podobnie jak John Wyatt, stanęła jak najdalej i odwróciła wzrok.

– Zapewne ucieszy cię wiadomość – mówiła Susan – że półki w twojej spiżarni uginają się od smakołyków. Moja sprzątaczką będzie przychodzić dwa razy w tygodniu. Może być częściej, jeśli zechcesz.

– Dwa razy w tygodniu wystarczy.

– Właśnie tak myślałam. – Zamilkła na chwilę. – Chętnie zostałabym dłużej, żeby pogadać, ale na pewno jesteś zmęczony podróżą. Wpadnę jutro, koło pierwszej, i razem pojedziemy obejrzeć ten obraz. Później zjemy kolację i porozmawiamy. W centrum otworzyli nową restaurację. Na pewno ci się spodoba.

– Susan, nie jutro. Ja...

– Chcesz mnie wystawić do wiatru, Luke?

– Nie, skądże. Po prostu muszę trochę odpocząć. Tempo zdjęć przy tym filmie było zabójcze.

– Ale podobno bardzo opłacalne – dokończyła.

– Owszem.

– A to jest najważniejsze, skarbie.

– Masz rację... jak zwykle. – Urwał. Kątem oka Delaney zobaczyła, jak delikatnie gładzi Susan po policzku. – Zadzwoń za kilka dni. Pójdziemy zobaczyć ten obraz, który tak bardzo chcesz mi pokazać. Potem zjemy kolację... w jakimś zacisznym miejscu. A potem... – znacząco obniżył głos. – Kto wie, jak i gdzie zakończymy ten wieczór?

– Wcale się nie zmieniłeś, co, Luke? – mruknęła. – Nadal potrafisz sprawić, że kobieta czuje się absolutnie wyjątkowo. Właściwie mogłabym się w tobie znowu zakochać. Ale nigdy do tego

nie dopuszczę.

– Dlaczego? – szepnął.

– Bo za nic nie chciałabym, by nasz obecny stosunek uległ zmianie. Ale nie mam ci za złe, że próbujesz. – Uśmiechnęła się jak najedzona kotka. Lucasowi to nie przypadło do gustu.

– Luke! – Z dorosłego głosu biła dziecinna radość. W tej samej chwili Delaney zobaczyła Toby'ego Williamsa. Zbliżał się od strony garażu, biegł ciężkim truchtem. – Luke, przyjechałeś!

Susan zauważyła go także. Nagle zrobiła się zła.

– Powinieneś był go zostawić w ośrodku – burknęła.

– Nie mogłem.

– Co za szkoda – syknęła idąc do samochodu. – Czekam na twój telefon, Luke. Niedługo.

Nie miał czasu odpowiedzieć, bo Toby rzucił mu się na szyję. Lucas aż się zachwiał przy tak entuzjastycznym powitaniu.

– Przyjechałeś, Luke. – W oczach Toby'ego były łyzy radości. – Przyjechałeś, tak jak obiecałeś.

– Zawsze dotrzymuję obietnic, stary. Wiesz o tym. – Luke uściskał go serdecznie. – Cieszę się, że cię widzę, Toby.

Uśmiech na okrągłej twarzy zbladł odrobinę.

– Tęskniłem za tobą, Luke.

– Ja też, stary. – Potargał ciemną czuprynę Toby'ego, jakby to był mały chłopiec. Tyle że Toby był chłopcem uwięzionym w ciele mężczyzny, w ciele o wiele niższym i cięższym niż ciało Luke'a.

– Ty i ja, będziemy się świetnie bawić, prawda, Luke?

– Jasne.

– Zabierzesz mnie na ryby?

– Pewnie.

– I będziemy jeździć konno?

– Jeśli obiecasz, że nie spadniesz.

Chrzęst opon mercedesa na żwirze zagłuszył chichot Toby'ego. Toby odprowadzał go wzrokiem z ponurą miną.

– Ona mnie nie lubi, Luke. Staram się być dla niej miły, tak jak mnie prosiłeś, ale ona mnie nie lubi.

– To nie twoja wina, Toby. Bądź dalej miły, i już. – Lucas otoczył ramieniem szerokie barki Toby'ego i uśmiechem dodał mu otuchy.

Toby usiłował odpowiedzieć tym samym, ale z marnym skutkiem.

– Ona chyba się mnie boi. A ja przecież nie zrobiłbym jej krzywdy. Naprawdę nie, Luke.

– Wiem o tym, nikomu nie zrobiłbyś krzywdy. Jest głuptasem, i tyle. Wielkim tchórzem.

– Tak, wielkim tchórzem. – Toby z zapalem kiwał głową. – Wielki tchórz.

– Właśnie. Więc już się tym nie przejmuj, dobrze?

– Dobrze...

Powiedzieć, że Delaney była zaskoczona tym, co widziała i słyszała, to za mało. Nie wiadomo dlaczego spodziewała się, że Lucas będzie traktował Toby'ego z litością i rezygnacją, w sposób, który wskazywałby, że jedyną przyczyną obecności Toby'ego w Aspen jest dbałość Lucasa o własny wizerunek. Uważała ten powód za oczywisty, dopóki nie zobaczyła ich razem, nie zobaczyła, jak ciepło i serdecznie się do niego odnosi. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Toby tu jest, bo Lucas tego chce, i nie kieruje nim chęć budowania sobie image'u. Intrygowała ją przyjaźń. Była ciekawa, gdzie i jak się zaczęła. Może na imprezie dobroczynnej, podczas której zbierano fundusze dla niepełnosprawnych? A może... nie miała czasu zastanowić się dłużej, bo Lucas i Toby, nadal objęci, podeszli do niej.

– Toby, pamiętasz panią Wescott, prawda? – zapytał Luke. – Poznałeś ją wczoraj...

– Pamiętam. – Nieśmiało skinął głową.

– Cześć, Toby. Cieszę się, że znowu się spotykamy.

– Ja też – bąknął.

– Pani Wescott zostanie u nas na jakiś czas – wyjaśnił Luke. – A to jej przyjaciel...

– John Wyatt. – John wyciągnął rękę do Toby'ego. Uśmiechał się od ucha do ucha. – Fajnie cię poznać, Toby.

– Cześć. – Toby odnosił się do niego z wyraźną rezerwą. Delaney podejrzewała, że w życiu zaznał niewiele dobroci, zwłaszcza od obcych. Ludzie prawdopodobnie czuli się nieswojo w jego towarzystwie, jak Susan St. Jacques, albo zaczęli sobie drwić z niego i dokuczać mu.

W oddali samochód zwolnił i skręcił.

– To chyba Riley. – Odwróciła się na pięcie. Miała rację.

– Mam nadzieję, że przywiózł moje bagaże – stwierdził Lucas.

Toby podchwycił to natychmiast.

– Zaniosę twoją walizkę na górę, Luke.

– Umowa stoi. Wiesz co? Dam ci najcięższą.

– Dlatego, że jestem silny, tak? – dopytywał się dumnie.

– Właśnie dlatego.

Riley zaparkował obok czerwonego lincolna, otworzył bagażnik. John Wyatt, z Tobym depczącym mu po piętach, zajęli się wyładowaniem walizek. Na chwilę Lucas i Delaney zostali sami.

Zerknął na nią z ukosa.

– Chciałem cię zapytać, którą sypialnię sobie wybrałaś?

– Żadnej. Riley będzie tu spał. Przez pewien czas będziecie dzielić pokój – odparła

stanowczo. – Drugi człowiek przypilnuje wjazdu. Powinieneś zainstalować tu bramę. To by nam znacznie ułatwiło pracę. Na razie zablokujemy wjazd jednym z samochodów.

– Moment! A gdzie ty będziesz? – W jego głosie słyszała nutę gniewu.

– Kiedy będziesz tu, w domu, ja pozostanę w biurze, żeby skoordynować działania mojej ekipy.

– Nie tak się umawialiśmy, Delaney. Masz mnie chronić.

– Mam ci zapewnić ochronę – poprawiła spokojnie.

– Nie, do cholery! Masz być tutaj, ze mną! – Znowu wyszedł na jaw jego ognisty temperament. – Płacę za twoje usługi i tego oczekuję: twoich usług. Nie spławisz mnie swoim pomagierem!

Delaney głęboko zaczerpnęła tchu i stłumiła ochotę, by odpowiedzieć mu równie ostro.

– Płacisz za usługi Wescott and Associates. Pan Owens jest doskonale wykwalifikowanym...

– Mam w nosie jego kwalifikacje! – wrzasnęła. – Chcę, żebyś ty tu była, nie on. Czy wyraziłem się jasno?

Nie wiadomo, co było w nim silniejsze, gniew czy zraniona miłość własna. Delaney nie ustępowała.

– Wyraził się pan bardzo jasno, panie Wayne. – Znowu zwracała się do niego z lodowatą uprzejmością. Słyszając jej ton, skulił się, jakby wymierzyła mu policzek. – Mimo to, jak już panu kiedyś tłumaczyłam, w zakres moich obowiązków nie wchodzi utulanie pana na dobranoc. Jeśli nie jest pan usatysfakcjonowany...

– Nie, do cholery, nie jestem usatysfakcjonowany. Chcę, żebyś przy mnie była! – Urwał w pół słowa, zamknął oczy. Kiedy je otworzył, nie było w nich złości. Jego gniew przemijał równie szybko, jak nadchodził. – Delaney, jak mam ci wytłumaczyć, że w twojej obecności czuję się bezpiecznie? – Patrzył na nią błagalnie. – Może znajdziemy jakieś kompromisowe rozwiązanie? Jeśli chcesz, żeby Riley tu sypiał – w porządku. Bóg jeden wie, że dałem ci wystarczająco dużo dowodów moich niecnym zamiarów. Ale spraw mi chociaż małą przyjemność i bądź tu w ciągu dnia.

Nie przekonał jej gniewem, za to pokonał uśmiechem.

– Mam masę papierkowej roboty. Masę planowania, a to wszystko moja działka. Ale obiecuję ci, że będę tak często, jak to możliwe. Wystarczy?

– Chyba musi. Dzięki.

– Jeśli to tylko możliwe, spełniamy wszystkie życzenia naszych klientów. – Wiedziała jednak, co to dla niej oznacza; jeszcze mniej czasu wolnego. A tym samym jeszcze mniej czasu, który mogłaby spędzić z Jaredem. Może to dobrze?

Toby z dumą taszczył olbrzymią walizę.

– Ta jest największa, Luke. Zanieść ją do twojego pokoju?



– Tak.

– W porządku. – Toby błędził wzrokiem po okolicy, zanim znowu spojrzął na Lucasa rozpromienionym wzrokiem. – A ty idziesz?

– Jasne. – Lucas pomachał Delaney i dołączył do Toby'ego.

Riley niepostrzeżenie zaszedł ją od tyłu.

– Kto to? – Wskazał Toby'ego ruchem głowy.

– Przyjaciół Lucasa. Nazywa się Toby Williams. – Wzruszyła ramionami na znak, że nie wie nic więcej. Jednak jego pytanie ponownie zwróciło jej uwagę na dwóch mężczyzn idących w stronę domu. Toby paplał jak podniecony dzieciak, Lucas słuchał uważnie, uśmiechał się ciepło i co jakiś czas zadawał pytania.

– Toby nie wydaje się typem, którego Lucas zaprosiłby na miesiąc, co?

– Ta sprawa robi się coraz ciekawsza – skomentował Riley.

## Rozdział czternasty

Wczesnym rankiem trzeciego dnia w Aspen Delaney stała nad potokiem Roaring Fork River. Miała na sobie jasnozieloną flanelową koszulę i wytarte dżinsy. Gumka przytrzymywała włosy na karku, odsłaniając słuchawkę w uchu.

Kilkanaście jardów dalej Lucas Wayne i Toby z zapalem łowili ryby w lodowatych wodach strumienia. Wokół panowała atmosfera spokoju. Ze szczytów spływała mgła, otulała ukwiecone łąki białym całunem.

– Piękny ranek, prawda? – Riley obserwował okolicę zza szkielec słońecznych okularów.

– Owszem. – Ukradkiem zerknęła na jego szczupłą, pociągłą twarz. Była świadoma dziwnego napięcia, narastającego między nimi przez dwa ostatnie dni. Nie czuła się z tym dobrze. Zdecydowała, że musi coś z tym zrobić.

– Dlaczego ani razu mnie o to nie zapytałeś?

– O co? – przekrzywił głowę.

– Doskonale wiesz, o co. Do tej pory John albo Vance na pewno ci donieśli, że widzieli mnie z Jaredem. Więc dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Wiedziałem, że w odpowiedniej chwili sama mi o tym opowiesz. – Nie miał zamiaru jej krytykować. Ani z głosu, ani z wyrazu twarzy nie dało się niczego wyczytać. Delaney wołałaby, żeby nie chował się za ciemnymi okularami, bo nie wiedziała, co kryje się w jego oczach. Zamiast tego skupiła się na oglądaniu krajobrazu.

– Przypadkowo spotkałam go na ulicy. Pierwszego dnia. – Starła się mówić spokojnie i rzeczowo.

Kątem oka zauważyła, że skinął głową.

– Rozumiem.

Czekała, ale nie powiedział nic więcej. Cisza się przedłużała, a wraz z nią narastało napięcie.

– Jared już nie jest żonaty. Jest rozwiedziony.

– To stawia całą sprawę w zupełnie innym świetle. – Jego suchy komentarz odzwierciedlał jej początkową reakcję.

– Chyba tak. – Sama nie była tego pewna.

– Spotkasz się z nim ponownie? – Teraz na nią patrzył. Czuła na sobie jego badawcze spojrzenie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – To prawda. Pociągał ją równie silnie jak przed laty, a złość, która stanowiła jej zbroję, rozplynęła się bez śladu. – A twoim zdaniem powinnam?

– Nie pytaj mnie o to – odparł burkliwie.

– Chciałabym wiedzieć, co o tym sądzisz.

– Nie, nie chciałybyś.

– Przecież wtedy bym o to nie pytała – odrzuciła zniecierpliwiona.

– Nie oszukuj się, Delaney. Gdybym powiedział: „Nie spotykaj się z nim więcej”, i tak postąpiłabyś po swojemu, a moje zdanie liczyłoby się tyle co zeszłoroczny śnieg.

– O co się tak złościysz? – Nie pojmowała, skąd tyle gniewu w jego głosie.

Uśmiechnął się, ale był to raczej niewesoły grymas.

– Sama się domyśl.

W tej samej chwili Toby wydał okrzyk tryumfu.

– Złowiłem, Luke! Zobacz, złowiłem! – Z zapalem wyciągał na brzeg okazałych rozmiarów pstrąga.

– Przyda mu się podbierak. – Z tymi słowami Riley oddalił się w stronę rybaków, a Delaney rozmyślała nad tym, co powiedział.

Później, po powrocie do domu, stała na werandzie z filiżanką kawy w dłoni. Słońce grzało coraz mocniej, niedługo będzie musiała zmienić flanelową koszulę na coś lżejszego. Oparła nogę o poziomą belkę poręczy. W zadumie patrzyła na panoramę doliny. Lucas podszedł do niej niespodziewanie.

– Zapowiada się kolejny piękny dzień – zauważyła. Srebrny wagonik kolejki linowej mozolnie wspinał się na górę Ajax.

– Tak.

Postawiła stopę z powrotem na ziemię, odwróciła się do niego.

– Zdajesz sobie sprawę, że cholernie ułatwiasz nam zadanie?

Lekko przechylił głowę. Jedna brew uniosła się w niemym pytaniu.

– Tak?

– Tak. – Napiała się kawy. – Szczerze mówiąc, kiedy powiedziałeś, że jedziesz do Aspen, wyobraziłam sobie miesiąc nieustannych rozrywek: partii golfa, tenisa, koktajli, kolacji... Jednym słowem, mnóstwo sytuacji, w których chronienie twojej osoby i zapewnienie ci bezpieczeństwa byłoby bardzo utrudnione. Tymczasem przez ostatnie dwa dni wychodziłeś z domu tylko na ryby.

– Mamy dopiero początek miesiąca. – Uśmiechnął się ostrzegawczo.

– Wiem. – Właśnie dlatego ograniczyła się do rozważań na temat odesłania Vance’a do Los Angeles i zatrudnienia na jego miejsce emerytowanego policjanta.

– To chyba odpowiednia chwila, żeby cię zawiadomić, że dzwoniłem do Susan i prosiłem, żeby załatwiła nam bilety na dzisiejszy koncert. Nie zapominaj też o przyjęciu w piątek wieczorem.

– Nie zapomniałam. Wczoraj wieczorem dostałam kompletną listę gości, a dzisiaj idę dokładnie obejrzeć miejsce, gdzie ma się odbyć impreza.

Kątem oka zauważyła ruch. Odwróciła się błyskawicznie. Najpierw sprawdziła, czy wynajęty samochód blokuje, jak powinien, wjazd na teren posiadłości, i czy John Wyatt nie opuścił posterunku. Nie, tam wszystko było w porządku. Po chwili zobaczyła Toby'ego.

– Hej, Toby! – To Lucas. – Dokąd się wybierasz?

Toby pomachał dwoma pstrągami w siatce.

– Zapomniałem pokazać moje ryby panu Walkerowi. – Nagle się zasmucił. – Mogę, prawda?

– Pewnie. – Lucas pomachał mu z uśmiechem.

– Dziś rano na rybach doskonale się bawił – zauważyła.

– Trochę rozrywki mu się należy.

– Od jak dawna go znasz? – Nie była w stanie powstrzymać ciekawości. Lucas znieruchomiał, zacisnął powieki. – Przepraszam. Nie powinnam była pytać. To nie moja sprawa.

– Nie, w porządku. – Szybko potrząsnął głową. Spojrzał jej prosto w oczy. W jego wzroku czaiło się wyzwanie. – Toby to mój brat.

Delaney usiłowała nie dać po sobie poznać, jak bardzo ją zaskoczył. Na darmo.

– Nie wiedziałam. Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Urodziłem się jako Lucas Wayne Williams. Toby przyszedł na świat dwa lata później. Kiedy skończył trzy lata, było jasne, że nie jest... Boże, nie cierpię tego słowa... normalny. Ojciec go nienawidził i nienawidził matki, bo go urodziła. Nigdy nie zwracał się do niego po imieniu, nigdy nie pogodził się z faktem, że go spłodził. Wiesz, jak go nazywał? Cholernym idiotą. Toby myślał, że ma tak na imię. „Wynocha stąd, ty cholerny idioto”, wrzeszczał. A jeśli Toby nie wykonywał poleceń wystarczająco szybko, sięgał po pas. Jeśli próbowałem go bronić, obrywałem również.

Uśmiechnął się gorzko do wspomnień, ale słowa, które wypowiadał, brzmiały twardo i zimno, choć w głębi kotłowało się w nim.

– Matka... – Wygiął usta z niesmakiem i złością. – Uciekła w chorobę i modlitwę. Jeszcze dziś widzę, jak siedzi z Tobym na kolanach; na całym ciele, na rękach, nogach i plecach miał sińce i rany; stara się go utulić i prosi Boga, by „ich zbawił ode złego”. Jej zbawienie nadeszło, kiedy miałem osiem lat. Umarła. Jeszcze tego samego dnia ojciec wsadził Toby'ego do starego, poobijanego samochodu. Toby był przerażony. – Głos przeszedł w szept. – Znał tylko jedno słowo i powtarzał je bezustannie: Luke, Luke! – Głęboko zaczerpnął tchu. – Kiedy ojciec wrócił, Toby'ego już z nim nie było. Po wielu latach dowiedziałem się, że zostawił go w zakładzie dla dzieci upośledzonych. Później przeniesiono go do zwykłego szpitala psychiatrycznego. Tam go w końcu odnalazłem.

– Dzięki Bogu, że szukałeś – mruknęła.

– Kiedy ojciec wrócił bez niego, przysiągłem sobie, że pewnego dnia go odnajdę i zaopiekuję się nim. – Znowu umilkł. Starał się przezwyciężyć ponury nastrój. – Toby przeszedł długą drogę.

Pomagali mu najlepsi specjaliści. Mieszka w specjalnym domu z trójką innych osób w podobnej sytuacji i z dwójką dorosłych, chciałoby się powiedzieć, opiekunów. Pomagają im. Pilnują, uczą samodzielności. Toby nawet ma pracę, mówił ci o tym?

– Nie. – Zafascynowana obserwowała, jak jego rysy miękną, a oczy błyszczą z dumy.

– Pracuje w restauracji McDonald's. Sprząta stoły, zmiata, wyrzuca śmieci. Dla ciebie to pewnie nic takiego, ale on przynajmniej nie siedzi beczynn timer ani nie robi szczotek. Ma prawdziwą pracę, z prawdziwą wypłatą. Czasami, kiedy uświadamiam sobie, jak wiele osiągnął, jestem z niego taki dumny, że... To wariactwo, co mówię, prawda?

– Wcale nie. Moim zdaniem, masz wszelkie prawo, żeby być z niego dumny. A Toby może być dumny z siebie.

– Wiedziałem, że to zrozumiesz. – Uśmiechnął się ciepło. – Jesteś jedną z nielicznych osób, które wiedzą, że Toby jest moim bratem. Chciałbym, żeby tak zostało. Nie potrafiłby się uporać z uwagą i zainteresowaniem, jakimi obdarzono by brata Lucasa Wayne'a. Nie chcę, żeby ludzie się na niego gapili, szeptali za jego plecami. I nade wszystko nie chcę, by ktoś był dla niego miły tylko po to, aby zbliżyć się do mnie.

– Rozumiem. – Dopiero teraz dotarło do niej, że nie ukrywał Toby'ego ze wstydu, lecz dlatego, aby go chronić. Hollywood nie cieszył się opinią miejsca, gdzie szczerść jest w cenie, a wątpiła, by Toby potrafił odróżnić prawdę od fałszu. – Szczerze mówiąc, dziwi mnie, że nikt nie grzebał w twojej przeszłości na tyle dokładnie, by się o nim dowiedzieć. Albo że Toby nie pochwalił się nikomu, że jesteś jego bratem.

– To nasza tajemnica. Toby potrafi dotrzymać tajemnicy. A jeśli chodzi o innych, oficjalnie wiadomo, że mój brat zmarł w wieku pięciu lat. W urzędzie okręgowym mają nawet akt zgonu. Tylko proszę, nie pytaj, jak to załatwiłem.

– Nie będę. – Domyślała się, że nietrudno wsunąć w akta fałszywy akt zgonu sprzed dwudziestu pięciu lat, może nawet w domu pogrzebowym jest zaświadczenie o kremacji? Niewielkie są szanse, że po tylu latach ktoś się tym zainteresuje, a co dopiero zakwestionuje autentyczność. Skoro posunął się do tego, ciekawe, czy również załatwił zmianę dokumentów w zakładach, gdzie przebywał Toby? Kto zna prawdę? Nieliczni, powiedział. Ciekawe, dlaczego zaliczył ją do tej grupy.

– Czy Rina Cole wie o Tobym? Czy mogłaby go wykorzystać, chcąc do ciebie dotrzeć? – zapytała. Może trzeba będzie roztoczyć opiekę również nad Tobym.

– Rina wie tylko, że to opóźniony w rozwoju chłopiec, z którym się zaprzyjaźniłem. Nazywała go moim stygmatem winy. Jej zdaniem chciałem w ten sposób zrekompensować mój sukces. Prawie wszyscy uważają go za mój mały prywatny akt dobroczynności, coś, co robię, bo to dobrze wpłynie na mój image.

– Szczerze mówiąc, ja też tak myślałam.

Dłonią, w której trzymał kubek, wskazał podjazd.

– Wygląda na to, że mamy towarzystwo.

Delaney odwróciła się energicznie. Coś kazało jej mieć nadzieję, że zobaczy czarną półciężarówkę Jareda. Nie widzieli się od prawie trzech dni. Przez trzy dni nie zadzwonił, nie dał znaku życia. Wystarczył jednak jeden rzut oka, by się przekonać, że to nie on. Przez zarośla dostrzegła smukłą, elegancką karoserię. Nie był to również niebieski mercedes Susan St. Jacques, choć marka się zgadzała. Karoseria połyskiwała miedzią.

John Wyatt w mgnieniu oka znalazł się przy drzwiczkach kierowcy. Nie odsuwał radia od ust.

– St. Louis. – Było to hasło oznaczające Rinę Cole.

– Do domu, Lucas. Natychmiast. – Złapała go za ramię, pchnęła w stronę szklanych drzwi, jednocześnie sięgając po krótkofalówkę. – Słyszalesz, Jeden?

– Tak. – Rozbrzmiał przy jej uchu głos Riley'a. – Daj mi dwie sekundy.

– Co się dzieje? – Lucas na chwilę zagłuszył Riley'a.

– W samochodzie jest Rina.

– Rina.

Nie zwracając uwagi na jego zdumienie, otworzyła drzwi.

– Zostań z Riley'em. – Zamknęła je ponownie. – Lew jest w środku. Trójka pomoże Dwójce.

Riley przyjął wiadomość i sprawdził, czy „lew” na pewno jest w zasięgu jego wzroku. Tymczasem Delaney, spokojna, że klient jest bezpieczny, spieszyła na pomoc Wyattowi. Zbliżała się do samochodu energicznym, żwawym krokiem. Biła od niej siła i władczość.

Wszelkie nadzieje, że John sam spławi kobietę w mercedesie rozwiały się bez śladu, ledwie rzuciła na nią okiem. Nie było najmniejszych wątpliwości, że ma przed sobą Rinę Cole. Burza blond włosów, skórzane spodnie i żakiet, pod którym niewiele miała na sobie, złotobrazowy makijaż – wyglądała trochę jakby uciekła z pokazu mody, a trochę jakby wybierała się na spęd bydła. Nadal emanowała seksem; jej spodnie nie mogłyby być bardziej obcisłe, a żakiet rozchyłał się co chwila.

Czerwony jak burak John Wyatt z bohaterskim uporem starał się patrzeć jedynie na jej twarz. Delaney pospieszyła mu na odsiecz.

– Słucham panią?

Rina Cole odwróciła się błyskawicznie.

– Ten parobek nie chce mnie przepuścić. Proszę natychmiast kazać mu odjechać!

– Pani Cole, nie mogę tego zrobić i pani doskonale o tym wie. Proszę stąd odejść i nie sprawiać więcej kłopotów.

– A kim pani, do cholery, jest, że każe mi się wynosić? – Aż dygotała ze złości, co było dokładnie widać po falującym żakiecie. – Luke mnie zaprosił. Kiedy się dowie, że tak mnie pani

potraktowała...

Delaney nie dała się oszukać, choć próba była godna podziwu.

– Pan Wayne wie, że pani tu jest. Nie chce się z panią widzieć.

– Co za cholerne kłamstwo! Planowaliśmy to spotkanie od miesiący! – Rina włożyła cały swój talent w odegranie urażonej niewinności.

– Powtarzam, pan Wayne nie chce się z panią widzieć. Wniósł pozew o zakaz dopuszczania pani do siebie. Proszę wracać do samochodu... – Wyciągnęła rękę w stronę mercedesa, ale Rina Cole odepchnęła ją niecierpliwie.

– Nie waż się mnie dotykać! – ostrzegła. Błyszczące usta skrzywiły się nieładnie. – Kłamiesz. Luke nigdy nie wystąpiłby przeciwko mnie. On mnie kocha. Ktoś cię do tego namówił. Kto?

– Nikt...

– Ten jego prawnik, prawda? Nigdy mnie nie lubił, bo więcej zrobiłam dla kariery Luke'a niż on kiedykolwiek!

Delaney zaniepokoiła się dzikim wyrazem w oczach aktorki. Szybko zerknęła na Johna, żeby się upewnić, gdzie jest.

– Nie...

– To on, to na pewno on! Tyle razy mówiłam Luke'owi, że powinien go spławić! Ma na niego jakiegoś haka! Zmusza Luke'a do tego, jestem przekonana!

– Pani Cole, jeśli pani nie odejdzie, będę zmuszona wezwać policję. Aktorka gwałtownym ruchem uniosła głowę. Widząc błysk szaleństwa w jej oczach kazał Delaney zastanowić się, czym się nafaszerowała przed tą wyprawą.

– Jesteś jedną z jego dziwek, tak? Zupełnie jak tamta druga.

Widząc, że sama nic nie wskóra, Delaney skinęła na Johna. W swojej słuchawce słyszała, jak mamrocze do krótkofalówki:

– Jeden, wezwij kawalerię.

W tej chwili Rina podniosła głos do krzyku.

– Luke jest mój! Nigdy go nie zdobędziesz! Słyszysz?

– Słyszę. Ma pani rację. – Delaney starała się ją uspokoić, zanim aktorka zupełnie straci panowanie nad sobą. – Luke zawsze będzie należał do pani. To głupota z mojej strony, że myślałam inaczej.

Riley zdawał się mówić jej prosto do ucha:

– Kawaleria nadchodzi, Dwójka. Zaraz usłyszysz trąbkę.

Niemal w tej samej chwili rozległo się wycie policyjnej syreny. Przez następne mrozące w żyłach dwie i pół minuty udało jej się powstrzymać Rinę Cole, a potem zjawiała się policja. Przez cały czas obawiała się, że Rina wybuchnie.

Umundurowani funkcjonariusze wysiedli z patrolowego saaba 9000 i podeszli do mercedesa. Na ich widok Rina zaczęła nową tyradę. Znowu twierdziła, że przyjechała na zaproszenie Lucasa. Młodszy z mężczyzn słuchał cierpliwie, jednocześnie prowadząc ją do drzwiczek mercedesa w kolorze miedzi. Starszy uśmiechnął się współczująco do Delaney.

– Przykra sprawa, co? – zagadnął. – Chce pani, żeby wnieść przeciwko niej oskarżenie o wkroczeniu na teren prywatny?

– Nie, jeśli da się tego uniknąć. – Skoro nie powstrzymały jej zakaz, nie pomoże i oskarżenie.

Komisarz zerknął na nią przez ramię.

– Niezła sztuka, co... – mruknął, zanim wrócił do swego samochodu.

Delaney obserwowała z oddali, co dalej robią. John stał u jej boku.

– Pani Cole – starszy policjant zwracał się do niej z wyćwiczonego szacunkiem. – Najlepiej, żeby się pani pogodziła z tym, że pan Wayne nie chce się z panią spotykać. Nie chcielibyśmy pani aresztować. Przecież jest pani wspaniałą aktorką.

– Sukinsyny, was też kupił, może nie? – warknęła. I nagle, z szybkością, która przyprawiła Delaney o gęsią skórę, zmieniła obiekt swojej nienawiści. – Luke uważa, że jest dla mnie za dobry. Wydaje mu się, że może mnie tak traktować i że to mu ujdzie bezkarnie. Ale się myli, i to bardzo.

Szarpnęła drzwiczki mercedesa, wsiadła i zatrzasnęła je za sobą z głośnym hukiem. Silnik zawarczał. Koła zawirowały na żwirze. Wyminęła wóz patrolowy o włos.

O dziwo, Delaney wcale nie odczuła ulgi. Podeszła do policjanta.

– Czy to możliwe, abyśmy się dowiedzieli, dokąd ona się wybiera?

– Nie umiem sobie tego wyjaśnić, ale mam przeczucie, że jeszcze nie opuści Aspen.

– Ja też – westchnęła. – Ja też.

Podczas długiego, wolnego spaceru do domu przyznała sama przed sobą, że nie doceniała Riny Cole. W głębi ducha nie wierzyła, że aktorka pojawi się w pobliżu Lucasa. Uważała, że z jej strony szaleństwem byłoby robić coś takiego, ryzykować więzieniem, narażać swoją karierę czy to, co z niej jeszcze zostało. Ale Rina Cole jest przecież szalona.

Lucas i Riley siedzieli w salonie.

– Pojechała – oznajmiła. – Niestety, idę o zakład, że wróci.

Riley skinął głową.

– Wyobraź sobie, Arthur właśnie dzwonił, żeby nas uprzedzić, że wybiera się do Aspen.

Nie mogła się powstrzymać od ironicznej uwagi:

– Trochę się spóźnił.

– Też mu powiedziałem.

Odwróciła się do Lucasa.



– Mówiłam to przedtem, Luke, i powtarzam znowu. Musisz zainstalować bramę, a i to nie będzie jeszcze stanowić dostatecznej ochrony.

– Zaraz się tym zajmę – obiecał. – Coś jeszcze?

– Czy na pewno chcesz iść na ten koncert jutro wieczorem? – Teraz, kiedy Rina przebywała w pobliżu, Delaney miała nowe zmartwienia na głowie.

– Z powodu Riny?

– Tak.

Na jego ustach pojawił się uwodzicielski uśmiech.

– Czyż nie będę bezpieczny przy tobie? Muzyka dobrze działa na nastroje.

Delaney westchnęła i potrząsnęła głową, uśmiechając się wbrew sobie samej.

## Rozdział piętnasty

Zachodzące słońce barwiło fioletem chmury płynące po niebie. Zielonkawe nienie górskich szczytów wydłużały się, upał i jasność dnia powoli ustępowały nocy. Z oddali dochodziły dźwięki „Koncertu Skrzypcowego” Beethovena.

Delaney siedziała na skraju starego koca w indiański wzór, na trawiastej polanie przed namiotem. Ku jej uldze Lucas nie miał ochoty przesiadywać wraz z tłumem w środku. Wolał zostać na zewnątrz, jak inni, młodzi i starzy, rodziny z dziećmi i zakochani, ludzie samotni i większe grupy. Niektórzy posilali się z obficie zaopatrzonych koszy piknikowych, inni od niechcenia sączyli wino i od czasu do czasu zjadali małą elegancką kanapkę. Inni jeszcze grali w piłkę lub gonili niesforne maluchy. Wielu stało przy wejściu do namiotu lub przechadzało się bez celu, trochę osób drzemało. Ruch. Wszędzie panował ruch.

A Rina Cole nadal była w mieście. Susan St. Jacques dzwoniła tego ranka. Rina wprowadziła się do apartamentu w hotelu Little Neli.

Delaney nie mogła przestać myśleć o czymś, co usłyszała od Susan St. Jacques; Rina marzy o domu w pobliżu namiotu muzycznego.

Lucas przesunął się nieznacznie. Założył nogę na nogę. Spojrzała na niego uważnie. Miał na sobie dzinsy, adidas, koszulkę polo. Ukrywał oczy za ciemnymi szklami okularów. Nie różnił się niczym od setek młodych muskularnych mężczyzn w Aspen. Czy raczej prawie niczym; zachwycone spojrzenia, które przyciągał, świadczyły, że został rozpoznany. Starzy znajomi podchodzili do niego albo machali z daleka.

– Dobrze się bawisz? – zapytał, dowodząc tym samym, że zauważył jej spojrzenie.

– Nie powinnam. Pracuję. – Ponownie omiotła okolicę badawczym wzrokiem i podniosła oczy na niebo.

Teraz, po zachodzie słońca, zmierzch szybko ogarniał całą dolinę. Najbardziej obawiała się chwili, gdy ludzie zmieniają się w niewyraźne sylwetki, które można rozpoznać jedynie dzięki kolorowi włosów i ubrania. A to może być zwodnicze, skoro Rina Cole zmyliła ich w Nowym Jorku w środku dnia.

– Nie podoba ci się muzyka? – Toby siedział po turecku, kołysał się w takt muzyki i z apetytem pił mleko czekoladowe przez słomkę.

– Podoba. – W rzeczywistości nie usłyszała nawet jednej nuty. Jej zmysły podświadomie nie reagowały na ten bodziec, podobnie jak nie rejestrowała śmiechu dzieci, beztroskich rozmów i monotonnego warkotu silników w oddali.

– Mnie też. – Energicznie pokiwał głową. – Tylko nie wtedy, kiedy jest smutna. Wtedy ja też jestem smutny. Najbardziej lubię, kiedy tańczy.

Uśmiechnęła się słysząc te słowa, uznała jednak, że zadziwiająco dobrze oddają charakter

melodii z namiotu: lekkiej, beztroskiej. Wieczorna bryza przyniosła podmuch chłodnego powietrza... i dym z papierosa. Odruchowo spojrzała na Rileyę. Stał oddalony o jakieś trzydzieści stóp, wysoki i szczupły, z papierosem w dłoni. Odpowiedział jej długim spojrzeniem, w którym czaiło się nieme wyzwanie. Po chwili ruchem głowy wskazał mężczyznę stojącego obok. Delaney ciekawie spojrzała w tamtą stronę i zeszywniała.

– Co się dzieje? – Lucas wyczuł jej ruch. Oparł się na łokciu.

– Nic. – patrzyła na Jareda z mieszaniną sprzecznych uczuć: ulgi, napięcia, przyjemności i niepokoju. Uchylił przed nią kapelusza. – Mój znajomy stoi obok Rileyę. Zaraz wracam.

Pokonując dzielącą ich przestrzeń czuła, jak wzrasta napięcie. Była świadoma zarówno chłodu w oczach Rileyę, jak i ciepła we wzroku Jareda. Rileyę zdusił niedopałek obcasem.

– Przejść na twoje miejsce? – zapytał. Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać, ani dezaprobaty ani akceptacji.

– Tylko na kilka minut – odparła.

Skinął głową i bez słowa podszedł do koca. Delaney odruchowo stanęła tam, gdzie on przed chwilą i odruchowo przeczesała wzrokiem okolicę.

– Właściwie nie wiem, czemu mnie zdziwiło, że tu jesteś – zwróciła się do Jareda. – Przecież zawsze lubiłeś muzykę poważną.

– Fakt, ale nie dla muzyki tu przyszedłem. Chciałem się z tobą zobaczyć.

– Skąd... – zaczęła, ale nie musiała kończyć. – Byłeś w mieszkaniu i Vance powiedział ci, że jesteśmy tutaj – zgadła.

– Właśnie.

Widziała w jego wzroku nieme błaganie. Usiłowała zrozumieć własne uczucia, ale za dużo w niej było niepewności, za dużo niepokoju.

– Skończyły się żniwa. – Jared przerwał przeciągającą się ciszę.

– Tak? – Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest ogorzały, co świadczyło, że ostatnio długo przebywał na słońcu. Zauważyła także, że nowa opalenizna podkreśla kolor jego oczu: są teraz bardziej szare niż niebieskie. Sprawia też, że jasne włosy wydają się jeszcze jaśniejsze.

– Powiedziałaś, że nie masz ochoty rzucać się na łeb na szyję, ale pomyślałem, że może odważysz się zrobić mały krok i zjeść ze mną kolację, w wolnej chwili?

– Nie mam pojęcia, kiedy ta wolna chwila nastąpi.

– Nie szkodzi. Poczekam.

Nie zostawiał jej żadnej furtki. Ale przecież wcale tego nie chciała. Uświadomiła sobie, że Rileyę miał rację; musi się przekonać, czy zostało jeszcze coś z tego, co było między nią a Jaredem. Nie miała zamiaru do końca życia rozpaczać, że odrzuciła miłość w imię urażonej dumy. Wiązało się z tym ryzyko, że ponownie będzie cierpiała, ale przecież ryzykowała codziennie.

– Nie kolacja – zdecydowała. – Nie będę głodna. Ale możemy spotkać się na drinka w barze, w hotelu Jerome.

– Więc mamy randkę.

Randkę. To słowo brzmiało tak staroświecko i niewinnie. Uśmiechnęła się, zadowolona, że nie odczuwa już potrzeby szczegółowego analizowania swojej decyzji. Wystarczyło jednak, by napotkała wzrok Riley a, a to się zmieniło. Odwróciła pośpiesznie głowę i od razu przekonała się, że również Lucas ją obserwuje. Przesunął okulary na czubek głowy. Odruchowo rozejrzała się dokoła. Uświadomiła sobie, że na kilka sekund Jared pochłoniął całą jej uwagę. Taki błąd mógł okazać się brzemienny w skutki, ale nie dopuści, by się powtórzył.

– Muszę wracać – oznajmiła. – Obowiązki mnie wzywają.

Miał się sprzeciwić, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Spotkamy się w hotelu Jerome.

– Nie wiem, o której przyjdę. Może będzie bardzo późno.

– Zaczekam – obiecał.

Skinęła i odwróciła się na pięcie. Ponownie skupiła się na ochronie klienta. Czuła na sobie spojrzenie Riley'a, kiedy do nich podeszła, ale zignorowała je.

– Wróciła już, Luke. Możemy iść? – Toby niespokojnie spojrzał na granatowe niebo. – Robi się bardzo ciemno.

– Koncert się jeszcze nie skończył.

– No to co. Chcę już iść. Luke, proszę. – Niespokojnie wiercił się na kocu.

Przez twarz Lucasa przemknął grymas irytacji.

– Dobrze, idziemy. Pomóż mi złożyć koc.

Toby zerwał się na równe nogi. Lucas i Delaney z trudem zdążyli wstać, a już energicznie szarpał gruby materiał.

– Samochód stoi jakieś cztery przecznice stąd – odezwała się. – John po niego pójdzie. To potrwa tylko kilka minut.

– Chodźmy już. – Toby kręcił się niespokojnie jak małe dziecko. – Powiedziałeś, że pójdziemy.

– Dojdziemy do samochodu piechotą.

Słyszac te słowa, John Wyatt od razu wysforował się naprzód. Toby ruszył za nim ciężkim krokiem. Lucas przerzucił sobie koc przez ramię i czekał, aż Delaney do niego dołączy.

– Przepraszam. – Uśmiechnął się smutno. – Toby boi się ciemności. Miałem nadzieję, że mu to przeszło.

– Nie musisz przeproszać. – W dali, w namiocie, rozległy się oklaski.

– Może i nie – przyznał. – Może przeproszanie za Toby'ego weszło mi w krew bardziej, niż sobie z tego zdaję sprawę.

– To rozumiałe. Większość z nas odruchowo pragnie chronić bezradnych. – A Toby był wzruszająco bezradny i naiwny.

Dochodzili do ulicy. W ślad za nimi podążały melodyjne dźwięki harfy. Szpaler drzew pogrążał uliczkę w mroku, lecz światła z domów ciągle walczyły z ciemnością. Gdzieś tam automatyczny zraszacz syczał strumieniem wody. Toby, przestraszony tym dźwiękiem, zatrzymał się w pół kroku.

– Nie możemy iść szybciej, Luke?

W odpowiedzi Lucas przyspieszył, co miało na Toby'ego błogosławiony wpływ. Odwrócił się na pięcie i pobiegł za Johnem. Riley został w tyle.

– Ten facet w kowbojskim kapeluszu wyglądał znajomo – zagadnął Lucas. – Kto to?

– Jared McCallister. Ma rancho niedaleko Aspen.

Lucas skinął głową.

– Skąd go znasz? Zdawało mi się, że mówiłaś, że nigdy wcześniej tu nie byłaś? – Nie udało mu się ukryć zdziwienia w głosie.

– Bo nie byłam. Poznałam go przed laty, w Los Angeles.

– W Los Angeles. – Uniósł brew. – A co on tam robił?

– Szukał siostry.

– Ma siostrę w Los Angeles?

– Nie wie, gdzie ona jest. Znikła... uciekła z domu.

– Narkotyki?

– Prawdopodobnie.

– Nie dziwi mnie to. Nie tak dawno temu Aspen nazywano „śnieżną stolicą”, bynajmniej nie ze względu na zimową aurę. Teraz to się zmieniło czy raczej, jak we wszystkich miastach, handel narkotykami zszedł do półświatka. Czasami dociera do mnie, ile miałem szczęścia, że się w to nie wpakowałem. Ale miałem wówczas pilniejsze wydatki – dokończył, patrząc na Toby'ego.

John Wyatt skręcił w prawo. Zwolnił kroku, żeby się upewnić, że zauważyli zmianę kierunku. Toby czekał na rogu, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Jest bardzo ciemno, Luke. – W jego głosie pojawiły się nuty hysterii.

– Zaraz dojedziemy do samochodu – zapewnił Lucas.

– Naprawdę? Boję się, Luke.

– Nie ma czego. Jesteśmy tu razem z tobą.

To jednak nie stanowiło dla niego wystarczającej pociechy. Pognał za Wyattem ciężkim truchtem, lękliwie rozglądając się na boki.

– A jak właściwie poznałaś Jareda? – Lucas podjął przerwany temat. – Czy wtedy zajmowałaś się poszukiwaniem zaginionych?

– Nie, ale ktoś dał mu mój adres. Kiedy mi powiedział, o co chodzi, poleciłam inną firmę.

– Ale chyba się z nim jeszcze potem spotkałaś?

– Kilka razy. – Nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

– Pewnie do niego zadzwoniłaś po przyjeździe do Aspen?

– Nie, spotkaliśmy się przypadkowo, na ulicy.

– Umówiłaś się z nim na dzisiaj wieczorem, prawda? – Właściwie nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu. Gorycz w jego głosie świadczyła, że wcale mu się to nie podoba. – Nie idź, Delaney. – Ponieważ chciała zaprotestować, powstrzymał ją ruchem ręki. – Wiem, wiem, to nie moja sprawa, z kim się spotykasz. Ale chciałbym, żebym tą osobą był ja. Spodobałaś mi się już na początku i dobrze o tym wiesz.

– Już o tym rozmawialiśmy, Lucas. – Z trudem zdobyła się na cierpliwość.

– I zrobimy to jeszcze nie raz, zapewniam cię.

– Jesteś uparty, trzeba ci to przyznać.

– Dlaczego nie traktujesz mnie poważnie?

– Może dlatego, że nie robisz na mnie wrażenia poważnego faceta. – Aż za dobrze pamiętała, ile razy widziała, jak używa swego czaru wobec innych kobiet.

– Mylisz się, Delaney. Przy odpowiedniej kobiecie byłbym bardzo poważny.

– Czy to tekst z któregoś z twoich filmów?

Głośno, z irytacją wypuścił powietrze z płuc. Gwałtownie złapał ją za ramię, zatrzymał. Przez chwilę widziała błysk gniewu w jego oczach, i wtedy przerwał im Toby. Biegł w ich stronę, mówił coś cienkim, przerażonym głosem.

– Luke, nie chcę tędy iść.

Lucas stracił cierpliwość.

– Do cholery, Toby...

– Tu... tu jest ten dom, Luke – urwał, dysząc ciężko. Był nienaturalnie blady, podbródek mu dygotał. – Nie każ mi tam iść, Luke. Nie chcę.

– O czym ty do cholery mówisz, Toby? To zwykły dom. – Lucas zerknął na budynek na rogu.

W jego oknach nie świeciło się ani jedno światelko, szyby wyglądały jak martwe, niewidzące oczy. Dach ciemniał na granatowym niebie wieżyczkami, łukami, ostrymi szczytami. Przy odrobinie wyobraźni dom rzeczywiście wydawał się straszny i groźny.

– Nie ma się czego obawiać, Toby. Wiem, wygląda strasznie, ale... – urwała, bo przypomniała sobie, że stary wiktoriański budynek należy do Susan St. Jacques. – Wiesz, kto tam mieszka, prawda...

Zbyt późno zorientowała się, że Toby jej nie słucha. Jak wystrzelony z procy pognał ulicą. Wymachiwał rękami. Jego rozpaczliwy okrzyk „Nieeee” zakłócił wieczorną ciszę. Riley rzucił się za nim. Lucas zmełł przekleństwo i ruszył za nimi. Delaney krzyknęła do Johna, żeby

sprowadził samochód, i pobiegła za mężczyznami.

Riley dogonił Toby'ego niecałą przecznicę dalej, ale dopiero Luke był w stanie go uspokoić. Zanim Delaney do nich dołączyła, obejmował brata z całej siły, a Toby szlochał i mruczał coś niewyraźnie.

– Ćśś – Lucas głaskał go po głowie i uspokajał, jakby przemawiał do małego dziecka. – Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczny. – Toby szepnął coś niezrozumiale. – Nie myśl o tym. To już minęło. Jesteś ze mną i nikt cienie zabierze, obiecuję.

Delaney usiłowała sobie wyobrazić, jakie tajemnicze potwory zamieszkują w wyobraźni Toby'ego świat po zmroku. Riley zdawał się myśleć o tym samym, tak przynajmniej wywnioskowała z jego wzroku. Lucas objął Toby'ego mocniej, kołysał go lekko. Zapamiętała ten obraz jeszcze dłużej po tym, jak John Wyatt podjechał po nich samochodem.

– To dziwne – stwierdził Riley później tego wieczora. Mieszkańcy domu na Red Mountain udali się na spoczynek. – Jak myślisz, co spowodowało jego zachowanie? Masz jakiś pomysł?

Wzruszyła ramionami.

– Według Lucasa Toby boi się ciemności. Potem zobaczył ten dom... – Nie dokończyła. – Tam mieszka Susan St. Jacques. Może Toby to wie. Może pamięta, że go nie lubi.

– Może. – Riley powoli skinął głową. – W tej kobiecie jest coś, co nie pozwala mi jej zaufać.

– Wydaje się sympatyczna. – A jednak nie należała do kobiet, z którymi Delaney chciałyby się zaprzyjaźnić. Co więcej, podejrzewała że właścicielka galerii w ogóle nie przyjaźni się z kobietami.

– E, tam, sympatyczna – Riley nie ukrywał cynizmu. – Moim zdaniem jest równie sympatyczna jak gigantyczny rekin. Ludojad, ma się rozumieć.

– Może. – Chcąc zmienić temat rozmowy, zerknęła na zegarek. – Dochodzi dziesiąta. Panujemy nad wszystkim i kontrolujemy. Chyba zostawię cię na posterunku i ucieknę stąd.

– Na randkę z Jaredem? – zgadł, patrząc na nią chłodno.

– Nie wiem, czy można to nazwać randką. – Nagle, w jego ustach to słowo wcale nie brzmiało niewinnie i staroświecko. – Umówiłam się z nim na drinka w hotelu Jerome.

– Czy to aby rozsądne? – Nie ukrywał dezaprobaty.

– Chwileczkę. – Delaney poczuła narastające zdenerwowanie. – Chcesz powiedzieć, że nie powinnam się z nim spotykać? Czy rozmawiam z tym samym facetem, który nie dawniej jak tydzień temu mówił, że ma nadzieję, że spotkam tu Jareda?

– To było cztery dni temu.

– Co się zmieniło?

– Nic. Po prostu nie chcę, żeby cię znowu skrzywdził.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc uśmiechnęła się z trudem.

– Nie martw się, Riley. Po raz drugi nie skoczę na łeb, na szyję.

– Mam nadzieję, że w ogóle nie skoczysz.

– Jeśli to zrobię – uśmiechnęła się szerzej – ty mnie uratujesz, tak samo jak za pierwszym razem.

Kilka minut po dziesiątej pchnęła ciężkie drzwi prowadzące do baru w hotelu Jerome. Wewnątrz kłębił się tłum gości. Rozejrzała się uważnie. Większość osób siedziała przy stolikach, nieliczni stali. Przeważały ubrania dżinsowe.

Usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu i dostrzegła Jareda przy barze. Minęła wychodzącą parę i podeszła do niego.

– Udało ci się. – Zdjął kapelusz z barowego stołka. – Proszę, siadaj.

Potrząsnęła głową.

– Dziękuję, wolę stać.

Przesunął się, zrobił jej miejsce przy barze.

– Zostałaś na wieczornym koncercie kwartetu smyczkowego?

– Nie. Właściwie poszliśmy zaraz po tobie. Przyszłabym wcześniej, ale zatrzymały mnie drobne kłopoty w domu. – Nie tłumaczyła, że powodem tak późnego przybycia było zachowanie Toby'ego i to, jak długo Lucas go uspokajał. – Spory tu tłok – zauważyła.

– Zawsze tak jest.

Barman w białej koszuli z zakasnymi rękawami położył przed nią tekturową podstawkę.

– Czego się pani napije?

Zawahała się przez moment, myśląc o ojcu.

– Whisky bez lodu.

Jared wskazał swoją pustą butelkę.

– Jeszcze raz piwo. – Gdy barman się oddalił, ciekawie zerknął na Delaney. – Zazwyczaj nie pijasz czystej whisky, chyba że zmienił ci się gust.

– Nie, nie zmienił – przyznała. – To dla taty.

Ściągnął brwi w zdumieniu.

– Musi w tym być jakaś logika, ale nie pojmuję, jaka.

Uśmiechnęła się lekko.

– To była jego ulubiona knajpa, kiedy bywał w Aspen w latach pięćdziesiątych. Poprosił, żebym wypiła jego zdrowie w barze w hotelu Jerome, na wspomnienie jego młodości.

Jared skinął głową ze zrozumieniem. Barman akurat wrócił z jego piwem i jej drinkiem. Jared wręczył mu banknot dwudziestodolarowy, nalał sobie piwa.

– W takim razie – za twojego ojca i lata jego młodości.

– Za ojca – zawtórowała. Lekko stuknęli się szklankami, a przy tym dotknęły się ich dłonie.

Upiła łyk. Whisky piekła ją w gardle.



Liczne towarzystwo przy stoliku pod oknem parsknęło głośnym śmiechem. Jared odwrócił się w tamtą stronę, oparł łokciem o kontuar. Delaney skorzystała z okazji, żeby dokładnie się przyjrzeć jego ogorzalej twarzy. Denerwowała ją świadomość, że gdyby przyszła tu z Rileyem, zabawiałaby go opowieściami o wyczynach ojca z czasów młodości. Wątpiła jednak, czy przypadłyby one do gustu Jaredowi.

Odwrócił się ponownie do niej.

– Założę się, że twojemu ojcu bardzo się tu podobało. Ta kumplowska atmosfera to coś w jego stylu.

– Ale nie twoim – odgadła.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się lekko.

– Aż tak to widać? – Uniósł szklankę.

– Troszeczkę – odparła. – Masz ochotę pójść gdzieś indziej?

Widziała, że tak, a jednak się zawahał.

– Nie dokończyłaś drinka.

– Nie jest mój, tylko taty.

Sięgnął do kieszeni po następny banknot dwudziestodolarowy i skinął na kelnera.

– Widzisz tego drinka, Bobbie? – Wskazał szklankę przed Delaney. – Zostaw go tam dla naszego niewidzialnego przyjaciela, kiedy wyjdziemy.

Barman schował dwudziestkę i wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy.

– Dziękuję. – Wzruszył ją tym gestem. Zapomniała, że potrafi być bardzo sentymentalny. – Tacie by się to spodobało.

– Też tak myślę – przyznał z rozczulającą niepewnością.

W górskiej nocy było coś, co wyostrzało jej zmysły. Cisza wydawała się kojąca po rozgardiaszu w barze. Jared wziął ją pod rękę. Poczekali, aż pojedynczy samochód przejedzie przez ulicę, po czym przeszli na drugą stronę.

Nie zapytała, dokąd idą, bo uświadomiła sobie, że nie ma to znaczenia. Nie zastanawiając się, zerknęła na północ, gdzie na zboczach Red Mountain migotały światła domów. Bez trudu odnalazła posiadłość Lucasa. Po drugiej stronie ulicy trzasnęły drzwiczki samochodu i to zwróciło jej uwagę. Z hotelu wyszła elegancko ubrana para. Wsiadała do białego porsche'a. Portier w liberii przytrzymał drzwi kobiecie i dyskretnie schował napiwek, który mu wręczył mężczyzna.

Porsche odjechał spod starego, eleganckiego hotelu z siłą i werwą koni mechanicznych, a Delaney wyobraziła sobie, jak wyglądałaby ta scena sto lat temu, gdy Jerome był świeżo wybudowanym, nowoczesnym hotelem.

– O czym myślisz? – zainteresował się Jared. – Chyba jesteś daleko stąd.

– Raczej dawno – poprawiła z uśmiechem. – Myślałam o Aspen i o tym hotelu, jak tu było w dawnych czasach, jakie tu były bale i przyjęcia.

– A do tańca przygrywały szyby wiertnicze – dokończył żartobliwie. – Właśnie po to organizowano bale, żeby zagłuszyć odgłosy kopalni pracujących dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Na rogu poprowadził ją w prawo. Przed nimi wyrastała góra Ajax. Księżyc, niemal idealnie okrągły, na chwilę wyjrzał zza chmur i skapał poszarpane zbocza w srebrnej poświacie.

– Było tu dużo kopalni? – Delaney wpatrywała się w zbocza w poszukiwaniu ich śladów.

– Sporo. Kopalnia Aspen, Durant, Emma, Homestake... wszystkie były duże, liczyły się na rynku. Zbudowano aż trzy linie kolejki do transportu rudy srebra.

– A co się stało z kopalniami, kiedy zaprzestano wydobywania?

– Nadal tu są. Wejścia do szybów zamurowano albo zasypano, ale cały teren jest pocięty tunelami, i góry, i miasto.

– Miasto? – Zatrzymała się w pół kroku. – Skoro kopalnie były w górach, dlaczego korytarze są pod miastem?

Ileokroć natrafiono na żyłę srebra, górnicy podążali za nią, nieważne, dokąd zmierzała. Jeśli pod miasto, kopali pod miastem. Typowa kopalnia składała się z głębokiego szybu, drążonego prostopadłe albo pod kątem, i tuneli odchodzących od niego co mniej więcej sto stóp – wyjaśnił. – Te tunele nazywano poziomami, w zależności od głębokości, na której się znajdowały. I tak, poziom pierwszy był na głębokości stu stóp, poziom drugi dwustu, i tak dalej. Oczywiście, im głębiej schodzili, tym było tam goręcej. Siedemset, osiemset stóp pod ziemią jest tak gorąco, że pracowali rozebrani do pasa.

– Osiemset stóp? – Powtórzyła z niedowierzaniem. – Zdajesz sobie sprawę, że to prawie osiemdziesiąt pięter pod ziemią?

– Wiem. A na każdym poziomie kopano nowe tunele w poszukiwaniu żył srebra. Do tego dochodzą jeszcze szyby wentylacyjne.

– Ciekawe – mruknęła. – Zawsze mi się wydawało, że kopalnia to jeden długi korytarz i odchodzące od niego mniejsze tunele, ale wszystkie na tym samym poziomie. Czy te stare kopalnie można zwiedzać?

Przecząco pokręcił głową.

– Były niebezpieczne już sto lat temu, co dopiero teraz. Stemple przegniły, większość tuneli się zawaliła albo zalała je woda.

– Były niebezpieczne sto lat temu? Dlaczego?

– Z wielu powodów. Ale większość wypadków śmiertelnych, a w czasach największego rozkwitu średnio dochodziło do jednego na miesiąc, była spowodowana ładunkami wybuchowymi albo nieuwagą w szybach.

– W szybach... to znaczy, że ludzie do nich wpadali?

– Tak. Nie zapominaj, że górnicy pracowali pod ziemią przy bardzo kiepskim oświetleniu. Najczęściej dochodziło do tragedii, gdy górnik pchał wózek wypełniony rudą do szybu, skąd platforma miała go zabrać na powierzchnię, nie wiedząc, że platforma już podjechała wyżej. Kończyło się tak, że spychał wózek do szybu i leciał za nim, spadał sto, dwieście stóp, na samo dno.

Wyobraziła sobie, jak spada na dno czarnej czeluści, w otchłanie piekieł. Wzdrygnęła się.

– Chyba nie chcę wiedzieć nic więcej o kopalniach.

– A może zainteresuje cię kubek gorącej czekolady? – Ruchem głowy wskazał knajpkę na rogu. Na zewnątrz stały parasole i zgrabne mebelki z kutego żelaza.

– Gorącej czekolady?

– To może chwilę potrwać – ostrzegł.

– Nie szkodzi.

Poszedł złożyć zamówienie, a Delaney zatrzymała się na patio. Przycupnęła na krześle, z którego miała doskonały widok na fontannę. Rytmiczny szum wody był kojący.

Postawił przed nią na stoliku kubek czekolady, sam pił czarną kawę. Siedzieli i rozmawiali, kiedy mieli na to ochotę, milczeli, gdy kończyły się tematy. Kiedy wypita wszystko, Jared wyrzucił jej kubek do śmieci.

– Przejdziemy się jeszcze kawałek?

– Czemu nie?

Tym razem wziął ją za rękę, ich palce splotły się w ciepłym uścisku. Przechadzali się wśród uliczek niknących w cieniu drzew, przy mdłym świetle księżyca i staroświeckich lamp.

Gdzieś niedaleko rozległ się samotny instrument.

– Czy to organki? – Delaney wsłuchała się w dźwięk.

Jared skinął głową.

– Jakiś uliczny grajek chyba nie może spać.

Zmarszczyła czoło, usiłując przypomnieć sobie tytuł melodii.

– Co to za piosenka? Nie pamiętam...

– „Stardust”. – Jared zatrzymał się i popatrzył na nią. Rondo kapelusza ocieniało jego twarz, widziała tylko usta i podbródek. – Zatańczysz?

W pierwszej chwili myślała, że go nie rozumiała.

– Tutaj?

Skinął głową.

– Tutaj. Teraz. Ze mną.

W sposobie, w jaki przyciągnął ją do siebie, było coś bajkowego, jak ze snu. Patrzyła mu prosto w oczy, gdy układał jej dłoń na swoim ramieniu. Tańczyli blisko siebie, ich ubrania

ocierały się przy każdym ruchu, jego szorstkie, sprane dzinsy muskały śliski jedwab jej spodni. Jej policzek niemal dotykał gładko wygolonej szczęki. Przy każdym oddechu wdychała zapach wody po goleniu.

Wysłuchana w tęskne zawrodozenie harmonijki myślała o samotnych nocach, które spędziła marząc o miłości... o Jaredzie. Przysunęła się bliżej. Chciała poczuć ciepło jego ciała, chciała upewnić się, że tej nocy nie jest sama, że Jared jest tuż obok i wypełni bolesną pustkę. Objął ją mocniej.

Oparła policzek o jego policzek. Na chwilę zamknęła oczy.

– Czy wiesz, że dzisiaj tańczymy ze sobą po raz pierwszy?

– Ale na pewno nie po raz ostatni. – Usta leniwie błędziły po jej czole, oddech muskał skórę.

– Chcę cię zdobywać, uwodzić, Delaney. Poprzednio ominęliśmy ten etap.

– Chyba tak. – Czy tego żałowała? Nie wiedziała.

– Tym razem chcę zrobić wszystko jak należy – nalegał. – Nigdy nie przejmowałem się za bardzo różami, romantyczną muzyką i kolacjami przy świecach...

– To nie w twoim stylu. – Odchyliła głowę do tyłu, żeby na niego spojrzeć. – Do ciebie pasują góry i księżyc.

– To źle?

– Chyba mi się to podoba.

Wyszeptał jej imię i zamknął usta pocałunkiem, zarazem czułym i zaborczym. Odpowiedziała podobną pieszczotą, zdumiona, jak łatwo odnaleźć dawną więź, jak szybko jej ciało reaguje na jego bliskość, w jakim tempie pocałunki są w stanie przerodzić się w coś gorętszego.

Odsunął się i mocno pocałował ją w czubek głowy.

– Sześć lat, Delaney, sześć długich, pustych lat. – Napięcie, które słyszała w jego głosie, było wyczuwalne również w jego ciele. – Czasami wydawało mi się, że mi się przyśniłaś. Teraz jesteś przy mnie, i to nie jest sen. Niemożliwe, żebyś śniła mi się uczucia, które we mnie budzisz.

Chciała się uśmiechnąć, powiedzieć coś zabawnego, ale słowa utkwiły jej w gardle. W tej nowej ciszy była świadoma tuzina rzeczy jednocześnie: słodkiej, tęsknej pieśni organków, dalekiego szeptu wody, blasku księżyca na zboczach góry. Emocje kłębiły się w niej, stare uczucia budziły się równie żywe jak przed laty.

– Jared. – I znowu przechyliła głowę, żeby na niego spojrzeć, ale kiedy napotkała jego wzrok, a patrzył na nią jakby była jedyną kobietą w jego życiu, znowu nie wiedziała co powiedzieć.

Przez jego twarz przemknął grymas bólu, po czym przyciągnął ją do siebie i ponownie poruszali się w rytm melodii.

– Zdobywanie ciebie będzie mnie chyba kosztowało dużo zdrowia i opanowania.

W milczeniu zastanawiała się, jak zapomnieć o dawnej bliskości, skoro każdy dotyk, pocałunek, pieszczota przypominały o następnym kroku, który zrobią na nowo. Przecież nie mogą się oprzeć? Będą się kochać? Czyż to nie jest nieuniknione? Nie, nie chciała wracać do tamtych wspomnień i do cierpienia, które nadeszło później.

Piosenka się skończyła. Odsunęli się od siebie, nie patrzyli sobie w oczy. Stare uczucia były niebezpiecznie blisko. Ostentacyjnie zerknęła na zegarek.

– Dochodzi wpół do dwunastej. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno. Muszę wracać.

– Chyba tak. – Odnalazł jej wzrok. – Delaney, zjedz ze mną jutro kolację.

– Nie mogę, naprawdę. – W myślach przebiegła napięty plan następnego dnia. – Mam przed sobą długi ciężki dzień i muszę wcześniej wstać. Lucas biega o szóstą.

– Lucas? – Nie ukrywał dezaprobaty.

– W krytycznej sytuacji może zabraknąć czasu na wołanie „Panie Wayne!”

– Przepraszam. Nie lubię go, i tyle.

Przypomniała sobie, jak bardzo był związany z Tobym i powiedziała:

– Przecież go nie znasz.

Jared lekko przechylił głowę, zastanawiając się nad jej słowami.

– Więc nie podoba mi się to, co o nim wiem.

– A wiesz tylko to, co słyszałeś. Czyż ktoś mądry nie powiedział kiedyś, że powinno się wierzyć w jedną trzecią tego, co się słyszy i połowę tego, co się czyta?

– Wiedziałem, że twoim zadaniem jest ochraniać jego życie, ale nie miałem pojęcia, że to oznacza również bronienie go jako osoby.

– Obrona stanowi integralną część mojej pracy, zwłaszcza kiedy klient jest atakowany, a ty właśnie to zrobiłeś.

Odwrócił głowę.

– Może masz rację.

Nie chciała się z nim kłócić.

– Spędziłam bardzo miły wieczór, Jared.

– Ja też. – Wziął ją za rękę. – Może lepiej odprowadzę cię do domu, zanim zaciągnę do łóżka...

– Może rzeczywiście... – zgodziła się.

## Rozdział szesnasty

Poranek skąpał góry w ciepłym słonecznym blasku. Niebo było błękitne jak farbka do bielizny, w powietrzu wisiał przyjemny aromat sosnowych lasów. Ptaki uwijały się wśród gałęzi i umilały spacer trójce ludzi radosnymi trelami.

Delaney i Riley biegli po obu stronach Lucasa Wayne'a. Narzucał szybkie, żwawe tempo, ale jednocześnie nie przesadzał, świadomy, jak długa jeszcze przed nimi droga. Miał na sobie czarny podkoszulek i niebieskie szorty. Na opalonej na brąz skórze perliły się kropelki potu.

Delaney, podobnie jak Riley, oprócz koszulki i szortów miała na sobie wiatrówkę, której głównym zadaniem było zasłonić rewolwer w kaburze. Rozpięła suwak do połowy, żeby wiatr chłodził skórę. Między piersiami koszulka pociemniała od potu. Długie włosy związała w koński ogon. Surowa fryzura uwypuklała wystające kości policzkowe. Niebieska opaska przytrzymała niesforne kosmyki i nie pozwalała kroplom potu dostać się do oczu. Rumieniec dodawał jej twarzy niespodziewanej delikatności.

Zanościło się na upalny dzień. Las powoli budził się do życia. Wąska droga przypominała raczej polną ścieżkę, na której czas i pogoda zostawiły swoje piętno. Na wschodzie ciemniał się gęsty las.

– Nie widzieliśmy żywej duszy od ponad mili – zauważyła. – Czy tu zawsze jest tak pusto?

– Zazwyczaj. – Lucas skinął głową. – Mniej więcej milę dalej droga zatacza łuk i zawraca do miasta. Dopiero wtedy znowu mamy szansę spotkać ludzi.

– Czy to stara droga do kopalni? – zainteresował się Riley. Wilgotne włosy wyglądały na ciemniejsze niż zazwyczaj.

– Możliwe, nie jestem pewien.

– Chyba tak. – Delaney uważnie przyjrzała się zwartej ścianie drzew. – W tej okolicy jest podobno dużo porzuconych kopalni.

Kilkanaście jardów dalej drogę, którą biegli, przecinał stary, zaniedbany trakt.

– Ciekawe, dokąd wiedzie – zainteresowała się Delaney. – Czy wiesz może? – zagadnęła Lucasa.

Ledwie rzucił okiem w tamtą stronę.

– Bardzo nierówna powierzchnia. Nigdy tamtędy nie biegam. – Przez chwilę milczał, potem skomentował: – Twój kumpel po mojej prawej stronie wprawia mnie w zdumienie. Ma o wiele lepszą kondycję niż myślałem.

– Nie spodziewałaś się takiej wytrzymałości po palaczu, co? – Uśmiechnęła się złośliwie. – Chłopcy mówią o nim Żelazna Noga. Dla niego bieg na parę mil to pestka. Bierze udział w maratonach dla samej przyjemności.

– Hej, nikt wam nie mówił, że bardzo nieładnie jest obgadywać kogoś w jego obecności? –

Riley obruszył się.

– A my kogoś obmawialiśmy? – Lucas spojrzął na Delaney ze zdziwieniem.

– A czy sosny mają igły? – przedrzeźniał Riley.

– To zależy, jakie igły masz na myśli – odcięła się Delaney. – Na przykład nie mają igieł do szycia.

Rozmowa przerodziła się w przyjacielskie przekomarzanki. Żartowali aż do zakrętu w stronę Aspen. Ostatnią milę do Red Mountain przeszli wolnym krokiem, żeby ochłoneły rozgrzane mięśnie.

W progu powitał ich dzwonek telefonu. Lucas wyciągał rękę po słuchawkę, ale Riley okazał się odrobinę szybszy.

– Słucham?

– Niech Riley odbiera telefony, Lucas – upomniała delikatnie Delaney.

– Wiem, zapomniałem.

– W porządku. Napijesz się soku? – Weszła do kuchni.

– Chętnie.

– Do ciebie, Lucas. – Riley podał mu słuchawkę. – Susan St. Jacques – dodał, zasłaniając mikrofon.

Lucas zatrzymał się w pół kroku.

– Delaney, nalej i dla mnie. Zaraz przyjdę.

– Nalać? Co? – Riley ciekawie zajrzał do kuchni.

– Sok pomarańczowy. – Ściągnęła opaskę z czoła, wcisnęła ją do kieszeni szortów.

– O, nie. – Riley otworzył lodówkę, wyjął sporą karafkę soku pomarańczowego i butelkę soku jabłkowego. – Ja się napiję tego – oznajmił. Otworzył ją, upił spory haust i niedbale oparł się o blat. – Więc? Jak randka z Jaredem? Nic nie mówisz.

– W porządku. – Wyjęła z kredensu dwie wysokie szklanki.

– Chyba nie byłaś z nim zbyt długo. Vance twierdzi, że wróciłaś przed północą.

– A ty co robiłaś? Sprawdzałaś mnie? – Spojrzała na niego spod oka. Odpowiedział leniwym, szerokim uśmiechem.

– Jesteś zupełnie taki sam jak mój ojciec. Dziwię się, że nie kazałaś Vance'owi zostawić światła na werandzie.

– W mieszkaniach nie ma werandy.

– Ale gdyby była, paliłoby się na niej światło, tak? – Nalała soku do szklanek.

– Trafiłaś w dziesiątkę. – Ukazał zęby w uśmiechu. – Więc opowiadaj: pocałował cię na dobranoc?

– Wróciłam sama. – Czowała, jak na jej policzki wypełza intensywny rumieniec, który nie miał nic wspólnego z rannym bieganiem. Najwyraźniej Riley był taki jak dawniej, złośliwy

i ironiczny. Zamiast, jak oczekiwała, przyjąć to z ulgą, stwierdziła, że o wiele bardziej jej odpowiadały jego tajemnicze, dwuznaczne uwagi z ostatnich dni.

– Bardzo sprytnie unikasz odpowiedzi na moje pytanie, z czego wnioskuję, że cię pocałował.

– Przyglądał się jej uważnie i stanowczo zbyt dokładnie.

– Wcale tego nie powiedziałam. – Ukryła twarz za szklanką.

– Nie, nie powiedziałaś. Ale zawsze byłaś małomówna. Czy stary płomień nadal się między wami iskrzy? A może rozpałyły was jedynie wspomnienia?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo nagle uświadomiła sobie, że sama nie wie, jak jest naprawdę.

– Oby tak dalej, Riley, a zaraz ja cię zasypię pytaniami na temat twojego życia miłosnego. Zachichotał.

– Nie zrobisz tego.

– Czemu jesteś taki pewny?

– Bo doskonale wiesz, co by się stało, gdybym ci zaczął opowiadać, jak się kocham z inną kobietą: zaprezentowałabyś godną podziwu paletę rumieńców. Co więcej, nigdy później nie byłabyś w stanie spojrzeć mi w oczy. Czy nie tak?

– Byłoby mi trudno – przyznała z udawaną nonszalancją. Nie wiadomo dlaczego bardzo jej się nie spodobała wizja Rileya w ramionach innej kobiety.

– Tak właśnie sobie pomyślałem. – W niebieskich oczach błysnęło zadowolenie, gdy ponownie sięgał po butelkę z sokiem. Westchnął z ulgą. – Po długim biegu nie ma nic lepszego niż butelka soku jabłkowego, z wyjątkiem gorącego prysznic. I tam właśnie teraz zmierzam.

– Nie zużyj całej ciepłej wody! – zawołała za nim, zadowolona, że rozmowa dobiegła końca.

– Postaram się – Po jego minie można było jednak poznać, że nie traktuje tej obietnicy poważnie. – Naprawdę się postaram.

Sama, upiła kolejny łyk soku. W nogach czuła lekki ból i owo charakterystyczne, przyjemne zmęczenie po długim biegu. Sięgnęła po karafkę i dołała sobie więcej pomarańczowego płynu.

– To nie fair – odezwał się Lucas w progu. – Zaczęłaś beze mnie.

– Zaraz mnie dogonisz. – Podała mu szklankę.

Zanim zapomnę: Susan będzie tu koło dziesiątej. Razem pojedziemy obejrzeć obraz, który od dawna chciała mi pokazać.

– W porządku. – Zerknęła na zegar ścienny. Jest siódma trzydzieści, a zatem będzie miała dosyć czasu, by wziąć prysznic i przebrać się.

– Delaney, zjedz dzisiaj ze mną kolację.

W pierwszej chwili ta propozycja wydała się kusząca, ale jak zwykle starannie ukryła zainteresowanie.

– Może innym razem – odparła. – Będę bardzo zajęta.



– Zapewne Jaredem. – Sarkazm nie uszedł jej uwagi.

– Nie. – Uważnie przyglądała się Lucasowi znad krawędzi szklanki. – Tak się składa, że mam spotkanie z szefem ochrony piątkowego przyjęcia.

Uśmiechnął się smutno.

– Wybaczysz mi złośliwe uwagi?

– Postaram się. – Nie sposób było się oprzeć jego urokowi.

Podszedł bliżej, niedbale oparł się o blat. Wypełniał pole jej widzenia, nie mogła nie dostrzec umięśnionego ciała pod skąpym podkoszulkiem. Bez wątpienia Lucas Wayne budził swoim wyglądem pożądanie większości kobiet i zazdrość większości mężczyzn. Nieważne, na ekranie czy poza nim, niewiele mogłoby się oprzeć jego urodzie, sile i uśmiechowi.

– Delaney, czy możesz mieć do mnie pretensje o to, że ktoś mnie wyprzedził?

Zacisnęła dłonie na szklance.

– Przede wszystkim wytłumacz mi, czemu uważasz, że ktokolwiek cię uprzedził.

– Nie dlatego, że nie próbowałem. – Mówił niskim, pieszczotliwym głosem. – Nie chcesz przyjąć do wiadomości faktu, że mi się podobasz. Dlaczego? I nie wmawiaj mi teraz, że masz zasadę, żeby nie łączyć pracy i przyjemności. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś wyjątkową, intrygującą kobietą?

– A czy ty, Lucas, nie zdajesz sobie sprawy, że widzę, jak uwodzisz każdą kobietę, która nawinie się pod rękę?

– Robię to, bo tego oczekują. – Uśmiechnął się cynicznie. – A ktoś mądry powiedział kiedyś: „zawsze dawaj ludziom to, czego pragną”. – Zaraz jednak dodał: – Z tobą to co innego, Delaney.

Po raz pierwszy mu uwierzyła. Ciągle się nad tym zastanawiała, gdy się pochylił w jej stronę. Jego oddech musnął jej usta, zanim zamknął je pocałunkiem. Miał ciepłe, miękkie wargi.

Odepchnęła go odruchowo.

– Jesteś zbyt szybki, Lucas.

– A ty zbyt systematyczna.

– To lepsze niż rzucać się na łeb, na szyję. – Tego nauczył ją Jared. – Weź prysznic.

– A ty?

– Zrobię to, kiedy Riley skończy.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Zawsze potrafisz się wykłócić i puścić mimo uszu dwuznaczną aluzję, co?

– Zazwyczaj. – Uśmiechnęła się lekko.

– Chyba muszę poczekać na lepszą okazję.

– Chyba musisz.

– Widzisz? Znowu to zrobiłaś. – Rozbawiony i zrezygnowany, żartobliwie pociągnął ją za włosy, zanim wyszedł z kuchni. – Poddaję się... tym razem. – Z tymi słowami oddalił się.

Po krótkiej chwili zadumy dopiła sok do końca, zeskoczyła z wysokiego stołka i rozpięła wiatrówkę. Kiedy chciała zdjąć pas z kaburą, usłyszała szcęknięcie drzwi wejściowych. W holu rozległo się charakterystyczne ciężkie stąpanie – to Toby skradał się na palcach.

– Luke? – zawołał.

Delaney przez chwilę mocowała się z pasem. Ciasno tkana bawełniana tkanina przywierała do jej wilgotnego ciała. W końcu uwolniła się od ciężaru, dokładnie w tej chwili, gdy do kuchni wkroczył Toby.

– Luke już wrócił, prawda? Gdzie jest? Widziałas go?

– Poszedł się wykąpać. – Zdjęła pas z kaburą i już miała położyć go na ladzie, gdy coś w zachowaniu Toby’ego: cisza, brak jakiegokolwiek ruchu – kazały jej podnieść wzrok. Toby nie ruszył się z miejsca. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w rękojęść wystającą ze skórzanej kabury.

– To pistolet?

– Tak. – Widziała, jak jego wzrok wędruje ku jej twarzy. Patrzy na nią nieufnie, ze strachem.

– Pistolety są niedobre. – Cofnął się o krok. – Nie powinnaś tego nosić. Pistolety zabijają ludzi.

– Toby... – zaczęła.

– Powiem Luke’owi. – Odwrócił się na pięcie i wybiegł ciężkim truchtem.

Chciała pobiec za nim, ale zawahała się. Nie wiedziała, czy zabierać rewolwer ze sobą, a nie chciała zostawiać go tak po prostu na kuchennym blacie. Słyszała, jak wali pięściami w drzwi sypialni Lucasa. Po chwili ciszy zaczął coś mówić. Choć nie rozróżniła słów, ton jego głosu, nerwowy i gniewny, pozwalał się domyślić, o czym mówi.

Zastanawiała się jeszcze przez moment, po czym odczepiła broń od pasa, wsunęła do kieszeni kurtki, zwinęła pas w ciasny rulon, wsadziła do drugiej kieszeni, i szybkim krokiem ruszyła do pokoju Lucasa. Toby minął ją po drodze. Szedł z pochyloną głową.

Nie odezwał się, starał się iść jak najbliżej ściany po przeciwnej stronie korytarza. Delaney milczała również. Po chwili zauważyła Lucasa w drzwiach. Był nagi, jeśli nie liczyć ręcznika na biodrach. Z głębi dobiegał szum prysznic, ale jego skóra była sucha.

– Przykro mi. Nie chciałam go zdenerwować.

– Nie zrobiłaś tego... w każdym razie, nie za bardzo. Toby nie lubi nawet widoku broni i mam nadzieję, że tak zostanie. To nie zabawki... – Urwał, potarł czoło dłonią.

Delaney po raz kolejny odczuła podziw dla anielskiej cierpliwości, z jaką odnosił się do upośledzonego brata. Domyślała się, że czasami opieka nad Tobym jest dla niego bardzo nużąca. Uśmiechnął się z trudem.

– Już w wszystko w porządku. Wytłumaczyłem mu, że jesteś policjantką, chociaż nie nosisz munduru. Toby wie, że policjanci mają broń, żeby chronić zwykłych ludzi... i strzelać do

bandytów – dodał, jakby chciał napiętą sytuację obrócić w żart.

– No właśnie. – Delaney uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Prawdopodobnie przez pewien czas będzie się czuł nieswojo w twoim towarzystwie, ale z czasem o tym zapomni.

– Mam nadzieję. – Nie chciała, żeby Toby się jej bał.

– Masz zadanie do wykonania. Toby musi się z tym pogodzić. – Mocno zacisnęła szczęki. – Nie umiem sprawić, żeby jego świat był idealny. Nie potrafię wyeliminować wszystkich przykrych rzeczy. Po prostu nie jestem w stanie.

– Toby chyba wcale tego nie chce.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

– Może i nie. Może ja sam tego chcę.

Przemknęło jej przez myśl, że to chyba jest bliższe prawdy, ale powiedziała tylko:

– Twój prysznic.

Odwrócił się, jakby dopiero teraz dotarł do niego szum wody z łazienki.

– Rzeczywiście. – Odwrócił się.

Odchodziła już, gdy z łazienki po drugiej stronie korytarza wyszedł Riley.

– Twoja kolej – oznajmił. – Nawet zostawiłem ci trochę gorącej wody.

– Cóż za wielkoduszność! – Sama słyszała, że jej odpowiedź nie była tak beztraska, jak tego chciała.

– Też jestem tego zdania. – Zerknął na zamknięte drzwi apartamentu Lucasa. – Zakładam, że w końcu otworzył Toby’emu?

– Wreszcie go wpuścił do środka. – Skinęła głową.

Słyszając jakąś nietypową nutę w jej głosie, Riley przyjrzał się jej uważniej.

– Jakiś problem? Coś go zdenerwowało?

– Zobaczył u mnie broń. I poszedł powiedzieć o tym Lucasowi.

– Skarżypyta?

– Coś w tym rodzaju. W każdym razie już wszystko w porządku.

– To świetnie. Miłego prysznic. – Minął ją w drodze do kuchni.

– Susan St. Jacques przyjedzie tu o dziesiątej. – W ostatniej chwili przypomniała sobie, co mówił Lucas. – Czekają nas wspólne wyjście.

Riley się zatrzymał.

– Dokąd?

– Chyba do galerii.

W sercu najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Aspen Galeria St. Jacques urzekła elegancją i dyskrecją. Szklane drzwi prowadziły do pomieszczeń małych i dużych, połączonych

łukowatymi przejściami. Susan St. Jacques zaprowadziła Lucasa Wayne'a do jednego z mniejszych pokoi, żeby mógł w spokoju przyjrzeć się obrazowi.

Delaney czekała po drugiej stronie łukowatego sklepienia. W galerii nie było prócz nich innych gości. Po ich przybyciu Susan St. Jacques wywiesiła na drzwiach tabliczkę: ZAMKNIĘTE. POKAZ PRYWATNY.

Riley ze znużeniem oglądał etruską wazę na marmurowym podium. Po chwili podszedł do Delaney i zajrzał do pokoju z obrazem.

– Widziałas, jaki wielki? – zapytał półgłosem. – Samo płótno ma z pięć stóp wysokości. Jeśli dodać ramy, będzie prawie sześć.

– Chyba się nie zmieści na twojej łodzi. – Zerknęła na niego spod oka.

– Żartujesz.

Powróciła wzrokiem do właścicielki galerii. Susan stała jakieś piętnaście stóp od Lucasa. Na jej przegubach pobrzękiwały srebrne bransoletki, akcentując każdy ruch dłoni. Z żywą gestykulacją rozprawiła o obrazie. Riley z uwagą ją obserwował.

– Bardzo jej zależy, żeby namówić Lucasa na to płótno, prawda?

– Na to wygląda.

Spojrzał na zegarek.

– Siedzimy tu od pół godziny. Może powinienem był powiedzieć Goldenowi, żeby złapał taksówkę z lotniska, a nie obiecywać, że po niego przyjadę.

– Przecież samolot ląduje za półtorej godziny. Powinieneś zdążyć.

– Powinieneś, ale czy zdążę? – odparł cierpko.

– Zobaczymy. – Tak czy owak, nie ruszą się z galerii do końca wizyty, bez względu na to, jak długo będzie ona jeszcze trwać.

Riley ponownie obrzucił uważnym spojrzeniem parę w sąsiednim pomieszczeniu.

– Mam przecucie, że ta St. Jacques to istna pirania, jeśli poczuje szansę sprzedaży.

– Większość ludzi z branży handlowej to krwiopijcy, przynajmniej ci, którzy odnoszą sukcesy. Dzięki temu dostają wysokie prowizje.

Było jasne, że Susan za wszelką cenę chce sprzedać obraz. Ale czy Lucas naprawdę chce go kupić? Susan mówiła, on potakiwał. Susan pokazywała, on patrzył. Jednak w jego reakcjach było coś nieszczerzego, jakby wysiłał się, żeby okazać zainteresowanie płótnem, którego nie ma zamiaru kupić.

Kiedy Susan odwróciła się, dobiegł ich jej głos:

– Pomyśl, jak to będzie wyglądało nad twoim kominkiem, Lucas. Najwyraźniej bąknął coś nie zobowiązującego w odpowiedzi, ale Delaney nie dosłyszała jego słów. Wcale nie zniechęcona mało entuzjastyczną reakcją, Susan ciągnęła dalej:

– Jak wspominałam, obecny właściciel znalazł się w wysoce niekorzystnej sytuacji

finansowej, choć wolałby utrzymać to w tajemnicy. Właśnie dlatego nie wystawia obrazu na aukcji, z obawy, że niewłaściwi ludzie zorientowaliby się, że ma problemy finansowe. Namówiłam go, żeby powierzył mi sprawę tej sprzedaży. Na aukcji dostałby koło pięciu milionów...

Riley głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Nieźle.

Z miny Lucasa Delaney wywnioskowała, że na cenę zareagował podobnie jak Riley.

– Tyle dostałby na aukcji – powtórzyła Susan. – Ale przekonałam go i zgodził się na trzy i pół.

– Trzy i pół czy pięć... to bez znaczenia – Lucas po raz pierwszy odezwał się stanowczo. – I tak nie mam takiej sumy na zbyciu.

– Ale możesz mieć, skarbie.

– Skąd? – W tym pytaniu, oprócz rozbawienia, zabrzmiały nuty cynizmu.

– Luke. – Wypowiedziała imię z mieszaniną pobłażania i cierpliwości, jaką zazwyczaj okazuje się dzieciom. – Jest tajemnicą poliszynela, że Paramount zaproponował ci trzydzieści milionów za drugą część ostatniego filmu. A skoro dają dwadzieścia, Arthur Golden bez problemów wywalczy trzydzieści.

– To propozycja, Susan, nic więcej. – Był zły. – W banku nie ma tych pieniędzy. Nawet jeśli Arthur dojdzie z nimi do porozumienia, wszystko będzie zależało od scenariusza. Nie będę ryzykował karierą, grając w kiepskim filmie tylko po to, żeby kupić obraz. To byłby szczyt głupoty.

– Masz absolutną rację. Ryzykowanie karierą to szczyt głupoty.

Znieruchomiał.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz...

– Oczywiście. Ale jestem również przekonana, że ten obraz i ty jesteście dla siebie stworzeni. Nawet jeśli nie masz pod ręką gotówki, możesz ją zdobyć. Biorąc pod uwagę tantiemy z ostatniego filmu, posiadłość w Bel Air, dom na Red Mountain, nietrudno będzie ci dostać pożyczkę.

– Nie wiem, może tak. – Wahał się, jakby powoli przymierzał się do kupna.

– Pomogę ci to załatwić. Dostaniesz pieniądze w ciągu tygodnia.

– Tygodnia? – powtórzył sceptycznie. – Nie możesz być tego taka pewna.

– Nie mogę? – roześmiała się gardłowo. – Luke, skarbie, czy mam ci przypomnieć, że nieważne, kogo znasz, ale *co o nim wiesz?*

Riley skrzywił się z niesmakiem, z czego Delaney wywnioskowała, że podobnie jak ona usłyszał ostatnią uwagę Susan. I jak ona domyślił się, że Susan ma haka na jakiegoś bankiera.

– W niektórych kręgach takie zachowanie nosi miano polityki – mruknął pod nosem. –

W innych to zwykły szantaż.

Delaney skinęła głową. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Susan i to, co tamta wtedy powiedziała: że Delaney na pewno poznaje wiele sekretów swoich klientów. Wówczas uznała to za zwykłą ciekawość, teraz przypuszczała, że tajemnice innych stanowią podstawę handlowego sukcesu Susan St. Jacques.

– Jak to powiedziałaś? Krwiopijcy? – dopytywał się Riley półgłosem.

Nie oczekiwał odpowiedzi i nie uzyskał jej. Delaney żałowała, że Lucas i Susan stoją tak blisko. Nie chciała słyszeć nic więcej. Tylko się tym denerwowała – i po co? Nie może nic na to poradzić. Takie jest życie, przynajmniej ta jego część, której nikt nie lubi.

Lucas przerwał chwilową ciszę.

– Zdajesz sobie sprawę, Susan, że rozmawiamy o olbrzymiej sumie. O olbrzymim długu.

– Rozmawiamy o twojej przyszłości, Lucas. Twojej i Toby’ego – dodała. – Wiem, jak bardzo ci zależy na tym, żeby mu zapewnić bezpieczną przyszłość. Wiesz, jak kapryśne jest Hollywood. Twoja kariera może się skończyć już jutro. Ale ten obraz to świetna inwestycja.

Toby. Zaledwie wypowiedziała jego imię, Delaney domyśliła się, że Susan St. Jacques należy do nielicznych, którzy wiedzą, że jest on bratem Lucasa. A to znaczy również, że wie, jak bardzo Lucasowi zależy na chronieniu Toby’ego przed wścibstwem. Znała jego tajemnicę to i nie wahała się jej wykorzystać, aby zmusić Lucasa do kupna obrazu.

– Idę o zakład, że sama zarobi na tej transakcji niezłą sumkę – syknął Riley. – Coś mi mówi, że z ceny trzy i pół miliona pięćset tysięcy albo i więcej trafi do kieszeni pani St. Jacques. Może więcej.

– Dosyć tego, Riley – szepnęła Delaney.

– Przepraszam. Widać mój niesmak?

– Masz to wypisane na twarzy.

– Ty też.

Starła się przybrać obojętną minę, gdy Lucas i Susan zmierzali w ich stronę.

– Pozwól, że złożę ofertę w twoim imieniu, Lucas. Na wszelki wypadek, żeby nie sprzedał komu innemu.

– Arthur przylatuje dziś po południu. Muszę z nim porozmawiać, dowiedzieć się, czy to nam przyniesie jakieś ulgi podatkowe.

– Ależ na tym polega urok całej sprawy, skarbie. Jeśli pożyczysz pieniądze, nie musisz sobie zawracać głowy podatkami.

– Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć, Susan.

– Nad czym tu myśleć? Jest tylko jedno rozsądne wyjście: kupić obraz. Uwierz mi, jest wart co najmniej pięć milionów. Na aukcji mógłbyś za niego dostać więcej. Właścicielowi zależy na szybkiej sprzedaży.

– Daj mi kilka dni. Najwyżej tydzień.

– W porządku, tydzień. – Widać było jednak, że zwłoka bardzo ją denerwuje.

Byli już przy drzwiach.

– Idziemy? – zapytał Riley.

– Tak. – Lucas natychmiast odsunął się od Susan.

Odprowadziła ich do drzwi wejściowych. Riley wyciągnął kluczyki z kieszeni. Delaney przytrzymała Lucasowi tylne drzwiczki.

– Zobaczmy się na przyjęciu w piątek – zawołała Susan na pożegnanie. – Nie zapomnij, że obiecałeś przedstawić mnie Kyle’owi Bainesowi.

– Jakże mógłbym zapomnieć? Nie pozwoliłabyś mi. – Lucas nie silił się na ukrycie złości.

– Pozdrów ode mnie Toby’ego, Luke – rzuciła przez ramię.

Zdaniem Delaney niewinne słowa niosły groźbę. Lucas nie odpowiedział. Delaney zatrzasnęła za nim drzwiczki, skinęła Susan na pożegnanie i wsiadła do samochodu.

Jak można się było spodziewać, w drodze powrotnej Lucas był bardzo małomówny. Riley włączył radio, żeby cisza nie stała się zbyt krępująca. Cały czas komentował swoje ulubione piosenki, lecz odpowiadała mu jedynie Delaney.

## Rozdział siedemnasty

Po dwudziestu minutach weszli do cichego domu. Riley natychmiast wyłączył system alarmowy, Delaney przesunęła okulary na czubek głowy i bacznie obrzuciła wzrokiem korytarz. Cisza zdawała się równie niezręczna jak milczenie Lucasa. Bez słowa zabrał ze stołu pocztę i przeszedł do przestronnego salonu. Riley odprowadził go wzrokiem.

– Nigdy nie był taki skupiony, nawet na planie.

Machinalnie bawił się pękiem kluczy.

– Moim zdaniem, ona coś na niego ma.

– To widać, prawda? – bąknęła Delaney.

– Na mnie już czas. W drodze na lotnisko odbiorę smokingi na piątkowe przyjęcie.

– Doskonały pomysł. Dzięki temu nie trzeba będzie specjalnie po nie jechać.

– Tak sobie właśnie pomyślałem. – Riley był już przy drzwiach. – Jeżeli lot Arthura się nie opóźni, wrócę za godzinę.

Pomachała mu energicznie, sięgając po słuchawkę telefonu. Zadzwoiła do Vance'a. Poinformowała, że wrócili z Lucasem do domu, odebrała zostawione dla niej wiadomości. Przez cały czas słyszała, jak Lucas nerwowo chodzi po salonie.

Zanim skończyła rozmowę, w domu ponownie zapanowała cisza. Po namyśle przeszła do salonu. Nietknięte koperty poniewierały się na kremowej kanapie. Lucas stał przy oknie sięgającym od podłogi do sufitu. Był pogrążony w smutnych rozmyślaniach, pochylony, z dłońmi w kieszeniach, z opuszczoną głową.

Ciszę przerwało głośne uderzenie kostek lodu o ścianki szklanki. Lucas wychylił drinka jednym haustem. Odwrócił się, nie wypuszczając naczynia z dłoni, i zobaczył Delaney na progu.

– Masz ochotę na lunch? – zapytała, nie mając najmniejszych wątpliwości, że jego drink to Krwawa Mary. – W lodówce mamy świeżego kraba.

– Nie, dziękuję, to mi wystarczy do przyjazdu Arthura. – Uniósł szklankę.

– W porządku.

Wychodziła, ale jego głos zatrzymał ją w miejscu.

– Dokąd idziesz?

Nie odpowiedziała od razu. Przez dłuższą chwilę studiowała jego ściągniętą twarz. W oczach malował się gniew.

– Myślałam, że chciałbyś być sam.

– Sam. – W jego śmiechu nie było wesołości. – Niezły kawał, Delaney. Do cholery, ja zawsze jestem sam... nawet jeśli mam towarzystwo. – Znowu chciała wyjść. – Poczekaj. Zostań ze mną.

Usłyszała ledwo zauważalne drzenie w jego głosie, które sprawiło, że rozkaz stał się prośbą.



– Jeśli chcesz. – Celowo powiedziała to nonszalancko.

Znalazła się w niezręcznej sytuacji. Dawno temu nauczyła się, że tylko nieliczni klienci chcą wiedzieć, czy przez przypadek usłyszała ich prywatne rozmowy. Z reguły wolą myśleć, że nic do niej nie dotarło. Tak więc, jako profesjonalistka musiała udawać, że niczego nie słyszała, choć jako osoba prywatna dobrze wiedziała, o czym była mowa. Tak jak teraz. Była niemal na sto procent pewna, że Susan St. Jacques usiłuje nakłonić Lucasa do kupna obrazu sugerując, że w innym wypadku zdradzi przed światem istnienie Toby'ego.

Lucas ponownie potrząsnął szklanką i powrócił wzrokiem do widoku za oknem.

– Marzyłem o dotarciu na sam szczyt – powiedział cicho, z niespodziewaną zaciętością. – Ale nie wyobrażałem sobie, że to będzie tak wyglądać. – Urwał na moment. – Uwierz mi, sukces nie zmienia ludzi. Nie w znaczący sposób. Za to diametralnie zmienia to, jak postrzegają go inni. Nawet nie chce mi się liczyć przyjaciół, których przez to straciłem.

– Dlaczego? – Zmarszczyła brwi, słysząc tak dziwne stwierdzenie. – Skoro byli twoimi przyjaciółmi...

– ...powinni się cieszyć moim szczęściem, to chciałaś powiedzieć – dokończył za nią z drwiącym uśmiechem. – Pewnie, też tak myślałem. I wiesz co? Oni chcieli. Niektórzy nawet próbowali. Tylko że mój sukces oznaczał, podkreślał ich porażkę. Ilekroć przebywaliśmy razem, widzieli, że ja zrobiłem karierę, a oni zawiedli na całej linii, przynajmniej we własnych oczach. W takiej sytuacji przyjaźń kosztuje zbyt wiele i kończy się prędzej czy później.

– To smutne.

– Bardzo. – Skinął głową. – Ale nie da się tego zmienić, podobnie jak nie da się zmienić nastawienia ludzi, którzy uważają, że jestem inny niż oni. Muszę być inny; przecież jestem gwiazdą, a oni nie. To nie tak, że uważają mnie za lepszego od nich, nie, to bardziej skomplikowane. Ich zdaniem oni nie są wystarczająco dobrzy. – Przytrzymał palcem łydę selera i opróżnił szklankę. – No i jeszcze pasożyty. Cały czas czatują na pieniądze i przysługi, które możesz im wyświadczyć.

Na przykład Susan, pomyślała Delaney, ale nie powiedziała tego na głos.

– Aż nadchodzi taki dzień, kiedy budzisz się sam, w wieży z kości słoniowej, z drinkiem w dłoni. I wznosisz toast, przepijasz do pustki dokoła i pytasz się: „Komu na tobie zależy, stary”? – Z goryczą odegrał opisaną właśnie scenę.

Ogarnęła ją fala współczucia, a wraz z nią potrzeba pocieszenia. Ale jak? Nic, co mu powie, nie zmieni faktów.

– Lucas – zaczęła miękko. – Nie wolno rozczulać się nad sobą.

– Nie? – Odwrócił się gwałtownie. Nie panował nad złością, zdradzały go palce, tak mocno zaciśnięte na szklance, że pobiełały. – A co ty, do cholery, możesz o tym wiedzieć? Nie wiesz, jak to jest: żyć samotnie, w otoczeniu stada sępów, które czyhają na najbliższą okazję, żeby

wydziać ci oczy. Nie wiesz, jak to jest, kiedy wszyscy cię nienawidzą, bo ci się udało. Och, publiczność pomaga ci dostać się na szczyt, ale kiedy tylko go osiągniesz, zrobią wszystko, żeby cię stamtąd ściągnąć. Pragną widoku krwi. Prasa ostrzy sobie na to zęby. Wystarczy zaledwie cień skandalu, rzuca się na każdy strzęp informacji, wypaczają wszystko i przekręcają, przedstawiają w najgorszym możliwym świetle.

Nawet ten wybuch nie pomógł mu rozładować wewnętrznego napięcia. Z całej siły cisnął pustą szklanką o kominek. Kostki lodu rozsypały się na podłogę, kryształ rozprysł się o marmur z głośnym brzękiem. Zmęczonym gestem przeczesał ciemne włosy palcami. Gdyby w pobliżu była ściana, walnąłby w nią pięścią, Delaney gotowa była się założyć.

Nie odwracając się stwierdził:

– Nie masz pojęcia, jak mściwi potrafią być ludzie.

– Owszem, mam. Na tym polega moja praca.

Dopiero teraz na nią spojrział. Gniew ustąpił miejsca zdumieniu:

– Jak mogłem o tym zapomnieć?

– Pod wpływem zdenerwowania, napięcia, bardzo wiele wylatuje nam z głowy.

Nieoczekiwanie jego usta wykrzywił uśmiech.

– Czy często bawisz się w spowiednika swoich klientów, Delaney?

– Bardzo, bardzo rzadko.

– Ich strata. – Przyglądał się jej uważnie. – Chyba podświadomie wyczuwałem, że zrozumiesz. Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że w Rinie najbardziej pociągała mnie świadomość, że przeszła przez to samo co ja: utrata starych przyjaciół, ataki pasożytów, krwiożerczość mediów. Wszyscy czegoś od ciebie chcą, oczekują, żądają...

– Nie wszyscy, Lucas.

Urwał.

– Nie, nie wszyscy. Nie ty.

Wystarczył jeden krok, a znalazła się w jego objęciach. Nie opierała się. Wiedziała, że potrzebuje kontaktu fizycznego, a chciała go jakoś pocieszyć. Oparł podbródek o jej włosy.

– Nie masz pojęcia, jak ważna jest dla mnie świadomość, że jesteś tu, aby mnie chronić, a nie po to, żeby mnie wykorzystać. Chyba dlatego tak dobrze się czuję w twojej obecności; wiem, że mogę na ciebie liczyć.

Słuchając jego niskiego głosu, świadoma ukrytej zarliwości, nagle zdała sobie sprawę, że Lucas nigdy dotąd nie miał nikogo, na kim mógłby polegać. Ani rodziców, ani przyjaciół. Ona jest pierwszą osobą, która ma go chronić. Przez jedną chwilę pozwoliła sobie objąć go z całej siły. Kiedy poczuła jego usta na włosach, odsunęła się szybko.

– Nie zapominaj, Lucas, że naszym zadaniem jest dopilnować, by włos nie spadł ci z głowy.

Nie dał się nabrać.

– Dla Riley'a i innych to tylko zadanie, ale nie dla ciebie. Zależy ci na mnie, Delaney.

Miał rację. Nie wiadomo kiedy, dostrzegła w nim człowieka, nie tylko klienta. Polubiła go.

– Owszem, lubię cię – przyznała sztucznie lekkim głosem. – I dlatego pozbieram szkło, zanim się pokaleczysz.

– Strasznie nabałaganiełem, prawda?

– Owszem.

– Więc pomogę ci przy sprzątanu.

– Jeśli liczyłeś, że nie skorzystam z tej propozycji, to byłeś w błędzie. – Nie miała pojęcia, czemu tak bardzo jej ulżyło. Żartowali i przekomarzali się, zbierając okruchy szkła z podłogi i wycierając kałuże z roztopionego lodu.

W tym czasie Riley wrócił z lotniska z Arthurem Goldenem. Spojrzał jej w oczy. Ledwo zauważalne skinienie głowy uspokoiło go – wszystko było w porządku.

– Cieszę się, że cię widzę, Lucas. – Arthur Golden wyciągnął rękę.

– Ja też. Jak minął lot?

– Koszmarnie. – Arthur skrzywił się z niesmakiem. – To było latające trzęsienie ziemi. Zdawało mi się, że znowu jestem w Los Angeles. – Zlustrował Lucasa badawczym wzrokiem. – Co u ciebie?

– W porządku.

– To dobrze. Przywiozłem ci do przeczytania masę scenariuszy. Przynieś mi tę czarną torbę. – Ostatnie zdanie było skierowane do Riley'a. Przekonany, że ten go posłucha, Arthur ponownie zwrócił się do Lucasa: – W poniedziałek byłem na obiedzie z Dave'em z Creative Artists. Planują superprodukcję i oczywiście proponują ci główną rolę. Przywiozłem scenariusz. Chcą jak najszybciej usłyszeć odpowiedź.

– Rzuć na to okiem. – Lucas podszedł do obficie zaopatrzonego barku. – Masz ochotę na drinka?

– Wolałbym filiżankę herbaty.

– Zaparzę – zaoferowała się Delaney.

– W kuchni powinien być earl grey – przypomniał sobie Arthur. – Lucas kupuje go specjalnie dla mnie.

– Znajdę. – Delaney już była przy drzwiach.

– Nie doprowadzaj wody do wrzenia, bo... – machnął ręką. – Pójdę z tobą. Jeśli chodzi o herbatę, jestem wybredny jak Anglicy.

Pospieszył za nią szybkim, zwinnym krokiem. W korytarzu wpadli na Riley'a, który taszczył wielką czarną torbę.

– Zanieś to Lucasowi. Powiedz, że scenariusz Creative Artists powinien być na samym wierzchu. – Ruchem głowy wskazał salon, jednocześnie biorąc Delaney pod rękę. – Powiedz mi

prawdę, moja droga. Co się tu dzieje? Lucas wygląda na zdenerwowanego. Czy Rina znowu sprawiła wam kłopoty?

– Nie.

– Ale to zrobi – zapewnił.

– Czy dowiedziałeś się czegoś, co powinniśmy wiedzieć? – Weszli do kuchni.

– Na lotnisku w Los Angeles przypadkiem spotkałem Sida Gravesa. – Idąc za Delaney, podszedł do zlewu i obserwowiał, jak napełnia czajnik wodą z kranu.

– A kto to? – Zmarszczyła brwi słysząc nazwisko. Postawiła czajnik na palniku.

– Jej menedżer. Był w drodze do Nowego Jorku, gdzie miał się spotkać z jej prawnikami. Sid i ja znamy się od lat. Tak się złożyło, że obaj mieliśmy chwilę czasu, a zarazem doskonałą okazję, by, że się tak wyrażę, spróbować załatwić całą sprawę za kulisami.

– I? – Ponagliła.

– I.. zapędziłem go w kozi róg. Właśnie dlatego chciałem rozmawiać z tobą w cztery oczy. – Uniósł wieko cukiernicy. – Sid widział się z Riną następnego dnia po strzelaninie, zaraz po tym, jak ją zwolniono. Według niego początkowo była agresywna i kapryśna, jak to ona. Odgrażała się, czego to nie zrobi Lucasowi. Wtedy Sid się wkurzył. Powiedział, że wisi nad nią proces karny, że może wylądować w więzieniu.

Puszka oryginalnej angielskiej herbaty stała w kredensie. Delaney postawiła ją na blacie i odruchowo rozejrzała się za imbrykiem.

– A potem, jak opowiada Sid, spojrzała na niego ze łzami w oczach i powiedziała: „To był wypadek. Nie chciałam do niego strzelać. Przecież go kocham; dlaczego miałabym go zabijać? Tak, miałam przy sobie broń, to prezent od Lucasa. Zabrałam ją ze sobą do hotelu, ale chciałam go tylko przestraszyć, nic więcej. Wypaliła podczas szamotaniny”. I rozszlochała się rzewnymi łzami. Kiedy Sid zaczął ją pocieszać, podniosła głowę i wtedy zobaczył błysk w jej oczach. – Arthur zaczerpnął tchu. – Sid określił go jako chłodny i wyrachowany. A potem poklepała go po ramieniu ze słowami: „Nie mam się o co martwić, Sid. Żadna ława przysięgłych mnie nie skaże, kiedy usłyszą moją wersję. Upiecze mi się, zobaczysz”.

Gwizd czajnika zaskoczył oboje. Delaney błyskawicznie zdjęła go z palnika.

– Z tego, co mówił Sid, w jej otoczeniu wszyscy się boją, że spełni swoją groźbę. Nie wiedzą, jak ją powstrzymać. Sid próbował, co w jego mocy, żeby ją wyciągnąć z Aspen: wspominał o nowych propozycjach filmowych, płytach, trasach koncertowych... Nie dała się nabrać. – Zdjął przykrywkę z puszek z herbatą. – Powtórzył mi to z tuzin razy: „Arthurze, zaklinam cię, nie pozwól, by się zbliżyła do Lucasa”. – Spojrzał na Delaney. – A teraz ja ci powtarzam: „Nie pozwól jej zbliżyć się do Lucasa”.

– Nie martw się. Nie pozwolimy.

– A co z piątkowym przyjęciem? – Starannie odmierzył porcję herbaty i wsypał do

błękitnego imbryka. – Co będzie, jeśli Rina się tam zjawi?

– To niewykluczone. – Ze spokojem, którego nie czuła, nalała wody do imbryka. Do jej nozdrzy dotarła aromatyczna para. – Ale wstęp mają tylko zaproszeni goście, a jej nie ma na liście.

– Nie wolno ci jej nie doceniać – ostrzegł Arthur. – Wdarła się do apartamentu w Nowym Jorku. Skoro trzeba mieć zaproszenie, zdobędzie je.

– Dzisiaj wieczorem spotykam się z Samem Blakiem, to szef ochrony na przyjęciu. Zadbam o to, by honorowano zaproszenia wyłącznie dla gości z listy. A przy okazji, czy dodać do niej twoje nazwisko?

– Powinienem pójść, ale na piątek wieczór umówiłem się na kilka ważnych konferencji przez telefon. Chyba jednak zrezygnuję. – Westchnął ciężko. – Wiesz, gdyby chodziło o nieznaczoną fankę, nie przejmowałbym się tak bardzo. Ale to Rina Cole... – Pokręcił znacząco głową. – Dlaczego nie mogła załamać się nerwowo, jak każda inna gwiazda? Dlaczego wybrała sobie akurat Lucasa? To nie fair.

– A co jest fair? – odcięła się Delaney.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Mówiąc szczerze, Delaney, wolałbym, żeby Lucas w ogóle nie poszedł na to przyjęcie i postaram się wybić mu ten pomysł z głowy.

Dochodziła dziewiąta, kiedy Delaney skończyła ustalanie wszystkich szczegółów z Samem Blakiem i wróciła do apartamentu. Czekwały tam na nią dwie ekspresowe przesyłki z biura. W jednej były czeki z wypłatą, które musiała podpisać. Zwolniła Vance'a z posterunku i wysłała na spóźnioną kolację, a sama zajęła się drugą paczką.

Była większa i cięższa, bo wypełniała ją korespondencja, na którą musiała odpowiedzieć. Zaparzyła sobie kawy i zabrała się do pracy.

Kiedy przebrnęła przez ponad połowę, zadzwonił telefon. Podnosząc słuchawkę, odruchowo spojrzała na zegarek. Zdziwiła się, że Riley zgłasza się pięć minut przed umówioną godziną.

– Dziewiąta dwadzieścia jeden – rzuciła.

Ale to nie głos Rileya usłyszała.

– To ty, Delaney? Tu Jared.

– Jared. – Uśmiechnęła się, nawet o tym nie wiedząc. – Co za zbieg okoliczności. Dzisiaj natknęłam się na twoje nazwisko w miejscu, w którym w ogóle nie spodziewałam się go zobaczyć.

– Niech zgadnę – odezwał się z rozbawieniem. – Czy nie była to przypadkiem lista gości na piątkowe przyjęcie?

– Strzał w dziesiątkę. – Sięgnęła po listę, którą sporządził dla niej Sam Blake. Jared był

czwarty od góry. – Nawet mi nie przyszło do głowy, że bywasz na takich imprezach.

– Bo zazwyczaj nie bywam. Ale kiedy się dowiedziałem, że będzie tam Lucas Wayne, pomyślałem, że ty również. Więc zamiast jak zwykle wyrzucić zaproszenie do śmieci, przyjąłem je.

– Będę na służbie – przypomniała mu.

– Nie ma sprawy. Po prostu stanę sobie obok ciebie i będę wdychał zapach twoich perfum. –

I po chwili: – Brakuje mi ciebie, Delaney.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko mruknęła:

– Żałuję, że mam tak mało wolnego czasu.

– A niedziela? Mógłbym sprowadzić z ranca parę koni i pojechalibyśmy na piknik nad jezioro.

– Zapowiada się to wspaniale, ale nie wiem...

– Delaney, nie możesz pracować osiemnaście godzin na dobę. Musisz odpocząć.

– Może i tak.

– W porządku. Przyjadę po ciebie w niedzielę, w południe.

– Zobaczymy.

– W piątek spodziewam się usłyszeć lepszą odpowiedź.

– W piątek – zgodziła się. Nagle zapytała: – Jared, wiesz, że obowiązuje strój wieczorowy?

– Wiem.

Odłożył słuchawkę, a ona na próżno usiłowała wyobrazić go sobie w smokingu.

## Rozdział osiemnasty

Przed elegancką posiadłością Starwood mercedesy, bentleye i rolls-royce'y walczyły o miejsce do zaparkowania z jeepami i rangę roverami. Wewnątrz nie sposób było poznać, którzy goście wysiedli z jakiego pojazdu; wszyscy nosili stroje od Chanel albo Givenchy. W każdym kącie wrzały rozmowy. Delaney trzymała się z boku. Wyglądała jak jedna z zaproszonych kobiet, z włosami upiętymi w kok, w wieczorowym spodniem z granatowego jedwabiu. Wybrała ten strój nie ze względu na klasyczną elegancję, lecz na wygodę i swobodę ruchów, dlatego też miała na nogach pantofle na płaskim obcasie.

Zatrzymała się przy ścianie, by podziwiać kolekcję obrazów współczesnych malarzy. Uniosła do ust wysoką szklanę z tonikiem, pilnie obserwując tłum gości, którzy przechadzali się w olbrzymim salonie wyłożonym marmurem i mahoniem. Za przeszkloną ścianą uwijały się drobne figurki na tle gór i fioletowego nieba. Na moment ogarnął ją niepokój, ale zaraz przywołała się do porządku.

Kelnerzy w czarnych frakach, przystojni jak młodzi bogowie, uwijali się między gośćmi, roznosili na tacach kieliszki szampana Haute Brion i wódki Stolicznej dla tych, którzy preferowali coś bardziej tradycyjnego do kanapek z kawiozem. Kiedy jeden z kelnerów zatrzymał się przy niej, podziękowała ruchem głowy.

Docierały do niej strzępki rozmów na najróżniejsze tematy, od zanieczyszczenia środowiska i efektu cieplarnianego poczynając, na wadach i zaletach masażystów kończąc. Obecni goście prezentowali przekrój środowisk elitarnych, a więc elity intelektualne i artystyczne, finansowe i świata rozrywki, do którego należał Lucas Wayne.

Nie widziała go przez moment, natychmiast więc poszukała go wzrokiem. Najpierw zauważyła Rileyę i Johna. Obaj zajmowali pozycje przy boku Lucasa, ale w pewnej odległości, tak że mógł bez przeszkód rozmawiać ze znajomymi nie będąc skrzepowanym. Nawet z dużej odległości wyraźnie widziała zielone W na ich spinkach do krawata. Podobny znaczek tkwił w klapie jej spodniem.

Zatrzymała wzrok na Rileyu. W przytłumionym świetle jego włosy lśniły bardziej niż zwykle, również widoczniejszy był mocny zarys szczęki. Wyglądał jak model prezentujący męskie stroje wieczorowe. Zazwyczaj zapominała, jak bardzo jest przystojny, tego wieczora jednak to się rzucało w oczy.

Riley poczuł na sobie jej spojrzenie i skinął głową z leciutkim uśmiechem. Zaraz jednak wrócił do obserwowania gości.

Delaney również omiotła ich wzrokiem. Przez chwilę przyglądała się, jak Lucas roztacza swój urok osobisty, kokietując obwieszoną klejnotami żonę potentata mediów. Po nerwowości, jaką okazywał w drodze na przyjęcie, nie pozostało śladu. Przez całą drogę bombardował ją

pytaniem, które, jak przypuszczała, podsunął mu Arthur: czyjej zdaniem Rina się zjawi? Co wtedy? Czy możliwe, że zdobyła broń? Co wtedy? Choć starał się zadawać te pytania obojętnym głosem, wiedziała, że w rzeczywistości wcale nie jest taki spokojny.

Cierpliwie tłumaczyła, jak zorganizowana będzie ochrona: strażnik przy bramie, przy drzwiach, ona między Lucasem a drzwiami wejściowymi, Riley i John Wyatt po jego bokach i jeszcze Vance w samochodzie na tyłach domu, gotów uciekać z Lucasem w razie niebezpieczeństwa. I po raz kolejny upomniała Lucasa, że ma się trzymać dalszej części pomieszczenia, blisko tylnych drzwi.

Lucas przechylił głowę i roześmiał się z czegoś, co powiedziała kobieta, i rzucił coś żartobliwie do jej męża. „Bez względu na wszystko, przedstawienie musi trwać”, pomyślała Delaney.

Odwróciła się. Wszędzie widziała ochroniarzy; niektórzy byli wysokiej postury i łatwo wpadali w oko, inni pozornie niczym nie wyróżniali się z tłumu. Goście akceptowali ich obecność, uważali ich za coś równie oczywistego jak spinki do mankietów. Oto znak czasów, zauważyła.

W jej stronę zmierzał mężczyzna. Już-już miała odejść, lecz zaintrygował ją uśmiech w szaroniebieskich oczach i kontrast między blond włosami a czarnym smokingiem. Jared.

Zatrzymał się, nie spuszczać z niej wzroku.

– Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie.

– Dlaczego nie? – Zmarszczyła brwi. – Przecież przyjęcie zaczęło się trzy kwadrans temu.

– Owszem, ale gwiazdy zazwyczaj lubią mieć efektowne wejście. – Suchy ton głosu podkreślał cynizm w oczach. – Jesteś równie elegancka jak oni.

– W twoich ustach to chyba nie jest komplement – odcięła się żartobliwie. Zdażyła już przywyknąć do jego ledwo maskowanej niechęci do sławnych osobistości.

Schylił głowę z udawaną skruchą.

– W takim razie powiem to inaczej: wyglądasz pięknie.

– Dziękuję. – Zwilżyła usta tonikiem i odruchowo rozejrzała się po sali. Kiedy obok nich przechodził kelner, Jared wziął od niego lampkę wina i przysunął się bliżej niej.

– Zanoszą się na nietypowy wieczór, prawda?

– Dlaczego?

– Myślałem, że zadowolę mnie samo przebywanie w twoim pobliżu, a teraz widzę, że chcę mieć cię tylko dla siebie, a to niemożliwe.

– Niemożliwe. – Poczowała na sobie wzrok Riley, zanim jeszcze na niego spojrzała. Uniósł brew, patrząc to na nią, to na Jareda. Miał zimny wzrok, po zaciśniętych szczękach poznała, że jest zły.

– Czy mi się zdaje, czy Riley ma taką samą spinę jak ty? – zainteresował się Jared.



– Tak, taką samą. On i inni moi ludzie. To nasz znak rozpoznawczy – wyjaśniła. – Dzięki temu policja będzie wiedziała, że stoimy po właściwej stronie. To może się okazać bardzo ważne, jeśli dojdzie do strzelaniny.

– A to możliwe?

– W przeciwnym wypadku nie byłoby nas tutaj – odpowiedziała machinalnie, w myśli po raz kolejny analizując słowa Arthura Goldena i rady... obawy menedżera Riny.

– No tak.

Dostrzegła Susan St. Jacques, jak z uśmiechem krąży wśród tłumu. Wyglądała bardzo elegancko w białym kostiumie, ze sznurem pereł na szyi. Zauważywszy Delaney, podeszła do niej.

– Delaney, czy widziałaś... – Na widok Jareda urwała w pół zdania. W pierwszej chwili znieruchomiała, by zaraz uśmiechnąć się szeroko. – Jared, nie spodziewałam się zobaczyć cię tutaj!

– Nie dziwię się.

Ze zdziwieniem zwróciła się do Delaney:

– Wy się znacie?

– Tak. – W jej obecności Jared był wyjątkowo oschły i zamknięty w sobie.

– Posłuchaj mojej rady, Delaney – Susan ściszyła głos do konfidencjalnego szeptu. – Jared jest niewiarygodnie staroświecki. Nie lubi agresywnych, ambitnych kobiet.

– Fakt, że kobieta jest ambitna i agresywna to nic złego, Susan – sprostował. – Problem w tym, jak się zachowuje.

Nie sposób było nie przyznać Susan, że roześmiała się prawie naturalnie.

– Jak widzisz, Delaney, Jared i ja to zaprzysięgli wrogowie.

Ponieważ Jared nie zareagował na te słowa, spojrzała na niego chytrze.

– Jak zawsze dżentelmen w każdym calu, co, Jared? Jeśli nie możesz powiedzieć o kimś nic miłego, milczysz?

Delaney poczuła, jak ktoś delikatnie ujmuje ją za łokieć. Dyskretnie obejrzała się do tyłu. Jeden z ochroniarzy przyjęcia nachylił się do jej ucha.

– Jest tutaj – rzucił półgłosem.

Skinęła głową i odnalazła wzrok Rileya. Podniosła palec wskazujący, co było wcześniej ustalonym sygnałem. Bąknęła coś o nagłym telefonie, przeprosiła Susan i Jareda i oddaliła się pośpiesznie.

Przy drzwiach wejściowych ustawiono punkt kontrolny, gdzie sprawdzano tożsamość gości. Reflektory ukryte pod dachem zalewały zarówno podjazd, jak i ganek z pseudoantycznymi kolumnami jasnym światłem. Pochodnie pełniły jedynie rolę dekoracyjną.

Delaney zauważyła Rinę Cole natychmiast po wyjściu na zewnątrz. Jak na nią, aktorka była

ubrana nader skromnie: miała na sobie czarną suknię bez ramiączek i bolerko z różowymi aplikacjami. Jasne włosy piętrzyły się na czubku głowy, w stylu lat czterdziestych, ale nikt nie mógł mieć wątpliwości, że ma przed sobą Rinę Cole we własnej osobie.

Aktorka obrzucała dwóch ochroniarzy lodowatym spojrzeniem, którego nie powstydziałaby się sama królowa śniegu.

– Proszę zawołać zwierzchnika. To skandal, ten zamach na moją prywatność! Jesteśmy zaproszeni. Timothy, jeszcze raz pokaż im zaproszenie.

Pstryknęła palcami na mężczyznę u jej boku. Zaczerwieniony, wyraźnie skrepowany całą sytuacją, posłusznie przeszukiwał kieszenie. Jego twarz nie była Delaney obca, ale dopiero kiedy wydobyl z kieszeni i włożył na nos okulary w rogowej oprawie, rozpoznała Timothy'ego Collinsa-Jonesa, znanego filozofa. On z Riną Cole? Niełatwo sobie wyobrazić gorzej dobraną parę.

W końcu, przy wtórze niecierpliwego stukania jej obcasów, znalazł zaproszenie.

– Proszę się nie fatygować, panie Collins-Jones – zaprotestował jeden z ochroniarzy. – Już je widzieliśmy.

– Więc nas wpuście! – warknęła Rina.

– Bardzo mi przykro, lecz dopóki nie sprawdzimy zawartości pani torebki...

– A niby po co? Timothy, zrób coś! Nie pozwolisz chyba, żeby mnie tak traktowano?

Naukowiec odchrząknął nerwowo.

– W rzeczy samej, postępowanie panów jest oburzające. Brakuje jeszcze tylko, żebyście chcieli przeszukać moje kieszenie.

Ochroniarze wymienili szybkie spojrzenia. Starszy z nich, policjant dorabiający po służbie, odpowiedział:

– Zgodnie z procedurą przeszukujemy najpierw torebki pań, następnie kieszenie panów. Jeśli państwo sobie życzą, możemy w tym wypadku postąpić odwrotnie i zacząć od pana.

– Nie! – Rina sprzeciwiła się z nieskrywaną wściekłością. – Nie zgadzaj się, Timothy. Nie mają prawa, nie mają za grosz prawa... – Na widok Delaney urwała. Na jej twarzy malował się wyraz najwyższego niesmaku. – Proszę, proszę, kogo my tu mamy! Cerber w spódnicy. To twoja robota, co?

– Nie wiem, o co pani chodzi, panno Cole. – Delaney zbliżała się szybko, nie chcąc, by Rina minęła dwóch ochroniarzy. – Po prostu wyszłam odetchnąć świeżym powietrzem.

– Ale przedtem nie omieszkła pani wezwać policji, jak poprzednio – syknęła aktorka.

– Czy to konieczne, panno Cole? – Delaney zauważyła smugę światła na podjeździe. Za kierownicą siedział Wyatt. Na tylnym siedzeniu kulił się niewidoczny Lucas.

– Straszna z pani spryciara, co? Ale pewnego dnia przekona się pani, jak mało wie.

Riley wyszedł z cienia na zalane światłem schody.

– Co tu się dzieje? – Kiedy Rina gwałtownie odwróciła się w jego stronę, rozpromienił się. – Panno Cole, co za wspiania! niespodzianka! Jestem pani wiernym fanem.

– Więc proszę coś zrobić z tymi... tymi ludźmi!

– Tymi ludźmi? – Uniósł brew w udawanym zdziwieniu, po czym zerknął na Delaney. Tylko ona dostrzegła wesoły błysk w jego oczach. – Co pani zdaniem powinienem z nimi zrobić?

– Kazać im nas wpuścić!

– Czy macie państwo zaproszenie?

– Oczywiście, że mamy zaproszenie! – burknęła.

– Więc czegoś tu nie rozumiem. – Riley popatrzył na ochroniarzy.

– Panna Cole nie pozwoliła nam zrewidować swojej torebki – wyjaśnił policjant.

– I nie mam zamiaru tego zrobić – uzupełniła Rina.

– A dlaczego nie? – Riley zdawał się bardziej rozbawiony niż ciekawy. – Co pani tam ma?

Rina nie odpowiedziała od razu. Wahała się, jakby musiała zdecydować, czy ma do czynienia ze sprzymierzeńcem czy wrogiem.

– Drobiazgi, które każda kobieta nosi przy sobie. Szminka, puderniczka, tusz do rzęs... – Wzruszyła ramionami.

– To wszystko?

– Mogą tam również być pewne przedmioty... jakby to powiedzieć... intymnego użytku. Nie chcę o nich mówić, żeby nie wprawiać Timothy'ego w zakłopotanie. – Celowo wbiła wzrok w krocze Rileya, żeby zrozumiał, że miała na myśli prezerwatywy.

Delaney z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem. Riley przechylił głowę i w zakłopotaniu potarł kark dłonią.

– To by było krępujące, prawda?

– Bardzo. – Rina była bardzo z siebie zadowolona.

– W tej sytuacji uważam, że możemy zrobić wyjątek i zrezygnować z rewizji pani torebki – zdecydował. – Tam, w środku, przyda się ktoś, kto wniesie trochę życia na przyjęcie, a pani, pani Cole, uda się to na pewno. Zwłaszcza że pan Wayne już wyszedł.

– Co? – Mało brakowało, a tupnęłaby nogą ze złości.

– Pan Wayne musiał wyjść wcześniej – powtórzył posłusznie Riley. – Chyba wspominał coś o innych zobowiązaniach.

– O innych zobowiązaniach? – Rina łypnęła na Delaney wrogo. – Pewnie spotkał się z podobnym traktowaniem jak my. – Złapała swego towarzysza za ramię. – Chodźmy stąd, Timothy. Po co nam to wszystko?

Zaciągnęła nic nie rozumiejącego biedaka do ciemnego sedana. Riley podszedł do Delaney.

– Zdziwiająco szybko straciła ochotę na przyjęcie, nie uważasz? – mruknął.

– Zdziwiająco – włączył się policjant. – Jedno wam powiem. Zanim mi ją wyrwała, przez

chwile miałem tę torebkę w ręku. I jeśli poczułem opakowanie szminki, to Smith and Wesson zmienili branżę.

Delaney zeszywniała.

– Miała broń?

– Jestem gotów założyć się o odznakę.

Samochód wjeżdżał na podjazd.

– Zapisz numer rejestracyjny, Riley. – Nie dokończyła tego zdania, a on już działał.

– Po co? – zainteresował się drugi ochroniarz.

– Zakładam, że w Kolorado nie wolno nosić ukrytej broni? – odparła.

– No tak.

Riley wrócił.

– Udało mi się zobaczyć tylko dwie cyfry, sześć i dziewięć. To czarny lincoln, z wypożyczalni Budget. Nie powinniśmy mieć trudności z namierzeniem go.

– Zapisane? – upewniła się. Kiedy policjant skinął głową, wyprostowała się. – Dobrze. Zadzwoń na posterunek, podaj im te dane, powiedz o pistolecie. Niech pierwszy lepszy wóz patrolowy zatrzyma ich na rutynową kontrolę. Przy łucie szczęścia znajdą nielegalnie posiadaną broń.

– A przy braku szczęścia... – zaczął Riley.

Delaney skończyła za niego.

– Wracamy do domu. Na wszelki wypadek, gdyby nie uwierzyła w twoją historyjkę o wcześniejszych zobowiązaniach.

– Idę po samochód. – Puścił się biegiem.

– Zaraz przyjdę. – Ponownie zwróciła się do policjanta. – Proszę informować o rozwoju wydarzeń.

– W porządku.

Riley czekał w wozie. Ruszyli z piskiem opon. Delaney czuła, jak napięcie rośnie z każdą chwilą, gdy wpatrywała się w ciemność, czekając, aż zobaczy tylne reflektory sedana.

– Jak myślisz, jest szansa, że patrol ich zatrzyma? – zastanawiała się na głos. Riley wsunął papierosa do ust i sięgnął po zapalniczkę.

– To nieduże miasto.

– Na to liczę.

– Nawet jeśli ją złapią z pistoletem w torebce, wiesz, co im powie? Że to w obronie własnej.

– Wiem. – Delaney przelotnie spojrzała na strażnika przy bramie. – Chcę tylko, żeby jej odebrali broń. Chcę być pewna, że nie ma pistoletu.

– Chwilowo.

– Nawet chwilowo. – Uważała każdą zwłokę za ich zwycięstwo.

Riley wjechał na szosę.

– Nie mówiłaś, że Jared też tu będzie.

– Nie? – Nagle spięta, uparcie wpatrywała się we wstążkę szosy.

– Nie. – Powiedział to głosem suchym jak wiatr w górach Santa Ana. – Dlaczego?

– Nie wydawało mi się to ważne.

Mruknął coś pod nosem, zbyt cicho, by mogła zrozumieć.

– Co powiedziałaś? – dopytywała się z czystej złośliwości. – Chciałabym to usłyszeć.

– Po prostu skomentowałem fakt, że mieliście sobie tyle do powiedzenia. Straszna szkoda, że przybycie Riny zakłóciło wasze milutkie tete-a-tete.

– Wcale nie zakłóciło – odcięła się, coraz bardziej zirytowana. – A może nie zauważyłeś, że Susan St. Jacques do nas podeszła?

– Zauważyłem. – Ton jego głosu sugerował, że zauważył wiele rzeczy, z których żadna nie przypadła mu do gustu.

– Do licha, Riley, gdybym nie znała cię lepiej, pomyślałabym, że jesteś zazdrosny – rzuciła z niesmakiem.

– Czasami, Delaney. – Po sposobie, w jaki cedził słowa, zorientowała się, że z trudem nad sobą panuje. – Czasami nie wiem, czy mam cię zbić czy... – Urwał.

– Czy co? – dopytywała się, coraz bardziej zła.

– Niedługo się przekonasz. – Zerknął na nią szybko i przycisnął klakson, dając Wyattowi znać, że wracają.

W domu paliły się wszystkie światła. Lucas siedział w salonie. Na stoliku poniewierały się spinki do mankietów, mucha leżała niedbale rzucona na podłodze. Zaciskał dłoń na kieliszku koniaku. Ładne rysy zastygły w grymasie złości. Arthur nerwowo przechadzał się tam i z powrotem.

– Mówiłem, żebyś tam nie siedł. Mówiłem czy nie? Dlaczego mnie nie posłuchałaś? Daruj sobie te wygłupy, Luke. Nie musisz sam sobie udowadniać, jaki jesteś dzielny, jaki z ciebie macho, bo skończysz jako zimny trup! Trup, słyszysz? – perorował. Zobaczywszy Delaney zatrzymał się.

– Wiem od Lucasa, że Rina tam była. Co się stało?

Spojrzał na Lucasa. Widziała, jak bardzo jest zdenerwowany.

– To chyba oczywiste. – Weszła do pokoju z beztroską miną. – Nic się nie stało.

– Coś takiego, nic się nie stało! – Arthur wyrzucił ręce w powietrze. – Jak, na Boga, możesz coś takiego mówić? Przyszła na przyjęcie, prawda? Lucas musiał wymknąć się ukradkiem, tak?

– Jest tutaj, cały i zdrowy, czyż nie? A zatem nic się nie stało – tłumaczyła.

– Wy się tutaj dalej kłóćcie – wtrącił się Riley – ja tymczasem zaparzę kawę i zdejmę ten smoking.

– Dobry pomysł.

Odprowadziła go wzrokiem, a Arthur zaczął od nowa:

– Nieważne, co mówisz. Nie przekonasz mnie, że Rina jest nieszkodliwa. Co zrobiła? Co mówiła? Gdzie jest?

– Nie mam pojęcia, gdzie jest – przyznała. – Kiedy się dowiedziała, że Lucasa nie ma na przyjęciu, zdecydowała, że również nie ma na nie ochoty i odjechała ze swoim towarzyszem.

– Towarzyszem? Była z kimś? Z kim?

– Z Timothyem Collins-Jonesem. – Po minie Arthura domyśliła się, że nazwisko nic mu nie mówi. – To znany naukowiec, doktor filozofii.

– Rina Cole z profesorem uniwersyteckim? – Arthur pokręcił głową z niedowierzaniem. – W życiu nie widziałem dziwniejszej pary...

Dzwonek telefonu przeszkodził mu w połowie zdania. Arthur rzucił się do aparatu, ale Delaney zastawiła mu drogę.

– Riley odbierze w kuchni.

Opuścił rękę.

– Powinno się ją zamknąć. Jest niezrównoważona psychicznie.

– Arthurze, uwierz mi, dzisiejszej nocy Lucasowi nawet przez chwilę nie groziło niebezpieczeństwo. – Zauważyła, że Lucas sennie odzywa, cały czas siedział bez ruchu, spięty i pochmurny.

– A co będzie jutro wieczorem? I pojutrze? To mnie martwi – stwierdził Arthur i nagle oznajmił: – Muszę się napić czegoś mocniejszego. Luke, a ty?

– Nie, dziękuję. – Lucas wychylił resztkę koniaku z kieliszka i podszedł do okna.

Przez chwilę ciszę przerywał jedynie stukot kostek lodu, bulgotanie alkoholu, syk wody mineralnej.

– Przepraszam, Delaney, nawet cię nie zapytałem. Napijesz się?

– Nie, poczekam na kawę Riley'a.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa usłyszeli kroki w holu. Po chwili wszedł Riley, nadal w smokingu.

– Zlokalizowali samochód – poinformował. – Przed Little Nell's. Niestety – tu skrzywił się lekko. – Nie mają dowodów, by posunąć się choćby o krok dalej. A zatem nadal go ma.

– Nadal ma co? – Arthur nie uronił nawet słowa. – O kim on mówi? O Rinie?

– Tak. – Delaney wołałaby im nie mówić o ostatnich wydarzeniach, lecz nie miała wyjścia. – Mamy powody podejrzewać, że w torebce miała pistolet.

– Boże. – Lucas popatrzył w sufit. – To się chyba nigdy nie skończy. Ona nie przestanie, dopóki... Będzie mnie prześladowała, aż...

– To się skończy, Lucas – zapewniła, poruszona beznadziejnym tonem, jakim to powiedział.

Spojrzał na nią ciemnymi, udęczonymi oczami.

– Tak, skończy się, w taki czy inny sposób.

Coś w jego słowach przyprawiło ją o dreszcz.

## Rozdział dziewiętnasty

Kłębiaste chmury zasłaniały popołudniowe słońce, lecz Delaney nie zwracała na to uwagi. Była pochłonięta grą. Podniosła kartę, którą wyrzucił Riley i jeszcze jedną z talii. Dołączyła asa pik do wachlarza w dłoni. Usiłowała się zastanowić, jak to wykorzystać, ale nie była w stanie się skoncentrować. Właśnie dlatego Riley zdążył już ją ograć na dolara i dwadzieścia siedem centów.

W powietrzu unosiło się napięcie, najmniejszy dźwięk działał na nerwy: syk papierosa Rileya, szelest kartek scenariusza, który czytał Lucas, szmer pióra Arthura.

– Rozdajesz-przypomniał Riley.

– Rzeczywiście. – Wprawnie tasowała talię.

Z ciekawością studiował swoje karty.

– Nie masz wrażenia, że to cisza przed burzą?

– Właściwie chciałabym, żeby już waliły pioruny. Może wtedy nie czułabym się tak, jakbym przez cały czas wstrzymywała oddech... i może nie miałabym takiej ochoty na papierosa. – Starła się nie zwracać uwagi na dymiący niedopałek w popielniczce, tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

– Nerwy puszczać? – Choć powiedział to beztrąsko, w jego oczach kryła się powaga.

– Nie. – Pokręciła głową. Podobnie jak on, mówiła półgłosem. – Po prostu wydaje mi się, że nie spałam od stu lat.

– Nie ty jedna.

Zauważyła, jak ukradkiem zerka na Lucasa. Aktor niedbale rozsiadł się w białym fotelu, wpatrując się z roztargnieniem w skrypt scenariusza. Podciągnął rękawy niebieskiej koszuli. Ciemne włosy miał rozwichrzone od częstego przeczesywania palcami. Delaney domyślała się, że Riley przypomniał sobie, jak niewiele wcześniej Lucas nakrzyczał na Toby'ego. Bezgraniczna cierpliwość, która dotychczas cechowała jego stosunek do brata, zniknęła bez śladu.

Dobrze chociaż, że Arthur siedzi cicho. Według niej Arthur Golden przyczynił się w co najmniej takim samym stopniu jak Rina Cole, do zdenerwowania Lucasa. Sięgnęła po kartę. Skrzywiła się gwałtownie, gdy w jej słuchawce rozległ się przeraźliwy pisk. Odruchowo ściszyła głośność.

– Roger, trójka. Zajmę się tym – rzucił Riley do słuchawki, po czym schował krótkofalówkę do kieszeni. – Nadal nie działa?

– Nie. – Potarła ucho.

– Przecież zmieniliśmy baterie. Musiało dojść do jakiegoś zwarcia. Po powrocie przyjrzą się temu dokładnie. – Uśmiechnął się i uniósł do góry brwi. – Dostarczono wieczorny posiłek. – Wstał, pochylił się nad stolikiem i szepnął Delaney na ucho: – Albo, jak powiedziałby zwykły



człowiek, żarcie!

– Jesteś niepoprawny. – Rozbawiona pokręciła głową, w głębi duszy zadowolona, że Riley zachowuje się jak dawniej.

– Nie ja. Mój żołądek. – Puścił do niej oko.

Troska w jego wzroku nie uszła jej uwagi. Riley dowcipkował, chcąc rozładować napięcie. Ona sama oddałaby dużo, żeby się odprężyć i zapomnieć o stresie. Riley był w połowie drogi do drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

– Odbiorę – zapewnił.

Podniósł słuchawkę. Delaney odłożyła karty na stół. Wyjęła słuchawkę z ucha i położyła na serwecie. Dobrze, że Riley później rzucił na to okiem. Czuła się dziwnie lekko bez krótkofalówki. Teraz ciążył jej tylko znajomy ciężar pistoletu w kaburze przy pasku.

– Do ciebie, Lucas. – Riley wyciągnął słuchawkę w jego stronę. – Twoja sekretarka, Liz, z Los Angeles.

– Liz? – Grymas na jego twarzy pogłębił się. Odnosiło się wrażenie, że lada moment straci panowanie nad sobą. – Czego do cholery chce ode mnie w sobotę?

– Mam zapytać?

– Nie, sam z nią porozmawiam. – Cisnął scenariusz na sofę i dźwignął się na nogi. Delaney obserwowała każdy jego ruch, świadoma ukrytej energii, która zabarwiała każdy gest niecierpliwością i gniewem. Wziął słuchawkę od Rileya i warknął:

– Co jest, Liz? – W następnej chwili zastygł w bezruchu. Poblądł, jakby cała krew odpłynęła z jego twarzy. – Odbiło ci. – Mówił szorstkim, ochrypłym głosem.

Delaney zerwała się na równe nogi.

– Kto to?

Nie słuchał. Całą jego uwagę pochłaniał głos w słuchawce.

– Daj mi spokój! – wybuchł. Odpowiedź sprawiła, że zeszytywniał, po czym z całej siły rzucił słuchawkę na widełki.

– To Rina, tak? – Opalone palce Arthura zgmiotły kontrakt, który studiował.

Lucas potwierdził ruchem głowy.

– Powiedziała, że nigdy nie da mi spokoju. I mówiła poważnie.

Arthur zaklął i cisnął dokument na ziemię.

Riley posłał Delaney skruszone spojrzenie.

– Przepraszam. Wiedziałem, że sekretarka ma na imię Liz. Kiedy się tak przedstawiła, nie kwestionowałem tego. Moja wina.

Zbyła go ruchem głowy. W tej sytuacji nikt nie był winien. Zamiast tego skupiła uwagę na Lucasie.

– Co jeszcze powiedziała?

Widać było, że stara wziąć się w garść. Puścił słuchawkę, którą dotychczas kurczowo ścisnął, i głęboko zaczerpnął tchu.

– Powiedziała, że się spotkamy... – przerwał. Jego usta wykrzywił gorzki uśmiech. – ...wkrótce.

– A wtedy będzie miała przy sobie ten cholerny pistolet – podsunął Arthur. Zaraz zaatakował Delaney: – Właściwie dlaczego go jej nie odebrałaś wczoraj wieczorem? Dlaczego pozwoliłaś, by go nadal miała? Nie wiesz, że chce zabić Luke'a?

Zauważyła niepokój aktora. Panika Arthura udzieliła się i jemu. Nie może do tego dopuścić.

– Słuchaj, niewykluczone, że spróbuje, ale to się jej nie uda. Jesteśmy tu, żeby ją powstrzymać, chyba o tym nie zapomniałaś? – Uśmiechnęła się, chcąc dodać mu otuchy.

– Nie zapomniałem.

– W takim razie co powiesz na drinka dla ostudzenia nerwów? Lucas też pewnie nie odmówi. – Riley z aprobatą skinął głową, widząc, jak się uporała z trudną sytuacją. Spojrzała na niego. – Jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś, że dostarczono jedzenie.

– Tak. – Wyszedł.

Więcej nie było mowy o telefonie Riny, lecz jego wspomnienie wisiało w powietrzu, zagęszczało już i tak gęstą atmosferę. Delaney bez apetytu grzebała widelcem w talerzu. Tylko Riley z apetytem zajadał pieczoną kaczkę z brzoskwiniami i warzywami na parze.

Delaney zaniósła brudne naczynia do kuchni i wróciła z dzbankiem kawy.

– Na desce jest ciasto czekoladowe. Kto chętny?

– Nie ja. – Arthur odsunął krzesło od stołu. – Za kawę też dziękuję. I bez tego jestem wystarczająco zdenerwowany. Wolę napić się brandy w salonie.

– Ja też – dołączył się Lucas. Starannie złożył serwetkę, zanim wstał od stołu.

– Nalej mi kawy, zabiorę ze sobą. – Riley podsunął jej swój kubek.

Delaney napełniła jego i swój kubek i poszła za trzema mężczyznami do salonu. Zabrała ze sobą dzbanek z kawą. Nie wiadomo dlaczego miała przeczucie, że to będzie długa noc. Arthur od razu skierował się do barku, gdzie wyszukał karafkę z brandy.

– Na Boga, niech ktoś włączy światło! – Lucas po omacku szukał włącznika bocznej lampy. – Ciemno tu jak w... – Nie dokończył, jakby nie miał serca powiedzieć: jak w grobie.

Riley bez słowa podszedł do ściany, na której umieszczono kontakty, i włączył wszystkie lampy.

– Rzucę okiem na twoją krótkofalówkę, Delaney. Może uda mi się znaleźć to zwarcie.

Tym razem Arthur również starał się rozładować napięcie.

– Proszę, Luke, twoja brandy. – Podał mu sporą szklanę.

Lucas wziął ją i odszedł. Delaney odprowadziła go wzrokiem, lecz nie poszła za nim. Chciała dać mu czas, żeby się pozbierał. Postawiła dzbanek z kawą obok talii kart, zostawiając Rileyowi

dosyć miejsca na części krótkofalówki.

– Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? – zainteresowała się.

– Jestem geniuszem elektroniki, nie wiedziałaś?

– Chyba trzymałeś akurat ten talent w ukryciu.

– Możliwe.

Zadzwonił telefon. Lucas odwrócił się gwałtownie. Szklanka, którą trzymał, rozbiła się o posadzkę z głośnym hukiem.

– Ja odbiorę. – Delaney postawiła kubek na stole i rzuciła się do aparatu. Podniosła słuchawkę przed drugim dzwonkiem. – Halo?

Przez chwilę odpowiadała jej cisza, po czym kobiecy głos zapytał z wahaniem:

– Delaney?

– Tak. – Czekala w napięciu.

W słuchawce rozległ się niski gardłowy śmiech, zbyt dobrze jej znany, by miała go nie rozpoznać.

– Tu Susan St. Jacques. Przywykłam, że Riley odbiera telefon, i już myślałam, że to pomyłka – wyjaśniła. – Skoro pani tam jest, to Luke zapewne również. Proszę mi go dać, dobrze?

– Chwileczkę. – Delaney zakryła mikrofon dłonią. – Susan St. Jacques. – Widziała jego wahanie i znała jego przyczynę. – To ona, poznaję jej głos. Porozmawiasz z nią czy...

– Porozmawiam. – Kiedy szedł, pod jego stopami zachrzęściły resztki szklanki. Zaklął pod nosem i ominął je bokiem.

– Cześć, Susan. – Na próżno usiłował ukryć zdenerwowanie. Delaney i Arthur zajęli się zbieraniem stłuczonego szkła. – Tak... cóż... Nie dało rady inaczej. Musiałem wyjść. – Najwyraźniej Susan coś powiedziała, a Lucas reagował z ledwie skrywanym zniecierpliwieniem. – Oczywiście. – Po chwili: – Bardzo chętnie. – I na końcu: – W porządku, niech tak będzie.

Delaney podnosiła ostatni kawałek szkła, gdy odłożył słuchawkę. Wstała z klęczek, machinalnie otrzepała kolana spodni.

– To naprawdę była Susan – potwierdził, zamykając oczy. – Kiedy zadzwonił telefon, byłem pewien, że to znowu Rina. – Wyciągnął przed siebie ręce. Drżały. – Boże drogi, spójrzcie na mnie. Trzęsę się. Dlaczego ona doprowadza mnie do takiego stanu? – Jego głos drżał również, ale z gniewu. – Dlaczego jej na to pozwalałam?

– Ostatnio żyłeś w wielkim stresie. – Nie tylko z powodu Riny; Delaney wiedziała, że i Susan miała w tym swój udział. – To naturalne.

– Naturalne? – Lucas zatrząsł się z oburzenia. – Dla ciebie to jest naturalne? Skoro tak, powiedz mi, kiedy to się do cholery skończy!

– Nie wiem – odparła spokojnie.

– Nie wiesz! – Roześmiał się gorzko. Zatopił palce we włosach. – A ja nie wiem, jak wiele

jeszcze jestem w stanie znieść.

Wiedząc, że nic, co powie, nie zmieni sytuacji, wróciła do stolika i podniosła kubek z kawą. Napój wystygł, więc odstawiła go z powrotem. Zainteresowała się, co Riley robi z jej krótkofalówką. Posłał jej dyskretny uśmiech, zerkając przy tym na Lucasa, jakby chciał powiedzieć: „Biedny facet”.

– Znalazłeś coś? – zapytała.

Rozmontował ją na kawałki.

– Jeśli nawet jest zwarcie, to ja go nie widzę.

– Wyatt chyba umiera z głodu. Zastąpię go.

– Ja pójdę, zostań – sprzeciwił się Riley.

– Dokąd? – zainteresował się Arthur.

– Zastąpić Wyatta, żeby mógł zjeść.

– Pójdę z tobą. Za długo siedzę w domu. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wyszli. W pokoju zapanowała niezręczna cisza.

Przerwał ją Lucas.

– Przepraszam, Delaney. Sam nie wiem, dlaczego na ciebie nawrzeszczałem.

– Prawdopodobnie dlatego, że byłem najbliżej.

– Chyba tak. – Ale nie uśmiechał się przy tym. – Arthur ma rację. Za długo siedzieliśmy w czterech ścianach. Ten dom zamienia się w więzienie. Muszę się przewietrzyć.

– Doskonały pomysł.

Usiłował się uśmiechnąć, jednak napięcie nie zniknęło z jego twarzy.

– Wiesz, w głębi duszy oczekiwałem, że powiesz, iż wychodzenie na zewnątrz jest zbyt niebezpieczne. Oto, co Rina ze mną zrobiła. Boję się wyjść na werandę. Boże, jak ja jej nienawidzę.

– Wiem. – Delaney wyczuwała jego potrzebę wygadania się, wyrzucenia na zewnątrz tego, co się w nim kotłowało. Nie oczekiwał odpowiedzi, jedynie cierpliwego słuchacza.

Zatrzymał wzrok na jej pistolecie, widocznym pod rozpiętym żakiem.

– Zabawne, ale drażni mnie, kiedy widzę, że nosisz broń. Sam przed sobą nie chciałem przyznać, że masz powody, aby nosić pistolet. Łatwiej było udawać, że do niczego nie dojdzie, że wszystko minie jak zły sen. Ale wczoraj wieczorem, kiedy Riley wyprowadzał mnie tylnymi drzwiami, dotarło do mnie, że to nie sen. To rzeczywistość. Nie ma reżysera, który krzyknie: Cięcie! Teraz, kiedy widzę, że masz broń, czuję się bezpieczny. – Odnalazł jej spojrzenie. – I jednocześnie boję się coraz bardziej.

Skinęła głową. Rozumiała o co mu chodzi, ale nie powiedziała tego na głos. Ograniczyła się tylko do propozycji, by wyszli na werandę.

Gruba warstwa chmur przysłoniła nocne gwiazdziste niebo i szczyty gór. Ciemność

rozjaśniały jedynie światła miasta w dole. Powietrze było chłodne i nieruchome, nie wiała nawet lekka bryza.

Delaney, oparta o poręcz, odruchowo wpatrywała się w okolicę.

Czekała, ale napięcie jej nie opuszczało. Nocne powietrze nie przyniosło ukojenia. Cisza zdawała się ją przytłaczać. Ciężkie westchnienie Lucasa było echem jej odczuć.

– W chwilach takich jak ta zazdroścę palaczom – mruknął.

– Ja też. – Starła się nie myśleć, jak dobrze w tym momencie zrobiłby jej papieros. Wyobrażała sobie szczypanie nikotyny na języku, dym w płucach, powolne, relaksujące wypuszczanie go ustami. Zerknęła na podjazd, niewidoczny zza gęstych krzewów. Gdzieś tam jest Riley... z paczką papierosów w kieszeni. Ponownie stanęła twarzą do Lucasa. Światła z salonu podkreślały jego regularne rysy.

Uciekł wzrokiem w ciemność.

– Nie chcę się bać, Delaney. Nienawidzę uczucia, że tracę kontrolę nad samym sobą. – Świadom, do jakiego stopnia się przed nią otwiera, chciał obrócić to w żart: – Dobrze, że ty tu jesteś, bo trzymasz mnie w kupie, prawda?

– Prawda. – Uśmiechnęła się, bo tego od niej oczekiwał.

Patrzył na nią z cieniem pożądania w oczach, ze smutkiem na twarzy.

– Coś we mnie chce ci mówić, jaka jesteś piękna, jak lśnią twoje włosy, ile inteligencji kryje się w twoich oczach, jak miękko wyglądają twoje usta... jak bardzo nauczyłem się na tobie polegać. – Ujął jej obie dłonie. – Chcę się z tobą przekomarzać na temat łączenia pracy i przyjemności, chcę cię przytulić... Ale cały czas mam wrażenie, że to niewłaściwe miejsce i czas... – Przerwał, rozbawiony czymś. Uśmiechnął się łobuzersko. – Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek powiem coś takiego.

– Ja też nie – odparła z błyskiem w oku.

Spowaźniał.

– Z tobą jest inaczej, Delaney. Chyba od pierwszej chwili tak było. Polegam na tobie. Kiedy cię przy mnie nie ma, jestem zagubiony... sam. Jak mam to wytłumaczyć? – Odwrócił wzrok, jakby w ciemności za jej plecami szukał odpowiednich słów. – Ja... – Nagle szeroko otworzył oczy. – Rina – szepnął. – Ma broń.

W takich sytuacjach ułamki sekundy ciągną się jak lata, a władzę nad człowiekiem przejmuje refleks. Delaney odwracała się, żeby odnaleźć intruza, a jednocześnie odpychała Lucasa od poręczy i sięgała po broń. Krzyknęła, że ma wejść do domu, i zajęła pozycję na środku.

Ochryply głos krzyknął:

– Ty draniu!

Kątem oka dostrzegła blask wystrzału, usłyszała huk. Na ścieżce widziała ciemną postać. Zarejestrowała czarne skórzane spodnie, jasne włosy, błyszczący przedmiot w dłoni kobiety,

i usłyszała drugi strzał. Bez chwili wahania zacisnęła obie dłonie na kolbie pistoletu, wycelowała i pociągnęła za spust. Wycelowała i pociągnęła, wycelowała i pociągnęła, wycelowała i pociągnęła. Adrenalina buzowała w jej żyłach. Napastnik słaniał się, słaniał, słaniał, aż upadł. Przez cały czas dwa pytania chodziły jej po głowie: jakim cudem Rina się tu dostała? Gdzie ona, Delaney, popełniła błąd?

Echo ostatniego wystrzału już umilkło, a ona, nauczona setkami godzin na treningach, nadal stała na szeroko rozstawionych nogach, z pistoletem wycelowanym w nieruchomą postać. Stopniowo docierały do niej krzyki, tupot biegnących, ostry zapach prochu w powietrzu. Ile czasu upłynęło? Pięć sekund? Dziesięć?

– Tutaj! – wrzasnęła, nie spuszczając z oka nieruchomego ciała na ścieżce. Kroki zadudniły na kamieniach. Po chwili zobaczyła Rileyę z bronią w ręku, Wyatt biegł tuż za nim. Na widok Riny Riley zwolnił kroku. Zwróciła się do Wyatta:

– Zadzwoń po policję i karetkę i wracaj tu z apteczką!

Zawahał się na ułamek sekundy, ale posłusznie ruszył do domu. Arthur zatrzymał się za Rileyem, który schował broń i pochylił się nad ciałem. Dopiero teraz Delaney uświadomiła sobie, że cały czas była w pozycji strzeleckiej. Opuściła ramiona, nagle słabe, bezwładne. Kolana się pod nią ugięły. Wsunęła pistolet do kabury. Z trudem trzymając się na nogach, zeszła z werandy niedaleko miejsca, gdzie leżała Rina.

Zatrzymała się w odległości kilku kroków. Arthur kucnął obok Rileyę. Ten szukał pulsu.

– Czy ona... – Nie mogła mówić dalej. Nie była w stanie wypowiedzieć tego słowa. Nie dopuszczała go do siebie.

Riley wyprostował się powoli. Na jego twarzy malowały się żal, smutek i współczucie.

– Nie czuję pulsu – powiedział. – Ona nie żyje, ‘Laney.

– Nie. – Szepnęła.

Cofnęła się o krok. Wstrząsały ją dreszcze, zbierało się na mdłości. Nie mogła patrzeć na drobne stopy i zgrabne nogi w czarnych skórzanych spodniach. Zgięła się w pół. Wymiotowała, dopóki nie pozbyła się całej zawartości żołądka.

Kiedy skończyła, Riley był przy niej. Bez słowa podał jej chusteczkę. Drżącą dłonią wytarła usta.

– Przepraszam – wymamrotała.

– Nie masz za co.

W oddali zawodziła policyjna syrena. Wbrew sobie spojrzała na zwłoki. Nagle ogarnęła ją złość – złość, że do tego doszło, że pozbawiła kogoś życia.

– Jak to się stało, Riley? Jak Rina się tu dostała?

– ‘Laney – zaczął ostrożnie. – To nie Rina.

Zmarszczyła brwi.

– Co ty gadasz? Jeśli to żart...

– Nie żartowałbym na taki temat. – Był zbyt poważny, by mogła w to wątpić. – To nie jest Rina. To Susan St. Jacque.

– Susan. – Cofnęła się z niedowierzaniem. – Mylisz się. To niemożliwe. Przecież nie mogłam się aż tak pomylić! – Usiłowała go wyminąć i przekonać się na własne oczy.

– Nie. – Chciał ją powstrzymać, ale po chwili dał za wygraną.

Kiedy zbliżała się do zwłok, Arthur cofnął się o krok. Był chorobliwie blady, przyciskał do ust chusteczkę z wyhaftowanym monogramem. Delaney pochyliła się nad ciałem.

Miała ochotę się odwrócić, nie patrzeć śmierci w twarz, ale nie miała wyboru. Zmusiła się, by przesuwając wzrok coraz wyżej, od czarnych spodni na ciemny sweter z niemal niewidoczną plamą wilgoci, aż do twarzy, otoczonej włosami koloru szampana.

Boże, to naprawdę Susan. Jej twarz zastygła w grymasie zdziwienia i strachu. Migdałowe oczy wpatrywały się w mrok, ale niczego nie widziały. Susan St. Jacque była martwa.

Mdłości ponownie wezbrały falą żółci, ale tym razem powstrzymała wymioty. Na ramieniu czuła dodającą otuchy dłoń Riley'a, ciepłą i silną.

– Nie pojmuję tego, Riley. – Bezradnie pokręciła głową. – Dlaczego strzelała do Lucasa?

– Co? – Nie wierzył własnym uszom.

Jego reakcja bardzo ją zdziwiła.

– Miała broń. Strzelała do Lucasa. Dopiero wtedy otworzyłam ogień.

– Jesteś pewna? – Zmarszczył brwi. – Nie znalazłem przy niej broni, a byłem tu pierwszy.

– Oczywiście, że była uzbrojona. – Irytowało ją, że wątpi w jej słowa.

Snopem światła z latarki omiótł zwłoki i ścieżkę. Nigdzie nie było broni.

– Miała pistolet. – Delaney obstawała przy swoim. – Trzymała go w ręku. Widziałam. Widziałam, jak strzela, widziałam błysk z lufy. Słyszałam dwa wystrzały. Nie wymyśliłam sobie tego, Riley.

– ‘Laney.

Podobnie jak on, usłyszała nuty hysterii w swoim głosie, i podobnie jak on dobrze wiedziała, że teraz nie może sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą.

– W porządku, nic mi nie jest. – Energicznie podniosła głowę, chcąc mu udowodnić, że jest spokojna. Patrzył na nią z aprobatą, ale i troską.

– Policja zada ci masę pytań – uprzedził. – Jeśli nie jesteś pewna, czy dasz sobie radę, ściągniemy prawnika.

– Sama jestem prawnikiem – przypomniała mu. – Znam moje prawa i całą procedurę.

Wiedziała również, że nie może pozwolić, by wyprowadzili ją z równowagi pytaniami. Nie może dopuścić, by wątpliwości, które ją nurtują, ujawniać w odpowiedziach, których udzieli. Musi się trzymać faktów.

– I tak przyda ci się prawnik – skonstatował Riley.

– Wiem. – Oczywiście odbędzie się dochodzenie.

Arthur im przerwał:

– Nie uważacie, że powinniśmy ją czymś przykryć?

Riley jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie, po czym zdjął marynarkę i przykrył nią twarz i ciało Susan. Tej czynności towarzyszyło niepokojące poczucie, że los jest nieunikniony.

Delaney wpatrywała się w zarys ciała pod marynarką. Nadal nie mogła uwierzyć, co się stało. Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Napotkała spojrzenie Arthura. Patrzył na nią tak, jak nigdy dotąd.

Pospieszne kroki zwiastowały powrót Wyatta z apteczką domową. Na widok ciała pod materiałem zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do Delaney. Patrzył na nią z taką miną jak Arthur.

Riley stanął między nimi. Przejął dowodzenie.

– To nam niepotrzebne. – Wycie syren przybierało na sile. Trzasnęły gdzieś drzwi. Błysnęły światła. – To policja. Przyprawdź ich tutaj – polecił Wyattowi.

– Dobrze. – John ruszył w tamtą stronę.

– Co się stało? – Lucas wyszedł na werandę. Stał niemal w tym samym miejscu co poprzednio. – Czy ona...

Arthur pospieszył z odpowiedzią. – To Susan... Susan St. Jacques. Nie żyje.

– Nie. – Było to jak echo słów wypowiedzianych przez Delaney. – To niemożliwe. To była Rina! Widziałem... Boże. – Pochylił głowę, ciężko oparł się o poręcz. – Susan powiedziała, że wpadnie. Dlatego dzwoniła. Zapomniałem. Wyglądała jak... Myślałem, że to...

Riley zaklął pod nosem i warknął do Arthura:

– Zabierz go do środka.

Delaney oślepiło światło latarki. Odruchowo osłoniła oczy ręką.

– Zdawało się nam, że słyszeliśmy strzały. – Szorstki głos należał do Harolda Walkera, stróża. Rozpoznała go po chwili. Latarka przesunęła się na ciało Susan. – Panie Jezu... – jęknął.

– Ona nie żyje? – Toby chował się za jego plecami, niepewny i przestraszony jak dziecko.

– Toby, co ty tu robisz? – Lucas gwałtownie podniósł głowę.

– Czy muszę jej dotykać, Lucas? – Toby był wyraźnie przerażony. – Nie chcę. Nie lubię dotykać martwych ludzi.

– Wcale nie musisz – zapewnił, i zaraz polecił niecierpliwie: – Proszę go stąd zabrać, Walker. To nie jest miejsce dla niego.

– Tak, chodźmy, panie Walker. – Toby szarpał go za rękaw. – Nie chcę tu być. Po chwili ścieżka zapełniła się tłumem policjantów i sanitariuszy, rozbłysły latarki, mignęły odznaki. Riley rozmawiał z jednym z policjantów na boku, inny słuchał Delaney. Bez sprzeciwu oddała pistolet.



Wszystko spowijała mgła: jego pytania, jej odpowiedzi, szum policyjnego radia, szelest rozkładanych noszy. Nic do niej nie docierało, była odrętwiała. Chwilowo witała to z ulgą.

– Panno Wescott, jestem zmuszony zabrać panią na posterunek – oznajmił policjant.

– Oczywiście. – Zauważyła, że choć uśmiechnął się przepaszająco, w oczach miał zawodową podejrzliwość.

Kiedy szła za nim do policyjnego wozu, usiłowała sobie przypomnieć jego nazwisko. Przedstawił się, ale wymazała je z pamięci, jak wiele innych rzeczy, na przykład martwe spojrzenie Susan.

## Rozdział dwudziesty

Na posterunku, sama w pokoju przesłuchań, nerwowo obracała w dłoniach styropianowy kubek. Na poplamionym stoliku, w zasięgu ręki, stała popielniczka pełna niedopałków.

Gdzieś w oddali trzasnęły metalowe drzwi. Znieruchomiała, słysząc ten dźwięk, i zaczerpnęła tchu. Poczowała lekki zwierzęcy odór, zapach charakterystyczny dla wszystkich więzień.

Odstawiła kubek, położyła dłonie na stole. Był chłodny, zbyt chłodny. Wstała z drewnianego krzesła. Obejrzała się za siebie, na nagą ścianę i zakratowane okno.

W posterunkach policji było coś deprymującego, bez względu na ich położenie, wielkość, umeblowanie. Wszystkie były przygnębiająco bezosobowe i niewygodne.

Przez chwilę zaintrygowało ją, czy właśnie w tym pomieszczeniu przesłuchiowano Theodore'a Bundy'ego, seryjnego zabójcę. Zaraz jednak ciekawość ją opuściła.

Ile czasu minęło od wyjścia sierżanta? Pięć minut? Dziesięć? A może tylko dwie? Nie chciała siedzieć tu sama, nie chciała myśleć, pamiętać, głowić się. Błogosławione odrętwienie słabło. Oddałaby wszystko, żeby Riley tu był. Brakowało jego kojącego głosu, spokoju i pewności siebie, które czuła patrząc mu w oczy.

Do jej uszu dotarło szczęknięcie klamki, zgrzyt zasuw. Odwróciła się twarzą do drzwi. Ukryła dłonie w kieszeniach, żeby nie było widać, jak kurczowo zaciska pięści. Sierżant o kręconych włosach pchnął ciężkie drzwi, wszedł do środka i rzucił przez ramię:

– To tutaj.

Kiedy za nim pojawił się Riley, Delaney ogarnęła ulga, zmieszana z jakimś intensywnym uczuciem, którego w tej chwili nie była w stanie określić. Patrzyła mu w oczy, czując, jak jej gardło się zaciska. Trzy kroki – tylko tyle dzieliło ją od jego silnych ramion. Nie ruszyła się z miejsca. Bała się, że pod jego dotykiem rozsypie się na kawałeczki.

– Powinieneś być z Lucasem – bąknęła, ledwo zauważając mężczyznę, który mu towarzyszył. – Nie tutaj.

– W domu jest tylu mundurowych – uśmiechnął się lekko, jakby mieszkał tam sam prezydent.

– Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym – przyznała. Ogarniało ją napięcie, teraz już nie związane z bliskością Riley'a.

Przesunął się na bok tak, że dokładnie widziała drugiego mężczyznę.

– 'Laney, pozwól że ci przedstawię Toma Bannona. To prawnik z Pitkin County. Zgodził się reprezentować cię w tym dochodzeniu.

– Jeżeli pani sobie tego życzy, oczywiście – dorzucił Tom Bannon.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak kowboj, który dopiero co zjechał z gór. Oceniała go na

niewiele ponad czterdziestkę. Na jego głowie tkwił czarny stetson, zakurzony i stary. W ciemnych włosach srebrzyły się siwe kosmyki. Dłonie tkwiły w kieszeniach spranej dżinsowej kurtki, spod starych dżinsów wyglądały buty o zdartych obcasach.

– Proszę mi wybaczyć ten strój, pani Wescott – poprosił. – Mam rancho za miastem. Akurat kończyłem wieczorne roboty, kiedy odebrałem telefon w pani sprawie.

– Jest pan farmerem.

– I cholernie dobrym prawnikiem.

Uśmiechnęła się słysząc to rzeczowe zapewnienie, bez śladu arogancji. – Wierzę panu, panie Bannon.

– Przyjaciele i klienci mówią do mnie po prostu Bannon. – Zawahał się, zanim wyciągnął rękę. – To co, umowa stoi?

– Stoi. – Uścisnęli sobie dłonie.

– Od pani współnika, pana Owensa, wiem, że jesteśmy kolegami po fachu.

– Ale od dawna nie pracuję w zawodzie. – Kiedy mówiła te słowa, Riley wydobyl z kieszeni paczkę papierosów. Wyciągnął rękę w jej kierunku. Spojrzała na niego z wdzięcznością. – Potrzebowałam tego – mruknęła.

– Rozmawiałem z chłopcami – Bannon przeszedł do rzeczy. – Zapewne ucieszy cię wiadomość, że wkrótce cię wypuszczą. Oczywiście, dochodzenie będzie trwało dalej.

– Tego się spodziewałam. – Zaciągnęła się głęboko, wypuściła dym z płuc. Lecz spokój, który ją ogarnął, zawdzięczała obecności Riley, a nie papierosom. Z niego czerpała siłę. Zawsze tak było. – Czy wiadomo już, skąd Susan miała broń?

– Pół godziny temu jeszcze nie – odparł Riley.

Nie odezwała się. Wiedziała, jak ważne jest znalezienie broni. Ponownie uniosła papierosa do ust. Tym razem skoncentrowała się na smaku dymu.

Pochyliła się nad popielniczką, by strzepnąć słupek popiołu, i wtedy Riley powiedział:

– Aha, Jared czeka na zewnątrz. Zaraz...

– Jared. – Odwróciła się zaskoczona. – Skąd...

– Słyszałem, co się stało. – Jared stał w otwartych drzwiach. Na jego twarzy malowało się współczucie.

Co się stało... przez chwilę Delaney uderzył taki dobór słów. Wiedziała, *co* się stało, nie wiedziała, *dlaczego*.

– Nie musiałeś tu przychodzić – usłyszała własny głos.

– Owszem, musiałem. – Na chwilę przeniósł wzrok na Toma Bannona. – Jeśli chcesz porozmawiać z Delaney na osobności...

– Dzisiaj już się nagadaliśmy – odparł prawnik. – Reszta może poczekać do rana. Wtedy będziemy dokładnie wiedzieli, co się wydarzyło.

Sierżant ponownie stanął w progu. Obojętnie przesunął wzrokiem po trójce mężczyzn, zanim zatrzymał się na Delaney.

– Jest pani wolna, pani Wescott. Możliwe jednak, że niedługo znowu będziemy musieli zadać pani kilka pytań.

– Jeśli zechcesz rozmawiać z moją klientką, wystarczy dać mi znać, Mikę – wtrącił gładko Bannon.

– Jasne. – Po chwili wahania policjant dodał pod adresem Delaney: – Proszę nie wyjeżdżać z miasta, dopóki nas pani o tym nie uprzedzi.

– Dobrze.

Sierżant skinął głową i wyszedł. Delaney zgasiła papierosa w przepelnionej popielniczce.

– Musimy znaleźć ci nocleg... – zaczął Riley.

Jared wpadł mu w słowo.

– Może zatrzymać się u mnie.

Bannon pokręcił głową.

– To kiepski pomysł, Jared. Najlepiej będzie jeśli na kilka dni zostanie na moim ranchu.

– Dziękuję za propozycję, Bannon, ale...

Riley przerwał jej w połowie.

– Prasa rzuci się na tę sprawę jak sępy na padlinę. Z Denver już przyleciały ekipy dwóch stacji telewizyjnych. Od rana będą czatować pod drzwiami. Rancho Bannona to najlepsze wyjście.

– Może i racja – uśmiechnęła się blado. – Chyba nie pomyślałam.

– Nic dziwnego, masz tyle innych rzeczy na głowie – pocieszył Riley.

– Dziennikarze są na zewnątrz? – Nieskończenie wiele razy przedzierała się przez wścibski tłum, zawsze jednak była tarczą, nie obiektem ich zainteresowania.

– Dwóch czy trzech. – Riley lekceważąco machnął ręką. – Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie nimi głowy. Słyszeli co prawda, że Delaney Wescott jest przesłuchiwana, ale czyhają na spotkanie z Lucasem. Wyjdziemy głównymi drzwiami i nikt się nawet za nami nie obejrzy.

– Nie zaszkodzi, jeśli Jared odciągnie ich uwagę – podsunął Bannon i wskazał otwarte drzwi. – Pójdiesz pierwszy?

Jared zawahał się, spojrzął na Delaney, po czym wyszedł. Bannon odczekał dłuższą chwilę, zanim dał Delaney znak, że może iść. Nie musiał jej tego powtarzać. Niemal wybiegła z pomieszczenia z Rileyem i Bannonom u boku.

W drodze do wyjścia w przelocie zobaczyła Jareda w otoczeniu dziennikarzy i fotografów. Dobięły jej urywki pytań:

– Jared, czy to prawda, że wezwano pana po to, by...

– Kiedy dowiedział się pan...

– Czy powiedziano panu, że...

Byli już na zewnątrz, wdychając rześkie górskie powietrze. Zza ciężkich drzwi nie słychać było wrzawy z posterunku. Czarna półciężarówka Bannona i samochód Riley'a stały za rogiem. Riley zaprowadził ją do swojego wozu. Kiedy wsiadał na miejsce kierowcy, popatrzył na nią uważnie, ale nic nie powiedział. Ona także milczała.

Po kilku minutach wyjechali z miasta. Trzymali się tylnych świateł Bannona. Na zegarze na tablicy rozdzielczej widniała godzina pierwsza. Prawie cztery godziny od strzelaniny. Z jednej strony wydawało się jej, że zdarzyła się wieki temu, z drugiej – że wszystko rozegrało się zaledwie przed chwilą. Odchyliła głowę do tyłu. Nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w czerń za oknem.

Cisza potęgowała odgłosy: monotony szum wiatru, warkot silnika, bicie jej serca, i nieme pytanie „dlaczego” w myślach.

Nie miała pojęcia, jak długo jechali, zanim skręcili w boczną drogę. Dopiero po chwili zauważyła, że zwolnili i wjechali na inne podłoże.

– Chyba zaraz będziemy na miejscu – mruknął Riley.

Skinęła głową. Reflektory drążyły tunel w ciemności, wyłuskały z niej bramę wjazdową. Wkrótce zobaczyli schludne zabudowania gospodarcze, a niewiele dalej dom z sosnowych bali, rozłożysty i przytulny, z werandą, spadzistym dachem i gościnnym światłem w oknach.

Riley przytrzymał jej drzwi i wyciągnął rękę. Zignorowała i dłoń, i spojrzenie. W oddali zarżał koń. Wiatr niósł ostry, gorzki zapach ziemi i zwierząt.

Bannon czekał przy schodach na werandę. Dołączyli do niego. Bez słowa zaprowadził ich do drzwi. Otworzyły się, zanim nacisnęli klamkę. Kobieta w jasnoniebieskiej sukience wyszła ich przywitać. Jasne włosy niesforne opadały na ramiona. Tuliła do siebie małe dziecko.

– Wcześniej, niż myślałam. – I uśmiech, i głos, były pełne ciepła. Bannon pocałował ją w policzek i szepnął coś niewyraźnie. Uśmiechnęła się do Delaney i Riley'a.

– Chodźcie do środka.

Delaney zawahała się, więc Riley wziął ją pod ramię i wprowadził do salonu zalanego światłem. Jak cały dom, pokój był masywny, solidny i ciężki.

– To moja żona, Kit, i nasz syn, Clint. – Bannon dopełnił prezentacji, jednocześnie zdejmując dzinsową kurtkę. Niedbale powiesił ją na wieszaku przy drzwiach.

– Przepraszam, że sprawiam pani kłopot, pani Bannon – wykrztusiła Delaney oficjalnym tonem. Zbyt oficjalnym.

– Mów mi Kit. – Blondynka uśmiechnęła się przyjaźnie. – W tej chwili rancho to najlepsze rozwiązanie. Uwierz mi, wiem z własnego doświadczenia, jak bardzo prasa może dać się we znaki, jeśli zwietrzy smakowity kąsek. Dziennikarze czasami są gorsi niż sępy.

– Kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta, już krążyli – wtrącił się Riley, skoro Delaney nie odzywała się.

– To samo powiedział Bannon. – Dziecko w jej ramionach poruszyło się przez sen. Czule pogładziła ciemną główkę. – Ten dżentelmen chyba tęskni za swoją kołyską. Siadajcie, zaraz wrócę. – Przez ramię rzuciła: – W kuchni jest świeża kawa, jeśli macie ochotę.

Bannon spojrział na nich pytająco:

– Co wy na to?

– Doskonały pomysł – stwierdził Riley. Delaney tylko skinęła głową.

– Zaraz wracam. – Prawnik wyszedł.

Riley zastanawiał się przez moment.

– Pomogę mu. Poczekasz?

Ponownie skinęła głową. Po podłodze z sosnowych desek podeszła do kominka. Na palenisku piętrzyły się polana. Zdawały się czekać na roztańczone płomienie, gotowe rozpalić się po pierwszym dotknięciu zapałki. Przyłapała się na tym, że brakuje jej ciepła z kominka i napawających optymizmem trzasków płomieni. Ponownie rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co przykuje jej uwagę. Miała tak rozedrgane nerwy, że nie zauważyła nawet fotela przy kominku.

Zatrzymała się przy kanapie, machinalnie pogładziła tkaną ręcznie narzutę. Dotykała grubych splotów w kolorze brązów, rdzy i ochry, lecz nie była w stanie wyobrazić sobie kobiety, która je tkła. W tej chwili ciszę przerwały kroki.

Riley przyniósł dwa dymiące kubki.

– Bannon rozmawia przez telefon, niedługo do nas dołączy – Z tymi słowami podał jej kubek.

– Dobrze. – Poczowała zapach whisky, zanim upiła pierwszy łyk. Alkohol palił ją w gardle, topił odrętwienie.

Nagle nie była w stanie utrzymać się na nogach. Kanapa była najbliżej. Przycupnęła na krawędzi. Mocno zaciskała kolana, trzymała kubek w obu dłoniach.

– Chcesz porozmawiać? – zapytał Riley. – Umiem słuchać. Zaprzeczyła ruchem głowy i nerwowo odgarnęła włosy z twarzy. Wiedziała, że ten gest zdradza jej roztrzęsienie, ale nie mogła się powstrzymać.

– Jak się czujesz? – Riley nie dawał za wygraną.

Podniosła głowę wyżej niż trzeba. Duma kazała jej odpowiedzieć, że dobrze, lecz kłamstwo nie chciało przejść przez gardło, więc w końcu wyznała:

– Chyba jestem bardzo zmęczona.

Strzelanina i długie godziny na posterunku napięły jej nerwy do ostateczności. Teraz cisza i alkohol sprawiały, że napięcie ustępowało. Traciła opanowanie i wiedziała o tym.

– Gdybyś mógł zapytać, gdzie mam spać... – Nie dokończyła, bo nagle strach, zagubienie i poczucie winy powróciły potężną falą.

Przyglądał się jej bacznie.

– Zapytam. – Już miał odstawić kubek, gdy u szczytu schodów pojawiła się Kit Bannon. – Delaney chciałaby położyć się spać...

– Oczywiście – nie dała mu dokończyć. – Pokój gościnny już czeka. Jest tu, na końcu korytarza. Chodź!

Delaney wstała. W tym momencie nie chciała zostać sama. Podniosła wzrok na Rileyę. Wyczytał panikę w jej oczach, bo uśmiechnął się lekko, a miejsce powagi w jego oczach zajęła czułość.

– Chcesz, żebym cię zaprowadził na górę?

– Proszę. – Nie mogła opanować drżenia głosu. Razem weszli na piętro, ruszyli korytarzem.

Kit Bannon otworzyła drzwi po prawej stronie, po omacku znalazła włącznik światła. Cofnęła się, żeby Delaney mogła wejść.

– Łazienka jest na lewo – wyjaśniła. – Ręczniki są w szafce pod umywalką. Koło łóżka położyłam koszulę nocną i szlafrok.

– Dziękuję. – Delaney podeszła do okna i otworzyła je na oścież.

Nie miała siły, by dłużej opierać się zmęczeniu. Zamknęła oczy. Tej chwili bała się najbardziej: w jej umyśle kłębiły się wspomnienia, posępne wnioski, mroczne przypuszczenia. Cały czas powracały wspomnienia, przeżywała tamte minuty raz po raz: błysk wystrzału, znajomy ciężar pistoletu w dłoni, niewyraźna postać na ścieżce, jasne włosy, siła odrzutu, gdy nacisnęła spust, suchość w ustach, podświadome oczekiwanie na kulę, która powali ją na ziemię, groteskowe ruchy ciała na ścieżce, dudnienie krwi w uszach, zapach prochu w powietrzu, cisza... i puste, martwe oczy.

Potem przyszły wątpliwości, pytania. Czy wypaliła zbyt szybko? Czy zareagowałaby inaczej, gdyby wiedziała, że to nie Rina, tylko Susan? Dlaczego? Susan strzeliła pierwsza. Tylko dlaczego? Dlaczego chciała zabić Lucasa? Czym się kierowała? Może Lucas zagroził, że ujawni jej próby szantażu? Od której kuli zginęła? Od pierwszej? Czy od czwartej?

Dygotała na całym ciele. Ciasno splotła ramiona na piersi. Usiłowała uporać się z bólem i złością, z poczuciem winy i wyrzutami sumienia, i wywołującą mdłości świadomością, że pozbawiła kogoś życia. To normalne reakcje, zdawała sobie z tego sprawę. Z czasem strącana sile, lecz nigdy nie znikną całkowicie. Musi się nauczyć z tym żyć.

– ‘Laney? – głos Rileyę wyrwał ją z zadumy.

Za późno sobie uświadomiła, że nie po raz pierwszy wypowiedział jej imię. Odwróciła się od okna. Stał tuż obok, z troską w oczach.

– Przepraszam, nie usłyszałam. – Poczowała wilgoć na ustach i uświadomiła sobie, że płacze.

Nie zdążyła obetrzeć łez; jego ręka już tuliła jej policzek, delikatnie wycierał kciukiem wilgotne ślady. Zesztywniała, chciała się odsunąć. – Nic mi nie jest, naprawdę. Ja... Przyłożył palec do jej ust.

– Płacz nie jest oznaką słabości, ‘Laney.

Podniosła wzrok, nagle niespokojna, zagubiona. Szukała odpowiedzi.

– Gdzie popełniłam błąd, Riley? Jak mogło do tego dojść? Strzelała. Przysięgam, otworzyłam ogień jako druga.

– Wiem. – Nie powiedział nic więcej, tylko przyciągnął ją do siebie. W pierwszej chwili wzbraniała się, ale zaraz oparła głowę na jego ramieniu.

– Nie uwierzyłabym, że dojdzie do czegoś takiego. – Cierpiała i nawet pieszczota jego dłoni nie kołała tego bólu. – Sądziłam, że jestem taka przewidująca, taka ostrożna. A tymczasem...

– Ćśś. – Objął ją mocniej.

– Ilekroć o tym myślę, tracę głowę – mruknęła. Czowała jego oddech we włosach. Przywarła do niego mocniej. Pragnęła jego ciepła.

– Susan nie żyje, i to ja ją zabiłam. Nie wierzę, że miałam inne wyjście, ale... Boże, to okropne.

– ‘Laney, przestań.

– Nie mogę. – Wystarczyło, by zamknęła oczy, a obrazy powracały. – Nie mogę przestać o tym myśleć. – Wbiła palce w jego koszulę. – Jak do tego doszło? Nie rozumiem.

– Zgadza się, to nie jest zgodne z logiką. Może jutro dowiemy się czegoś więcej. – Lecz Delaney już teraz chciała to mieć za sobą i Riley o tym wiedział. Szukał sposobu, żeby ją pocieszyć, dodać otuchy. Musnął ustami jej włosy.

– Jutro. – Uchwyciła się tej myśli, lekko uniosła głowę, tak że poczuł na wargach słone łzy. – Jutro jest takie dalekie.

Wyrwał się jej jęk zwątpienia. Chcąc go uciszyć, zamknął jej usta swoimi. Lepiej niż ona wiedział, jak bardzo Delaney nie lubi tracić kontroli nad sobą.

Kiedy ją pocałował, chciał jedynie ją pocieszyć. Jej reakcja ograniczyła się do biernej akceptacji. Jednak po chwili poczuł, że jego mięśnie się napinają, zmysły wyostają. Czekał latami na tę chwilę. Teraz, kiedy Jared ponownie wkroczył w jej życie, taka okazja może sienie powtórzyć.

I Riley skorzystał z niej samolubnie. Pocałował ją jeszcze raz, delikatnie, badając i pieszcząc. Nie sprzeciwiła się. Wręcz przeciwnie, instynktownie odwzajemniła pieszczotę. Przechylił jej głowę do tyłu, niewiele, tylko tyle, by pogłębić pocałunek.

Miała miękkie, pełne usta. Smakował je, a przez otwarte okno napływały zapachy nocy. Puściła jego koszulę, oplótła szyję ramionami. Wyrwał jej się cichy okrzyk. Przywarła do niego z całej siły. Przyciągnął ją bliżej. W uszach mu huczało.



Całowanie jej było jak narkotyk, po każdym razie chciało się więcej i więcej. Oderwał się od niej dopiero kiedy pożądanie stało się nie do wytrzymania i sprawiało, że traktował ją coraz mniej delikatnie. Zaprotestowała, nie chciała go puścić. Choć bardzo chciał uwierzyć, że tak bardzo go pragnie, wiedział, jak jest naprawdę. Wiedział, jakie uczucia się w niej kłębią.

Z trudem odzyskując panowanie nad sobą, wyplątał się z jej objęć.

– Żyjemy oboje, Delaney – szepnął głosem ochrypłym z pożądania. – Nie musimy tego udowadniać.

Czasami właśnie tak ludzie reagowali na czyjąś śmierć. Szukali potwierdzenia, że sami żyją. Niewiele jest na to lepszych sposobów niż fizyczne tworzenie życia.

Delaney zastygła w bezruchu. W końcu dotarli do niej jego słowa. Wyrwała rękę z jego dłoni, odsunęła się, świadoma nagle rozbudzonych pragnień. Roztrzęsiona i rozpalona, cofnęła się ze wstydem.

– Oczywiście, masz rację. – Mówiła cicho, ale udało się jej opanować drżenie głosu. Było jej głupio, unikała jego wzroku. Riley obserwował ją z nieprzeniknioną miną. – Sama nie wiem, co mnie ugryzło.

– Chyba to samo co mnie. – Miał ochotę odgarnąć splątane włosy z jej twarzy. Zapalił papierosa, żeby się czymś zająć.

– Oczywiście – powtórzyła i nerwowo przeczesła włosy palcami. – Przepraszam...

– Nie. – Jego oczy pociemniały, jakby był zły. – Na wypadek gdyby to uszło twojej uwagi, byłem zachwycony.

– Żartujesz oczywiście. – Patrzyła na niego, pewna, że ma rację, z nadzieją, że zaprzeczy.

– A jak sądzisz? – uśmiechnął się lekko.

Rozczarowana taką odpowiedzią, wzruszyła obojętnie ramionami.

– To i tak bez znaczenia.

– Powinnaś trochę odpocząć – polecił. – Jutro czeka nas następny długi dzień. Skinęła głową. W następnej chwili poczuła jego dotyk. Delikatnie uniósł jej podbródek. Z uwagą spojrzała mu w oczy. Patrzył na nią ciepło, z błyskiem, zanim pochylił się i pocałował ją przelotnie w usta.

– Tego się właśnie obawiałem. – Pokręcił głową z udawanym przerażeniem. Chciał jakoś rozładować napięcie. – Całowanie ciebie może wejść mi w krew. Ale przynajmniej będziesz miała o czym marzyć w nocy.

Nawet nie wiedział, jak blisko był prawdy. Ilekroć zamykała oczy, powracały wspomnienia strzelaniny, ale widok Riley'a zawsze ratował ją przed najgłębszą rozpaczą.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Obudziły ją niewyraźne głosy. Przewróciła się na bok. Miała uczucie, że stało się coś złego. Po chwili przypomniała sobie wszystko. Uniosła się gwałtownie. Opasała kolana ramionami.

Żal i zagubienie nie znikły, lecz zauważyła, że była w stanie myśleć o strzelaninie bez popadania w czarną rozpacz jak w nocy. Był to pewien postęp.

Za oknem świergotał ptak, słońce zalewało pokój jasnym blaskiem. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi, zawarczał silnik. Ciekawe, która godzina, pomyślała, po czym odrzuciła kołdrę i energicznie wstała.

Jej ubrania leżały na podłodze. Podniosła marynarkę. Szkoda, że nie poprosiła Rileya, by jej przywiózł coś na zmianę. Kątem oka dostrzegła niebieski szlafrok na krześle. Narzuciła go szybko.

Jej uszu dobiegł stłumiony chichot. Po chwili zawtórował mu tupot stóp na schodach. Małych stóp. Dziecinnych, wywnioskowała.

Idąc jeszcze korytarzem, zauważyła mniej więcej czteroletniego chłopczyka w dżinsach, kowbojkach i czarnej pelerynie. Z szeroko rozpostartymi ramionami biegał po salonie jak ptak czy raczej jak nietoperz, poprawiła się z uśmiechem. Kit Bannon, żona prawnika, weszła do pokoju. Była uosobieniem elegancji w ametystowej bluzce, białych spodniach, ze złotym łańcuszkiem na szyi. W niczym nie przypominała ładnej, ale zaniedbanej kury domowej, którą Delaney poznała dzień wcześniej.

Ciepło uśmiechnęła się do chłopczyka.

– Czas na lądowanie, Batboy.

Chłopczyk zatrzymał się, gniewnie wziął się pod boki.

– Nie jestem Batboy. Jestem Batman.

– Ależ oczywiście! – Kit splotła ręce w udawanym zdumieniu. – Och, wspaniały rycerzu, czy wybaczysz twojej matce tak głupią pomyłkę?

Zachichotał.

– Mama, jesteś głuptas.

– Nie ja, tylko ty.

– Nie.

– Tak.

– Nie. – Z tymi słowami zaczął kolejne okrążenie salonu.

Delaney powoli schodziła ze schodów.

Niemowlak leżał na kocyku, na środku pokoju. Wymachiwał energicznie rączkami i gulgotał radośnie, ilekroć brat przemykał obok niego. Kit Bannon wzięła go na ręce. – Chodź, kolego. Musimy cię ubrać. Batmanie, czy mógłbyś mi podać jego czapeczkę i sweterek?

Czterolatek zmienił kurs, porwał jasnoniebieski komplecik ze stolika pod oknem i rzucił bratu na głowę. Przy schodach zauważył Delaney. Wyhamował gwałtownie. Przyglądał się jej ciekawie.

– Czy jesteś Kobieta-Kotem?

Wyglądziła skraj szlafroka.

– A czy tak wygląda jej strój?

– Nie. – Ale chłopiec nie był zbyt pewny.

– Więc chyba nie jestem. – Uśmiechnęła się z trudem. Nad jego głową spojrzała na Kit Bannon. – Dzień dobry.

– Dzień dobry. Dobrze, że wstałaś, bałam się, że się nie obudzisz przed naszym wyjściem. Zabieram dzieciaki do szkoły niedzielnej. – Zapięła ostatni guzik sweterka i zręcznie nałożyła małemu czapkę. – Dobrze spałaś?

– Lepiej, niż się spodziewałam. – Delaney przyglądała się jej ciekawie. Miała wrażenie, że gdzieś już ją kiedyś widziała.

– To dobrze. – Zawiązała tasiemki czapki, połaskotała synka pod brodą, roześmiała się razem z nim. Miała pogodny, zaraźliwy śmiech. Oparła go na biodrze z wrodzonym wdziękiem. – Mam nadzieję, że Tommy cię nie obudził. Czasami ten dom zamienia się w dom wariatów.

– Nie, Batman mnie nie obudził.

– Doskonale.

– Mamo, mogę zanieść Clinta do samochodu?

– Mam lepszy pomysł: skocz na górę i zobacz, czy twoja siostra jest gotowa. I przypomnij jej, żeby zabrała torbę z pieluchami.

– Tak jest! – Pomknął w górę schodów.

– Nie chcę być wścibska, ale... ile właściwie masz dzieci? – zaciekała się Delaney. – Wczoraj panował tu taki spokój.

– Na szczęście. – Kit roześmiała się beztrudnie. – Mam tych dwóch urwisów, Thomasa i małego Clinta, i trzynastoletnią pasierbicę, która jest dla mnie jak młodsza siostra. – Malec złapał jej łańcuszek i z całej siły pociągnął. – Właściwie sama nie wiem, po co jeszcze ciągle noszę biżuterię – mruknęła pod nosem.

Coś w jej klasycznych rysach, w tym, jak wdzięcznie pochylała głowę, było znajome. Delaney zmarszczyła brwi.

Kobieta zauważyła wyraz jej twarzy.

– Coś nie tak?

Zaprzeczyła energicznie.

– Przypominasz mi kogoś. – Zaledwie wypowiedziała te słowa, wyraz twarzy Kit Bannon zmienił się całkowicie. Była nieruchoma jak maska, chłodna i niedostępna. Nagle wszystkie

kawałki układanki trafiły na miejsce. – Jesteś Kit Masters, grałaś z Johnem Travisem w... Boże, jaki to był tytuł? „Niewinne kłamstwa”. Byłaś nominowana do Oscara.

– Tak. – Uśmiechnęła się, ale to nie był sztuczny uśmiech.

– Teraz pamiętam. – Delaney w podnieceniu kiwała głową. – W całym Hollywood zawrzało, kiedy oznajmiłaś, że rezygnujesz z kariery i wychodzisz za farmera z Kolorado.

– Farmera i prawnika – uzupełniła Kit. – I, zanim o to zapytasz, nie, niczego nie żałuję. Tak naprawdę nigdy nie byłam równie szczęśliwa.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Nie, to ja przepraszam. W przeszłości tyle razy zadawano mi to pytanie, że zrobiłam się nadwrażliwa. Niektórym chyba nie mieści się w głowie, że w dzisiejszych czasach są kobiety, które są szczęśliwe, ba, spełnione, jako matki i żony.

– Nie tęsknisz za aktorstwem?

– Och, nie rzuciłam grania – uśmiechnęła się lekko. – Ja tylko porzuciłam gwiazdorstwo, które nigdy nie było moim celem. Zawodowo działalność prowadzę w tutejszym teatrze. Tak naprawdę nie zrezygnowałam z niczego, choć wiele osób jest innego zdania.

– Rozumiem. Szczęściara z ciebie. – Delaney rozjaśniła się.

– Wiem o tym.

– Mamo, mogę zabrać mój samolot Batmana? – Tommy, znany również jako Batman, wydzierał się ze szczytu schodów. – Laura każe mi go zostawić w domu. Ale nie muszę, prawda?

Za jego plecami stanęła wysoka, szczupła nastolatka w białych dżinsach i czerwonej koszulce. Ciemne włosy spięła w koński ogon.

– Wcale tego nie powiedziałam, Tom-Tom. Powiedziałam tylko, że zapomnisz go gdzieś, jak zwykle, i w końcu zgubisz. – Żartobliwie pociągnęła chłopca za pelerynę.

– Mogę go zabrać, mamo? – Tommy pospieszył za nią. Zbiegała po schodach przeskakując po kilka stopni naraz. Niosła biało-niebieską torbę z pieluchami. W połowie schodów zauważyła Delaney i zwolniła kroku.

– Bezpieczniej zostawić go w domu – odparła Kit Bannon. – Nie uważasz, że byłoby okropnie, gdyby Batman stracił swój samolot? Ale to twój samolot i twoja decyzja. – Rozsądnie nie czekała na jego odpowiedź. Zająła się pasierbicą. – Lauro, nie znasz jeszcze naszego gościa, Delaney Wescott. Zostanie u nas dzień lub dwa. Delaney, to nasza córka, Laura.

– Dzień dobry, pani Wescott. – Dziewczynka obrzuciła ją uważnie przyjaznym, ale i zaciekawionym spojrzeniem.

– Dzień dobry, Lauro. – Delaney uściśnęła jej dłoń.

Maluch gaworzył coś radośnie, pomachał do siostry, chcąc zwrócić jej uwagę. Laura pochyliła się nad nim posłusznie. – Co, mały? Nie podoba ci się, że uwaga wszystkich nie jest zwrócona na ciebie? – Spojrzała na czterolatka: – Tom-Tom, zanieś to do samochodu Batmana –

rzuciła mu torbę. – Zaniosę Clintę do samochodu i umieszczę go w foteliku – zaproponowała macosze.

– Dziękuję. – Kit podała jej malca. – Zaraz przyjdę.

Tommy usiłował podnieść torbę jedną ręką, stwierdził jednak, że jest za ciężka, więc odłożył samolot na dębowy stół. Pospieszył za siostrą, ciągnąc raczej niż niosąc pakunek.

Laura zatrzymała się na progu.

– Kit, ktoś przyjechał.

Kit Bannon zamarła w bezruchu.

– Trzymajmy kciuki, oby to nie byli dziennikarze. Chyba nie wpadli na to, że Bannon cię tu ukrył. – Niemal w biegu porwała torebkę i ruszyła do drzwi. Wystarczył jeden rzut oka, by rozluźniła się wyraźnie. – To sąsiad – krzyknęła przez ramię do Delaney. Popchnęła Laurę i Tommy'ego w stronę samochodu. – Co za niespodzianka, Jared. – Zamknęła za sobą drzwi wejściowe. – Niestety, Bannona nie ma, a my akurat jedziemy do miasta.

Zanim drzwi zamknęły się do końca, Delaney usłyszała jego odpowiedź:

– Przyjechałem zobaczyć się z Delaney. Wczoraj wieczorem Bannon mówił, że ją tu przywiezie.

Nastąpiła przytłumiona wymiana zdań. Nagle drzwi się otworzyły i Kit wróciła do środka. W jej wzroku widniała ciekawość.

– Jared McCallister chce się z tobą zobaczyć.

– Cześć, Jared. – Skinęła głową, gdy w ślad za Kit wszedł do domu.

– Jak się czujesz? – Popatrzył jej w oczy.

– Dobrze.

Kit obserwowała ich uważnie.

– Nie wiedziałam, że się znacie.

– Poznaliśmy się w Los Angeles, zaraz po zniknięciu mojej siostry. Delaney pomagała mi w poszukiwaniach.

– Rozumiem. – Z miny Kit można było wyczytać, że jej zdaniem chodziło o coś więcej. – Jared, wiesz, gdzie jest kuchnia. Zaparzyłam świeżej kawy, w piecyku są bułeczki cynamonowe. Jeśli masz ochotę na coś solidniejszego, w lodówce znajdziesz bekon i jajka. Czuj się jak u siebie w domu, Delaney. Bannon wróci koło dziesiątej.

– Dziękuję.

Wyszła szybko, cicho zamykając za sobą drzwi. Duże napięcie pojawiło się nie wiadomo kiedy. Ku swemu zdumieniu Delaney doszła do wniosku, że w tej chwili nie ma ochoty zwracać sobie głowy Jaredem ani swoimi wobec niego uczuciami.

– Gdzie jest kuchnia? – zapytała, zanim zdążył otworzyć usta. – Nie wiem jak ty, ale oddałabym duszę za kubek dobrej kawy.

– Tam.

Od razu poczuła zapach kawy. Kierując się węchem, trafiła do staroświeckiej kuchni z drewnianym kredensem i wesołymi zasłonkami w oknach. Nalała kawy do dwóch kubków.

– To dla mnie?

– Tak.

Wahał się przez ułamek sekundy, po czym zdjął kapelusz z głowy i rzucił na blat razem z gazetą.

– Dziękuję. – Wziął od niej kubek.

– To dzisiejsza gazeta? – Powędrowała wzrokiem za ruchem jego ręki.

– Tak.

– Pewnie trafiłam na pierwszą stronę. – Coś, co w jej zamierzeniu miało brzmieć żartobliwie, było pełne goryczy.

– Tak.

Drażniły ją jego skąpe odpowiedzi.

– Do jakiego stopnia ubarwili opowieść? – Zacisnęła palce na kubku. Udzielało się jej zdenerwowanie Jareda.

– To nieważne. Nie myśl o tym, Delaney – rzucił, nagle zniecierpliwiony. Podeszedł do sosnowego stołu, za którym stało sześć krzeseł. – Chodź tutaj. Usiądź.

– Dlaczego? – Wyrwała mu rękę. – Co tam jest? Co o mnie piszą?

– Nie wiem. Nie czytałem. Co więcej, wcale tego nie chcę. A ty?

Podjęła wyzwanie.

– Też nie chcę.

– Więc usiądźmy, napijmy się kawy... porozmawiajmy. – Odsunął dla niej krzesło.

Ciągle się wahała.

– Jared, mam wrażenie, że chcesz mnie na coś przygotować. Na coś, czego nie mam ochoty usłyszeć. O co chodzi?

Głęboko zaczerpnął tchu.

– Powinienem był powiedzieć ci to, zanim... nie chcę, żebyś się tego dowiedziała od kogokolwiek innego. – Pod jego wzrokiem zebrała wszystkie siły. – Susan St. Jacques była kiedyś moją żoną.

To była ostatnia rzecz, którą spodziewała się usłyszeć.

– W przeszłości nie było powodu, żeby ci o tym mówić. To nie miało znaczenia. Zresztą, wzięliśmy rozwód. A wczoraj wieczorem... wczoraj wieczorem nie był odpowiedni moment.

Ciężko oparła się o ladę.

– Na przyjęciu... Widziałam, jak się do siebie odnosicie, ale nie przyszło mi do głowy...

– A dlaczego miało ci przyjść do głowy? Do cholery, Delaney, nie tak chciałem ci to

powiedzieć. – Po chwili był przy niej, wyjmował kubek z jej bezwładnych palców. Postawiwszy go na ladzie, przyciągnął ją do siebie. – Chciałem cię tulić, dotykać.

Odsunęła się, żeby na niego spojrzeć.

– To głupie, ale nigdy się nie zastanawiałam, kim jest twoja była żona, czy nadal tu mieszka, czy jest szansa, że ją zobaczę. Nie chciałam tego. A to była Susan. – Z całej siły zacisnęła powieki. – Rodzina...

– Miała tylko ciotkę w Chicago.

– Więc... – Zawiesiła głos. – Wczoraj wieczorem...

Potwierdził ruchem głowy, domyślał się, co chce powiedzieć.

– Zadzwonili do mnie po adres i telefon ciotki. I prosili, żebym zidentyfikował zwłoki. – Odsunął kosmyk włosów z jej twarzy. – Rozumiesz, dlaczego musiałem ci powiedzieć? Dlaczego nie mogłem ryzykować, że dowiesz się od kogoś innego?

– Tak.

– Delaney, nie wolno ci myśleć...

– Właśnie o to chodzi – roześmiała się bezgłośnie. – Nie wiem, co myśleć, co czuć. Wszystko jest takie zagmatwane. Nie zmienię tego, co się stało. Nie zmienię tego, że była kiedyś twoją żoną ani tego, że nie żyje. Chciałabym, żeby było inaczej... Boże, Jared, przepraszam.

– Nie przepraszaj, nie mnie – mruknął. – Między nami nigdy się nie układało, resztki uczucia rozwiały się przed laty. Nie cieszę się z jej śmierci, ale i jej nie opłakuję. Kocham cię, Delaney. Jeśli teraz cierpię, to dlatego, że i ty cierpisz.

Ryk klaksonu oznajmił przybycie samochodu.

– To Riley. – Delaney rozpoznała ich stary sygnał. Nagle poprawił się jej humor.

Jared wypuścił ją z objęć. Był wyraźnie niezadowolony.

– Czego on chce?

– Nie wiem.

Drzwi wejściowe otworzyły się.

– Halo? Jest tu kto? – wołał Riley na całe gardło. Umilkł. Ciszę przerwał głuchy łomot, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę.

– Jesteśmy w kuchni! – odrzyknęła Delaney.

Z kubkiem w ręku pobiegła do salonu, wyprzedzając Jareda. Na środku podłogi leżały jej dwie walizki.

– Dzień dobry – rzucił Riley przez ramię. Zamknąwszy za sobą drzwi, delikatnie pokręcił klamką. – Ten zamek jest do niczego, ‘Laney. Mógłbym się tu dostać za pomocą karty kredytowej. Musisz porozmawiać z Bannonom na temat porządnych zabezpieczeń. – Rzucił to beztrosko, ale wiedziała, że nie żartuje.

– Dobrze, i dzień dobry – przedrzeźniała jego powitanie.

Zerknął na nią z rozbawieniem.

– Przywiozłem ci trochę ciuchów. – Machnął ręką w stronę walizek. Na widok Jareda jego spojrzenie stało się chłodne. – Ale nie ręczę za stan, w jakim się znajdują, nie umiem pakować.

– Nieważne. Dzięki Bogu, są czyste.

– Nic dziwnego, że dygoczesz ze strachu mając na sobie ten strój. – Przesunął wzrokiem po jej postaci. Nagle uświadomiła sobie, że ma na sobie szlafrok. Nie pamiętała o tym podczas rozmowy z Jaredem. – Mam zanieść walizki do twojego pokoju?

– Nie, ja to zrobię – zaoferował się Jared. – Który to?

– Trzecie drzwi po prawej stronie – Riley odpowiedział za nią. – Jeśli w tym kubku masz kawę, prowadź do źródła. – Zszedł Jaredowi z drogi, kiedy ten szedł po walizki.

– W kuchni.

Ramię w ramię ruszyli korytarzem. Czowała się dziwnie, idąc obok niego. Zazwyczaj jego obecność działała na nią kojąco. Jednak nie zapomniała ostatniej nocy, kiedy ją obejmował, całował. Teraz zachowywał się tak, jakby nic nie pamiętał. Czyżby tylko sobie wyobraziła, że było to coś więcej niż pocałunek mający dodać otuchy? A może, zważywszy na jej stan wczoraj wieczorem, pragnęła, żeby to było coś więcej, i sama w to uwierzyła?

Nie chciała zwracać sobie głowy tymi pytaniami, bała się odpowiedzi.

– Co u Lucasa?

– Wszystko pod kontrolą, dzięki policji. – Oparł się o kuchenny blat. Spod zmrużonych powiek obserwował, jak mu nalewa kawę. – W domu zostało kilku policjantów, żeby trzymać z daleka hordę dziennikarzy i fotografów. Ci z kolei tworzą kordon bezpieczeństwa, przez który nawet mucha nie przeniknie.

– A Lucas? – Podała mu pełen kubek.

– Ciężko to znosi. – Upił łyk kawy. – Nadal twierdzi, że był przekonany, że to Rina. A Arthur głowi się, czy Lucas powinien zwołać konferencję prasową czy tylko wydać oświadczenie i trzymać się z boku.

– Znaleźli jej broń?

– Jak zwykle nabrali wody w usta i nie puszczaają pary na temat tego, czy coś znaleźli.

Lekko opuściła ramiona, choć właściwie nie spodziewała się innej odpowiedzi. To normalne, że do końca dochodzenia utrzymuje się takie wiadomości w tajemnicy.

– Widzę, że masz dzisiejszą gazetę. – Otworzył na pierwszej stronie. – Widziałaś?

Zaprzeczyła.

– Jared ją przyniósł tuż przed twoim przyjściem.

Jared nie chciał, żeby to widziała; w ten sposób ją chronił. Riley postępował odwrotnie: podsuwał gazetę pod nos, zmuszał, by zobaczyła nagłówek na własne oczy: MIESZKANKA ASPEN GINIE Z RĘKI KOBIETY-OCHRONIARZA. Pod spodem widniało duże zdjęcie



Lucasa Wayne'a.

– Niczego sobie historyjka – stwierdził. – Nazwę firmy napisali poprawnie, nawet wspomnieli, że Wescott and Associates ma w branży opinię solidnej i fachowej. To nie takie złe.

Wpatrywała się w nagłówek.

– Wiedziałeś, że Susan St. Jacque to była żona Jareda?

– Bannon powiedział mi wczoraj.

– Jak to będzie wyglądało... Jared...

Z tym nie powinno być problemów. Przecież znaliście się wiele lat. Pomagałaś mu w poszukiwaniu siostry. Jest o tobie dobrego zdania, zarówno prywatnie, jak i zawodowo. – Riley wyrecytował to płynnie, szybko, co świadczyło, że się już nad tym zastanawiał. – A później niech sobie myśla co chcą. Co bez wątpienia zrobią.

– Fakt. – Jej kawa wystygła. Dolała sobie wrzątku.

– Rano dzwoniłem do twojego ojca. – Kiedy to mówił, do kuchni wszedł Jared. – Wolałem sam mu o tym opowiedzieć, niż miałby się o tym dowiedzieć z gazet.

– Tata – mruknęła. – Nawet o nim nie myślałam. Powinnam była sama do niego zadzwonić.

– Nie miałaś na to czasu. – Jared dolał sobie kawy.

– Będzie tu jutro rano – dokończył Riley. – Obiecałem, że go odbiorę z lotniska.

– Nie musi przyjeżdżać! – sprzeciwiła się.

– Żadnemu ojcu tego nie wytłumaczysz – skomentował Riley. – A zwłaszcza nie twojemu.

Musiła przyznać mu rację.

– Glenda! – przypomniała sobie. – Zadzwonię do niej. Przed drzwiami biura będą na nią czyhać tłumy dziennikarzy.

– Już z nią rozmawiałem – uspokoił ją Riley.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Masz za sobą pracowity poranek.

Wzruszył tylko ramionami.

– Niewiele dla mnie zostało do zrobienia, co?

Uśmiechnął się ciepło.

– Na twoim miejscu wziąłbym prysznic i ubrał się przed przybyciem Bannona. Mówił, że będzie koło dziesiątej. To już niedługo.

– Lecę. – Wyszła z kubkiem w dłoni.

Jej walizki stały na środku pokoju. Zaniosiła je na łóżko. Uśmiechnęła się widząc ubrania wrzucone byle jak, i przypomniała sobie, że Riley nie gwarantował, w jakim są stanie. Szybko wybrała to, co chciała włożyć, wyjęła też kosmetyczkę i suszarkę do włosów, i weszła do łazienki.

Poczekwała, aż woda z prysznicza nabierze odpowiedniej temperatury, dopiła kawę i weszła

pod gorący strumień. Starannie zaciągnęła plastikową zasłonę. Stała pod ciepłymi strugami wody, pozwalając, by zmyły z niej napięcie.

Kiedy wyszła spod prysznic, czuła się o wiele lepiej. Była gotowa sprostać pytaniom prokuratora, dziennikarzy, policji. Uwierzyła, że jest w stanie stawić czoło kłopotom i z czasem uporać się z emocjonalną ceną za pozbawienie kogoś życia.

Nie tracąc czasu, wytarła się, zawinęła włosy w ręcznik i umyła zęby. Kiedy suszyła włosy, usłyszała pukanie do drzwi.

Wyłączyła suszarkę.

– Tak?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że Bannon już jest! – krzyknął Riley przez drzwi.

– Dziękuję. Zaraz przyjdę. – Ponownie włączyła suszarkę.

Po minucie włosy były już tylko lekko wilgotne. Uznała, że to wystarczy. Ubrała się pośpiesznie: białe spodnie, koszula i granatowy żakiet. Z salonu dobiegały stłumione głosy. Kiedy wiązała pod szyją biało-czerwono-niebieską apaszkę, usłyszała podniesiony głos Jareda.

– ...spodziewać się czegoś takiego! Niech ich cholera! – Zaklął, a Delaney podskakiwała na jednej nodze wsuwając pantofle. – Obaj wiemy, co się stało, kiedy pijani goście Dona Johnsona zapragnęli postrzelać sobie do helikoptera! Nic! Albo kiedy nasz „szacowny” mieszkaniec postanowił sobie zapolować! Może zapomniałeś o Claudine Longet! Traktują te cholerne gwiazdy jakby mieli immunitet dyplomatyczny! Dla Delaney byłoby lepiej, gdyby to Lucas zastrzelił Susan! Do licha, przecież dostałby najwyżej klapsa i burę, że jest niegrzeczny...

– Jared, uspokój się – odezwał się prawnik. – W ten sposób nie pomożesz Delaney.

Znalazła drugi but, gdy Jared burknął:

– Może i nie. Ale i tak mam rację. Gdyby to on zastrzelił Susan, potraktowaliby tę sprawę zupełnie inaczej.

Zbiegła po schodach.

– Co to znaczy: inaczej? A teraz jak ją traktują?

Jared odwrócił się bez słowa. Nawet Riley unikał jej wzroku. Tylko Bannon patrzył jej w oczy.

– Właśnie rozmawiałem z prokuratorem. Zadzwoił z grzeczności, żeby mnie zawiadomić, że wniesie oskarżenie. Powiedziałem, że sam ci to powiem.

– O co? – Nie miała czym oddychać.

– Morderstwo drugiego stopnia.

– Morderstwo. – Była w szoku. Riley zerwał się na równe nogi. Jared walnął pięścią w kominek. – Jak mogą? Przecież to była obrona własna.

– Nie ma na to żadnych dowodów oprócz twojego zeznania. Przykro mi, Delaney.

– Nie znaleźli broni?

– Prokurator zapewnił mnie, że przeczesali każdy cal terenu.

– Miała pistolet! – Delaney obstawała przy swoim. – Widziałam błysk. Słyszałam. Nie wyobraziłam sobie tego.

– ‘Laney. – Riley położył jej dłoń na ramieniu. – Pod ciałem znaleźli latarkę. Ich zdaniem, mylnie wzięłaś ją za pistolet.

– Latarkę. I wzięłam światło latarki za błysk wystrzału, tak? – Skrzywiła się. – Na Boga, znam różnicę. A jak wyjaśnią strzały, które wszyscy słyszeliśmy?

– Nie wiem.

– W tej chwili to bez znaczenia – stwierdził Bannon. Spochmurniał. – Musimy jechać do miasta, żebyś się stawiła na posterunku.

– Pojadę z tobą – zapewnił Riley.

Delaney nie słyszała go. Nie mogła się pogodzić z tym, że oskarżono ją o morderstwo.

## Rozdział dwudziesty drugi

Obowiązkowe wysłuchanie praw oskarżonego, zdejmowanie odcisków palców, pozowanie do więziennych fotografii, długotrwałe czekanie w holu, tłum dziennikarzy, Riley, torujący jej drogę między nimi, Bannon u jej boku, błyski fleszy, szum kamer telewizyjnych, mikrofony pod nosem, grad pytań...

- Jakiego rodzaju stosunki łączyły panią z Lucasem Wayne'em?
- Czy naprawdę jest pani kimś więcej niż szefem jego ochrony?
- Czy była pani zazdrosna o Susan St. Jacques? Czy dlatego pani ją zastrzeliła?
- Jakie to uczucie, kiedy się zabija bezbronną kobietę?

Oschły ton Bannona, gdy powtarzał: „Bez komentarza”, nieprzyjemny ucisk w żołądku, sztuczny optymizm Riley, posępny uśmiech prawnika, obietnica, że się z nią spotka później, po tym jak się zapozna z aktem oskarżenia i zeznaniami świadków, długa jazda z powrotem na rancho. Była rozkojarzona, denerwowały ją nawet plamy z tuszu na palcach. W łazience zawzięcie szorowała je szczoteczką do rąk. Nie przestała, dopóki ostatnie ślady nie znikły z zaróżowionej skóry. Przerwała na chwilę, zobaczywszy niechcący odbicie swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Przypomniała się jej lady Makbet z uporem usiłująca zmyć krwawe plamy z rąk. Miała ochotę się roześmiać, ale obawiała się, że wpadnie w histerię.

W kuchni zobaczyła, jak Riley zgrabnie zsuwa omelet z patelni na talerz. Na stole czekały gorące tosty, słoik dżemu, sól i pieprz. Jared trzymał się z boku.

– Uznałem, że najwyższy czas, żebyś coś zjadła – oznajmił Riley. – Co powiesz na omelet z serem i pomidorami?

Zauważyła, że nie pytał czy jest głodna ani nie twierdził, że powinna być. Nie miała apetytu, choć zdawała sobie sprawę z konieczności jedzenia.

– Pachnie smakowicie.

Postawił przed nią talerz.

Usiadła na krześle, rozłożyła na kolanach papierową serwetkę. Starannie posoliła omelet, wybrała tosta, posmarowała go masłem.

Riley przycupnął na krześle, Jared zrobił to samo. Cisza była przytłaczająca, posępna. W końcu odezwał się Jared.

– Wiesz, Delaney, wolałbym, żebyś coś mówiła, a nie dusiła to w sobie.

– Kiedy sama nie wiem, co powiedzieć – zachnęła się. – To zły sen, który okazał się jawą. To się nie powinno było stać, ale się stało, choć nie pojmuję, jakim sposobem. – Przez moment była niebezpiecznie blisko paniki. Z trudem wzięła się w garść. Zacisnęła dłoń na widelcu. – To się nie trzyma kupy... – urwała. Po chwili odezwała się znowu, tym razem spokojniej. – Byłeś mężem Susan. Znałeś ją.

– Nie lepiej niż inni. – Lekko wzruszył ramionami.

– Co ci wiadomo o jej związku z Lucasem Wayne’em? – Riley włączył się do rozmowy.

– Jeśli pytasz, czy wiedziałem, że miała z nim romans w czasie naszego małżeństwa, odpowiedź brzmi: tak. Wtedy obarczałem winą samego siebie. Wydawało mi się, że poświęcam jej za mało czasu. Albo pracowałem na ranchu, albo szukałem Kelly. Później gryzły mnie wyrzuty sumienia z twojego powodu. Jakże mogłem potępiać jej niewierność, skoro sam postępowałem nie lepiej?

– Więc jej romans z Lucasem nie był powodem...

– ...naszego rozwodu? Nie. Nasz rozwód był naturalnym skutkiem.

Delaney starannie żuła kawałek tosta, choć nie czuła jego smaku.

– Myślisz, że go kochała?

Jared uśmiechnął się posepnie.

– Wątpię, czy to słowo w ogóle figurowało w jej słowniku. Moim zdaniem, zapragnęła kochanka jako symbolu powodzenia, oznaki sukcesu. Pieniądze i pozycja zawsze były dla niej najważniejsze. Jestem przekonany, że wyszła za mnie, bo sądziła, że ja jej to zapewnię. Kiedy okazało się, że będzie inaczej, nasze małżeństwo zaczęło się psuć.

Wpatrywał się w przestrzeń.

– Nienawidziła rancha, nienawidziła życia na wsi. Liczyłem, że z czasem przywyknie, a ona miała nadzieję, że z czasem namówi mnie do sprzedaży. – Zerknął na Delaney. – Pamiętasz, jak po raz pierwszy jadłem kolację u ciebie w domu? Powiedziałaś wtedy, że kobieta nie cofnie się przed niczym, żeby zdobyć to, co dla niej najważniejsze. Chyba ci wtedy nie uwierzyłem. A może tylko nie chciałem uwierzyć, tak jak nie chciałem pogodzić się ze świadomością, że dla Susan nigdy nie będę najważniejszy.

– Czy posunęłaby się do zabójstwa? – zainteresował się Riley.

Jared zastanawiał się długo.

– Nie wiem. Czasami wątpię, czy w ogóle ją znałem. Dlaczego pytasz?

– Bo wiemy, że szantażowała Lucasa – odpowiedziała Delaney. – Wiedziała coś, co on za wszelką cenę chce utrzymać w tajemnicy. Moim zdaniem, groziła mu, że zdradzi jego sekret, jeśli nie kupi od niej bardzo drogiego obrazu.

– To w jej stylu. – Jared powoli skinął głową. – Co na niego miała? Wiesz?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Więc wiesz.

– Nieważne, wiem czy nie – Delaney nie dawała za wygraną. – Najważniejsze, czy naprawdę go szantażowała i czy Lucas odmówił kupna obrazu. To by tłumaczyło, dlaczego usiłowała go zabić...

Riley nie ukrywał sceptyzmu.

– To też się nie bardzo trzyma kupy.

– Prawda. – Jared wziął ją za rękę. – Delaney, musisz się pogodzić z myślą, że może nigdy się nie dowiesz, dlaczego do niego strzelała.

– Wiem. – Grzebała widelcem po talerzu. Nie zjadła jeszcze ani kawałka omletu. – To nie jest najgorsze. Najgorsze jest to, że... – Nie mogła mówić dalej, słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło. Przełknęła ślinę i spróbowała ponownie:

– Cały czas zadaję sobie pytanie: a jeśli to oni mają rację? Jeśli naprawdę nie była uzbrojona? Wiedziałam, że szantażuje Lucasa. Nie podobało mi się, myślałam nawet co zrobić, żeby mu pomóc. A co, jeśli... Jeśli podświadomie ją poznałam? Może do tego stopnia chciałam usłyszeć strzał, że sama uwierzyłam, że słyszałam huk? Może podświadomie usprawiedliwiałam się sama przed sobą, że strzelam do osoby, która szantażuje Lucasa? A co, jeśli sobie tylko wyobraziłam jej strzały? – To paradoks, ale odczuła ulgę, wypowiadając w końcu na głos pytania, które dręczyły ją od rana.

Jared zacisnął dłoń na jej ręce.

– A myślisz, że tak było?

– Nie. – Energicznie pokręciła głową, ale zaraz się zawahała. – Przynajmniej tak mi się zdaje. A co, jeśli...

– Przestań. – Był to, krótki, zwięzły rozkaz. Riley patrzył na nią surowo. – Nie rób tego. Masz dosyć zmartwień, nie wynajduj sobie nowych.

– Masz rację. – Z westchnieniem wyrwała rękę z uścisku Jareda i rzuciła widelec na talerz.

– Nie zjesz tego, prawda? – domyślił się Riley.

Opuściła wzrok na zimny omlet i zastygły ser.

– Nie mogę.

– Tak myślałam. – Zaniósł talerz do kubła na śmieci i wrzucił omlet do wiadra.

– Powinam się czymś zająć – mruknęła.

– Chwilowo nie masz nic do roboty. – Riley wrócił do stołu. Zapalił papierosa.

– Właśnie to jest nie do wytrzymania. Nie przywykłam do siedzenia beczynn timer z założonymi rękami.

– Potrzebujesz odmiany – zawyrokował Jared. – Musisz się oderwać od tego wszystkiego. Co powiesz na konną przejażdżkę, tak jak planowaliśmy? Bannon nie będzie miał nic przeciwko, jeśli pożyczymy jego konie.

Przezcąco pokręciła głową.

– Jared, wiem, że masz jak najlepsze chęci, ale nie mam nastroju.

– To i tak kiepski pomysł – wtrącił się Riley.

– Niby dlaczego? – Jared odwrócił się gwałtownie w jego stronę. Zmierzyli się wzrokiem.

– Bo w tej chwili Delaney powinna być jak najbliżej domu, na wypadek, gdyby coś nowego

wyszło na jaw. Skoro jednak naprawdę się nudzisz... – znacząco zawiesił głos. Kiedy patrzył na Delaney, kąciki jego ust uniosły się w łobuzerskim uśmiechu. – Mam dla ciebie zadanie. Co powiesz na stertę papierków? Przywiozę ci robotę z największą przyjemnością.

Roześmiała się mimo powagi sytuacji.

– Dzięki wielkie. Może jutro. W tej chwili nie mogłabym się skupić.

– Słaba wymówka! – Riley żartobliwie pogroził jej palcem. W tym momencie zadzwonił telefon. Delaney poderwała się z krzesła. Riley ją uprzedził.

– Ja odbiorę.

Wyszedł. Słuchała odgłosu jego kroków. Każdy dzwonek telefonu rozdrażniał ją coraz bardziej. W końcu dzwonenie ustało, natomiast rozległ się cichy głos Riley'a.

– Delaney. – Jared ponownie nakrył jej dłoń swoją. – To pewnie pomyłka.

– Pewnie tak. – Nie wierzyła w to jednak; w takim wypadku Riley dawno odłożyłby słuchawkę. Zaciśnęła palce na ręce Jareda, wdzięczna, że stara się ją uspokoić.

Z jednej strony usiłowała usłyszeć ile się da z rozmowy w sąsiednim pomieszczeniu, z drugiej, ze względu na Jareda, udawała, że nic ją ona nie obchodzi.

– Może rzeczywiście Riley powinien mi tu podrzucić papierkową robotę. Przynajmniej czymś się zajmę.

– Przecież przekazałaś mu prowadzenie tej sprawy. Niech on się tym martwi.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

– Riley i papiery są jak woda i olej. Można ich zamknąć w jednym pomieszczeniu, ale i tak nie dasz rady ich połączyć. Do tej pory zapewne zebrała się tego spora sterta. Sprawy zawodowe zaprzętnęły jej uwagę. – Ciekawe, czy Riley zadzwonił do Scotty'ego.

– Do kogo?

– Scotta Camerona. Zastępuje mnie w Los Angeles. Mamy zadbać o bezpieczny przebieg premiery najnowszego filmu Toma Cruise'a pod koniec miesiąca. Scotty będzie miał pełne ręce roboty.

Jared nie ukrywał zdziwienia.

– Myślałem... nie sprzedasz firmy?

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – Nie posiadała się ze zdumienia. – Uważasz, że powinnam to zrobić ze względu na strzelaninę?

– Dla większości ludzi byłby to wystarczający powód. Zobacz, w jakie kłopoty się przez to wpakowałam. I dlaczego?

Dlatego że wypełniałam obowiązki, jakie się wiążą z moją pracą. – Tu zacytowała mu paragraf dotyczący zabójstwa w obronie powierzonego życia. – Wczorajsze zajście nie stanowi powodu do odejścia. Przyznaję, to nic przyjemnego, ani sama strzelanina, ani cały ten kołowrót, ale to ryzyko, na które się godziłam, zakładając Wescott and Associates.

Nie może zrezygnować. Nie teraz. To jak upadek z konia; musi ponownie wskoczyć na grzbiet i udowodnić, że da sobie radę, że się nie podda. Czuła jednak, że Jared tego nie zrozumie.

– Czasami nie warto ryzykować. Myślałem, że po wszystkim, co cię spotkało, zrozumiesz to.

Byli o włos od kłótni, lecz przeszkodził im Riley swoim powrotem.

– Dzwonił Bannon – oznajmił. Nie spuszczał Delaney z oka. – Jutro możemy obejrzeć miejsce zbrodni. Bannon musi być rano w sądzie, ale najpóźniej o dziesiątej będzie wolny.

– Świetnie. – W końcu coś się będzie działo, jakiś ruch, coś konstruktywnego. – Jeszcze jakieś nowiny?

– Nie.

Żadne z nich nie miało nic więcej do powiedzenia, lecz cisza była groźna, ponura, pełna niedopowiedzeń. W tej chwili Delaney nie chciała marnować energii na łagodzenie napięć między mężczyznami ani na zabawianie ich.

– Słuchajcie, naprawdę nie musicie tu ze mną siedzieć. Obaj macie inne rzeczy na głowie. Nic mi nie będzie.

– Nie zostawię cię samej. – Jared wyprostował się na krześle.

Riley uśmiechnął się zimno.

– A ja nie wyjdę bez niego.

– Nie potrzebujemy przyzwoitki – zachnął się Jared.

Riley uśmiechnął się szerzej, ale z oczu nie zniknął chłód.

– Mylisz się. Jeśli jakiś dziennikarz tu zajrzy, wolałbym, żeby nie zastał Delaney sam na sam z byłym mężem ofiary. W całym mieście i tak huczy od plotek, nie chcesz chyba dorzucać nowych szczegółów?

Jared poruszył się niespokojnie.

– Nie myślałem o tym w ten sposób.

– Więc zrób to. – Riley maksymalnie wykorzystał przewagę. – Najlepsze, co w tym momencie możesz zrobić dla Delaney, to trzymać się od niej z daleka.

– Jared, nie musisz... – zaczęła.

– Nie. – Nie dał jej dojść do słowa. – Niestety, Riley ma rację. Moja tu obecność mogłaby ci zaszkodzić. Nie chcę ściągać na ciebie więcej kłopotów. – Wstał. – Odprowadzisz mnie do drzwi?

– Oczywiście.

– Pójdę z wami – zaoferował się Riley, czym zasłużył na gniewne spojrzenie Jareda. W odpowiedzi uśmiechnął się niewinnie. – Na wszelki wypadek, gdyby fotograf czyhał w górach z teleobiektywem.

Na pożegnanie Jared pocałował ją lekko, przelotnie, zupełnie nie tak jakby tego chciał. Obecność Rileya tłumiała jego zapędy.



Zbiegał po schodach werandy, wcisnąwszy kapelusz na głowę, a Riley zamknął za nim drzwi z wielce zadowoloną miną.

– Jak na psa ogrodnika jesteś bardzo radosny – zauważyła.

Drwiąco uniósł brwi.

– Przecież wiesz, że mam rację. W tym momencie nie powinno się widywać was razem.

– Może nie, ale...

– W tej sprawie nie ma miejsca na może – przerwał jej. – Niestety, należysz do osób, które murem staną za przyjacielem, bez względu na konsekwencje. Piękna cecha, ale niezbyt rozsądna, zwłaszcza w tych okolicznościach. Właśnie dlatego wziąłem sprawę w swoje ręce.

– Nie oczekuj za to wdzięczności.

– Nie oczekuję. Oto kolejna cecha, za którą cię podziwiam. – Kiedy się jej przyglądał, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, który przeczył surowemu spojrzeniu. – Na pewno dasz sobie sama radę?

– Tak. Zresztą Kit wróci lada chwila.

– Gdybyś mnie potrzebowała, wystarczy zadzwonić.

– Wiem. – Ta świadomość dodawała jej otuchy.

– W takim razie... – Jego palce znikły w jej włosach. Po krótkim wahaniu wycisnął na jej czole braterskiego całusa. Mało brakowało, a odchyliłaby głowę do tyłu w oczekiwaniu na inny pocałunek. Pragnęła tego, a to wprawiało ją w jeszcze większe zmieszanie. – Zadzwonię wieczorem – dokończył Riley. – A zobaczymy się jutro.

– Jutro – powtórzyła.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Światło poranka przenikało przez gałęzie drzew. Światło stworzone do malowania, stwierdziła Delaney Oparła się o poręcz werandy. I widok jak z wiejskiego pejzażu: ogrodzenie z bali, szmaragdowa trawa, pociemniałe po deszczu budynki, i góry w oddali, zwracające ku słońcu spieczone twarze. Rancho nigdy nie milkło: w stajni rżały konie, w zagajniku śpiewał ptak, gdzieś w oddali ryknęła krowa. Ten sielski obrazek zakłócił warkot silnika. Wyprostowała się energicznie, rozpoznawszy wynajęty wóz z Rileyem za kierownicą. Na jej widok zatrząbił energicznie. Poprawiła torebkę na ramieniu i zbiegła ze schodów. Pokonała drogę do samochodu kilkoma długimi krokami.

– Cześć. – Wsiadła od strony pasażera.

– Cześć. – Riley poczekał, aż zapnie pas, dopiero wtedy puścił hamulec ręczny. – Chyba jesteś dzisiaj w lepszym humorze.

– O wiele lepszym. – Naprawdę miała wrażenie, jakby olbrzymi ciężar zdjęto jej z serca. – Nawet nie wiem, dlaczego. Nie zmieniło się nic oprócz mojego nastroju.

– Czasami to wystarczy. – Zawrócił w stronę szosy.

– Mnie najwyraźniej wystarczyło – przyznała. – Wczoraj czułam się jak morderczyni, terrorystka, jednym słowem, jakbym stała się jedną z tych, przed którymi chronimy naszych klientów. Nie wiem, pewnie tak na mnie wpłynęły zdjęcia w areszcie, pobieranie odcisków palców, zarzut morderstwa... To nie dawało mi spokoju i dlatego wszystko budziło we mnie wątpliwości. Przestałam wierzyć samej sobie. Ale ja wiem, co się stało. Niczego sobie nie wyobraziłam. W podobnych okolicznościach postąpiłabym tak samo. To brzmi okrutnie i bezlitośnie, prawda?

– Trochę. Ale znam cię i wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– To dobrze. – Poprawiła się na siedzeniu. Wbiła wzrok w górski łańcuch przed nimi. – Chciałabym, żeby mi było przykro, ale cały czas czuję jedynie żal.

Zdaję sobie sprawę, że on do końca nigdy nie zniknie. Zabiłam człowieka. Już nigdy nie będę taka jak przedtem.

– I dobrze – zapewnił. – Gdyby było inaczej, dopiero miałabyś powód do zmartwień.

– Pewnie tak – mruknęła. Przez jakiś czas jechali w przyjaznym milczeniu. – A co przez cały ten czas porabia Rina?

– Kto wie? Nie wpadła z wizytą ani nie zadzwoniła.

– Nadal jest w Aspen?

– Tak. Wczoraj po południu uciałem sobie pogawędkę z jednym dziennikarzem. Opowiadał o spotkaniu z pokojówką hotelową. Rzekomo była w pokoju Riny akurat kiedy podawano w telewizji wiadomość o strzelaninie. Pokojówka wyraziła swoją opinię, że „straszna szkoda

biednej kobiety”, mając na myśli Susan. Na co Rina odparła: „Straszna szkoda, ale tego, że ta St. Jacques nie zabiła sukinsyna przed swoją śmiercią”. Następnie zaczęła zwykłą tyradę na temat, jak to Lucas wykorzystuje kobiety, i że mu się nie upiecze to, jak ją potraktował... Nic nowego.

– Dziwię się, że Rina nie poleciała do prasy.

– Jest mądrzejsza, niż nam się wydaje – odparł, zanim zacytował: – „Wszystko co powiesz może być użyte przeciwko tobie”. Własne słowa na taśmie mogą się okazać bardziej obciążające niż zeznania świadka.

– Fakt. – Po jej ustach błąkał się smutny uśmiezek. – Wiesz, jako zawodowiec chciałabym, żeby dała Lucasowi spokój. Ale egoizm podpowiada mi, że mogłaby spróbować dopaść go jeszcze raz, abym miała okazję udowodnić, że mam rację.

– Rozumiem. – Zapalił papierosa. Otworzył okno, by dym nie gromadził się w samochodzie.

– Jedziemy po Bannona do kancelarii czy spotkamy się już w domu?

– W domu. Prawdopodobnie już tam jest. – Rzucił okiem na zegarek Doskonale. Ale na wszelki wypadek zwróć szczególną uwagę na takie dwie wskazówki.

Chciał zapoznać adwokata z wszystkim, co zdarzyło się zarówno przed, jak i po wypadku. Zerknął na nią z uśmiechem.

– Czy dobrze pamiętasz to, co zaszło tej nocy?

Delaney skinęła głową.

– To były chwile, o których chciałabym zapomnieć. Ale wielokrotnie powraca mi pamięć tych strzałów, rozbrzmiewających przede mną, obok mnie, z tyłu.

– Dobrze. Zachowaj ten obraz w pamięci, aby nie przeoczyć szczegółów.

– Postaram się.

Przy podjeździe czekało z pół tuzina fotografów. Rozmawiali głównie między sobą, tylko czasami zamienili parę słów z umundurowanymi strażnikami. Na widok samochodu Riley'a zerwali się na równe nogi, wycelowali w Delaney obiektywy aparatów. Starła się nie zwracać na nich uwagi.

– Kiedy zainstalują bramę? – wycodziła przez zęby.

– Oby jak najszybciej, prawda?

Vance usunął wynajęty wóz z drogi, żeby mogli przejechać. Kiedy go mijali, pomachał energicznie. Stanęli posłusznie.

– Pan Bannon kazał wam powiedzieć, że będzie w domu.

– W porządku, dziękuję. – Riley nacisnął pedał gazu. – Pewnie przesłuchuje Lucasa. Ciekawe, co pamięta.

Zaparkowali obok samochodu Bannona, wysiedli, podeszli do drzwi wejściowych. Otworzył im Wyatt z krótkofalówką w ręku.

– Są w salonie.

– Dziękuję. – Błądziła wzrokiem po holu z żyrandolem z jelenich rogów. Upłynęło zaledwie trzydzieści sześć godzin, odkąd ostatnio przebywała w tym domu. Tylko trzydzieści sześć godzin, a tyle się wydarzyło, tyle zmieniło.

Z westchnieniem skierowała się do białego salonu. Arthur czekał przy drzwiach.

– Cieszę się, że cię widzę, Delaney. Nawet nie pytam, jak się czujesz. To koszmar, istny koszmar.

Za jego plecami dostrzegła Toma Bannona. Obserwował ich powitanie z białego fotela. W dżinsach i białej koszulce nie wyglądał na prawnika. Uzupełnieniem swobodniejszego stroju była również sportowa kurtka przerzucona niedbale przez poręcz krzesła.

– Delaney, wiedz, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – Arthur powiedział to z nietypowym dla niego współczuciem i troską.

– Nie tylko tobie.

– Wiem. – Pochylił głowę. – To się nie powinno było wydarzyć.

Kątem oka dostrzegła ruch po przeciwnej stronie pokoju. Odwróciła się, gdy Lucas do niej podchodził. W czarnej koszulce polo, czarnych spodniach, przy jego ciemnych włosach i oprawie oczu, mógłby robić przygnębiające wrażenie, ale wyglądał seksownie i męsko.

– Delaney. – W jego głosie była ulga, ale w oczach malowała się troska.

– Cześć, Lucas. – Minęła Arthura w drzwiach. – Jak się czujesz?

– Nie, to ja powinienem zapytać, jak ty się czujesz. – Położył dłonie na jej ramionach.

– Dobrze. – Wczoraj rano taka odpowiedź byłaby kłamstwem, ale nie dzisiaj.

– Naprawdę? – Delikatnie masował jej barki przez cienki jedwab bluzki.

– Na sto procent.

– Boże, nie mogę uwierzyć, co się stało – szepnął. – To moja wina. Powiedziałem, że to Rina...

Arthur nie dał mu dokończyć.

– Jeśli w ogóle możemy tu mówić o winie, to ponosi ją Rina Cole. Po tym, jak zadzwoniła, wszyscy reagowaliśmy inaczej niż zwykle. Do licha, co ja mówię, po telefonie? Przed telefonem też.

– Właśnie powiedziałem panu Bannonowi, że zatelefonowała do mnie. – Lucas puścił Delaney i spojrzał na adwokata.

– „Bannon” w zupełności wystarczy. – Prawnik wstał z fotela, wyciągnął rękę do Delaney. – Dobrze, że już jesteś, Delaney. Mam nadzieję, że trochę wypoczęłaś?

– Tak. – Podała mu rękę.

– Siadaj. – Wskazał fotel naprzeciwko. – Pan Wayne usiłował sobie przypomnieć wszystko, co zapamiętał z tamtej nocy, z wydarzeń poprzedzających strzelaninę.

Delaney usiadła, Lucas poszedł w jej ślady, zrzuciwszy kolorową poduszkę z kanapy. Arthur stał. Riley i Wyatt trzymali się z boku.

– W porządku – zaczął Bannon. – Co się działo po telefonie? Tym od Riny Cole.

– Nic. To znaczy, zdenerwowałem się. To wariatka. – Lucas pochylił się, oparł łokcie na kolanach, przejechał palcami przez włosy. – Później zjedliśmy kolację, chociaż apetyt nikomu nie dopisywał. Wróciliśmy tutaj, do salonu. Piłem drinka... nie pamiętam. Zrobiłem goja sam czy Arthur...

– Ja – wtrącił się Arthur. – Brandy.

– Rzeczywiście. – Lucas skinął głową, jakby dokładnie to sobie przypomniął. – Pamiętam, że kiedy po kilku minutach zadzwonił telefon, upuściłem szklanę. Myślałem, że to znowu Rina, ale to była Susan.

– Odebrał pan? – zainteresował się Bannon.

– Nie, ja odebrałam – wtrąciła się Delaney. – To była Susan, poznałam po głosie. Chciała rozmawiać z Lucasem.

– Która była godzina w przybliżeniu?

– Między ósmą a wpół do dziewiątej – zdecydował po chwili Lucas. – Na dworze było już ciemno.

– Co panu powiedziała?

– Dzwoniła od znajomych. Nawet jeśli powiedziała od kogo, nie pamiętam. Szczerze mówiąc, słuchałem jej jednym uchem. Nie mogłem przestać myśleć o Rinie. – Nerwowo zaciskał rękę. – Susan chciała tu wpaść i podrzucić mi dokumenty do przejrzenia. Miały coś wspólnego z obrazem, który niedawno oglądałem w jej galerii. Zgodziłem się i odłożyłem słuchawkę. Niestety... – Z westchnieniem zerknął na Delaney. – Nie powiedziałem nikomu, że tu wpadnie. Uznałem, że to nieistotne.

Bannon uśmiechnął się wyrozumiale.

– A potem?

– Riley i Arthur zaraz potem wyszli...

Adwokat przerwał mu ponownie:

– Wtedy poszedłeś zmienić człowieka pilnującego na zewnątrz, żeby mógł zjeść kolację? – zapytał Rileya.

– Tak.

– A ja wyszedłem się przejść – dorzucił Arthur.

– Więc Delaney i Lucas zostali sami – wywnioskował Bannon.

– Tak. Rozmawialiśmy. Pamiętam, jak ją przeproszałem...

– Przeproszał pan? – powtórzył adwokat.

– Tak. Wcześniej na nią nawrzeszczałem jedynie dlatego, że była pod ręką. W każdym razie

potem zaproponowałem, żebyśmy wyszli na werandę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Bannon odwrócił głowę, nie wstając z fotela.

– Zakładam, że mówiąc o werandzie, ma pan na myśli tę? – wskazał.

– Tak.

Wstał.

– Czy mógłby pan pokazać, w którym mniej więcej miejscu się pan znajdował?

– Jeśli pana zdaniem to pomoże...

Lucas podniósł się z kanapy. Delaney ruszyła za nim, za nią poszli Riley, Wyatt i Arthur.

Lucas zastanawiał się przez moment, po czym podszedł do poręczy.

– Chyba tutaj.

– Delaney, co ty na to?

Podchodząc bliżej, dostrzegła żółtą taśmę, którą policja odgradza miejsce zbrodni. Na ścieżce widniały białe kontury ciała Susan. Delaney wydawało się, że ponownie widzi zwłoki. Znowu ogarnęły ją mdłości, ale ostatekiem sił odzyskała panowanie nad sobą.

Przyglądała się uważnie, po czym podeszła do niego.

– Sześć cali w tę stronę, Lucas – oceniła. – Tak, teraz jest dobrze.

– Przepraszam... – zaczął.

– Nie trzeba. – Bannon zbył go machnięciem ręki. – To i tak nieistotne. Proszę mówić dalej, panie Wayne. Wyszedł pan i stanął przy poręczy.

– Rozmawialiśmy. To znaczy ja mówiłem, a Delaney słuchała...

– Chwileczkę. – Bannon uniósł rękę. – A światła? Były włączone czy nie?

– Reflektory w krzakach i przy ścieżce były włączone, włączają się automatycznie o ósmej – wyjaśnił Lucas. – Ale na werandzie były zgaszone.

– W salonie wszystkie lampy się paliły – uzupełniła Delaney.

– Rozumiem. – Zerknął na ścieżkę. – A zatem oboje byliście doskonale widoczni dla kogoś idącego ścieżką. Przepraszam, że znowu przerwałem, proszę mówić dalej. Rozmawiał pan z Delaney?

– Zupełnie przypadkowo spojrzałem w tamtą stronę, nie wiem dlaczego. Może zauważyłem ruch. Nagle tam była...

Bannon znowu mu przerwał.

– Czy może pan mniej więcej określić, jak długo tu staliście?

Lucas zamyślił się.

– Jak sądzisz? Pięć minut? Dziesięć? – pytająco popatrzył na Delaney.

– Coś koło tego. W każdym razie niedługo – zgodziła się.

– Jak Susan się tu dostała? Przyjechała samochodem? – To pytanie było skierowane do Rileya.

– Piechotę.

– To wyjaśnia, dlaczego nie widzieli reflektorów ani nie słyszeli silnika – pokiwał głową. –

W tym czasie był pan przy podjeździe.

– Razem z Wyattem.

– Rozumiem. A pan, panie Golden?

– Na spacerze – odparł. – Razem z Rileyem doszedłem do drogi. On i Wyatt rozmawiali, ja nie mogłem ustać spokojnie. Ruszyłem w kierunku domu.

– Czy widział pan Susan St. Jacques?

– Nie. – Energicznie pokręcił głową. – Kiedy się zbliżała, byłem chyba niedaleko garażu, może na tyłach domu. Tam właśnie usłyszałem strzały.

– Uprowadza pan moje pytania, panie Golden – uśmiechnął się Bannon. Teraz zajął się Rileyem:

– Co się dokładnie działo po jej przybyciu?

– Powiedziała, że ma jakieś dokumenty dla Lucasa, więc ją wpuściłem. Pamiętam, że wtedy pomyślałem, że powinienem był zostawić Delaney moją krótkofalówkę – przypomniał sobie z goryczą. – Jej nie działała, więc nie miałem możliwości uprzedzić, że Susan się zbliża.

– A zatem myślał pan, że ona i pan Wayne są nadal w środku? Nie wiedział pan, że wyszli na werandę?

– Nie. Z podjazdu nie widać tej części budynku. Zastaniają ją zarośla.

– I odwrotnie, z werandy nie widać podjazdu – mruknął Bannon. – Zastanawia mnie, skąd Susan wiedziała, gdzie jesteście. Delaney nie szła do drzwi wejściowych? Czy widać werandę z tamtej strony?

– Oczywiście.

– Teraz, Riley, powiedz mi, jakie wrażenie zrobiła na tobie Susan? Jak się zachowywała?

– Śpieszyła się, ale poza tym nic nie wskazywało na to, aby coś ją dręczyło.

– Dobrze. Wróćmy do pana, panie Wayne. Zerknął pan na ścieżkę – odpowiedział, chcąc mu przypomnieć, gdzie skończył.

– Zerknąłem na ścieżkę i wtedy ją zobaczyłem... byłem jednak przekonany, że to Rina. Do dzisiaj nie mogę się pozbyć tego wrażenia. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Może dzięki jasnym włosom albo skórzanym spodniom. Rina bardzo chętnie nosi skórę, zamsz, futra, i nigdy nie wkłada bielizny do takich strojów. Ma obsesję na punkcie zwierzęcej skóry na swoim ciele. – Powoli uniósł głowę. – Ale skoro ja, który znałem Susan dłużej niż Rinę, popełniłem taką pomyłkę, nic dziwnego, że coś podobnego przydarzyło się Delaney, zwłaszcza że Susan miała broń. Bo miała, Bannon, widziałem ją. Nie wiem, jakim cudem policjanci jej nie znaleźli.

– Ja ci powiem, jakim cudem – zaperzył się Arthur. – To brak kompetencji!

Bannon uciszył go ruchem ręki.

– Proszę kontynuować, panie Wayne. Widział pan broń.

– Krzyknąłem do Delaney, że to Rina i że jest uzbrojona.

– Delaney stała tu z panem?

– Twarzą do mnie... tyłem do ścieżki. Ledwie to powiedziałem, odepchnęła mnie od poręczy i krzyknęła, abym szedł do domu. Na czworakach rzuciłem się do drzwi. Usłyszałem strzały. Zanim wszedłem do środka...

– Ile strzałów pan słyszał? – zapytał Bannon. Delaney zastygła w bezruchu.

– Cztery, chyba cztery – padła odpowiedź, a pod nią ugięły się nogi.

– Twój a kolej, Delaney. Opowiedz swoją wersję od momentu, gdy pan Wayne krzyknął do ciebie, że widzi Rinę i że ona ma broń.

– Odepchnęłam go i kazałam wracać do domu. Jednocześnie odwróciłam się, wyjęłam broń. Nie zdążyłam zająć pozycji, kiedy zobaczyłam błysk i usłyszałam huk wystrzału...

– Momencik! – Bannon machał ręką. – Riley, idź na ścieżkę i stań tam, gdzie była Susan. Chciałbym, żebyśmy spróbowali odegrać to jeszcze raz.

– W porządku. – Riley zbiegł na ścieżkę, pochylony przeszedł pod żółtą taśmą.

– Delaney, stań do niego tyłem i dokładnie pokaż, co robiłaś w każdym momencie.

Postusznie stanęła tyłem do dróżki. Zamknęła oczy, pozwalając wspomnieniom płynąć.

– Lewą ręką odepchnęłam Lucasa. Odwróciłam się i wyjęłam pistolet. Usłyszałam ochrypły krzyk: „Ty draniu!” – Zastygła w bezruchu. – Chyba w tym momencie zobaczyłam błysk wystrzału.

– Jak ci się wydaje, skąd mógł paść strzał? – dopytywał się Bannon. Po chwili dodał: – Zdaje sobie sprawę, że światło dnia zmienia obraz, ale wyobraź sobie, że jest ciemno. Riley! – Zawołał. – Zajmij pozycję, z jakiej twoim zdaniem Susan strzelała.

Delaney nie drgnęła. Riley wyciągnął ręce, zacisnął dłonie na kolbie nie istniejącego pistoletu.

– Nie. – Zamknęła oczy. – Błysk padł z okolic tamtego krzaka, tam, przy ścieżce. I był niżej.

– Otworzyła oczy. – Chyba strzelała z biodra. – Riley posłusznie obniżył ręce. Delaney zmarszczyła czoło. – Nie, ciągle za wysoko.

– Pewnie dlatego, że Riley jest wyższy od Susan. Mów dalej.

– W następnej chwili zobaczyłam ją. Wtedy już strzelałam. Kiedy upadła, miałam ją na muszce, dopóki nie zjawił się Riley. Był z nim Wyatt. Kazałam mu wezwać policję i pogotowie i przynieść z domu apteczkę. Potem... – Oderwała się od poręczy, zbiegła na dół. – Dotarło do mnie, co zrobiłam. – Urwała. – Mam mówić dalej?

Bannon skinął głową.

– Rób dokładnie to co wtedy – poprosił. Podążył za nią, a za nim pozostali.

Zatrzymała się przy skrzyżowaniu dwóch ścieżek.



– Tu zobaczyłam Riley'a nad ciałem. – Riley przyklęknął, jak wtedy. – Arthur też tu był.

– Panie Golden! – Bannon skinął na niego.

Delaney czekała, aż Arthur dołączy do Riley'a.

– Chciałam zapytać, czy nie żyje, ale to słowo nie chciało mi przejść przez gardło. Riley powiedział, że nie może znaleźć pulsu, że nie żyje. Wtedy zwymiotowałam – wyznała cicho.

– To normalna reakcja – Bannon poklepał ją po ramieniu.

– Riley powiedział to samo. I jeszcze że to Susan. Nie Rina. Nie uwierzyłam mu, podeszłam, żeby się przekonać na własne oczy.

Bannon dał jej do zrozumienia, że ma dalej odgrywać wydarzenia tamtej nocy, więc posłusznie wślizgnęła się pod taśmę.

– Riley, czy nie myłę się, zakładając, że byłeś przy wjeździe, kiedy usłyszałeś strzały?

– Tak, razem z Wyattem.

– A pan, panie Golden, twierdzi, że w tym czasie był za domem?

– Tak, chociaż w pierwszej chwili nie wiedziałem, że to strzały. Myślałem, że ktoś puszcza sztuczne ognie. Dopiero kiedy usłyszałem krzyk, nie wiadomo czyj, dotarło do mnie, że to były strzały.

– Ile strzałów?

– Nie wiem, nie liczyłem. Kilka, jeden po drugim. Trzy, cztery, pięć, może więcej, nie mam pojęcia.

– A pan, Wyatt? Ile strzałów pan słyszał?

– Pięć.

Delaney wiedziała, że Bannon celowo nie zapytał jej, ile razy pociągnęła za spust. Nie chciał, by pozostali sugerowali się jej odpowiedzią. Musieli polegać jedynie na swojej pamięci.

– Riley?

– Sześć, jestem pewny.

Miała ochotę go uściskać.

– W porządku. Delaney, spojrzawsz na zwłoki i przekonałaś się, że to Susan. – Bannon pstryknął palcami.

– Zapytałam Riley'a, dlaczego Susan miałyby zabijać Lucasa. Rozglądaliśmy się za jej bronią. Nie było jej obok ciała. Wtedy usłyszeliśmy policyjne syreny...

– Hej! – Toby zmierzał ku nim przez trawnik. Miał bardzo groźną minę. – Wyłazcie stamtąd! Policjant będzie wściekły, kiedy się o tym dowie. Nikomu nie wolno tam wchodzić!

– Już dobrze, Toby. – Lucas zrobił krok do przodu. – Policja im pozwoliła.

– Ale policjant mi powiedział, że nikomu nie wolno tam wchodzić, Luke – upierał się Toby.

– Wiem – Lucas skinął głową. – Ale widzisz, to jest pan Bannon. Pomaga Delaney. Policjanci im pozwolili tam wejść. – Posłał adwokatowi przeprasające spojrzenie. – Proszę

wybaczyć za to zamieszanie. To Toby Williams. On... pomaga ogrodnikowi. Jest bardzo sumienny i wypełnia polecenia co do joty.

– To bardzo dobrze. – Bannon uśmiechnął się ciepło. – I miałeś rację, mówiąc, że nikomu nie wolno tu wchodzić. Ale policjanci naprawdę nam pozwolili, tylko ten jeden raz.

– Skoro pan tak mówi... – Ale Toby nie wydawał się przekonany. Nie spuszczał ich z oka, jakby się spodziewał, że znowu zrobią coś nie tak.

Bannon nie zwracał na niego uwagi.

– Co zrobiłaś, kiedy nie znalazłaś broni przy zwłokach?

– Nic. Wysłałam z założenia, że znaj dają policjanci w czasie zabezpieczania terenu. Wiedziałam, że miała broń, pomyślałam więc, że pistolet wysunął się jej z ręki i wpadł dalej, w krzaki. – Rozejrzała się dokoła, jakby liczyła, że nagle go zobaczy. – Nadal nie rozumiem, jak mogli go nie znaleźć. Zaczynam wątpić w sumienność ich poszukiwań.

– Obeszli teren z wykrywaczem metalu – rzucił Wyatt. – Obserwowałem ich.

– A ja obserwowałem ich następnego ranka – włączył się Arthur. – Kiedy przeszukiwali zarośla. Chyba myśleli, że może pistolet zaplątał się w gałęzie.

Pamiętam ten krzew. – Podszedł do rośliny. Sięgała mu do piersi. – Ilekroć rozchylali gałęzie, odskakiwali w tył klnąc głośno. Chyba ma bardzo ostre kolce. – Najwyraźniej chcąc się o tym przekonać na własnej skórze, Arthur rozsunął gałęzie. – Ojej! Tu coś jest!

Bannon powstrzymał Rileya.

– Lepiej będzie, jeśli ja tam pójde.

Przy krzewie wyjął z kieszeni białą chusteczkę do nosa i owinął nią dłoń, żeby się nie pokłuć. Ukucnął i odgiął gałąź, którą trzymał Arthur. Delaney nie spuszczała z niego oka. Sekundy mijały. Bannon nie podnosił głowy.

– Wygląda na to, panie Golden, że niechcący znalazł pan tę broń – oznajmił z godnym podziwu spokojem.

– Naprawdę? – Delaney bała się uwierzyć w tak szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Naprawdę. – Ciągłe trzymając gałąź, poprosił: – Niech ktoś skoczy po Franka Johnsona, jest na posterunku przy drodze. Potrzebne nam rękawiczki i coś na zabezpieczenie dowodu.

– Mam rękawiczki w samochodzie, a w kuchni są worki plastikowe – zaoferował się Lucas. – Czy to wystarczy?

– Tak. – Bannon skinął głową. Wyatt przez radio prosił Vance'a, by przysłał Franka Johnsona na miejscu wypadku, Lucas pobiegł do domu, a Bannon ciągle zastanawiał się na głos.

– Ciekawe, jakim cudem znalazła się tak daleko. Albo rzucono ją z wielką siłą, albo... – Na próbę kilkakrotnie poruszył gałęzią. – Ciekawe. Za każdym razem broń wsuwa się głębiej. Pewnie dlatego jej nie zauważyli.

Po przybyciu policjanta Bannon pokazał mu krzak i wyjaśnił, jak niechcący znaleźli pistolet.

Oficer w rękawiczkach ostrożnie wyjął ją z zarośli i wsunął do plastikowej torebki.

Ledwie odjechał z nowym dowodem rzeczowym w tej sprawie, Arthur z zadowoleniem zatarł ręce.

– Chyba mamy co świętować. Kiedy znaleźliśmy ten pistolet, nie mogą dłużej zarzucać Delaney zabójstwa. Chodźmy do domu, na drinka. Nie obchodzi mnie, która to godzina.

Bannon z uśmiechem wziął Delaney pod rękę.

– Mamy wszelkie powody przypuszczać, że ta sprawa zakończy się szybko i bezboleśnie. Znalezienie pistoletu potwierdza twoje zeznania, że była uzbrojona. Mimo wszystko, póki sprawa sienie skończy, zrezygnuj z drinka. Może jestem przesądny – dodał na koniec.

– Ulżyło mi, że znaleziono pistolet – powiedziała Delaney. – Teraz mamy coś więcej niż zeznania Lucasa i moje.

– Bałaś się, co? – Bannon puścił do niej oko.

– Tak.

– Ja też – przyznał z uśmiechem.

– Właśnie sobie coś uświadomiłem. – Arthur zatrzymał się w połowie schodów na werandę.

– Co będzie w tej sytuacji ze środowym pogrzebem?

– A co ma być, panie Golden? – Bannon nie wiedział, o co chodzi.

– Czy Lucas ma posłać kwiaty czy nie? Chciała go zabić, Bóg jeden wie dlaczego, ale nie żyje, więc musimy robić dobrą minę do złej gry. Nie chcę, żeby uważano Lucasa za nieczułego drania. – Zastanawiał się, co byłoby najlepsze. Po chwili zapytał: – Pan tu mieszka, Bannon. Jakiego pan jest zdania?

Adwokat wzruszył ramionami.

– Ja sądzę, że nic złego by się nie stało, gdyby pan Wayne posłał kwiaty, choć sam nie powinien uczestniczyć w pogrzebie.

– Arthur, już o tym rozmawialiśmy – wtrącił się Lucas. – Poślę kwiaty, to postanowione. Nie ma o czym mówić.

– Jak to nie? – obruszył się. – Jakie kwiaty? Okazały wieniec czy skromną wiązanekę? Jaki ma być napis na wstędze? Musimy się naradzić z ludźmi od public relations.

– Dlaczego ty zawsze wszystko tak cholernie komplikujesz? – Lucas był zirytowany. Nie zauważył, że Bannon i Delaney dyskretnie zostali w tyle, a wraz z nimi Riley i Toby. Arthur łypnął na Wyatta, podążającego za nimi w odpowiedniej odległości.

– Bo jesteśmy w cholernie skomplikowanej sytuacji – odpowiedział.

– Wiem. – Nawet z daleka Delaney usłyszała jego ciężkie westchnienie.

– Lilie – zdecydował Arthur. – Lilie będą najlepsze.

Za plecami usłyszała, jak Toby mamrocze pod nosem:

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz? – zainteresowała się.

– Kiedy jest się martwym, nie widzisz kwiatów. Nie możesz ich powąchać. Dlaczego Luke chce jej posłać kwiaty?

Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Bo... bo jest taki zwyczaj, że się kładzie kwiaty na grobach.

– Dlaczego?

No właśnie, dlaczego, zadawała sobie to pytanie w myśli. Ani Riley, ani Bannon nie spieszili jej z pomocą, więc spróbowała jeszcze raz:

– W ten sposób okazujesz, że ci przykro, że ktoś nie żyje. – Toby słuchał uważnie, z wysiłku ściągnął brwi, nie chcąc uronić ani jednego słowa. – Przykro ci, że Susan nie żyje, prawda?

– Nie lubiła mnie. – Naburmuszył się jak małe dziecko.

– Może nie – zgodziła się. Nagle ogarnęła ją fala współczucia i podziwu dla matek, które muszą odpowiadać na trudne pytania dzieci. – Ale i tak ci przykro, że nie żyje, prawda?

– Chyba tak.

– Ale nie możesz jej tego powiedzieć?

– Nie. Nie słyszy. Jest martwa.

– No właśnie. Ale ponieważ jest ci przykro, chciałbyś coś zrobić, żeby pokazać, że ci przykro, więc kładziesz kwiaty na grób. – Wstrzymała oddech, czekając na kolejne „dlaczego”.

– Czy wtedy czujesz się lepiej?

– Troszeczkę.

Czekała, aż Toby coś powie, ale najwyraźniej zadowolony go jej wyjaśnienia. Odszedł, pogrążony w zadumie. Bannon zwrócił się do Riley:

– Teraz wiemy, dlaczego Bóg uczynił kobiety matkami.

– Doskonale się spisałaś. – Riley patrzył na nią z aprobatą.

Była z siebie dumna, co nie przeszkodziło jej dokuczyć im trochę.

– Ale wasza pomoc bardzo by mi się przydała.

– Skądże znowu – wykręcał się Bannon. – Byłaś wspaniała. Podsumowując uważam, że to był dobry ranek.

Lucas usłyszał tylko ostatnie zdanie.

– Bardzo dobry ranek – poprawił.

– Ale... – Bannon zabawnie przechylił głowę – jak wszystkie dobre rzeczy, musi się skończyć. Wracam do kancelarii. – Spojrzał na Delaney. – Zadzwoń do ciebie później, oby z dobrą nowiną.

– Będę czekała.

– Panie Wayne, dziękuję za czas, który mi pan poświęcił. – Uścisnął dłoń aktora.

Po jego wyjściu Riley stwierdził:

– Na nas też czas.

Lucas zmarszczył brwi.

– Chyba jeszcze nie wychodzisz, Delaney?

Riley nie dał jej dojść do głosu.

– Chcę ją stąd zabrać, póki jest spokój. Według mnie dziennikarze wiedzą już, że znaleźliśmy broń. W tej chwili nie będą sobie zawracać nami głowy.

Widząc, jak Lucas gniewnie zaciska usta, Delaney rzuciła:

– On ma rację.

– Wiem. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Ale to mi wcale nie poprawia humoru. – Spowaźniał. – Delaney, brakuje mi Ciebie. Nie mogę się doczekać, kiedy będzie po wszystkim i wrócisz tu, gdzie twoje miejsce.

– Spójrz na to z drugiej strony, Lucas. – Miała ochotę pocieszać go jakby był małym chłopcem. – Może Rina przestraszy się tego zamieszania i uzna, że nie będzie więcej ryzykowała. Wcale mnie to nie zdziwi.

– I tak chciałbym mieć Cię u boku, Delaney. Nie wyobrażam sobie życia bez Ciebie.

– Podobne rzeczy słyszą lekarze od pacjentów – zażartowała. Riley dyskretnie pociągnął ją za rękaw.

– To co innego.

– Skoro tak mówisz... – Nie miała siły na dyskusję. – Będziemy w kontakcie, albo osobiście albo przez Rileyę. – Z tymi słowami pozwoliła Rileyowi zaprowadzić się do samochodu.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Riley przywiózł ją na rancho niewiele po pierwszej. Pomachała mu na pożeranie, biegnąc do domu. Na werandzie omal nie wpadła na Laurę. Dziewczynka, ubrana w wypłowiałe dżinsy i zieloną koszulkę, w starych kowbojkach, trzymała w dłoni skórzane rękawiczki.

– Dzień dobry! – zatrzymała się na widok Delaney.

– Cześć. – Delaney uśmiechnęła się beztrąsko. – Wybierasz się na konną przejażdżkę?

– Tak. Obiecałam tacie, że zajrzę do kilku klaczy, które jakiś czas temu poraniły sobie kopyta w górach. Ma pani ochotę się dołączyć?

– Nie, ale dziękuję za propozycję. – Odwróciła się w stronę domu. – Gdzie Kit?

– Chyba w ogrodzie. Właśnie uśpiła chłopców. Zazwyczaj w tym czasie zajmuje się ogrodem.

– Poszukam jej.

Znalazła Kit za domem, gdzie pielęła grządki różowego geranium. Na odgłos kroków przysiadła na piętach.

– Wróciłaś wcześniej, niż się spodziewałam – stwierdziła z uśmiechem. – Chyba nie muszę pytać, jak było. Wyglądasz na bardzo zadowoloną.

– Zadowoloną, szczęśliwą, zmęczoną... wszystkiego po trochu – odpowiedziała, zanim pokrótce streściła wydarzenia poranka. – Mam nadzieję, że teraz to już formalność.

– Oby tak było – mruknęła Kit.

– Też trzymam kciuki.

Kit energicznie poderwała się z klęczek.

– Moim zdaniem, musimy to oblać szklanką bardzo zimnej i bardzo smacznej herbaty malinowej, co ty na to?

– Z wielką ochotą.

Powoli szły do domu.

– Zjadłaś lunch w mieście, prawda? – zapytała nagle Kit.

– Właściwie nie, ja...

– Dobry Boże, na pewno umierasz z głodu.

Jakby w odpowiedzi zaburczało jej w brzuchu. Delaney parsknęła śmiechem.

– Szczerze mówiąc, tak.

– Zaraz jakoś temu zaradzimy.

Godzinę później usadowiła się na werandzie, przyjemnie najedzona po lekkim posiłku, na który składały się sałatka krabowa, surówka z kapusty i ananasa i świeże owoce. W wysokiej szklance z lodem chlupotała kolejna porcja mrożonej herbaty malinowej. Znad krawędzi naczynia spojrzała na Kit.

– Lunch był pyszny. Na wypadek, gdybym tego do tej pory nie zrobiła, bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co. – Stuknęły się szklankami. – Z zadowoleniem obserwowałam, jak zmiotasz wszystko z talerza. Zaraz po przyjeździe grzebałaś widelcem w talerzu jak modelka na diecie.

– Miałam za dużo na głowie. – Teraz przestała się martwić. Majestatyczne Góry Skaliste dominowały nad doliną. Gdzieś tam zieleniły się drzewa. – Pięknie tu – szepnęła. – Tak cicho i spokojnie.

– Ciesz się, póki możesz – poradziła Kit z błyskiem w oku. – Kiedy chłopcy się obudzą, a nastąpi to lada chwila, nie zaznasz ani ciszy, ani spokoju. – Wytężyła wzrok. – Chyba ktoś jedzie.

– Może Riley. Miał odebrać mojego tatę z lotniska. – Delaney również wpatrywała się w dal. Warkot silnika był coraz wyraźniejszy. Zaraz ich oczom ukazał się czerwony sportowy samochód. Z okna wystawała psia głowa. Delaney rozbawiona pokręciła głową. – To mój tata, ale bez Rileya.

Samochód z fantazją wjechał na podwórze i zahamował tuż przed werandą. Odstawiwszy szklankę na poręcz, pobiegła się przywitać.

Gordon Wescott wysiadł pierwszy, pies zaraz po nim. Owczarek popatrzył na niego grzecznie, lecz gdy zobaczył Delaney, puścił się pędem, piszcząc z radości. Z głośnym śmiechem pochyliła się, przygotowana na zderzenie z prawie stufuntowym cielskiem.

– Ollie, staruszkule, jak się masz? – Klepała go po grzbiecie, drapała za uszami i robiła co w jej mocy, byle uniknąć zamasztych młasnici wielkim jęzorem. Owczarek wiercił się i kręcił jak szczeniak. – Ja też za tobą tęskniłam, Ollie – szepnęła, zanim się wyprostowała, żeby przywitać ojca. – Nie pomyślałam, że przywieziesz psa.

– Uznałam, że przyda ci się, żeby odganiać złe sny. – Przyjrzał się jej uważnie. – Bo chyba nikt nie zajął jego miejsca w twoim łóżku?

Wiedziała, kogo miał na myśli. Jareda.

– Nie, tato.

Usatysfakcjonowany, dopiero teraz szeroko otworzył ramiona.

– Więc jak się ma moja dziewczynka?

– Świetnie, tato. Po prostu świetnie. – Miała go pocałować na powitanie, kiedy zobaczyła białe baczki. – Co to? – Dotknęła białego zarostu.

– Bokobrody. – Wydobył z kieszeni parę okularów i włożył na nos. – Do nowej roli. Jak myślisz, kiedy zapuszczę dłuższe baki, będę wyglądał jak profesor historii?

– Bardzo srogi i mądry – zapewniła, choć dla niej zawsze będzie wyglądał jak jej ojciec.

– Gram starego drania o złotym sercu.

– Autor scenariusza chyba cię dobrze zna. – Cmoknęła go w policzek i zaraz odsunęła się ze skrzywioną miną. – Drapiesz.

– Z czasem kiedy urosną, moje baki będą łaskotać – pocieszył ją. Umilkł na chwilę, spoważniał, złagodniał. – Riley wszystko mi opowiedział. Tak się cieszę. Kamień spadł mi z serca.

– Mnie też. – Przytuliła go mocno. Pociągnęła za rękę. – Chodź, chcę ci przedstawić...

Nie miała okazji dokonać prezentacji Kit Bannon, bo ojciec nie dał jej dojść do słowa:

– ...Niech mnie kule biją, jeśli to nie cnotliwa Marilee z „Winds of Destiny”, znana również jako Kit Masters – zawołał. – Na pewno mnie pani nie pamięta, ale spotkaliśmy się kiedyś, przelotnie, na...

– Myli się pan, doskonale pana pamiętam. – Kit wyciągnęła na powitanie obie ręce i z żartobliwym wyrzutem zwróciła się do Delaney. – Nie powiedziałaś mi, że twój ojciec to *ten* Gordon Wescott, wredny Stefan z „Bay City”.

– Nie przyszło mi do głowy, że możecie się znać – przyznała. – Czasami zapominam, jak w gruncie rzeczy małe jest Hollywood.

– A Stefan był dawno temu – uzupełnił Gordon. – Pochlebia mi, że pani go pamięta.

– Jakże mogłabym zapomnieć? – Kit zaniósła się śmiechem. – Nasz czarny charakter z „Winds of Destiny” skręcał się z zazdrości, nieustannie nękał scenarzystów prośbami o dopisanie czynów równie odrażających jak te, które były pana udziałem.

– W rzeczy samej, Stefan był potworem – zgodził się z dumą.

– Ludzie kochali pana nienawidzić – przyznała. – Jak minął lot?

– Najlepiej jak to możliwe, był długi, nudny, monotony.

– Gdzie Riley? – zainteresowała się Delaney. – Myślałam, że cię tu przywiezie.

– Po co? Mam własne cztery kółka. – Machnął ręką w stronę samochodu. – Wyjaśnił mi, jak tu dojechać. Wiedziałem, że skoro daję sobie radę w Los Angeles, takie góry to dla mnie dziecinada.

– A ja widziałam, że jechałeś jakbyś nadal był na autostradzie. Nie gnaj tak – skarciła go, choć wiedziała, że jej słowa trafiają w próżnię.

– Spróbuję-obecał.

– Właśnie piłyśmy z Delaney herbatę mrożoną. Może ma pan ochotę?

– Bardzo chętnie się napiję.

– Zaraz wracam. Proszę się rozgościć. – Kit znikła za drzwiami.

Ojciec i córka weszli na werandę ramię w ramię. Pies nie odstępował ich ani na krok. Zaledwie Delaney usiadła, wsadził jej nos w dłoń. Poklepała go po łbie. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

– Nie musiałeś tu przyjeżdżać, ale cieszę się, że to zrobiłeś – powiedziała do ojca.

– Ja też.

Z trudem opanowała przyпіływ uczuć.



– Powiedz, co się dzieje w Los Angeles?

– Piekło na ziemi, istne piekło na ziemi – stwierdził. – Telefon się urywał. Nie ma reżysera, scenarzysty, producenta, Bóg wie kogo jeszcze, którego znam, kto by nie zadzwonił z pytaniem, czy już sprzedałaś prawa na sfilmowanie swojej historii i gdzie mogą się z tobą skontaktować. Od Glendy wiem, że to samo działo się w biurze.

– Pewnie powinno mi to pochlebiać.

– Spójrz prawdzie w oczy, Delaney. Całe Hollywood mówi tylko o tobie. Wczoraj David Letterman w swoim talk-show nazwał cię „cholernie szybką mamuszką, z którą nie warto zadzierać”, a według Jaya Leno jesteś „Rambo w spódnicy; najpierw strzela, dopiero potem zadaje pytania”.

– No pięknie – burknęła. – Właśnie takiej reklamy nie potrzebuję.

– Nie narzekaj. Najważniejsze, że wymawiają poprawnie twoje nazwisko – zażartował.

– Wielkie dzięki – burknęła.

Kit wróciła tylko po to, by podać Gordonowi szklanekę z napojem.

– Moje urwisy zaraz się obudzą – wyjaśniła na odchodnym.

Niedługo potem wyszła z maluchem na rękę i zaspanym Tommym za plecami. Czterolatek ocknął się całkowicie na widok Olliego.

– Pies! – wrzasnął podekscytowany. – Mogę się z nim pobawić, mamó? Mogę? Proszę!

– Nie wiem... – zaczęła Kit.

Delaney nie czekała na jej odpowiedź.

– Tommy, masz piłkę? Ollie uwielbia bawić się piłką.

Nie upłynęła minuta, a chłopiec wrócił ze starą piłeczką tenisową. Cisnął ją psu. Wilczur aportował z wyraźnym zachwytem, dopóki samochód na podjeździe nie wzbudził w nim większego zainteresowania.

– To Bannon. – Kit rozpoznała półciężarówkę męża. – Wrócił wcześniej. Może ma dla ciebie jakieś wieści.

– Oby. – Delaney trzymała kciuki.

Półciężarówka zatrzymała się obok czerwonego camaro.

Bannon wysiadł z szoferki. Przerzucił marynarkę przez ramię. Pomachał do nich ze zdawkowym, nieco sztucznym uśmiechem.

– Piękny dzień, prawda?

– Tak. – Delaney obserwowała go uważnie, szukała jakiegoś znaku, który mógłby wskazywać, jakie wieści przynosi. Jego twarz była nieprzenikniona. Automatycznie przedstawiła Bannona ojcu, lecz czuła, jak narasta w niej napięcie. Powoli traciła cierpliwość. Panowie wymieniali uprzejmości. Przy pierwszej okazji wpadła im w słowo:

– Bannon, rozmawiałeś z prokuratorem? Czy odstąpił od zarzutów?

Nie odpowiadał, przyglądał się jej bacznie.

– Wejźmy do środka, usiądźmy i porozmawiajmy.

Delaney od razu się zjeżyła:

– Dlaczego mam usiąść? Co się stało? Przecież nie może się upierać przy...

– Niestety, może. Wejźmy... – Wskazał drzwi.

Żeby nie marnować czasu na kłótnie, Delaney posłusznie weszła do środka. Zatrzymała się dopiero przy kominku.

– Nie rozumiem – uniosła się. – Znaleźliśmy jej pistolet...

– *Jakiś* pistolet – poprawił.

– Co to ma znaczyć? – Odwróciła się błyskawicznie.

– To, że znaleźliśmy pistolet, z którego wystrzelono dwie kule. – Ciężko opadł na sofę. Nie zaproponował, by również usiadła. – Ale nie ma na nim odcisków palców. Starannie wyczyszczono kolbę i lufę. A na ręce nie znaleziono resztek prochu. Susan nie strzelała.

– Co? – Delaney nie wierzyła własnym uszom. – To niemożliwe. Przecież słyszałam strzały.

Ale czy naprawdę strzelała Susan? Przycisnęła dłoń do czoła, usiłując jak najdokładniej przypomnieć sobie tamten moment. Tylko Susan tam była. Nie mógł tego zrobić nikt inny.

– Przykro mi, Delaney, ale dowody wskazują na coś innego – Bannon bezradnie rozłożył ręce. – Obawiam się, że twoja sytuacja pogarsza się z każdą chwilą.

– Nie rozumiem. – Jej ojciec osunął się na bujany fotel. – Co to ma znaczyć? Dowody wskazują na coś innego?

– Nie ma żadnych dowodów rzeczowych, które potwierdzałyby twierdzenie Delaney, że strzelano do Lucasa czy do niej. Nie ma naocznych świadków samego zajścia – tłumaczył. – Lucas Wayne zeznał, że widział broń w dłoni Susan, ale słyszał tylko cztery strzały, czyli tyle, ile oddała Delaney. Poza tym był przekonany, że to Rina Cole. Skoro mógł się pomylić w tak istotnej sprawie, mógł się również mylić jeśli chodzi o broń.

– A pistolet, ten, który dzisiaj znaleziono? – dopytywał się Gordon.

– Taak, pistolet, który dzisiaj całkiem przypadkowo znaleziono – powtórzył Bannon przeciągle. – Prokurator nie cofnął się przed sugestią, niezbyt zawoalowaną, pozwolę sobie dodać, że niewykłuczone, iż ktoś podłożył ten pistolet, chcąc pomóc Delaney. Musiała to zrobić osoba nie mająca pojęcia o testach na proch.

Delaney pomyślała o Vance'u i Wyattcie. Obaj dawniej pracowali w policji. Nierzadko się zdarzało, że funkcjonariusze nosili przy sobie nie oznakowaną broń, którą można z łatwością podrzucić na miejscu zbrodni i tym samym chronić kolegę, oskarżonego o zabójstwo nie uzbrojonego człowieka. Kiedyś posiadanie takiego pistoletu było na porządku dziennym; niewykłuczone, że nadal to się zdarza.

Obaj nie ruszali się z posiadłości. Obaj mieli dość okazji, by podłożyć pistolet. Podobnie jak

Riley, on jednak nie zrobiłby tego, nawet żeby ją ratować. Gordon zmarszczył brwi.

– Ale z opowiadania Delaney wynika, że to Arthur Golden znalazł broń w krzakach. Nie powie mi pan chyba, że według prokuratora Arthur sam ją tam podłożył, a potem cudownie znalazł? – prychnął pogardliwie. – Arthur nie jest na tyle dobrym aktorem, panie Bannon.

– Szczerze mówiąc, panie Wescott, w tej chwili nieistotne, kto i dlaczego podłożył pistolet. Niestety, fakt jego odnalezienia wzbudził tylko nowe podejrzenia. Jakby tego nie było dosyć... – zawiesił głos. – Dziś po południu otworzono testament Susan. Chyba nie zadała sobie trudu, by go zmienić po rozwodzie z Jaredem McCallisterem. Z wyjątkiem pamiątek rodzinnych, które zapisała ciotce, wszystko dziedziczy Jared: jej konto bankowe, galerię, dom, który dostała od niego po rozwodzie.

– Dom? Na West End? – Delaney zdziwiła się wyraźnie. – Ten, gdzie mieszkała? Należał do Jareda?

– Zbudowali go jego przodkowie. Susan go tylko wyremontowała – wyjaśnił. – Po rozwodzie zatrzymała dom, a Jared rancho i pieniądze.

– Nie podoba mi się to – mruknęła.

– Mnie też nie. Musisz jednak zrozumieć, jak to wygląda: Susan nie żyje. W taki czy inny sposób, jesteś winna jej śmierci. Jared dziedziczy dom wart prawie dwa miliony dolarów, dom, który, co całkiem prawdopodobne, i tak uważał za swoją własność. A znaliście się oboje od lat.

– Sugerujesz działanie z premedytacją? – zachnęła się.

– Sugeruję jedynie pytania, jakie na pewno zadaje sobie prokurator.

– To szaleństwo. – Zerwała się na równe nogi, zniecierpliwiona, wściekła, zmieszana. – To bez sensu. Gdzieś musi być logiczne wyjaśnienie.

– Jeszcze coś, Delaney.

Odwróciła się gwałtownie, przygotowana na najgorsze.

– Aż się boję zapytać!

– Prokurator napomknął, że względu na złą prasę, jaką ten proces przyniósłby i tobie, i Aspen, wystarczy mu, jeśli przyznasz się do winy pod zarzutem nieumyślnego zabójstwa...

– Nie!

Bannon uciszył ją gestem.

– Wysłuchaj do końca – poprosił. – Powiedział także, że poprosiłby sędziego o wyrok w zawieszeniu. Oczywiście nigdy nie wiadomo, co zrobi sędzia. Jednak...

Nie! – przerwała po raz drugi. – W żadnym wypadku nie przyznam się do winy. Nie chcę wyroku w zawieszeniu ani żadnego innego. Po pierwsze, wiem co się wtedy wydarzyło. Nie obchodzi mnie, co sobie myśli prokurator, na co wskazują dowody, sprzeczne zeznania świadków... Odpowiedziałam strzałami na strzały. To była obrona konieczna i obrona powierzonego życia, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Po drugie, wyrok

oznaczałby dla mnie koniec kariery, klęskę mojej firmy. Chyba nie oczekujesz, że się na to zgodzę i przyznam do winy, choć nie robiłam nic innego poza wypełnianiem moich obowiązków. I mam w nosie wrogą prasę Aspen czy moją. Jeśli ci to nie w smak, Bannon, powiedz od razu, a znajdę sobie adwokata, który będzie miał dość ikry, by walczyć po mojej stronie.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

– To nie będzie konieczne, Delaney. – Wstał. – Nawet o tym nie myśl. Jeśli sędzić po tej płomiennej mowie, byłabyś wspaniała na sali sądowej. Wiesz co? Chyba wykorzystam jej fragmenty przed ławą przysięgłych.

– Boże, to był jakiś test czy co? – Nie uspokoiła się jeszcze.

– Można to tak nazwać. – Nie wyglądał na speszzonego. – Przed nami ciężka walka. Wolę na początku zbadać, czy mój klient ma dość ikry.

– Więc już wiesz – burknęła.

– Już wiem – pokiwał głową.

– Powiedziałeś Rileyowi? – zainteresowała się nagle.

– Nie.

– Muszę z nim porozmawiać. Może razem dojdziemy do konstruktywnych wniosków – zastanawiała się głośno. – Musieliśmy coś przeoczyć, coś pominąć. – Podjęła błyskawiczną decyzję. – Tato, zawieziesz mnie do miasta?

Zaskoczyła go tą prośbą. Upłynęła cała sekunda, zanim odpowiedział.

– Oczywiście, z przyjemnością.

– Spakuję się szybko i jedziemy.

– Spakuję się? – Teraz Bannon się zdumiał.

– Tak, wracam do mieszkania.

– Ale dziennikarze...

– Na razie nie sprawiają nam kłopotów. Nie mogę cały czas ukrywać się tutaj. Ten cały galimatias musi mieć jakieś wytłumaczenie i jestem gotowa je znaleźć.

– To nie jest najlepszy pomysł – ostrzegł.

– Nie martw się, nie palnę żadnego głupstwa – zapewniła. – Ale nie mogę dłużej siedzieć bezczynnie.

– Rozumiem. – Bannon naprawdę wiedział, o co jej chodzi. – Tylko uważaj, żebyś nie wlała na odcisk niewłaściwym ludziom.

– Będę bardzo ostrożna.

Niecałe pół godziny później czerwone camaro mknęło szosą... Gordon prowadził, Delaney siedziała obok, Ollie rozwaliał się na tylnym siedzeniu i trącał ją nosem w kark. Pogłaskała go odruchowo, lecz nie odrywała wzroku od drogi.

Gdzieś na jej krańcu kryje się odpowiedź na jej pytania. Nie spocznie, póki ich nie znajdzie.



## Rozdział dwudziesty piąty

Delaney otworzyła drzwi do apartamentu swoim kluczem. Pies wepchnął się przed nią i pierwszy wpadł do środka. Lampa na biurku się paliła, ale na krześle nikt nie siedział.

– Najwyższy czas, Gordon! – zawołał Riley z kuchni. – Już miałem cię szukać... Delaney. – Gwałtownie zatrzymał się w progu, mało brakowało, a potknąłby się o własne stopy. – Co tu robisz? – Zauważył walizki w rękach jej i ojca. – Co to ma znaczyć? Dlaczego przyjechałaś?

– Zostało trochę kawy? – zainteresował się nagle Gordon, tak że nie zdążyła odpowiedzieć. – Poprzednia wystygła, nim się napiłem.

– Nie, to już resztki. – Riley nie spuszczał Delaney z oczu.

– Zaparzę świeżą. – Gordon postawił walizkę na ziemi i wszedł do kuchni. Ollie pobiegł za nim. Jego pazury głośno stuknęły na posadzce.

Gdy Gordon wrócił z aromatycznym napojem, Delaney opowiedziała Rileyowi o spotkaniu z Bannanem, wynikach testu na proch, braku odcisków palców na broni i testamencie Susan.

Zgasił papierosa w dużej szklanej popielniczce, wstał z kanapy, zrobił dwa kroki, zatrzymał się.

– Kto mógł podrzucić broń? – Nerwowo przeczesał włosy palcami.

– Wiele osób miało ku temu sposobność. – Przemyślała to gruntownie podczas jazdy. – Moim zdaniem, możemy od razu wykluczyć Toby'ego i stróża. Toby za bardzo się boi broni, a stróż? Jakie miałby ku temu powody? Wyatt i Vance mieli i sposobność, i motyw, ale jako byli gliniarze wiedzieliby, że wyniki testu na proch będą negatywne. Ty również. Więc zostają tylko Lucas i Arthur. Arthur znalazł broń, a więc wydaje się najbardziej prawdopodobne, że to on ją podłożył. Aż za logiczne – dorzuciła. – Poza tym tata zauważył, że Arthur nie jest aktorem, i tu przyznaję mu rację. Nie wierzę, że byłby w stanie to *zagrać*.

– Więc zostaje Lucas. – Riley obmacywał kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

– Prawdopodobnie spodziewał się, że mi w ten sposób pomoże. – Podniosła kubek do ust.

Riley głęboko zaciągnął się dymem.

– To ma ręce i nogi. Cały czas się obwiniał, że wziął Susan za Rinę.

– Wiem. – Postawiła kubek na stoliku. – Teraz trzeba go tylko przekonać, żeby się przyznał, oczywiście jeżeli to zrobił.

– Zgubiłem się. – Gordon patrzył bezradnie to na nią, to na niego. – Co nam to da?

– Oczyszczą Delaney z części zarzutów i przestaną ją podejrzewać, że zainscenizowała to wszystko w swoim własnym interesie.

– Rozumiem. – Z uwagą wysłuchał Riley. – Ale jedno nie daje mi spokoju: Lucas podrzucił pistolet w krzakach, w porządku, ale skąd wiedział, że ktoś tam zajrzy? Że Arthur go znajdzie?

– I tu jest luka w teorii Delaney – przyznał Riley. – Możliwe, że Arthur utyskiwał przy

Lucasie na nieudolną pracę policji. A może to Lucas zwrócił na to jego uwagę? Gdyby Arthur nie zaczął, może Lucas sam musiałby podejść do krzaków. Niestety, nigdy się tego nie dowiemy.

– Ta broń odwraca naszą uwagę od naprawdę istotnej kwestii. – Delaney poprawiła się na kanapie. – Mianowicie, kto wtedy strzelał do Lucasa? Bo ktoś strzelał. Nie Susan, potwierdzają to wszystkie dowody. Więc kto? Zdaniem prokuratora i policji wymyśliłam sobie te strzały, podobnie jak broń w jej ręku...

– Ja słyszałem sześć strzałów – przypomniał Riley. – Niczego sobie nie wyobraziłem. Policzyłem je.

– Niestety, tylko ty.

– Wyatt akurat coś głośno mówił. Może dlatego nie słyszał pierwszego wystrzału.

– Może. Ale kto strzelał? – Powróciła do głównego wątku. – Na terenie posiadłości nikt nie przebywał sam, z wyjątkiem Arthura. Ty byłeś z Wyattem, ja z Lucasem, Toby ze stróżem. Zostaje tylko Arthur. Twierdzi, że spacerował, ale... może nie? Może... Nie, to bez sensu. – Niecierpliwie odgarnęła włosy z twarzy. – Po co miałby strzelać do Lucasa?

– Dla reklamy? – podsunął ojciec. – Może chciał uwiarygodnić te opowieści o Rinie Cole.

Zbyła go ruchem dłoni.

– Rina i bez niego odwała kawał doskonałej roboty.

– Więc może chciał przestraszyć Lucasa. – Gordon nie dawał za wygraną.

– Jak to? – Nie rozumiała.

– Żeby Lucas poczuł się od niego zależny, żeby na nim polegał, żeby miał inne rzeczy na głowie, nie karierę. Lucas jest w tym momencie kurą znoszącą złote jajka; Arthur na pewno nie śpi po nocach ze strachu, że go wyleje na rzecz jakiejś wielkiej agencji. W branży wszyscy się głowią, dlaczego dotychczas tego nie zrobił.

– Kiepski argument, Gordon. – Riley zmrużył oczy, bo drażnił go dym.

– Jeśli wykluczemy Arthura, na terenie musiał być ktoś obcy – wywnioskowała. – A jest tylko jedna osoba, o której mi wiadomo, że pragnie śmierci Lucasa Wayne'a.

– Rina Cole – wycedził Riley.

– Przez cały czas wychodziliśmy z założenia, że strzelała Susan. Nikomu nie przyszło do głowy, by obejrzeć żywoptot i zbadać, czy nikt się przez niego nie przedzierał.

– Racja.

– Zrobimy to jutro rano.

Gordon radośnie zacierał ręce.

– Wreszcie mamy jakiś plan. Od razu poprawił mi się humor. I to do tego stopnia, że chętnie zjadłbym loda. A ty, Delaney?

– Nie mamy lodów w domu.

– Owszem, mamy. Namówiłem Riley'a na zakupy w drodze z lotniska. Riley?

– Nie, dziękuję.

– Nie macie pojęcia, co tracicie. – Pomaszerował do kuchni.

Delaney patrzyła na kawę w swoim kubku. Jej myśli były równie czarne jak aromatyczny napój.

Słońce złożyło się nad górami, zalewało światłem miasteczko przytulone do przelęczy. W rześkim powietrzu daleko niosły się głosy robotników, którzy instalowali bramę.

Delaney obserwowała ich przez chwilę. Odruchowo policzyła obecnych, zwróciła uwagę na policjanta przy samochodzie.

– Nie ma dziennikarzy – zauważyła. Riley poprawił pas z krótkofalówką.

– Dzisiaj jest pogrzeb – przypomniał. – Pewnie wszyscy są na cmentarzu.

– Zapomniałam. – Zaciekało ją, czy Jared bierze udział w ceremonii. Pewnie tak. Mimo rozvodu i nieporozumień między nimi, uważał zapewne za swój obowiązek pójść na pogrzeb byłej żony Jak długo, twoim zdaniem, będą tu trzymali policjanta?

Riley podciągnął błyskawiczny zamek kurtki.

– Pogrzeb jest dzisiaj, dzisiaj też stanie tu brama... pewnie do jutra.

– Przynajmniej brama ułatwi nam pracę.

– Szkoda tylko, że wszelkiego rodzaju ogrodzenia stanowią przeszkodę jedynie dla ludzi uczciwych.

– Fakt. – Ukryła dłonie w kieszeniach. – Może zaczniemy od żywopłotu od frontu, a potem zajmujemy się resztą.

– Chodźmy.

Wyminęli robotników z daleka. Zaczęli poszukiwania jakieś dziesięć stóp od podjazdu. Krzewy rosły blisko siebie, w odległości mniej więcej dziesięciu cali, ich gęste, kłujące gałęzie spletały się, tworząc pozornie nieprzebytą zaporę. Szli wzdłuż żywopłotu, co chwila pochylali się, by zajrzeć pod najniższe gałęzie. Szukali najmniejszej szczeliny, przez którą mógłby przecisnąć się człowiek.

Delaney w rogu dostrzegła wąską wyrwę w ścianie zieleni. Kucnęła. Nad jej głową Riley zaklął siarczyście.

– Co jest? – Wstała pospiesznie.

– Pożegnaj się z nadzieją na znalezienie ułamanych gałązek czy czegoś w tym stylu. Spójrz.

Wstała, odruchowo otrzepała czarne spodnie z trawy i posłusznie skierowała wzrok we wskazanym kierunku. Właściwie jednocześnie zobaczyła siwowłosego ogrodnika i usłyszała metaliczne szczekanie sekatora.

– Świetnie. – Z niesmakiem popatrzyła na schludnie przystrzyżony żywopłot i stertę gałązek po obu stronach. – Dlaczego robi to akurat dzisiaj?



– Kto wie? Chodź, pogadamy z nim – zaproponował Riley. – Może coś widział.

Staruszek zobaczył ich i odłożył sekator.

– Widziałem, jak pełzacie w krzakach – oznajmił na powitanie. – Zgubiliście coś?

– Nie, ale chcemy coś znaleźć – odparła Delaney. – Strasznie gęste te krzewy, prawda?

– Gęste, a jakże! – prychnął. – Przycinałem je nie dawniej niż pięć tygodni temu, ale kto by w to uwierzył?

– Czy są jakieś wyrwy, szczeliny, na tyle szerokie, że mógłby się przez nie przecisnąć człowiek?

– Tak, dwie albo trzy – przyznał po namyśle. – Człowiek chyba by się w nich zmieścił, skoro mieszczą się kojoty.

– Czy mógłby je pan nam pokazać? – Riley dał znak, by prowadził. Po krótkim wahaniu ogrodnik skierował się w stronę już przyciętego żywopłotu.

W gęstych zaroślach znaleźli cztery wyrwy, trzy od wschodu i jedną od północy. Riley i Delaney dokładnie obejrzelili każdą z nich, szukali śladów na ziemi, włókien z ubrania na gałęziach, czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że niedawno ktoś tędy przechodził.

Po inspekcji ostatniej Riley wstał z klęczek i otrzepał dłonie z piachu.

– I co? – dopytywała się.

– Nic. Ziemia jest za sucha. Nie wiadomo, czy ktoś tu był, czy nie.

– A po co ktoś miałby tędy przełazić? – Orodnik nie mógł dłużej opanować ciekawości.

– Podejrzewamy, że podczas strzelaniny na terenie posiadłości był ktoś obcy. A może pan zauważył coś niezwykłego, panie Walker?

– Nie, tylko zamieszanie przed domem.

– A nic nie zwróciło pana uwagi, kiedy pan tam szedł? – podsunęła.

Zastanawiał się długo, lecz zaprzeczył.

– A Tobo? – wtrącił się Riley. – Może on coś widział?

I znowu przeczący ruch głowy.

– Chłopak panicznie boi się ciemności. Gdyby coś zauważył, powiedziałby od razu. Nawet jeśli ktoś tam był, my go nie widzieliśmy.

Delaney ukradkiem zerknęła na Rileya.

– To chyba wszystko, panie Walker. Bardzo dziękujemy.

– Nie ma sprawy – mruknął i odszedł.

– Ani na wschód, ani na północ od posiadłości nikt nie mieszka – zauważył Riley. – Wszystkie cztery wyrwy są daleko od szosy. Ktoś mógł się przedostać na teren nie zauważony.

– Ale żeby odnaleźć Lucasa, musiałyby mieć latarkę. – Delaney podświadomie zakładała, że intruzem była Rina Cole.

– Owszem, ale zarośla są na tyle gęste, że światło byłoby niewidoczne.

– Chyba nie. – Wracała w stronę domu.

– I co teraz? – Riley zrównał z nią krok.

Wzruszyła ramionami; sama chciałaby to wiedzieć.

– Skoro już tu jesteśmy, rzućmy jeszcze raz okiem na miejsce zbrodni. Ten, kto strzelał, musiał się schować za krzakiem. Jestem prawie pewna, że błysk dobiegł zza krzaka.

– Policjanci zdeptali wszelkie możliwe ślady, szukając broni.

– Wiem, ale mimo to chcę się tam rozejrzeć. – Szybko kroczyli wąską dróżką. – Może dzięki temu przypomnę sobie coś jeszcze.

Policyjna taśma znikła. Delaney przeskoczyła grządkę białoróżowych petunii. Odwróciła się w stronę domu i przez dłuższą chwilę przyglądała się werandzie, chcąc ocenić mniej więcej, gdzie sama stała owej feralnej nocy. Przesunęła się na bok, za rozłożysty krzew.

– Chyba tak. Chodź tu, Riley, sprawdzę, jak to wygląda z werandy.

– Dobra. – Zajął jej miejsce, a ona przecisnęła się za jego plecami z powrotem na ścieżkę. Była w połowie schodów, kiedy zatrzymały ją słowa Riley: – Bingo. – powiedział to cicho, spokojnie. – Hej, Delaney! – zawołał. – Chodź no tutaj!

– Co masz? – Podbiegła niecierpliwie.

– Popatrz na to. – Położył jej dłoń na ramieniu, zmusił, żeby ukucnęła. – Pamiętam, jak mówiłaś, że błysk był nisko. Spójrz na to.

– Na co? – Wpatrywała się w werandę, szukając śladu po kuli.

– Liście. – Dotknął cienkiej gałązki. – Niczego ci to nie przypomina? Skupiła wzrok na listkach, nieco poniżej jej twarzy. Na zielonej płaszczyźnie czerniły się małe punkciki.

– Proch – szepnęła.

– Dziękujemy Bogu, że nie padało. – Riley podniósł krótkofalówkę do ust. – Vance, podeślij nam gliniarza pod dom, dobrze?

Przyglądała się uważnie liściom, chcąc się upewnić, czy wyobraźnia nie płata jej figli. Dopiero po chwili wstała i z widoczną ulgą wypuściła powietrze z płuc.

– Może to przekona prokuratora, że do Lucasa naprawdę ktoś strzelał.

– Nie wiem, czy mógłby się upierać przy twierdzeniu, że to my spreparowaliśmy.

– Ja też nie przypuszczam. – Powędrowała wzrokiem w stronę werandy. – Ciekawe, gdzie jest kula. Dziwne, że nie zbiła szyby.

– Policjantów czeka następne szczegółowe przeszukiwanie – mruknął Riley.

– A teraz jest najwyższy czas, aby się dowiedzieć, co w sobotni wieczór, między ósmą trzydzieści a dziewiątą, porabiała Rina Cole.

– Racja.

Akurat w tej chwili Lucas Wayne stanął w otwartych drzwiach na werandę.

– Delaney! – Jego twarz rozjaśnił uśmiech. – Toby mówił, że cię widział. Dawno

przyjechałaś? Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

– Byliśmy zajęci. – Z wahaniem zerknęła na Rileyę. – Dokończysz beze mnie, prawda?

– Jasne.

– W takim razie dam się namówić na filiżankę kawy.

Riley nie protestował. Po błysku w oczach wiedziała, że domyślił się, o co jej chodzi: chciała wy badać Lucasa, co myśli o pewnych szczegółach, a przede wszystkim o podrzuconym pistolecie.

– Zostawicie kropelkę dla mnie.

– Postaramy się. – Już biegła do stopni. – Lucas, masz gorącą kawę, prawda?

– Tak, Wyatt dopiero co zaparzył cały dzbanek.

– A gdzie on jest?

– W łazience. Wiem, wiem... – Uniósł ręce na znak, że nie chce żadnych upomnień. – Nie powinienem wychodzić na dwór bez niego. Niestety, kiedy ciebie tu nie ma, robię się niegrzeczny. – Posłał jeden ze swoich olśniewających uśmiechów.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – zastanawiała się na głos.

– Może dlatego, że mnie dobrze znasz.

– Chyba tak. – Przytrzymał drzwi, więc weszła pierwsza. – Gdzie Arthur?

– Jeszcze śpi. – Lekko objął ją ramieniem, prowadząc przez biały salon do holu i dalej, do kuchni. – Więc... zostajesz? Czy w końcu wycofali zarzuty pod twoim adresem?

– Nie. I chyba nieprędko to zrobią. – Ślady prochu na liściach dowodzą jedynie, że ktoś strzelał do Lucasa, doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Zaskoczony, zatrzymał się w pół kroku.

– Jak to? Dlaczego? Przecież znaleźliśmy pistolet...

– Nie było na nim żadnych odcisków palców. Wytarto go starannie. – Zajrzała do kuchni. – Co więcej, test osadowy wykazał, że Susan nie strzelała.

– Test osadowy? Co to takiego? – Ze zmarszczonym czołem podszedł do kuchennego blatu, gdzie bulgotał ekspres do kawy.

– Ilekroć pociągasz za spust, na skórze osiadają niewidoczne gołym okiem drobinki. Na skórze Susan niczego nie znaleziono.

Mówiła to wszystko spokojnie, beznamiętnie. Nie przerywając, wyjęła masywny fajansowy kubek z kredensu i nalała sobie kawy. Najważniejsze to nie ulegać emocjom. Dzięki temu jakoś to przetrwa.

– Kawy?

Nieprzytomnie wpatrywał się w dzbanek.

– Nie, dziękuję. – Otrząsnął się z zadumy. – A pistolet, który znalazł Arthur? Nic nie znaczy?

– Moim zdaniem, podrzucił go ktoś, kto... – Celowo zawiesiła głos, obserwując jego reakcję.

– Kto chciał mi w ten sposób pomóc.

– Kto? Masz kogoś na myśli? – zapytał, zbyt szybko, jak oceniła.

– Nie. Ale ktokolwiek to zrobił, powinien się przyznać. Mam wystarczająco dużo kłopotów.

Broń jedynie pogarsza sprawę.

– Cały czas nie mogę w to uwierzyć. – Zaciśnął rękę na oparciu krzesła. – Susan nie żyje, i to wszystko przeze mnie.

– Szantażowała cię, prawda? – Wcale nie miała zamiaru o to pytać, samo jej się to wymknęło. Obserwowała, jak Lucas nieruchomieje, napina mięśnie i po chwili przybiera bardzo przekonującą zdumioną minę.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Słyszałam was, reszty się domyśliłam. Moim zdaniem, wiedziała, że Toby to twój brat. Groziła, że to ujawni, jeśli nie kupisz obrazu.

Patrzył na nią jakby ją widział po raz pierwszy.

– Boże – szepnęła. – I dlatego ją zabiłaś? Żeby mnie chronić? I Toby'ego? Mało brakowało, a chlusnęłaby mu w twarz gorącą kawą. Ostatkiem sił odstawiła kubek na ladę.

– Nie, Lucas. Podobnie jak ty wzięłam ją za Rinę.

– Przepraszam. – Zamknął oczy. – Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem. To oczywiste, że tego nie zrobiłaś. Nie byłabyś w stanie. Nie ty.

Nie mogła się na niego gniewać, zwłaszcza że podobne myśli i jej przychodziły do głowy. Mimo to była spięta i rozdrażniona.

– Już dobrze...

– Wcale nie – warknął. – Nie rozumiesz, Delaney? To przeze mnie wpadłaś w tarapaty. Gdyby nie ja, nic by się nie stało. – Przechadzał się nerwowo.

– Nieprawda.

– Nie? Więc dlaczego zżera mnie poczucie winy? – Popatrzył na nią smutnym, udreńczonym wzrokiem. – Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? Chcę pomóc. Załatwię ci adwokata.

– Już mam.

– Tego miejscowego? Bannona? Mam na myśli prawnika z prawdziwego zdarzenia, o znanym nazwisku.

Nie mogła się powstrzymać.

– Kogo? Matlocka czy Perry'ego Masona?

– Do cholery, Delaney, mówię poważnie!

– Wiem. – Uśmiechnęła się ze skruchą. – Czasem szukam najgłupszego powodu, żeby się roześmiać. W ten sposób udaje mi się przetrwać kolejny dzień.

– Masz za sobą okropne chwile.

– No, z pewnością nie najłatwiejsze. – Podniosła głowę, słysząc kroki. W drzwiach kuchni

stanął Riley. – Zostało trochę kawy?

W odpowiedzi wyjęła drugi kubek z kredensu i napełniła go po brzegi.

– Na dworze wszystko skończone? – zapytała.

– Tak, przynajmniej na razie. – Upił spory łyk, po czym rozejrzał się po kuchni. – Gdzie Wyatt?

– Tutaj. – Wysoki i szczupły mężczyzna wszedł do kuchni. Jasne włosy jeszcze nie wyschły po kąpiel. – Jakże mogłem tego nie przewidzieć: ledwie zostawiam Lucasa samego na dziesięć minut, już przyjeżdża szefowa.

– Ciesz się, że nie Rina Cole – odciął się Riley, pół żartem, pół serio. – A przy okazji, uprzedzam, że niedługo odwiedzi cię tu spora grupa.

– Kto? – zainteresował się Lucas.

– Policja.

– W jakim celu? – Wyatt wpychał koszulkę do džinsów.

– Co prawda nie Susan, ale ktoś inny do ciebie strzelał, Lucas. Policjanci przeszukają werandę. Może znajdą kule.

– A jeśli nie znajdą? – Lucas nie dawał za wygraną.

– To się nazywa myślenie praktyczne; podoba mi się to. – Riley dopił kawę. – Gotowa? – zwrócił się do Delaney. – Twój ojciec chyba wychodzi z siebie, czekając na nas.

– Gotowa, a ty?

Odstawił kubek.

– Idziemy.

– Delaney, pamiętaj, o czym rozmawialiśmy – zawołał za nią Lucas. Nie namawiał, by została dłużej.

– Będę pamiętała.

Na dworze Riley zerknął na nią ciekawie.

– O czym niby masz pamiętać?

– Zaproponował, że zatrudni dla mnie jakiegoś znanego adwokata.

– Módlmy się, obyś nie musiała korzystać z tej propozycji. – Wyciągnął kluczyki z kieszeni, bo byli o krok od samochodu.

– Amen.

– Mówiłaś, że pistolet ktoś podłożył?

– Tak. – Podeszła do drzwiczek od strony pasażera, Riley wsiadł za kierownicę.

– I...? – ponaglił, gdy sadowiła się na fotelu.

– I... Idę o zakład, że wie, skąd pistolet wziął się w krzakach. – Zapięła pas bezpieczeństwa.

– W takim razie trzymajmy kciuki, żeby sumienie nie dawało mu spokoju i sam się przyznał.

– Przekręcił kluczyk w stacyjce, podjechał do zakrętu, zatrzymał się przy nie dokończonej

bramie.

– A tymczasem musimy się dowiedzieć, co Rina porabiała w sobotni wieczór. Może zaczniemy od hotelu?

– Najpierw wpadniemy do apartamentu. – Riley pomachał Vance'owi, kiedy go mijali na krętej szosie.

– Po co? – Delaney nagle zrobiła się podejrzliwa. – Idę z tobą, Riley.

– Wiedziałem, że nie uda mi się namówić cię, żebyś została z ojcem – stwierdził zrezygowany.

– Więc po co jedziemy do apartamentu?

– Żeby się przebrać. Musimy mieć wygląd oficjalny i onieśmielający. – Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. – W gazetach było twoje zdjęcie z rozpuszczonymi włosami. Lepiej je upnij.

Godzinę później ponownie siedzieli w samochodzie. Riley wyglądał dostojnie i konwencjonalnie w ciemnym garniturze i stonowanym krawacie, Delaney zdecydowała się na granatowy kostium i ciemne okulary. Podrzućli ojca do hotelu Jerome, bo chciał powspominać dawne czasy, obiecali, że się tam z nim spotkają, i od razu udali się do hotelu Riny Cole. Mieścił się u stóp Aspen Mountain, zaledwie kilkadziesiąt jardów od kolejki linowej, która woziła turystów na szczyt. Riley dziarsko podszedł do recepcji.

– Chcemy rozmawiać z kierownikiem. – Wydobył z kieszeni skórzane etui i podsunął je pod nos recepcjonistce. Delaney, równie zaskoczona, dostrzegła tylko złoty błysk odznaki, i bardzo oficjalnie wyglądającą legitymację ze zdjęciem.

Recepcjonistka zaledwie rzuciła okiem i cofnęła się o krok.

– Jest w biurze, zaraz go zawołam.

– Dziękuję. – Opuścił rękę, ale nadal trzymał palec wskazujący w środku. Zaledwie brunetka zniknęła z pola widzenia. Delaney mruknęła prawie nie poruszając ustami:

– Łamiesz prawo, Riley.

– Niczego nie łamię – obruszył się z łobuzerskim błyskiem w oku. Pokazał jej etui, odsuwając przy tym palec, żeby mogła przeczytać: „Oficer do specjalnych zleceń okręgu Los Angeles”. Był to tytuł raczej honorowy niż dający faktyczne uprawnienia. Delaney o mały włos nie parsknęła śmiechem.

– Nie zepsuj tego – syknął Riley. – Zadziałało.

– Módl się, żeby kierownik nie zapragnął dokładnie jej obejrzeć.

– Nie bój się. Ludzie nabierają podejrzeń, jeśli podsuwasz im odznakę pod nos i zaraz zabierasz – odparł i zademonstrował swoją metodę, gdy tylko zjawił się kierownik. Trzymał etui na wysokości klatki piersiowej, zasłaniając napis, tak że stał się prawie nieczytelny. – Z naszych informacji wynika, że Rina Cole zatrzymała się w tym hotelu, tak? – zapytał, jednocześnie odwracając uwagę mężczyzny od odznaki.

– Tak.

– Od jak dawna? – Riley nadal nie chował odznaki.

– Mniej więcej od tygodnia. Zaraz sprawdzę dokładnie, jeśli państwo...

– Nie trzeba. – Zbył propozycję machnięciem ręki i jednocześnie skorzystał z okazji, by schować etui do kieszeni. – Interesuje nas, gdzie była w sobotę wieczorem.

– Czy nie powinni państwo zapytać o to pani Cole?

– To rutynowa procedura weryfikowania wszystkich informacji, jakie uzyskujemy. Chyba pan to rozumie.

– Oczywiście. Niestety, niewiele państwu pomogę. Rzadko bywam tu wieczorami...

– Kto jest kierownikiem nocnej zmiany?

Uzyskawszy nazwisko i adres, pojechali do mieszkania biedaka i wyciągnęli go z łóżka. Ledwo rzucił okiem na odznakę Riley'a. Upierał się, że w ogóle nie zapamiętał, czy Rina Cole wychodziła wieczorami, a co dopiero konkretnego wieczora, odesłał ich więc do nocnego portiera, Todda Blackwella.

Po dwóch godzinach poszukiwania w całym Aspen złapali go na korcie tenisowym Aspen Club. Delaney oparła się o niskie ogrodzenie i obserwowała, jak przystojny blondyn w białym stroju do tenisa czeka na serw przeciwnika. Dym z papierosa Riley'a unosił się w powietrzu.

Już miała poprosić go o papierosa, kiedy żółta piłka przeleciała tuż nad siatką. As. Todd Blackwell, nocny portier, pokręcił bezradnie głową i podbiegł do siatki, żeby pogratulować zwycięzcy. Gra dobiegła końca.

Delaney i Riley czekali na niego przy furtce na kort. Riley natychmiast powtórzył całe przedstawienie z odznaką i pytaniami o Rinę.

– W sobotę wieczorem – powtórzył Blackwell powoli. Przyglądał się im ciekawie. Machinalnie otarł pot z twarzy. Blond włosy skręcały się ciasne loczki pod wpływem wilgoci. – Uważacie, że miała coś wspólnego z zabójstwem tej St. Jacques przed domem Lucasa Wayne'a?

– A powinniśmy? – odpowiedziała pytaniem Delaney, czym sobie zasłużyła na pełne aprobaty spojrzenie Riley'a.

Zbity z tropu Blackwell wiercił się niespokojnie.

– Mówiąc delikatnie, Rina Cole nie ukrywała, że najchętniej widziałaby Wayne'a w trumnie.

– Czy pan osobiście słyszał, by wypowiadała pogrożki pod adresem Lucasa Wayne'a lub kogo innego?

– Osobiście, nie. Czy groziła jeszcze komuś? – Nagle rozpromienił się. – Wiem! Jesteście z Secret Service, tak? Widziałem, że to jakaś organizacja rządowa, ale nie skojarzyłem sobie tego. A więc to prawda, że żona prezydenta przyjedzie na konferencję w Instytucie!

Riley celowo wstrzymał się od komentarza.

– Wracając do soboty. Nie wie pan, czy pani Cole wychodziła wieczorem?

– Owszem, poszła na kolację z tym profesorem – pstrykał palcami, nie mogąc sobie przypomnieć nazwiska. – Pamiętam, że miał dwuczłonowe nazwisko. Doktor Collins-Jakiśtam.

– Collins-Jones. – Delaney podsunęła nazwisko profesora filozofii, który towarzyszył Rinie Cole na piątkowym koktajlu.

– O właśnie, Collins-Jones – zgodził się Blackwell. – Pamiętam, że miał zarezerwowany stół na wpół do dziewiątej w Gordon's i musiałem to zmienić, bo Rina, to jest pani Cole, się spóźniła.

– Spóźniła się? – Riley nadstawił ucha.

– Tak. Profesor po nią przyjechał... chyba koło ósmej zapytał mnie, skąd może zadzwonić do pokoju. Pokazałem mu. Po pięciu minutach przyszedł znowu. Powiedział, że pani Cole nie odbiera, pewnie nie ma jej w pokoju. Pomyślałem, że wystawiła go do wiatru, ale niewiele później wkroczyła do foyer obciążona pakunkami jak wielbłąd. Chyba była na zakupach i straciła poczucie czasu. W każdym razie poszła na górę się przebrać i wtedy zadzwoniłem do Gordon's i przesunąłem im rezerwację.

– Czy profesor wszedł z nią na górę? – zapytał Riley.

– Nie.

– Nawet na chwilę? – nalegał.

– Nie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Pamiętam, że kiedy usłyszałem syreny policyjne i wycie karetki, wyszedłem na dwór, żeby zobaczyć co się dzieje, i on zrobił to samo. Mniej więcej za godzinę dowiedziałem się o strzelaninie.

– O której pani Cole zeszła na dół?

– Tuż przed dziewiątą. – Uśmiechnął się złośliwie. – Profesorek umierał ze strachu, że będzie musiał znowu przesunąć rezerwację.

– Czy na pewno wybierali się do Gordon's? – Riley chciał się przekonać, czy recepcjonista nie będzie przeczył samemu sobie.

– Na sto procent. Pamiętam, jak pomyślałem, że profesorek wolałaby pewnie Abetone's. Nie wygląda na kogoś, kto lubi najmodniejsze knajpy. Idę o zakład, że to pani Cole wybrała restaurację.

– Czy pamięta pan może, co miała na sobie tamtego wieczora? – Delaney zignorowała zdumione spojrzenie Riley'a.

– Pani żartuje? Kto mógłby zapomnieć? – Blackwell wznosił oczy do góry w udawanym oburzeniu. – Miała na sobie kombinezon z czarnej lycry, z dekoltem do pępka, białą-czarną skórzaną kamizelkę i takie same kowbojki.

– Jak się udali do restauracji? Jej samochodem, jego czy na piechotę? – zainteresował się Riley.

– Nie mam pojęcia. – Blackwell wzruszył ramionami. – Może odzwierzy będzie wiedział.



Niestety, nie pamiętał, a w książce parkingowej nie było wzmianki, aby pani Cole zabierała swój samochód z garażu w sobotę.

– Jeśli o mnie chodzi, mamy ją – rzuciła Delaney przez ramię. Wchodzili właśnie do baru w hotelu Jerome. – Teraz musimy tylko ustalić, w jaki sposób dotarła z hotelu do domu Lucasa i z powrotem.

– Na piechotę – podsunął Riley. Starał się przekrzyczeć huk miksera.

– Fakt. – Powitał ich monotony szum rozmów i grzechot kostek lodu w szklankach. Delaney rozglądała się uważnie, aż zobaczyła rękę w górze i siwą czuprynę ojca. Machał do nich z sąsiedniej, mniejszej salki.

– Jest tata.

Niemal w ostatniej chwili dostrzegła Jareda przy tym samym stoliku. Był w krawacie i brązowym garniturze, tak ciemnym, że wydawał się prawie czarny. Nie musiała pytać, by wiedzieć, że wrócił z pogrzebu Susan.

– Cześć. – Uśmiechnęła się, lecz nie zareagował. Chciał wstać, ale powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Co za miła niespodzianka. Nie spodziewałam się ciebie.

– Przez przypadek spotkałem twojego ojca. – W jego oczach był smutek.

– Cieszę się. – Obserwowała, jak przywitał Rileya skinieniem głowy i upił łyk piwa. Pogrzeb, długa samotna jazda z cmentarza, nic dziwnego, że nie tryskał optymizmem.

Riley zaraz zapalił papierosa.

– I co, Gordon? Znalazłeś duchy przeszłości?

– E, tam – burknął ojciec. – Przez ostatnie czterdzieści lat Aspen zmieniło się tak samo jak Hollywood. Chyba tylko góry nie przemalowali, wyremontowali albo wyburzyli. Gdyby nie freski na suficie, nie wiem, czy poznałbym tę knajpę.

Kelner podsunął im koszyczek z prażoną kukurydzą. Riley zamówił piwo beczkowe, Delaney poprzestała na soku pomidorowym.

– I co? – Ojciec nie owijał w bawełnę. – Czego się dowiedzieliście o Rinie?

– Że była sama, rzekomo w pokoju, gdzie miała się przebierać do kolacji, od około ósmej dziesięć do prawie dziewiętej. To mniej więcej czterdzieści pięć minut. A na policji zarejestrowano nasze wezwanie o ósmej trzydzieści siedem. – Riley strząsnął słupek popiołu.

– I miała na sobie czarny kombinezon z lycry. – Delaney wybrała kilka ziaren z koszyka. – To wymarzony strój na taką wyprawę. Czerń stapia się z mrokiem, obcisła tkanina zmniejsza ryzyko, że włókna zostaną na krzewach. A do tego jest to na tyle efektowne, że wystarczy krzykliwa kamizelka i dobrane buty i mamy strój wieczorowy.

– Więc naprawdę sądzicie, że to ona? – Gordon pochylił się nad stołem.

Riley powoli skinął głową.

– To przypomina jej poprzednie próby. – Przerwał mu kelner przynosząc napoje. Riley

począł, aż oddali się do innego stolika. – Poprzedni zamach na Lucasa również odbył się nocą. Wówczas udało się jej niepostrzeżenie wejść do hotelu, a następnie przekonać pokojówkę, by ją wpuściła do jego apartamentu. Nie działała pod wpływem impulsu, wszystko zaplanowała, i teraz prawdopodobnie było tak samo. Ale tym razem zadbała nawet o alibi.

– Nie wiemy tylko – Delaney sięgnęła po następną garść kukurydzy – jak się dostała z hotelu do domu Lucasa. Według parkingowego jej samochód przez całą sobotę stał w garażu.

– Nadal twierdzą, że poszła na piechotę. – Riley uniósł do ust oszronioną szklankę. – Z hotelu do domu jest nie więcej niż dwie mile, maksimum trzy.

– Ale popatrz, jakie to ryzykowne! – sprzeciwiła się. – Nie chciałyby chyba ryzykować, że wpadnie do hotelu spocona i zgrzana. Zresztą to by znacznie ograniczyło czas, jaki miałyby do dyspozycji na terenie posiadłości. Przecież nie była nawet pewna, czy Lucas będzie na zewnątrz.

– Szyby w oknach nie są kuloodporne – mruknął Riley.

– Nadal twierdzą, że miała jakiś środek transportu.

– Droga do posiadłości jest kręta i wąska, nie miałyby gdzie zawrócić. – Riley nie dawał się przekonać.

– Mogła zaparkować u podnóża góry, wtedy miałyby niewiele do przejścia na piechotę.

– A skąd wzięła samochód?

– Będąc na zakupach wynajęła drugi i zostawiła go kilka przecznic dalej.

Riley nie wykluczył tej możliwości.

– Jutro to sprawdzimy.

– Czy nie lepiej byłoby wziąć taksówkę? – wtrącił Gordon.

– Jutro skontaktujemy się z korporacją taksówkarską.

– A jeśli była w przebraniu, jak w Nowym Jorku? – Delaney żuła kukurydżę.

– Sprawdzimy każdy kurs. – Riley bawił się niedopałkiem.

– Jezu. – Delaney nie uśmiechała się tak żmudna praca. – Słuchajcie! – Wyprostowała się gwałtownie. – A może rower górski? Wszędzie ich pełno. Łatwo go zaparkować i łatwo ukryć. Czarny kombinezon, kask na włosy...

– Niezły pomysł. Od tego zaczniemy.

– Nie. Zaczniemy od sprawdzenia, ile czasu zajęłoby jazda samochodem i na piechotę, z hotelu do domu i z powrotem. – Przelotnie spojrzała na Jareda. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie odezwał się ani razu. Z ponurą miną wpatrywał się w dno szklanki. – Co ty o tym sądzisz, Jared?

Podniósł głowę.

– Ja? Ja sądziłem, że nie zajmujesz się tego typu zadaniami. – Powiedział to twardo, oschle.

Wyczuła, że za irytacją kryje się gniew i uraza. W odpowiedzi chciała się zachnąć, lecz ostatkiem sił zdobyła się na spokojny, rzeczowy ton.

– Sytuacja... okoliczności mnie do tego zmusiły.

– Wszystko dlatego, że musiałaś go chronić. – Skrzywił się bez uśmiechu.

– To moja praca. – Zabrzmiało to ostrzej niż zamierzała.

– Twoja praca – powtórzył i napił się piwa, jakby chciał przepłukać usta po czymś niesmacznym.

Tego było już za wiele. Delaney była o krok od wybuchu. Krzesło zazgrzytało o posadzkę. Riley wstał.

– Idę do łazienki. Gdzie to jest, Gordon?

– Na dole... Wiesz co? Pójdę z tobą. – Gordon pośpieszył za nim.

Delaney nawet nie czekała, aż odejdą od stolika.

– W porządku, Jared. O co ci chodzi?

– Czy to nie jest oczywiste? – On również z trudem panował nad emocjami. – Susan nie żyje, a ciebie obarcza się odpowiedzialnością. Dlaczego? Przez jakiegoś marnego aktorkę. Bo uważałaś, że twoim obowiązkiem jest go chronić. – Następne zdanie wymamrotał do szklanki z piwem: – Jego życie nie jest warte nawet jednej dziesiątej tego, przez co teraz przechodzisz.

Siwowłosy mężczyzna przyglądał się im uważnie. Delaney ściszyła głos.

– Nie mnie to oceniać. Ani tobie.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Delaney. Ludzkość niewiele by straciła, gdyby zginął.

– Ach, tak. – Wściekle dziobała słomką kostki lodu w szklance. – Czyli, twoim zdaniem, każdego klienta powinienam oceniać pod kątem jego wkładu w rozwój ludzkości, tak? A może po prostu powinienam wykluczyć wszystkich aktorów, piosenkarzy, artystów? Kogo obchodzi, że ich życiu grozi niebezpieczeństwo? A może w ogóle powinienam zmienić pracę? O to ci chodzi, prawda?

– Delaney, boję się o ciebie. Do cholery, ja...

– Pani Wescott, prawda? – Siwowłosy mężczyzna podszedł do ich stolika. – Lee Connors, z „Post”. Czy może mi pani poświęcić...

– Nie. – Porwała torebkę ze stolika, odepchnęło krzesło. – Jestem umówiona.

Kiedy chciała wyjść, dziennikarz zastąpił jej drogę.

– Odprowadzę panią. Dzięki temu będziemy mogli porozmawiać, bez nagrywania, jeśli pani sobie nie życzy.

Bez nagrywania, dobre sobie! W ostatniej chwili ugryzła się w język. Musi być uprzejma i grzeczna, chyba że chce ponownie trafić na pierwsze strony gazet.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mam czasu.

– Proponuję pani uczciwy układ. Nie chce pani, żebyśmy przedstawili jej wersję...

– Przykro mi. – Riley odsunął go stanowczo. – Innym razem, kolego.

– Dziękuję – mruknęła już w samochodzie.

– Za to że ocaliłem cię czy dziennikarza? – zażartował. – Wyglądałaś, jakbyś miała ochotę dołożyć... jemu albo komuś innemu. – Chodziło mu o Jareda oczywiście.

– Kusiło mnie – przyznała. Na razie jednak nie chciała rozmawiać o swojej z nim kłótni, na którą zanosilo się od dawna, może od samego początku. – Gdzie tata?

– Płaci. Zaraz przyjedzie.

Czerwone camaro wjechało na parking wkrótce po nich. Delaney wytrzymała wzrok, ale nie dostrzegła za nim czarnej półciężarówki. Powinna być zadowolona, z drugiej strony jednak zbyt wiele jeszcze zostało do powiedzenia.

Ollie czekał na nią przy drzwiach. Odruchowo pogłaskała go po głowie. Weszła do kuchni.

– Zaparzę kawę.

– Świetnie. Zadzwoń do Wyatta, zobaczymy, czy policjanci coś znaleźli. Słyszała, jak rozmawia przez telefon. Wylała zimną kawę z dzbanka. W tym momencie w zamku przekreślił się klucz i zaraz w progu stanął ojciec. Widząc ją przy zlewie zawahał się, pomachał i wyniósł się do salonu. Postawiła dzbanek na miejsce i wyrzuciła zużyty filtr do kosza na śmieci. Riley wsadził głowę przez drzwi.

– Na razie nic nowego – poinformował. – Podobno sprawdzili tylko połowę terenu. Skończą jutro. – Rozległo się szybkie energiczne pukanie do drzwi. Ollie warknął, Riley popatrzył na nią pytająco. – Jesteś w domu? – zapytał chłodno, wyzywająco.

Domyślił się, podobnie jak ona, że to Jared.

– Jestem. – Odwróciwszy się na pięcie zajęła się parzeniem kawy. Drżącą ręką sięgnęła po nowy filtr. Powróciło całe niedawne zdenerwowanie. Nie zareagowała, gdy Jared wszedł do kuchni.

– Posunąłem się za daleko... – zaczął.

– Dalej chyba nie można. – Wcisnęła filtr do lejka. Nerwowo trzaskała drzwiczkami szafek w poszukiwaniu puszek z kawą.

– Martwię się o cię. Byłem zły i zdenerwowany. Wiem, że to nie tłumaczy...

– Wcale – zgodziła się, raczej urażona niż zła, choć złość jeszcze nie przeszła. Znalazła kawę. Nasypała dwie miarki.

– Przepraszam. Co jeszcze mogę powiedzieć?

– Może coś wymyślisz, jeśli się postarasz. – Minęła go w drodze do zlewu. Rozkręciła zimną wodę na pełny regulator. Zaraz zakręcił kran.

– Do cholery, Delaney, nie żądam, żebyś rzuciła pracę. Nie zrobiłbym tego.

– Nie, ale tego chcesz. – W końcu spojrzała mu w oczy.

– Chcę cię. – Złapał ją za ramiona, jakby się obawiał, że odejdzie. – To, co powiedziałem... Nie powinienem był tego mówić, wiem. Nie jestem doskonały, Delaney, ale to nie znaczy, że cię nie kocham.

Czy oczekiwała ideału? Całkowitego poparcia i zrozumienia? Nie była pewna; teraz nie była już pewna niczego.

– Nie cierpię kłótni – mruknęła w końcu.

Pogłaskała japo włosach.

– Więc robisz nie to, co powinnaś.

Wyrwała mu się gwałtownie.

– Robię to, co lubię!

– To był żart.

– Nie lubię takich żartów. – Gniewnie potrząsnęła głową.

– Nie rozumiesz – zaczął Jared. – Dzisiaj na pogrzebie... kiedy zobaczyłem lilie od Lucasa... coś we mnie pękło. – Westchnął. – Niełatwo to wytłumaczyć.

– Rozumiem. – Mogła sobie jednak bez trudu wyobrazić uczucia Jareda; gniew wywołany bezsensowną śmiercią, kłopotami, zamieszaniem.

– Wiesz, w tej chwili najbardziej na świecie chciałbym cię tulić, pomóc ci, a nie mogę – rzucił z trochę cynicznym uśmiechem. – Testament Susan to tajemnica poliszynela, więc jestem ostatnią osobą, z którą powinnaś się widywać. A wszystko przez niego... byłego kochanka mojej żony.

– Nie możesz obwiniać go o wszystko.

– Nie mogę? – zdziwił się.

Cięta riposta cisnęła się jej na usta, więc zacisnęła je w wąską linię i mruknęła pojednawczo:

– Słuchaj, oboje jesteśmy zdenerwowani, z różnych powodów. Nie rozmawiajmy więcej na ten temat, dobrze?

– Delaney, przepraszam...

– Już to mówiłeś. Przyjmuję twoje przeprosiny. Przyjmuję nawet fakt, że nasze zdania na ten temat się różnią, ale na razie nie wymagaj ode mnie nic więcej.

Przez długą chwilę przyglądał się jej bez słowa. W końcu westchnął głośno.

– Masz rację. To nie jest właściwy moment. Ale chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham i wszystko, co nie pozwala mi udowodnić ci, jak bardzo doprowadza mnie do szaleństwa. To niemal tak, jakby los sprzysiągł się przeciwko nam.

– Wiem, o co ci chodzi. – Powoli skinęła głową. Złość ulotniła się bez śladu.

Riley z Ollie jednocześnie weszli do kuchni.

– Kawa gotowa? – Riley obserwował na przemian oboje, oceniając sytuację.

– Jeszcze nie. – Delaney pochyliła się nad zlewem i nabrała wody do dzbanka. Obecność Rileya wniosła coś nowego do napięcia, jakie panowało w pokoju.

Riley otworzył kredens. Naczynia szcęknęły głośno, gdy wyjmował trzy filiżanki. Sięgnął po czwartą, lecz najpierw zapytał Jareda:

– Napijesz się z nami? Ale uprzedzam lojalnie, nasz ekspres to istny potwór. Jest piekielnie powolny, za to obdarza nas upojnym aromatem.

Jared nie wiedział co robić. Spojrzał na Delaney.

– Dziękuję, ale nie. Muszę wracać na rancho... – Umilkł, jakby czekał, aż Delaney zaprotestuje, poprosi, żeby został dłużej. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów. U więzły w jej gardle, splątane jak sprzeczne uczucia. Poklepał ją po ramieniu.

– Odezwę się za kilka dni – powiedział na odchodnym.

– Trzymaj się – zawołała za nim i zakręciła kran.

Trzaśnięciu drzwi wejściowych towarzyszyło głośnie sapanie psa. Oba dźwięki wydawały się nienaturalnie głośnie w nagłej ciszy. Delaney wlała wodę do ekspresu. Riley obserwował ją, niedbale oparty o kuchenny blat, ale nonszalanckiej pozie przeczył poważny wzrok.

– Mam zgadnąć, o co się pokłóciliście?

– Chcesz powiedzieć, że nie podsłuchiwałeś? – Zerknęła na niego z powątpiewaniem i wstawiła dzbanek na miejsce.

Riley przycisnął rękę do serca z podejrzenie niewinną miną.

– Myślisz, że byłbym do tego zdolny?

– Co za pytanie! – mruknęła. Postawiła czyste filiżanki obok ekspresu.

– Cóż, rzeczywiście, niechcący usłyszałem co nieco – przyznał. Nie spuszczał jej z oka. – Chcesz o tym pogadać? Potrafię słuchać. Jeśli bardzo chcesz, pozwolę ci nawet wyplakać się na moim ramieniu.

Odruchowo powędrowała wzrokiem do jego silnych, solidnych barków. Przypomniała sobie przy ilu okazjach służył jej wsparciem, ile razy zrzucała na niego swoje problemy.

– Dziękuję, ale nie dzisiaj. – Uważała, że nie byłoby to właściwe, choć nie wiedziała, skąd to przekonanie.

– Znowu się w nim zakochałaś, ‘Laney? – zapytał o to bardzo cicho i bardzo poważnie.

Poczuła ściskanie w gardle. Znowu nie wiedziała, skąd się to wzięło.

– Do pewnego stopnia. – Chciała się roześmiać, odwrócić odpowiedź w żart.

Riley wyprostował się nagle.

– Nie można się zakochać do pewnego stopnia, Delaney. Albo wszystko, albo nic.

Zaskoczył ją ostry ton jego głosu, gniewny błysk w oczach.

– Wiem o tym – burknęła.

– Więc jak? Albo go kochasz, albo nie.

– Może sama jeszcze nie wiem – broniła się.

Patrzył na nią długo, uważnie.

– Może to, że nie wiesz, dowodzi, że go nie kochasz.

– Może. – Nagle poczuła się nieswojo.

– Prędzej czy później będziesz musiała się zdecydować.

Podeszła do ekspresu.

– Więc później. Teraz mam zbyt wiele innych kłopotów, by się nad tym głowić.

– O miłości się nie myśli, Delaney. Miłość się czuje. – Z tymi słowami wyszedł. Została sama.

## Rozdział dwudziesty szósty

Widok robotników przy bramie wjazdowej do posiadłości Lucasa sprawił jej przyjemność niemal równie wielką jak widok Riley'a, który na nią czekał. Delaney pokuśtykała w jego kierunku.

– Co się stało?

– Złapał mnie skurcz w nodze – syknęła. Poczekała, aż podjedzie samochodem.

Z trudem usadowiła się na przednim siedzeniu, bokiem, tak że nogami dotykała chodnika. Riley ukucnął, dla równowagi przyklęknął na jedno kolano, i zaczął masować łydkę.

– Rina nie dałaby rady, nie mogłaby tu dotrzeć na piechotę – zawyrokowała, kręcąc przy tym energicznie głową, aż podskoczył koński ogon. – Byłaby wyczerpana, zanimby dotarła na miejsce. Ja padam z nóg, a jestem w lepszej formie niż ona. – Wytrzeła twarz ręcznikiem. – Przyjechała rowerem.

– Chyba tak.

Jego silne palce odnalazły bolesny punkt. Syknęła głośno. Chcąc zająć się czymś innym, spojrzała na dom i dostrzegła mężczyznę na drabinie.

– Nie znaleźli kuli? – zgađła.

– Jeszcze nie. – Riley puścił jej nogę. – Lepiej?

Delikatnie poruszyła stopą. Mięśnie nadal były obolałe, ale przeszywający ból zniknął bez śladu.

– O wiele lepiej. Teraz marzy mi się prysznic.

– No to na co czekasz? – Wyjął kluczyki z kieszeni i rzucił jej na kolana. – Zaraz będziemy sprawdzać, czy brama sprawnie działa. Chcę przy tym być. Jak się odświeżysz, wróć po mnie.

– Umowa stoi. – Przesunęła się na miejsce za kierownicą.

– Twój ojciec wspominał, że wybiera się na zakupy. Poproś, żeby mi kupił papierosy, bo mi się kończą. – Pomacał paczkę w kieszeni.

– W porządku.

Już w progu przekonała się, że w mieszkaniu nie ma ani ojca, ani psa. Przy telefonie czekała na nią karteczka: „Stary ojciec buszuje po sklepach! Ollie zażyczył sobie kości!”. Tylko tyle. Żadnego podpisu, żadnych pozdrowień czy całusów. Rozbawiona, poszła do łazienki, po drodze pozbywając się ubrania.

Godzinę później znowu siedziała za kierownicą. Zmieniła dres na białą koszulową bluzkę i granatowe spodnie. We włosach, zamiast zwykłej gumki, tkwiły szylkretowe grzebienie. Wyłączyła klimatyzację, za to otworzyła szeroko okno. Wnętrze samochodu wypełniło się aromatem sosen i upalnego lata.

Skręciwszy w Red Mountain, Road dostrzegła znajomą ociężałą, pochyloną postać,



maszerującą powolnym, rozchwianym krokiem. Delaney sprawdziła, czy za nią nikt nie jedzie, i zahamowała gwałtownie.

– Hej, Toby! – Wychyliła się z okna. – Dokąd idziesz?

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem, opuścił głowę jeszcze niżej i przyspieszył kroku. Zagryzł dolną wargę, jakby nie wiedział, co zrobić, przeszedł jeszcze dalej, aż w końcu zawrócił i zbliżył się do samochodu.

– Wolno mi wychodzić – oznajmił i znowu spuścił głowę.

– Oczywiście! – Nie chciała, żeby uznał, że go karci. – Bardzo ładne kwiaty. Masz randkę?

– Nie. – Gorączkowo zaprzeczył.

Musnęła palcami białe stokrotki. Dopiero teraz zrozumiała.

– Chcesz je położyć na jej grobie, prawda? – domyśliła się, przypomniawszy sobie dziwne pytania, które zadawał na temat kwiatów dla zmarłych.

– Sam je zbierałem – potwierdził. – Pan Walker powiedział, że tak może być. Że nie trzeba ich kupować.

– Pan Walker ma rację. Właściwie to nawet ładniej zanieść na grób kwiaty, które się samemu zrywało.

– No tak. Muszę iść. – Cofnął się, najwyraźniej zdenerwowany i nieswój.

– Znasz drogę?

– Tak.

– No to wskakuj. Podwiozę cię.

– Nie musisz. Pójdę na piechotę.

– Wiem, że nie muszę, Toby. Ja chcę. Pozwól mi.

Wahał się długo, lecz w końcu skinął głową.

– Dobrze.

Obserwowała, jak obchodzi samochód dookoła, wsiada, mocuje się z pasem bezpieczeństwa, nie wypuszczając kwiatów z dłoni. Pomogła mu zapiąć pas. Zerknęła w lusterko.

Skoro szosa była pusta, zawróciła wbrew przepisom.

– Nie wiem, gdzie jest cmentarz, więc ty, Toby, będziesz mi mówił, jak jechać.

– Musisz tu skręcić. – Pokazał pierwszą ulicę w lewo.

Zwolniła, zawróciła, zerknęła na Toby'ego. Siedział pochylony, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na kwiatkach.

– Cieszę się, że postanowiłeś zanieść kwiaty na jej grób, chociaż cię nie lubiła – powiedziała, gdy przejeżdżali most nad potokiem. – I powinieneś być z siebie dumny, że sam wpadłeś na ten pomysł.

– Przykro mi, że ona nie żyje.

– Wiem.

Następnie polecił jej znowu skrócić w lewo, i znowu, w pełną drogę. Zmarszczyła brwi. Przecież to droga do starej kopalni! Tutaj biegali z Lucasem! Nie przypominała sobie, by widziała tu jakiegokolwiek cmentarza, stary czy nowy. Właściwie nie przypominała sobie żadnego cmentarza we wschodniej części miasta.

– Toby, czy na pewno dobrze jedziemy?

– Tak. – Energiczny ruch głową towarzyszył tej odpowiedzi.

Widziała, jak bardzo jest zdenerwowany, z jakim napięciem pochyła się do przodu, aż pas wpija mu się w ramię. Nerwowo oblizywał wargi. Dokąd właściwie jadą? Cały czas przypuszczała, że kwiaty są dla Susan. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Toby ani razu tego nie powiedział. W takim razie na czyj grób jadą?

– Daleko jeszcze? – Droga się zwężała, drzewa coraz gęściej ją okrażały. Słońce prześlizgiwało się między konarami, ścieliło jasnymi plamami na nierównej nawierzchni. Powietrze było nieruchome, ciężkie.

– Nie – odpowiedział ciekawym głosem.

– Często tu przychodzisz? – Ponieważ milczał, spojrzała na niego kątem oka. Obserwował ją ukradkiem z miną zwierzęcia w pułapce. Wiedziała, że słyszał jej pytanie, ale usiłował puścić je mimo uszu. Nie pozwoliła. – Więc jak, Toby?

– Nie – odparł cichutko.

– W takim razie dobrze, że masz taką świetną pamięć – rzuciła lekko, z nadzieją, że Toby się odpręży. – Niektórzy mają kiepską pamięć, ale nie ty. To dobrze. Bardzo lubiłam... – Urwała, roześmiała się głośno. – Widzisz? Zapomniałam, jak miała na imię. Ale ty na pewno pamiętasz, co, Toby?

Nie przestał zaciskać ust w wąską linię. Wpatrywał się w drogę przed nimi, unikał jej wzroku.

– No, Toby, powiedz, jak miała na imię – prosiła przymilnie.

– Zatrzymaj się – poprosił.

– Dlaczego? Czy jesteśmy już na miejscu? – Odruchowo przesunęła stopę na hamulec, ciekawie rozglądając się po okolicy.

Po lewej stronie, niemal niewidoczna zza krzaków, odchodziła w lewo węższa droga, ta sama, którą mijali z Lucasem podczas ранego biegu. Sądziła, że prowadzi do starej kopalni. Pochłonięta tym widokiem, za późno usłyszała trzaśnięcie drzwiczek. Toby wysiadł z samochodu i oddalał się pośpiesznie.

– Poczekaj! – Przekreśliła kluczyk w stacyjce, przez chwilę mocowała się z pasem. W końcu wyskoczyła z auta. – Pójdę z tobą.

– Nie. – Popatrzył na nią gniewnie. Silne ręce, którymi ścisnął kwiaty, drżały lekko.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Bardzo cię proszę. Mnie też przykro, że ona nie żyje.
- Nie, nie możesz. – Zapamiętała kręcił głową na boki. – Nikt nie może. Nikt, przenikt. Wobec takiego uporu musiała skapitulować.
- Dobrze, nie pójdę. Poczekam na ciebie tutaj.
- Nie. Wracaj.
- Ale... Nie chcesz, żebym cię podwiozła do domu?
- Nie. Idź sobie. – Postąpił krok naprzód. Mało brakowało, a zaczęłyby płakać. – Idź sobie!

Już!

Nie wiedząc, do jakiego stopnia może go naciskać, uległa.

– Dobrze, już idę. – Wróciła do samochodu, zapaliła silnik.

Toby nie ruszał się z miejsca, śledził każdy jej ruch, jakby nie wierzył, że postąpi tak jak powiedziała. Przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia, bo miał rację nie ufając jej. Odjeżdżała powoli. W tylnym lusterku widziała, że cały czas odprowadza ją wzrokiem.

Droga wiła się gwałtownie. Po chwili Toby zniknął za zakrętem. Delaney przejechała jeszcze dwadzieścia jardów, zjechała na pobocze, odczekała pół minuty i wyłączyła silnik. Wysiadła, ostrożnie zamknęła drzwiczki.

Najciszej jak umiała, wróciła do zakrętu, trzymając się możliwie blisko rozłożystych krzaków. Toby'ego nigdzie nie było widać.

Na ile sprytu go stać? Zastanawiała się. Skręcił w tę starą drogę? A może wysiadł tu, żeby ją zmylić, i wszedł w las? Czy w ogóle od początku chciał tu wysiąść? A może do tego stopnia przeraziła go pytaniami, że wolał resztę drogi odbyć pieszo? Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Ruszyła biegiem do miejsca, gdzie odchodziła boczna droga.

Na suchym twardym podłożu nie odbiły się żadne ślady, nie wiedziała więc, w którą stronę poszedł. Wpatrywała się w skraj lasu z nadzieją, że mignie wśród drzew jego niebieska bluza. Na darmo. Postanowiła pójść dalej drogą z świadomością, że jeżeli Toby zmienił kierunek, i tak go nie znajdzie.

Dróżka była wąska i zniszczona, zarastały ją chwasty, czas i przyroda zostawiły swoje piętno. Delaney miejscami biegła, miejscami maszerowała, dzieląc uwagę między nierówności terenu a przestrzeń przed nią.

Pokonała ostry zakręt i nagle go zobaczyła, niedaleko, jakieś pięćdziesiąt jardów przed sobą. Biegł swoim ciężkim truchtem, z nisko pochyloną głową. Delaney skuliła się za krzakami. Trzymała się lasu, weszła głębiej między sosny, bo biegło się tu łatwiej, a zarazem mogła mieć Toby'ego na oku. Wśród drzew światło było przytłumione, powietrze chłodne, wilgotne, pachniało lasem.

Ścieżka wiła się jeszcze ponad milę, cały czas pięła się pod górę, zanim gwałtownie zakończyła się przy wąwozie pełnym skalnych odłamków i chwastów. Delaney ostrożnie

podeszła bliżej.

Dostrzegła ruinę drewnianego budynku. Drewno przegniło i zmurszało, wśród skał poniewierały się szczątki maszyn, teraz już tylko zardzewiałe żelastwo. Nieco dalej widniało wejście do kopalni, zabite deskami. Nad wejściem smętnie zwisała połamana tablica. Wyblakłe litery głosiły „DOLLY coś tam”, tylko tyle zdołała odczytać.

Toby zbliżał się powoli, jakby wbrew sobie, położył kwiaty przy wejściu i oddalił się pospiesznie. Odwrócił się na pięcie i biegiem ruszył w drogę powrotną. Potykał się o własne nogi, tak bardzo chciał stąd odejść.

Delaney ukryła się wśród drzew, zanim ją zauważył. Nie zwlekając, ruszyła biegiem do samochodu.

Od razu rzuciła się do schowka przy kierownicy, szukała też pod fotelami, na tylnym siedzeniu, w bagażniku. W desperacji wysypała nawet całą zawartość torebki. Niestety, nigdzie nie było latarki. Bez światła nie dowie się, jaką tajemnicę skrywa stara kopalnia. Wściekła, nacisnęła pedał gazu. Wracała do mieszkania.

– Tato! – zawołała od drzwi.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, rzuciła się do kuchni, do szafek. Po chwili tryumfalnie wydobyła latarkę z dolnej szuflady. Włączyła ją i zgasiła kilkakrotnie, żeby się upewnić, czy działa, i na wszelki wypadek wzięła dwie zapasowe baterie. Już w progu zawahała się. Wrodzona ostrożność kazała jej podejść do stolika i nabazgrać wiadomość: „Zwiedzam kopalnię Dolly. Tam mnie szukajcie, jeśli nie wrócę za dwie godziny – D”. Położyła ją obok karteczki od ojca.

Delikatny wietrzyk kołysał mniejszymi gałązkami, szeptał coś w górskiej ciszy. Słońce świeciło mocno. Delaney rozglądała się po polanie, niegdyś stanowiącej część kopalni, którą teraz natura chciwie zagarniała z powrotem. Podniosła wzrok na kamienne oblicza górskich szczytów, doskonale widocznych na tle błękitnego nieba. Odpowiedziały obojętnym spojrzeniem.

Ostrożnie wyminęła wielki głaz i szczątki wagonika, którym transportowano rudę. Szła pod górę, do wejścia. Kwiaty czekały, zwiędłe i żałosne. Płatki opadły, łodygi zwiotczały, tylko silny zapach bił w nozdrza. Delaney dotknęła polnych stokrotek.

– Komu je przyniosłeś, Toby? – zapytała cicho.

Odpowiedź kryła się za arkuszem blachy, blokującym wejście. Zardzewiała tabliczka ostrzegała: NIEBEZPIECZEŃSTWO! NIE WCHODZIĆ! Zignorowała ją. Za pomocą grubej gałęzi podważyła blachę na tyle, że mogła się wślizgnąć do środka.

Włączyła latarkę, omiotła snopem światła wąski korytarz, skalne odłamki na ziemi i nieprzeniknioną ciemność w głębi. Jeszcze raz spojrzała na niebo i słońce, i weszła do środka. Kiedy chciała się wyprostować, boleśnie uderzyła głową w strop. Zapomniała, że przed stu laty,

gdy kopano ten tunel, ludzie byli o wiele niżsi. Tylko w kinie są potężni i masywni.

Zgięta w pół zrobiła krok naprzód. Światło latarki wydobyło z ciemności dwie zardzewiała wstążki szyn, po których zapewne jeździły wagoniki z urobkiem. Po chwili namysłu ruszyła w głąb, idąc między torami, coraz dalej od słońca i świeżego powietrza.

Zardzewiałe szyny służyły jej za drogowskaz, trzymała się ich cały czas. Ilekroć snop światła natrafiał na przegniłe stemple, wzdygała się i usiłowała nie myśleć o tysiącach ton skał nad nią. Gdzieś przed nią jakieś zwierzątko uciekało przepłoszone światłem. Myszy? Szczury? Nie, nie wolno jej o tym myśleć. Kolejnym skojarzeniem będą koty, a co, według przysłowia, zabiło kota? Ciekawość...

– Co ty tu robisz, Delaney? – mruknęła do siebie. – To szaleństwo. Co cię obchodzi, dlaczego Toby położył kwiatki przy wejściu? – Chropowate ściany odbijały światło latarki. Gdzieś wyraźnie widziała ślad po kilofie. – A skoro już musiałas to robić, czemu nie zabrawas ze sobą Riley'a? Nie masz za grosz oleju w głowie!

Zatrzymała się, odwróciła do wyjścia. Prostokąt światła wydawał się bardzo odległy. Do tej pory Riley zaczął się już niepokoić. Może dzwonił i ojciec przekazał mu wiadomość? Gdyby miała trochę oleju w głowie, zawróciłaby i poczekała na niego.

Ponownie skierowała latarkę w głąb kopalni. Pójdzie jeszcze tylko kawałeczek, potem zawróci i poczeka na Riley'a.

Poszła dalej. Gdzieś w pobliżu kapała woda. Usiłowała przypomnieć sobie, co Jared opowiadał o kopalniach, szybach, poziomach, szwach wentylacyjnych, tąpnięciach. Podniosła nieduży kamyk i cisnęła przed siebie. Zagrzechotał o inne skały. Poszła dalej. Mocny strumień światła z latarki robił wąską wyrwę w ciemności.

Trzy kroki dalej dostrzegła stertę gruzu zamykająca tunel. Na tyle ile pozwalało światło latarki, zbadała rumowisko z bezpiecznej odległości. Zawaliła się prawa ściana, jednak nie zablokowała całego przejścia. Tory były niewidoczne, ale po lewej stronie została mniej więcej stopa wolnej przestrzeni.

Ostrożnie podeszła bliżej. Stemple w tym akurat miejscu wyglądały solidnie. Usiłowała dojrzeć, co jest za stertą gruzu. Gdzieś tu powinien być szyb na niższe poziomy. Możliwe, że jest po drugiej stronie rumowiska.

Przykłęła. Chciała znaleźć mały kamyk, żeby go cisnąć w głąb korytarza, więc odgarnęła większe kamienie. Coś białego przykuło jej wzrok. Znieruchomiała.

Nie drgnęła przez długą chwilę. Potem powoli położyła latarkę na zimnej, wilgotnej ziemi, w ten sposób, że snop światła padał na skrawek bieli. Ostrożnie zdejmowała większe odłamki, uważając jednocześnie, by nie obsunęła się reszta. Po chwili jej oczom ukazały się kości ludzkiej ręki.

Gwałtownie odwróciła głowę. Starła się opanować falę mdłości. Tak bardzo chciała się

mylić co do powodów, które przywiodły tu Toby'ego z kwiatami. Głęboko zaczerpnęła tchu i zmusiła się, by ponownie spojrzeć na szkielet. Na kolanach usunęła dalsze kamienie, odsłaniając kości obojczyka i barku. Jeszcze jeden odłamek i oto miała przed sobą lewą rękę.

Na serdecznym palcu zaśnił złoty pierścionek. Skierowała na niego światło latarki. Był to szkolny sygnet. Gdy pochyliła się bliżej, odczytała inicjały K.M. Cofnęła się gwałtownie. Nawet nie usłyszała własnego żalosego krzyku.

Gdzieś za jej plecami kamyk uderzył o zardzewiałe szyny. Odwróciła się błyskawicznie i natychmiast uniosła dłoń do oczu, oślepiąca światłem latarki.

– Zgaś to, nic nie widzę – poprosiła.

Choć snop światła rzeczywiście przesunął się niżej, ciągle widziała biały płomień. Szybko zamrugła powiekami, chcąc patrzeć normalnie.

– Znalazłaś ją. – Ten głos... to nie Riley. – Dlaczego, Delaney? Dlaczego musiałaś jej szukać? Dlaczego nie mogłaś tego zostawić jak było?

– Lucas. – W szoku wyszeptała jego imię ledwo słyszalnym głosem. Stopniowo odzyskała wzrok, dostrzegając jego postać, zgiętą w pół pod niskim stropem. Podszedł bliżej i w blasku latarki zobaczyła jego twarz, wykrzywioną żalem. Nagle ogarnął ją gniew. – Pod tymi głazami spoczywa Kelly McCallister, prawda?

– To był wypadek, musisz mi uwierzyć, Delaney. Toby nie chciał jej zabić...

– Toby – powtórzyła zdumiona. Wtedy zobaczyła broń w jego dłoni i poczuła, że grozi jej niebezpieczeństwo. Musi zachować zimną krew. Musi go zagadać. – Co za wypadek? Co się stało?

– To przez nią – upierał się. – Gdyby nie zaczęła węszyć... byliśmy z Susan w sypialni, rozumiesz. Toby oglądał telewizję w salonie. Zaczęła na niego wrzeszczeć. Zszedłem na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje, a wtedy Kelly złapała pogrzebacz i zaczęła mnie tłuc wrzeszcząc, że mam się wynosić, że zniszczyłem małżeństwo jej brata. Tymczasem Toby nie wiadomo gdzie znalazł pistolet, który Susan trzymała w domu ze względów bezpieczeństwa.

W domu. W starym wiktoriańskim domu w West End, tym samym, który Susan dostała od Jareda po rozwodzie, tym samym, na widok którego Toby wpadł w panikę. Teraz już wiedziała dlaczego.

– Toby chciał, żeby przestała mnie bić. Strzelił do niej, żeby mnie ochronić. – Głos mu się załamał. – Nie chciał jej zabić. Nawet sobie nie zdawał sprawy z tego, co zrobił. Jakiś tydzień wcześniej zabrałem go na generalną próbę przedstawienia, w którym wówczas grałem. Miałem tylko małą rolę, ginąłem od kuli na samym początku sztuki. Toby się przestraszył, wdrapał się na scenę przerażony, że naprawdę nie żyję. Pokazałem mu pistolet na kapiszony, sztuczną krew... Wtedy... nie pojmował, dlaczego Kelly tak długo nie wstaje. – Mocniej zacisnął dłoń na rękojeści, aż pobiełały mu kłykcie. – Nie rozumiesz? To był wypadek, tragiczny wypadek. Nie

żyła. Nie mogłem nic zrobić. Nie mogłem wezwać policji. Jeden rzut oka na Toby'ego wystarczyłby, żeby go ponownie zamknęli w zakładzie. Nie mogłem na to pozwolić. To nie byłoby w porządku wobec niego.

– I wtedy postanowiłeś ukryć ciało w tej kopalni? – Przypomniała sobie strzelaninę, przestрах Toby'ego, kiedy pytał Lucasa, czy będzie musiał dotykać Susan, i strach przed martwymi przedmiotami, który okazywał przy wielu innych okazjach.

– Nie, to był pomysł Susan. Ja chciałem zostawić ciało w lesie, ona jednak obawiała się, że znajdzie je jakiś myśliwy albo narciarz, a wówczas policja zainteresowałaby się tą sprawą. – Roześmiał się ostro, szorstko. – Boże, ależ była przebiegła! Miała własne plany i nie chciała, by je pokrzyżował jakikolwiek skandal. Wpadła na pomysł, żeby zaaranżować wszystko tak, jakby Kelly uciekła z domu. Pojechała na rancho, spakowała jej ubrania i spotkała się z nami tu, przy kopalni. Wszystko ukryliśmy tutaj.

Delaney poruszyła się nieznacznie, tak że teraz była dokładnie naprzeciw niego. Żeby odwrócić jego uwagę, zapytała:

– A medalion? Jakim cudem znalazł się w lombardzie w Los Angeles?

– Kwestia szczęścia. – Uśmiechnął się pod nosem. – Po „ucieczce „Kelly zabawiłem w Aspen niedługo, jakieś dwa tygodnie, a potem wyruszyłem do Los Angeles. Przy pakowaniu znalazłem medalion w bagażniku. Wyjąłem i spaliłem zdjęcia, zapłaciłem pięć dolarów dziewczynie, żeby go wstawiła do lombardu. Tym sposobem detektyw, którego wynajął Jared, znalazł medalion i utwierdził wszystkich w przekonaniu, że Kelly naprawdę uciekła z domu. Udało się. Wszystko szło jak po maśle.

– Dopóki Susan nie zaczęła cię szantażować.

– Nigdy nie było jej dosyć, bez względu na to, ile dostawała. Zdarłaby ze mnie ostatnią koszulę – zachnął się gniewnie. – Musieliśmy ją powstrzymać.

– My?

Zawahał się, jakby żałował tych słów.

– Musiałem powiedzieć Arthurowi. Stawiała coraz wyższe żądania. Nie wiedziałem, do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić. Nie mogłem przecież iść na policję. Arthur pomyślał o tobie.

– A Rina? – Aż zacisnęła zęby z wściekłości.

– Rina okazała się darem niebios. Dzięki niej nie musieliśmy wymyślać szalonej fanki. – Znowu urwał. Wydawał się szczerze przejęty. – Naprawdę żałuję, Delaney, że cię tak nieładnie wykorzystaliśmy, uwierz mi.

– Od początku wiedziałeś, że to Susan, tak? Wiedziałeś, że ma przyjść. Właśnie dlatego chciałeś wyjść na werandę, prawda? Zaplanowałeś wszystko tak, żebym do niej strzeliła. I udało ci się. – Poczula, że dotknął ją do żywego, do każdego nerwu. – Pewnie Arthur strzelił pierwszy. Z tego samego pistoletu, który masz w ręku?

– Nie, on miał tylko straszak. – Uśmiechnął się smutno. – Zaplanowaliśmy każdy szczegół, aż do najdrobniejszych, włącznie z uszkodzeniem twojej krótkofalówki. Ale i tak wszystko poszło nie tak. Według planu Arthur miał być pierwszy przy zwłokach i podrzucić w pobliżu broń. Niestety, twoi ludzie zareagowali za szybko. Musiał się schować, żeby go nie zauważyli, a potem było już za późno.

– Więc czekaliście na odpowiedni moment z podrzuceniem broni?

– Nie chcieliśmy, żeby cię aresztowano. To miało wyglądać na działanie w obronie własnej.

– I co teraz? – Ostrożnie przeniosła ciężar ciała na stopy. Musi odebrać mu pistolet, zanim go użyje.

– Chciałbym uwierzyć, że stąd wyjdiesz i zapomnisz, co tu widziałas. Ze względu na Toby'ego, nie na mnie. Ale tak nie będzie, prawda? Do cholery, po co opowiadałaś Toby'emu o kwiatach na grób? Dlaczego go podwiozłaś? Dlaczego wtykałaś nos w nie swoje sprawy?

– Lucas, to bez sensu... – W oddali zazgrzytała odginana blacha.

– Delaney! Jesteś tam?

Skorzystała z okazji. Kiedy Lucas odwrócił się, słysząc wołanie Jareda, rzuciła się do ręki z pistoletem. Złapała go za przegub. W tym momencie Lucas odruchowo nacisnął spust. Tunel wypełnił huk wystrzału, kula głośno uderzyła w ścianę.

Delaney walnęła jego dłonią w skałę, aż wypuścił pistolet, który upadł z głośnym brzękiem, uderzyła Lucasa łokciem w twarz. Zachwiał się pod wpływem ciosu. Błyskawicznie wykręciła mu ręce do tyłu i pchnęła w stronę ściany, twarzą do skał. Dopiero wtedy usłyszała coraz bliższe kroki Jareda.

– Delaney, wszystko w porządku?

– Tak. – Dyszała ciężko, trochę z wysiłku, a trochę dzięki olbrzymiej dawce adrenaliny we krwi. Przypomniała sobie o latarce na ziemi, kopnęła ją w kierunku Jareda. – Gdzieś tu jest jego pistolet. Znajdź go.

Snop światła pełzył po podłodze.

– Mam!

– Dziękuję. – Wyciągnęła rękę po broń, nie spuszczać Lucasa z oka. Jared wsunął jej pistolet. – Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

– Wpadłem do mieszkania, żeby się z tobą zobaczyć. Twój ojciec pokazał mi kartkę od ciebie. – Oświetlił twarz Lucasa. – Co się tu dzieje? Skąd on się tu wziął?

Po chwili wahania odpowiedziała wymijająco:

– To długa historia. – Cofnęła się o krok od Lucasa. – Nie ruszaj się, Lucas – ostrzegła. – Wiesz chyba, że nie tylko umiem, ale i nie waham się posługiwać bronią. – Przestała go trzymać. – Dobrze, odwróć się, powoli!

Posłusznie wypełnił jej polecenie. Rozmasował bolący nadgarstek.



– Delaney, nie zrobiłbym ci krzywdy, przysięgam.

– Daruj sobie! – warknęła. – Wychodzimy stąd. Pójdiesz przodem.

Jared podał jej latarkę.

– Weź – powiedział. – Mnie wystarczy tamta.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że miał na myśli tę przy zwłokach Kelly.

– Jared, nie! Nie idź tam!

– Dlaczego... tam ktoś leży...

– Wiem. – Nie było sposobu, by powiedzieć mu to delikatnie, więc nie owijała w bawełnę. –

To Kelly.

Stał za nią, nie widziała jego twarzy, ale milczenie mówiło samo za siebie. Przesunęła się na bok, żeby widzieć go choć kątem oka.

Kłęczał przy szczątkach siostry. Rondo kapelusza przesłaniało mu twarz; zapewne był w szoku. Chciała do niego podejść, pocieszyć. Nie mogła jednak, że względu na Lucasa. Dlaczego to nie ojciec ani Riley ją znaleźli, tylko akurat Jared?

Uniósł głowę.

– Zabiłeś ją! Ty sukinsynu, zabiłeś ją! – Rzucił się na Lucasa, ominął ją, zanim zdążyła zareagować. Upadli na ziemię. Ręce Jareda znalazły jego szyję.

– Jared, nie! – Spróbowała go odciągnąć – na próżno, więc bez namysłu zderzyła go latarką w głowę. To wystarczyło, by Lucas strząsnął go z siebie. Natychmiast stanęła między nimi.

Jared trzymał się za guza na głowie. Rozpacz w jego oczach ustąpiła złości.

– Jak, do cholery, możesz go bronić? Zabił Kelly. Zabił moją siostrę.

– Nie, to...

Lucas nie dał jej dokończyć.

– To był wypadek. – W jego głosie usłyszała nutę paniki. – Dowiedziała się, że mam romans z twoją żoną. Weszła do pokoju... z bronią. Usiłowałem wyrwać jej pistolet, nagle wypalił.

Delaney patrzyła na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem, ale po chwili zrozumiała. Lucas odgrywał rolę swojego życia. Szykował scenę przyznania się do winy, która w oczach policji musi wypaść bezbłędnie, przekonywająco. Od tego zależy jego życie, i, co dla niego ważniejsze, życie Toby'ego.

Coś lub ktoś zasłonił jasny prostokąt wejścia.

– Delaney, jesteś tam? – Rozpoznała głos Riley'a. – To ty, Delaney?

– Tak. Potrzebuję pomocy.

Riley zjawił się w towarzystwie Wyatta. Kiedy podeszli bliżej, spojrzął na niego spod oka:

– Chyba znalazła się twoja zguba. – Gwoli wyjaśnienia zwrócił się do Delaney: – Zadzwoiłem, żeby cię zawiadomić, że Lucas bawi się z nami w chowanego. Twój ojciec powiedział, gdzie cię szukać. – Powędrował światłem latarki do Jareda, skulonego przy stercie

kamieni. W następnej chwili dostrzegł ludzkie kości. – Wyatt, dzwoń po policję.

– Dobrze. – Wyatt posłusznie biegł do wyjścia.

– Co się stało?

Delaney podała Rileyowi pistolet.

– To siostra Jareda.

Riley zaklął pod nosem i skinął na Lucasa.

Spojrzała na Jareda.

– Idziesz z nami?

Pokręcił głową. Jego policzki były mokre od łez.

– Zostanę tu z Kelly, dopóki jej nie zabiorą.

– Poczekam na ciebie.

– Nie. – Mówienie przychodziło mu z trudem. – Chcę być z nią sam.

Po chwili wahania odeszła, respektując jego potrzebę samotności.

W dwadzieścia minut później przyjechała policja. Zaczęło się przesłuchanie. Delaney udzielała powściągliwych informacji, pozwalając, aby Lucas podał swoją wersję wydarzeń. Nie działała celowo, po prostu tak wyszło.

Z daleka widziała, jak oficer czytał Lucasowi jego prawa, a potem założył mu kajdanki.

Doskonale odegrał swoją rolę, czym zresztą wcale jej nie zaskoczył. Nie zapomniała, jak łatwo przyszło jej uwierzyć, że groźby Riny omal nie przyprawiły go o załamanie nerwowe.

– Chyba zostaliśmy bez pracy – zauważył Riley, gdy Lucasa prowadzono do radiowozu.

– Doprowadził do tego, że zastrzeliłam Susan. Wykorzystał mnie, Riley – mruknęła. – Posłużył się mną jak bronią. Odbezpieczył mnie, naładował, wymierzył. W pewnym sensie nawet pociągnął za spust.

– To boli, prawda? – zapytał miękko. – Ale z bólem przychodzi mądrość, choć nie wiem, dlaczego tak się dzieje.

Nagłe poruszenie przy wejściu do kopalni kazało jej się odwrócić. Wynieśli szczątki Kelly. Jared wynurzył się z czeluści kopalni. Zatrzymał się jedynie po to, by włożyć kapelusz, a potem ruszył w dół zbocza.

Po chwili namysłu wyszła mu na spotkanie. Na jej widok zwolnił kroku. Miał zaczerwienione oczy, lecz nie było w nich łez. Patrzył nie tyle na nią, ile poprzez nią.

– Jared, chcę, żebyś wiedział, że nie broniłam Lucasa – powiedziała. – Broniałam ciebie. Nie mogłam pozwolić, by cię zabił.

Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, skinął głową i odszedł.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Ciężkie ołowiane chmury wisały nisko nad ziemią, otulały szczyty nawet niezbyt wysokich gór. Delaney stała przy oknie na lotnisku i patrzyła na strugi deszczu spływające po szybie. Olbrzymia cysterna z paliwem lotniczym przejechała przez mokre pole startowe. Wycieraczki poruszały się rytmicznie.

Gazeta, która nagle znalazła się przed jej nosem sprawiła, że odwróciła się od okna i ujrzała Riley'a. Wyrósł koło niej jak spod ziemi.

– Pomyślałem, że to cię zainteresuje – powiedział.

Spojrzała na wskazaną stronę. Była to kronika towarzyska w „USA Today”. Zerknęła na krótką notatkę, przekonana, że przeczyta o umorzeniu dochodzenia przeciw niej. Tymczasem dowiedziała się, że Rina Cole wyszła za mąż za Timothy’ego Collinsa-Jonesa, oczywiście w Las Vegas.

– Ciekawe – mruknęła i oddała mu gazetę.

Riley z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Seksbomba i naukowiec, oto małżeństwo madę in Hollywood.

Nie starczyło jej siły na uśmiech. Podniosła torbę z podłogi.

– Idziemy?

Zerknął na zegarek.

– Na pokład samolotu wpuszczą nas najwcześniej za dwadzieścia minut.

– Wiem, ale może po kontroli bezpieczeństwa znajdziemy jakieś wolne miejsca w poczekalni do wyjścia.

– Mam wrażenie, że bardzo ci spieszno opuścić Aspen. Prawie tak, jakbyś przed czymś uciekała.

– Bzdury.

– Naprawdę? – zdziwił się drwiąco. Był denerwująco pewny siebie. – Czy rozmawiałaś z Jaredem po tym, jak znaleziono zwłoki jego siostry?

– Nie. – Odrobinę uniosła brodę.

– A dlaczego? – Czołem niemal dotknął jej włosów.

– Nie było okazji.

– Więc między wami nic się nie wyjaśniło?

– Jak powiedziałam, nie było okazji.

– Chcesz zatem tak po prostu odejść? Nie pozwolisz duchom przeszłości albo zmartwychwstać, albo zasnąć? – Powoli tracił cierpliwość.

– Właśnie tak. – Odwróciła się na pięcie, kierując się do ekranu kontrolnego.

Riley pospieszył za nią, ale nie powstrzymał się od komentarza:

– Myślałem, że masz więcej rozumu.

– Zmieńmy temat, Riley – zaproponowała, kładąc torbę na taśmę.

W milczeniu przeszli przez kontrolę i skierowali się do właściwego wyjścia. W tej części lotniska siedziało niewielu pasażerów, więc nie było problemów z miejscami. Delaney przycupnęła na pierwszym z brzegu fotelu. Riley zagłębił się w lekturze artykułu o raku płuc, a ona otworzyła notes, żeby przemyśleć, od czego zacząć po powrocie do Los Angeles.

– Okazja czyjej brak, teraz się nie wykrecisz. – Riley dotknął jej ramienia i wskazał kogoś ruchem głowy.

Podniosła wzrok. Jared wszedł do sali. Wydawał się zmęczony, ponury... i zły. Delaney odłożyła notes na bok i wstała, kurczowo ściskając pasek torebki.

– Byłem w mieszkaniu. – Jared przeszył ją wzrokiem. – Powiedzieli, że pojechałaś na lotnisko. Chciałaś wyjechać bez pożegnania?

– Uznałam, że tak będzie najlepiej.

– Dlaczego? Myślisz, że ciągle jestem zły, bo mnie powstrzymałaś?

– Nie.

– Więc dlaczego mnie opuszczasz w ten sposób?

– Bo nie wyobrażam sobie, by między nami mogło się kiedykolwiek ułożyć – wypaliła. Obok zaszeleściła gazeta Rileya, kiedy przewracał strony.

– Tak po prostu? – sprzeciwił się Jared. – Zdecydowałaś o tym nawet ze mną nie rozmawiając?

Z głośników rozległo się wezwanie pasażerów ich lotu. Riley wstał, starannie złożył gazetę, wsunął ją pod ramię i podszedł do nich.

– Będę w samolocie – powiedział do Delaney, podając jej kartę pokładową, skinął głową Jaredowi i stanął w kolejce.

– Jak możesz tak wyjeżdżać? – powtórzył Jared. – Kocham cię i myślałem, że ty również mnie kochasz.

– Bądźmy szczerzy, Jared. – Nie miała siły na tę rozmowę. – Nienawidzisz mojej pracy. Dokładnie mówiąc, gardzisz ludźmi, którzy mi płacą, żebym ich broniła. Nawet gdybym przeniosła biuro do Aspen, nic by z tego nie wyszło.

Wyraz jego twarzy zmienił się, stwardniał.

– Innymi słowy, praca jest dla ciebie ważniejsza.

– Nie, nie ważniejsza. Ale to część mnie, tego, kim jestem. Lubię to. Czerpię satysfakcję z tego, co robię. Ale z tobą nie mogę o tym rozmawiać. Nie mogę narzekać na złe dni i chwalić się dobrymi. Ilekroć próbuję, kończy się na tym, że występuję w obronie albo mojej pracy, albo moich klientów.

– Mógłbym z czasem nauczyć się to zaakceptować – nie rezygnował.

– Próbowałbyś – poprawiła miękko. Niełatwo jest się pozbyć uprzedzeń, które się żywiło latami. Szczególnie trudno byłoby dokonać tego Jaredowi, zwłaszcza teraz, kiedy okoliczności śmierci Kelly były tak świeże w jego pamięci. Nawet gdyby mu powiedziała, jaką rolę odegrał w całej tragedii Toby, i tak uważałby Lucasa za głównego winowajcę.

– Do cholery, Delaney, kocham cię. – Ochrypl z emocji.

W tym momencie wszystko stało się dla niej jasne. Zrozumiała.

– Naprawdę, Jared? Nie sądzę. Kochasz mnie taką, jaką byś chciał mnie widzieć.

– Nieprawda.

– Nie? Gdybyś naprawdę mnie kochał, moja praca nie stałaby między nami na przeszkodzie tak jak teraz. Nie twierdzą, żebyś ją lubił, ale byłbyś dumny z moich osiągnięć i służyłbyś mi pomocą w razie niepowodzenia. A ty tego nie robisz.

– Mylisz się. Kocham cię...

– Chcesz mnie kochać – poprawiła i zrozumiała coś jeszcze. – A ja chciałam kochać ciebie. Przez chwilę nawet w to uwierzyłam. Myliłam się, oboje się myliliśmy. – Uniosła dłoń, chcąc go dotknąć, ale zaraz opuściła ją z powrotem. – Przykro mi, Jared.

Odwróciła się i poszła do wyjścia do samolotu. Podając stewardesie kartę pokładową, zerknęła za siebie. Jared odchodził szybkim, gniewnym krokiem. Wchodząc na pokład poczuła się wolna, po raz pierwszy od lat.

Riley siedział przy oknie, ze wzrokiem utkwionym w świat za szybą. Gdy postawiła torbę na podłodze, odwrócił się gwałtownie. Na jej widok uśmiechnął się.

– Rzuciłaś go – domyślił się z błyskiem zadowolenia w oku.

– Nie, w końcu zrozumiałam, że wszystko było tylko złudzeniem. Iluzja: zamglony obraz, fikcja, ale nie rzeczywistość. – Usiadła, zapięła pas.

– Cieszę się – oznajmił. – To znaczy, że możesz za mnie wyjść.

– Jasne. – Była pewna, że żartuje.

– Nie śmieję się. Mówię poważnie – poinformował ją spokojnie. – Gdybyś przypadkiem nie wiedziała, dowiedz się, że są dwa rodzaje miłości. Najczęściej zdarza się jeden z nich: miłość od pierwszego wejrzenia, fajerwerki i salwy. Ale jest też inna miłość. Przychodzi cichutko, niespodziewanie. Ani się obejrzyysz i już jest: – mocna, wierna, głęboka.

Delaney przyglądała mu się z niedowierzaniem.

– Zwariowałeś.

Uśmiechnął się.

– Owszem, z miłości do ciebie. Od lat.

Patrzył jej prosto w oczy. Ku swemu wielkiemu zdumieniu poczuła, że jej serce bije w szaleńczym tempie.